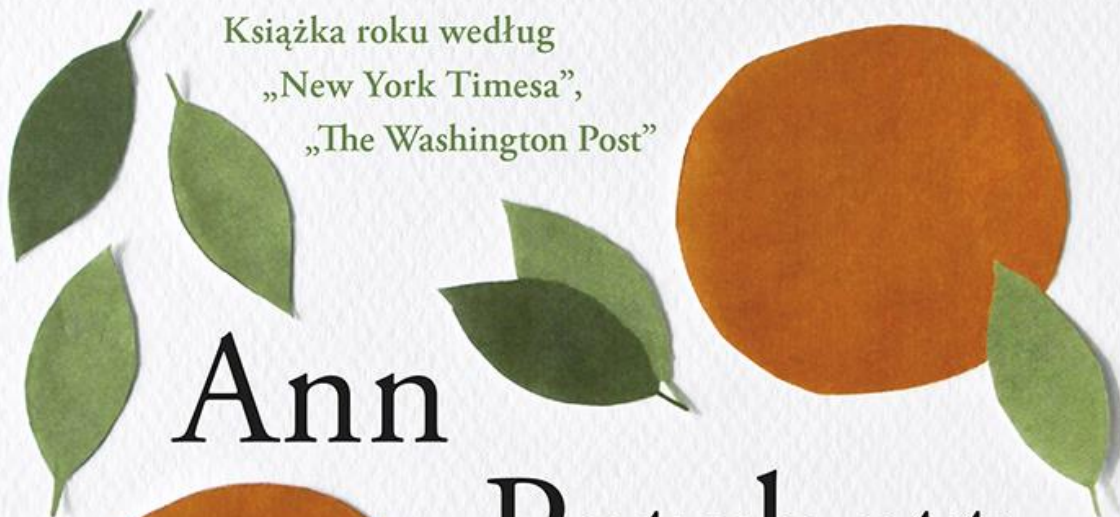




Dziedzictwo

Książka roku według
„New York Timesa”,
„The Washington Post”



Ann

Patchett



Ann Patchett

DZIEDZICTWO

tłumaczenie
Anna Gralak

znak *litera
nova*

Kraków 2017

Mike'owi Glasscockowi

I

Przyjęcie z okazji chrztu zmieniło bieg, gdy zjawił się Albert Cousins z dżinem. Fix z uśmiechem otworzył drzwi, a potem uśmiechał się dalej, usiłując zrozumieć, co się dzieje: na betonowej płycie jego werandy stał Albert Cousins z biura prokuratora okręgowego. W ciągu ostatniej półgodziny Fix otworzył drzwi ze dwadzieścia razy, witając sąsiadów i przyjaciół, i ludzi z kościoła, i siostrę Beverly, i wszystkich swoich braci, i rodziców, i praktycznie cały komisariat gliniarzy, ale tylko Cousins był dla niego zaskoczeniem. Dwa tygodnie wcześniej Fix spytał żonę, dlaczego jej zdaniem muszą zapraszać dosłownie wszystkich znanych sobie ludzi na przyjęcie z okazji chrztu. W odpowiedzi zaproponowała, by zechciał spojrzeć na listę gości i powiedział, kogo wykreślić. Nie spojrział na listę, ale gdyby teraz żona stała obok niego w drzwiach, od razu pokazałby palcem i powiedział: „Wykreśl jego”. Nie żeby nie lubił Alberta Cousinsa, znał go najwyżej na tyle, żeby skojarzyć nazwisko z twarzą, ale właśnie to, że tak słabo go znał, było wystarczającym powodem, by go nie zapraszać. Fixowi przyszło do głowy, że Cousins zjawił się w jego domu, żeby porozmawiać o jakiejś sprawie: jeszcze nigdy niczego podobnego nie zrobił, ale czy istniało inne wytłumaczenie? Goście tłoczyli się przed domem i Fix nie umiałby powiedzieć, czy się spóźnili, czy już wychodzą, czy może po prostu szukają wytchnienia na zewnątrz, dlatego że w środku jest więcej ludzi, niż byłby skłonny tam wpuścić którykolwiek komendant straży pożarnej. Pewne było tylko to, że Cousins przyszedł bez zaproszenia, sam i z butelką w reklamówce.

– Cześć, Fix – powiedział Albert Cousins. Wysoki zastępca prokuratora okręgowego, w garniturze i krawacie, wyciągnął rękę.

– Cześć, Al – powitał go Fix. (Czy ludzie nazywali go Al?) – Cieszę się, że udało ci się przyjść. – Mocno uścisnął podaną dłoń, dwa razy nią potrząsnął i puścił.

– Ledwo zdążyłem – powiedział Cousins, patrząc na tłum wewnątrz, jakby się obawiał, że zabraknie dla niego miejsca. Od razu było widać, że przyjęcie minęło już półmetek – większość trójkątnych kanapeczek zniknęła, podobnie jak połowa ciastek. Obrus pod misą z ponczem był różowy i mokry.

Fix się odsunął, żeby go wpuścić.

– Ale już jesteś – powiedział.

– Nie mógłbym tego przegapić. – Choć oczywiście przegapił. Nie był na ceremonii w kościele.

Jedyną osobą z biura prokuratora okręgowego, którą Fix zaprosił, był Dick Spencer. Kiedyś też służył w policji, potem poszedł na wieczorowe studia prawnicze i awansował, ani przez chwilę nie dając jednak odczuć któremukolwiek z pozostałych chłopaków, że uważa się z tego powodu za lepszego od nich. Nie miało znaczenia, czy Dick jeździ radiowozem, czy stoi przed sędzią, bo nie było wątpliwości, skąd pochodzi. Za to Cousins był takim samym prawnikiem jak cała reszta – prokuratorzy okręgowi, adwokaci z urzędu, spece od trudnych spraw – całkiem przyjaznym, jeśli czegoś potrzebował, ale raczej nieskłonny do zapraszania funkcjonariuszy na piwo, a jeśli nawet, to tylko dlatego, że akurat podejrzewał jakiegoś gliniarza o ukrywanie przed nim informacji. Prokuratorzy okręgowi byli gośćmi, którzy palą twoje papierosy, bo próbują

rzucić palenie. Gliniarze wypełniający salon oraz jadalnię i wylegający na podwórze, gdzie stali pod sznurem na białynę i dwoma drzewami pomarańczowymi, nie próbowali rzucić palenia. Pili mrożoną herbatę zmieszaną z lemoniadą i kopcili jak dokerzy.

Albert Cousins podał reklamówkę gospodarzowi i Fix zajrzał do środka. Była tam butelka dzinu, i to duża. Inni przynieśli święte obrazki, różańce z macicy perłowej albo kieszonkowe Biblie w oprawie z białej cielejącej skóry i ze złoconymi brzegami. Pięciu chłopaków, albo raczej ich pięć żon, zrzuciło się na niebieski krzyżyk zdobiony emalią i z malutką perłą pośrodku, zawieszony na łańcuszku, bardzo ładny, na pamiątkę.

– Czyli macie córkę i syna?

– Dwie córki.

Cousins wzruszył ramionami.

– Co poradzisz.

– Nic a nic – powiedział Fix i zamknął drzwi. Beverly kazała mu zostawić je otwarte, żeby do środka wpadało trochę świeżego powietrza, co tylko dowodziło, jak niewiele wiedziała na temat okrucieństwa człowieka wobec drugiego człowieka. To, ile osób jest w domu, nie ma znaczenia. Nie zostawia się otwartych drzwi, do diabła.

Beverly wychyliła się z kuchni. Lekko licząc, stało między nimi ze trzydzieści osób – cały klan Meloyów, wszyscy DeMatteowie, garstka ministrantów przekopująca się przez resztki ciastek – ale nie sposób było nie zauważyć Beverly. Ta żółta sukienka.

– Fix? – powiedziała, podnosząc głos, tak żeby usłyszał ją mimo wrzawy.

Pierwszy odwrócił się Cousins i ukłonił się jej na powitanie.

Fix odruchowo się spał, ale po chwili mu przeszło.

– Rozgość się – powiedział do zastępcy prokuratora okręgowego i skinął w stronę grupki policjantów stojących obok przesuwanych szklanych drzwi i wciąż ubranych w marynarki. – Mnóstwo ludzi już znasz. – Może znał, a może nie. Gospodarza na pewno nie znał, psia jego mać. Fix się odwrócił, żeby przejść przez tłum, a tłum się przed nim rozstąpił. Gdy Fix przechodził, gratulowano mu, poklepując po ramieniu i ściskając rękę. Starał się nie nadepnąć na żadne z dzieci – była wśród nich jego czteroletnia córka Caroline – które bawiły się w coś na podłodze w jadalni, kucając i czołgając się między stopami dorosłych jak tygrysy.

Kuchnia była wypełniona żonami, wszystkie się śmiały i za głośno mówiły, żadna nie była pomocna z wyjątkiem Lois, sąsiadki, która wyjmowała miski z lodówki. Wallis, najlepsza przyjaciółka Beverly, przeglądała się w obudowie chromowanego tosterka, poprawiając makijaż ust. Wallis była zbyt chuda i zbyt mocno opalona, a gdy się wyprostowała, miała na ustach za dużo szminki. Matka Beverly siedziała przy stole śniadaniowym, trzymając młodszą wnuczkę na kolanach. Przebrali małą z koronkowego stroju do chrztu w wykrochmaloną białą sukieneczkę z haftowanymi wokół szyi żółtymi kwiatami, jakby była panną młodą, która pod koniec wesela wślizgnęła się w wyjściową sukienkę. Kobiety w kuchni na zmianę zachwycały się dzieckiem, zachowując się tak, jakby ich zadanie polegało na dostarczaniu mu rozrywki do chwili przybycia Trzech Króli. Ale dziecko wcale się dobrze nie bawiło. Jego błękitne oczy zrobiły się szkliste. Patrzyło przed siebie, zmęczone tym wszystkim. Całym tym pośpiechem w robieniu kanapek i przyjmowaniem prezentów dla dziewczynki, która nie miała jeszcze roku.

– Patrzcie, jaka ona śliczna – powiedziała teściowa Fixa, nie zwracając się do nikogo konkretnego i głaszcząc dziecko grzbietem palca po krągłym policzku.

– Lód – powiedziała Beverly do męża. – Skończył nam się lód.

– Miała go przynieść twoja siostra.

– Ale nie przyniosła. Możesz poprosić któregoś z chłopaków, żeby po niego skoczył? Jest za gorąco na przyjęcie bez lodu. – Fartuszek miała zawiązany na szyi, ale w pasie już nie. Starła się nie pognieść sukienki. Pasemka blond włosów wysunęły się z jej francuskiego koka i opadały na oczy.

– Skoro nie przyniosła lodu, mogła przynajmniej tu przyjść i zrobić trochę kanapek.

– Mówiąc to, Fix patrzył prosto na Wallis, ale kobieta tylko zamknęła szminkę i go zignorowała. Chciał w ten sposób pomóc żonie, bo najwyraźniej miała ręce pełne roboty. Patrząc na nią, każdy by uznał, że Beverly to osoba, która wydając przyjęcia, korzysta z kateringów i siedzi na kanapie, gdy inni noszą tace.

– Bonnie bardzo się cieszy na widok tylu gliniarzy w jednym miejscu. Trudno oczekiwać, że w takich okolicznościach będzie myślała o kanapkach – powiedziała Beverly, po czym przerwała na chwilę nakładanie serka śmietankowego i ogórków i spojrzała na jego rękę. – Co masz w tej torbie?

Fix uniósł dzin, a jego zaskoczona żona uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy tego dnia, być może po raz pierwszy od tygodnia.

– Jak będziecie wysyłali kogoś do sklepu – odezwała się Wallis, wykazując nagle zainteresowanie rozmową – poproście, żeby kupił tonik.

Fix powiedział, że sam pójdzie po lód. Przy ich ulicy był sklep i Fix nie miał nic przeciwko temu, żeby na chwilę wymknąć się z domu. Względny spokój okolicy, uporządkowany układ parterowych budynków z gęstymi, zielonymi trawnikami, smukłe cienie rzucane przez palmy oraz zapach kwiatów pomarańczy – to wszystko w połączeniu z papierosem, którego palił, działało na niego uspokajająco. Dołączył do niego jego brat Tom i szli razem w przyjemnym milczeniu. Tom i Betty mieli już troje dzieci, same dziewczynki, i mieszkali w Escondido, gdzie Tom pracował w straży pożarnej. Fix zaczynał rozumieć, że właśnie tak wygląda życie, gdy człowiek robi się starszy i pojawiają się dzieci: nie ma się tyle czasu, ile zamierzało się mieć. Bracia nie widzieli się, odkąd wszyscy zjechali do domu ich rodziców, żeby pójść na pasterkę, a wcześniej spotkali się chyba w Escondido przy okazji chrztu Erin. Obok przejechał czerwony sunbeam kabriolet i Tom powiedział: „Ale bryka”. Fix kiwnął głową, żałując, że nie zauważył jej pierwszy. Teraz musiał czekać, aż pojawi się jakiś inny ciekawy wóz. W sklepie kupili cztery worki lodu i cztery butelki toniku. Młody sprzedawca spytał, czy potrzebują limonek, ale Fix przecząco pokręcił głową. Byli w Los Angeles i mieli czerwiec. Kto by chciał limonki.

Choć gdy wychodzili do sklepu, Fix nie spojrzał na zegarek, potrafił dobrze oszacować upływ czasu. Jak większość gliniarzy. Nie było ich dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć minut. Za krótko, żeby wszystko zdążyło się zmienić, ale gdy wrócili, drzwi wejściowe stały otworem, a przed domem było pusto. Tom nie zauważył różnicy, lecz trudno tego oczekiwać od strażaka. Jeśli nie śmierdzi dymem, nie ma problemu. W domu nadal było mnóstwo ludzi, jednak zrobiło się ciszej. Przed rozpoczęciem imprezy Fix włączył radio, ale dopiero teraz usłyszał kilka dźwięków muzyki. Dzieciaki

nie czołgały się już w jadalni i chyba nikt nie zauważył ich zniknięcia. Wszyscy byli skupieni na otwartych drzwiach do kuchni, do której dwaj bracia Keatingowie właśnie zmierzali z lodem. Czekał tam na nich Lomer, partner Fixa. Skinął głową w stronę tłumu i powiedział:

– Przyszliście w samą porę.

Już gdy wychodzili z kuchni, było w niej ciasno, ale teraz tłoczyło się tam trzy razy więcej ludzi, głównie mężczyzn. Nie było śladu po matce Beverly ani po dziecku. Beverly stała przy zlewie, trzymając nóż rzeźnicki. Kroiła turlające się po kuchennym blacie pomarańcze, uciekające z olbrzymiej sterty, a dwaj prawnicy z biura prokuratora okręgowego Los Angeles, Dick Spencer i Albert Cousins – bez marynarek i krawatów, z rękawami koszul podwiniętymi wysoko nad łokciami – obracali połówki pomarańczy na dwóch metalowych wyciskarkach. Czoła mieli zaczerwienione i mokre od potu, ich rozpięte kołnierzyki właśnie zaczynały ciemnieć. Pracowali, jakby bezpieczeństwo ich miasta zależało od produkcji soku pomarańczowego.

Bonnie, siostra Beverly, teraz już gotowa do pomagania, zdjęła okulary z nosa Dicka Spencera i wytarła je świeżą ściereczką do naczyń, mimo że gdzieś w tłumie stała jego żona, mogąca to zrobić własnoręcznie. Gdy wzrok Dicka został uwolniony od cienkiej zasłony z potu, mężczyzna zobaczył Fixa i Toma i zawołał, żeby dali lód.

– Lód! – krzyknęła Bonnie, i miała rację, bo było gorąco jak w piekle i lód wydawał się lepszy niż wszystko inne. Rzuciła ściereczkę, żeby wziąć od Toma dwie reklamówki, które następnie włożyła do zlewu, kładąc je na zgrabnych miseczkach z wydrążonych skórek pomarańczy. Potem zabrała reklamówki od Fixa. To ona odpowiadała za lód.

Beverly przestała kroić.

– Doskonałe wycucie czasu – powiedziała i zanurzyła papierowy kubek w otwartym foliowym opakowaniu, nabierając trzy skromne kostki, jakby wiedziała, że trzeba z nich korzystać z umiarem. Zrobiła małego drinka – pół dżinu, pół soku pomarańczowego z pełnego dzbanka. Nalała następny, potem jeszcze jeden i kolejne, a kubki wędrowały przez kuchnię, za drzwi i do rąk czekających gości.

– Kupiłem tonik – powiedział Fix, patrząc na jedną reklamówkę, która została mu w ręku. Był rozżalony. Czuł, że w czasie potrzebnym, by pójść do sklepu i wrócić, on i jego brat jakimś cudem zostali w tyle za resztą uczestników imprezy.

– Sok pomarańczowy jest lepszy – powiedział Albert Cousins, przerywając wyciskanie owoców tylko na chwilę potrzebną na wychylenie drinka, którego zrobiła mu Bonnie. Bonnie, jeszcze niedawno zakochana w gliniarzach, zmieniła front, zwracając się w stronę dwóch prawników z biura prokuratora okręgowego.

– Do wódki – odparł Fix. Do screwdriverów. Każdy to wiedział.

Cousins spojrzał na niedowiarka i przechylił głowę, a Beverly podała mężowi drinka. Wyglądało to zupełnie tak, jakby ona i Cousins wypracowali jakieś wspólne zasady. Fix trzymał kubek w ręku i wpatrywał się w nieproszonego gościa. Miał w domu trzech braci, bezlik silnych mężczyzn z policji w Los Angeles i księdza, który organizował sobotnie zajęcia bokserskie dla chłopaków sprawiających problemy wychowawcze. Każdy z nich przyznałby mu rację, gdyby Fix zechciał wyprosić ze swojego przyjęcia jednego zastępcę prokuratora okręgowego.

– Na zdrowie – powiedziała cicho Beverly. Nie miało to być toastem, lecz poleceniem, i Fix, nadal przekonany, że ma powód do niezadowolenia, uniósł papierowy kubek.

Ojciec Joe Mike siedział na ziemi oparty plecami o tylną ścianę domu Keatingów, anektując skrawek cienia. Trzymał kubek z sokiem i dżinem na kolanie przydziałowych czarnych spodni. Księżowskich spodni. Pił czwartego albo trzeciego drinka, dokładnie nie pamiętał, ale nie przejmował się tym, bo były bardzo małe. Starał się ułożyć w głowie kazanie na najbliższą niedzielę. Chciał opowiedzieć parafianom, tym nielicznym, których nie było teraz na podwórku za domem Keatingów, jak rozegrał się tu dzisiaj cud rozmnożenia chleba i ryb, lecz nie potrafił znaleźć sposobu, żeby usunąć z tej historii alkohol. Nie uważał, że naprawdę był świadkiem cudu – nikt tak nie myślał – ale znalazł doskonale wyjaśnienie tego, jak mogło dojść do cudu w czasach Chrystusa. Owszem, Albert Cousins przyniósł na przyjęcie ogromną butelkę dżinu, ale z pewnością nie aż tak dużą, żeby zdołała napełnić, w pewnych przypadkach po wielokroć, kubki ponad setki gości, z których część właśnie tańczyła niespełna półtora metra od niego. I choć niedawno ogołoczone drzewa pomarańczowe za domem uginały się wcześniej pod ciężarem owoców, nigdy nie byłyby w stanie dostarczyć wystarczająco dużo surowca, żeby zaspokoić pragnienie wszystkich gości. Jak powszechnie wiadomo, sok pomarańczowy nie pasuje do dżinu, a zresztą kto by się spodziewał drinków na przyjęciu z okazji chrztu? Nikt nie miałby Keatingom za złe, gdyby po prostu wstawili dżin do barku. Ale Fix Keating dał butelkę żonie, a jego żona, zmęczona stresem związanym z organizacją udanego przyjęcia, zamierzała wypić drinka – a skoro ona zamierzała go wypić, to, na Boga, wszyscy goście mogli do niej dołączyć. Pod wieloma względami był to cud Beverly Keating. Albert Cousins, mężczyzna, który przyniósł dżin, zasugerował też użycie wyciskarki. Siedział obok ojca Joego Mike’a niespełna dwie minuty wcześniej, opowiadając mu, że pochodzi z Wirginii i po trzech latach w Los Angeles wciąż oszałamia go obfitość cytrusów zwisających z drzew. Bert – powiedział księdzu, żeby mówił mu Bert – wychował się na mrożonym koncentracie dolewanych do dzbanków z wodą, który, choć wtedy o tym nie wiedział, nie miał nic wspólnego z sokiem pomarańczowym. Teraz jego dzieci piły świeżo wyciśnięty sok, w ogóle się nad tym nie zastanawiając, tak jak on pił w dzieciństwie mleko. Wyciskali go z owoców zerwanych z drzew na własnym podwórku. Bert widział, jak w prawym przedramieniu jego żony Teresy twardnieją mięśnie od nieustannego obracania pomarańczy na wyciskarce, a ich dzieci tylko wyciągały kubki, czekając na dolewkę. Powiedział księdzu, że nie chciały pić nic innego jak sok pomarańczowy. Piły go codziennie rano do płatków zbożowych, Teresa zamrażała sok w silikonowych foremkach do lodów na patyku i podawała dzieciom jako popołudniową przekąskę, a wieczorem pili go we dwoje z lodem oraz wódką, burbonem albo dżinem. Chyba właśnie tego nikt nie rozumiał – nie było ważne, co się do niego dodaje, liczył się sam sok.

– Ludzie z Kalifornii o tym zapominają, bo są rozpieszczeni – powiedział Bert.

– To prawda – przyznał zdawkowo ojciec Joe Mike. Sam wychował się w Oceanside i nie mógł uwierzyć, że ten facet ma aż tyle do powiedzenia na temat soku pomarańczowego.

Ksiądz, którego myśli błądziły jak Żydzi na pustyni, znowu próbował się skupić na swoim kazaniu: Beverly Keating podeszła do barku, którego nie napełniła przed przyjęciem z okazji chrztu, i w środku znalazła tylko jedną trzecią butelki dżinu, prawie pełną butelkę wódki oraz butelkę tequili, którą John, brat Fixa, przywiózł we wrześniu z Meksyku i której jeszcze nie otworzyli, bo żadne z nich nie wiedziało, co zrobić z tequilą. Zniosła butelki do kuchni, a wtedy sąsiedzi mieszkający po obu stronach domu, ci z naprzeciwka oraz trzy osoby mieszkające w pobliżu kościoła zaproponowali, że pójdą do domu i sprawdzą, co mają w szafkach. Gdy wrócili, przynieśli nie tylko butelki, ale i pomarańcze. Bill i Susie przyszli z poszewką na poduszkę wypełnioną owocami, które pobiegli zerwać obok domu, i oznajmili, że mogą pobiec jeszcze raz i przynieść kolejne trzy takie poszewki. Ich wkład w imprezę okazał się prawie niezauważalny, bo inni goście poszli za ich przykładem, pobiegli do domów, przypuścili szturm na swoje drzewa pomarańczowe i półki z mocnym alkoholem w swoich spiżarniach. Zalewali darami kuchnię Keatingów, aż stół zaczął przypominać półkę w barze, a blat – ciężarówkę z owocami.

Czy nie na tym polegał prawdziwy cud? Nie na tym, że Chrystus wytrząsnął ze świętego rękawa stół bufetowy i zaprosił wszystkich na ryby i chleb, ale na tym, że ludzie, którzy przynieśli sobie posiłek w torbach z kozłej skóry, może trochę zbyt obfity jak na potrzeby ich rodziny, ale z pewnością nie dość duży, żeby wykarmić masy, zostali zachęcani do śmiałej szczodrości przykładem, jaki dał im ich Nauczyciel i jego uczniowie. Tak samo uczestnicy tego przyjęcia z okazji chrztu zostali poruszeni szczodrością Beverly Keating albo jej widokiem w tej żółtej sukience, jej jasnymi włosami, zwiniętymi i upiętymi, by odsłonić gładki kark, kark, który zniknął w wycięciu z tyłu żółtej sukienki. Ojciec Joe Mike upił łyk drinka. A gdy było po wszystkim, zebrali dwanaście koszy resztek. Rozejrzał się, spoglądając na wszystkie kubki na stołach, krzesłach, na ziemi. W wielu z nich został na dnie ostatni łyk albo dwa. Ile uzbierałoby się resztek, gdyby je wszystkie pozbierali? Ojciec Joe Mike czuł się gorszy, bo nie zaproponował, że pójdzie do probostwa zobaczyć, co mógłby przynieść. Uważał jednak, że źle by to wyglądało, gdyby ksiądz pokazał parafianom, ile ma zachomikowanego dżinu, zamiast korzystać z okazji do uczestniczenia we wspólnocie.

Poczuł lekkie stukanie w czubek buta. Przeniósł wzrok ze swojego kolana, na które patrzył, medytując nad zawartością kubka, i zobaczył Bonnie Keating. Nie, pomyłka. To jej siostra wyszła za Fixa Keatinga, a Bonnie nadal nosiła nazwisko Beverly z jej panięskich czasów, ale nie mógł go sobie przypomnieć.

– Cześć, ojciec – powiedziała, trzymając luźno między palcem wskazującym a kciukiem taki sam kubek jak jego.

– Cześć, Bonnie – powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to tak, jakby nie siedział na ziemi, pijąc dżin. Choć nie był pewny, czy to nadal jest dżin. Możliwe, że tequila.

– Zastanawiałam się, czy ojciec ze mną zatańczy.

Bonnie X miała na sobie sukienkę w niebieskie astry, wystarczająco krótką, żeby ksiądz zaczął się zastanawiać, gdzie podziąć oczy. Kobieta, ubierając się rano, prawdopodobnie nie przypuszczała, że jacyś mężczyźni będą siedzieli na ziemi, podczas

gdy ona będzie stała. Miał ochotę zachować się po ojcowsku i powiedzieć, że nie tańczy, bo wyszedł z wprawy, ale był za młody na jej ojca, mimo że właśnie tak się do niego zwracała. Odrzekł zatem po prostu:

– To nie najlepszy pomysł.

A skoro mowa o nie najlepszych pomysłach, Bonnie X przykucnęła, myśląc zapewne, że znajdzie się dzięki temu na wysokości oczu księdza i będą mogli spokojnie porozmawiać, znów nie biorąc pod uwagę tego, gdzie wtedy wyląduje rąbek jej sukienki. Bieliznę też miała niebieską. Pasowała do astrów.

– Bo widzi ojciec, problem w tym, że wszyscy są żonaci – powiedziała, starając się, by ton jej głosu nie zdradzał zadowolenia. – I choć nie mam nic przeciwko tańczeniu z żonatymi facetami, bo moim zdaniem tańczenie nic nie znaczy, to oni wszyscy przyszli tu z żonami.

– A ich żony myślą, że to coś znaczy. – Starał się nie patrzeć jej teraz za długo w oczy.

– Właśnie – powiedziała smutno i założyła za ucho kosmyk prostych kasztanowych włosów.

W tym momencie ojciec Joe Mike miał coś w rodzaju objawienia: Bonnie X powinna wyjechać z Los Angeles albo przynajmniej przeprowadzić się do doliny San Fernando, gdzieś, gdzie nikt nie zna jej starszej siostry, bo gdy Bonnie nie porównywano z siostrą, wydawała się bardzo atrakcyjną dziewczyną. Jeśli jednak je ze sobą zestawiano, Bonnie stawiała się kucykiem szetlandzkim stojącym obok konia wyścigowego. Zdał sobie sprawę, że gdyby nie znał Beverly, słowo „kucyk” nigdy nie przyszłoby mu do głowy. Nad ramieniem Bonnie widział, że Beverly Keating tańczy na podjeździe z policjantem, który nie był jej mężem, i że ten policjant wygląda na bardzo szczęśliwego mężczyznę.

– No, niech się ojciec zgodzi – powiedziała Bonnie tonem wyrażającym coś pomiędzy błaganiem a rozpaczą. – Poza nami dwojgiem chyba wszyscy są tu żonaci albo zamężni.

– Jeśli zależy ci na dostępności, to nie spełniam wymagań.

– Ja po prostu chcę tańczyć – powiedziała i położyła mu wolną rękę na tym kolanie, które nie było zajęte przez kubek.

Przed chwilą ojciec Joe Mike wyrzucał sobie, że stawia pozory dobrego wychowania ponad prawdziwą życzliwość, toteż poczuł, że się waha. Czy choć przez dwie sekundy zastanawiałby się nad pozorami, gdyby do tańca poprosiła go gospodyni? Gdyby kucała teraz przed nim Beverly Keating, a nie jej siostra, gdyby szeroko osadzone błękitne oczy Beverly były tak blisko jego oczu, gdyby jej sukienka podjechała do góry, ukazując mu kolor bielizny... Powstrzymał się, niedostrzegalnie kręcąc głową. To nie były dobre myśli. Starał się wrócić do chleba i ryb, a gdy okazało się to niemożliwe, uniósł palec wskazujący.

– Tylko raz – powiedział.

Bonnie X uśmiechnęła się do niego z tak promienną wdzięcznością, że ojciec Joe Mike zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdołał równie mocno uszczęśliwić jakąś istotę. Odstawili kubki i starali się sobie nawzajem pomóc przy wstawaniu. Było to

ryzykowne. Zanim się wyprostowali, trzymali się w ramionach. Potem już niewiele brakowało, by Bonnie zarzuciła ręce na szyję ojca Joego Mike'a i zawisła na niej jak stuła, którą zakładał przed wysłuchaniem spowiedzi. Z zakłopotaniem położył ręce po obu stronach jej talii, w zwięźniu, do którego jej żebra schodziły łukiem na spotkanie z jego kciukami. Jeśli patrzył na nich ktokolwiek z obecnych na przyjęciu, ojciec Joe Mike nie był tego świadomy. Przeciwnie, miał poczucie, że jest niewidzialny, jakby skrył go przed światem tajemniczy obłok o zapachu lawendy unoszący się nad włosami siostry Beverly Keating.

Tak naprawdę Bonnie udało się raz wyjść na parkiet, zanim zwerbowała ojca Joego Mike'a, chociaż ostatecznie nie wyszła z tego nawet połowa tańca. Na chwilę odciągnęła od pomarańczy zapracowanego Dicka Spencera, mówiąc mu, że powinien zrobić sobie przerwę, zgodnie z przywilejami pracowniczymi stosowanymi wobec mężczyzn wyciskających sok z pomarańczy. Dick Spencer nosił grube okulary w rogowej oprawie, dzięki którym wyglądał elegancko, o wiele bardziej elegancko niż Lomer, partner Fixa, który zupełnie ją zignorował, mimo że dwa razy oparła się o niego, wybuchając śmiechem. (Dick Spencer był naprawdę elegancki. Był także krótkowidzem. Gdy podczas szamotania się z podejrzanym parę razy spadły mu okulary, nie widział właściwie nic. Myśl o biciu się z mężczyzną mogącym mieć pistolet albo nóż, którego nie mógłby zobaczyć, wystarczyła, by skłonić go do zapisania się do szkoły wieczorowej, potem na studia prawnicze, a następnie do zdania egzaminów adwokackich z doskonałym wynikiem). Bonnie wzięła Spencera za lepką rękę i poprowadziła go na taras. Już po chwili zataczali szeroki krąg, wpadając na innych ludzi. Obejmując go, czuła przez koszulę, jaki jest szczupły, szczupły w przyjemny sposób. Mógłby dwa razy owinać się wokół dziewczyny. Drugi zastępca prokuratora okręgowego, Cousins, był przystojniejszy, w zasadzie to nawet oszałamiająco przystojny, ale czuła, że jest zakochany w sobie. Za to Dick Spencer był rozkoszny w jej ramionach.

Mniej więcej tyle zdążyła pomyśleć, zanim poczuła, jak czyjaś silna ręka łapie ją za ramię. Bardzo starała się skupić na oczach Dicka Spencera schowanych za okularami i od tego wysiłku – a może z innego powodu – kręciło jej się w głowie. Trzymała się mocno Dicka i nie zauważyła zbliżającej się kobiety. Gdyby dostrzegła ją w porę, mogłaby zrobić unik albo przynajmniej powiedzieć coś błyskotliwego. Teraz tylko starała się odsunąć na bezpieczną odległość, z dala od kobiety, która mówiła głośno i szybko. Po chwili Dick Spencer i jego żona opuszczali imprezę.

– Już idziecie? – spytał Fix, gdy bez słowa minęli go w salonie.

– Zajmij się swoją rodziną – powiedziała Mary Spencer.

Fix siedział na kanapie, a jego starsza córka Caroline leżała rozciągnięta na jego kolanach, pogrążona w głębokim śnie. Mylnie uznał, że Mary chwali go za opiekę nad dzieckiem. A może sam przysypiał. Lekko poklepał Caroline po plecach, ale nawet się nie poruszyła.

– Pomóż Cousinsowi – rzucił Dick przez ramię, a potem wyszedł z żoną, zapomniawszy o marynarce i krawacie, nie żegnając się z Beverly.

Albert Cousins nie został zaproszony na przyjęcie. W piątek minął na korytarzu sądu Dicka Spencera, który rozmawiał z jakimś gliniarzem. Cousins nie znał go, ale facet

wyglądał trochę znajomo, jak to gliniarze. „Do zobaczenia w niedzielę” – powiedział gliniarz, a gdy odszedł, Cousins spytał Spencera: „Co będzie w niedzielę?”. Dick Spencer wyjaśnił mu, że Fixowi Keatingowi urodziło się dziecko i że szykuje się przyjęcie z okazji chrztu.

– To jego pierwsze? – spytał Cousins, patrząc, jak Keating oddala się korytarzem w swoim niebieskim mundurze.

– Drugie.

– Dla drugich dzieci też wydaje się przyjęcia?

– Katolicy – powiedział Spencer i wzruszył ramionami. – Oni nigdy nie mają dość.

Cousins nie szukał wprawdzie imprezy, na którą można by się wkręcić, lecz jego pytanie nie było całkiem niewinne. Nie znosił niedziel: uważano je za dni przeznaczone dla rodziny, więc trudno było wyrwać się z domu. W dni powszednie wychodził do pracy, gdy dzieci się budziły. Mierzwił im włosy, zostawiał żonie kilka poleceń i już go nie było. Gdy wracał wieczorem, już spały albo właśnie szły spać. Patrząc, jak wtulają się w poduszki, uważał, że są urocze i niezbędne w jego życiu. Myślał tak o nich od poniedziałkowego świtu aż do soboty rano. Ale w sobotnie poranki dzieci nie chciały dłużej spać. Cal i Holly rzucali się na jego klatkę piersiową, jeszcze zanim światło dnia zdążyło przeniknąć przez winylowe rolety, kłócąc się o coś, co nastąpiło w ciągu trzech minut, odkąd się obudzili. Gdy najmłodsza usłyszała, że rodzeństwo już wstało, natychmiast zaczynała się podciągać na prętach łóżeczka – była to jej nowa sztuczka – i wszelkie braki w prędkości nadrabiała uporem. Jeśli Teresa nie zdążyła podbiec i jej złapać, spadała na podłogę. Tym razem Teresa, choć była już na nogach, nie dała rady. Zamknęła drzwi do łazienki w korytarzu, odkręciła wodę i wymiotowała, starając się to robić cicho, lecz sypialnię i tak wypełniał miarowy odgłos jej torsji. Cousins zrzucił z siebie dwoje starszych dzieci, ich leciutkie ciała wylądowały bezładnie na narzucie złożonej w nogach łóżka. Skoczyły na niego z powrotem, piszcząc ze śmiechu. Nie umiał się z nimi bawić i nie chciał się z nimi bawić, i nie chciał wstawać do dziecka, ale musiał.

I właśnie tak zaczynał się ten dzień. Teresa mówiła, że musi zostawić dzieci w domu, żeby pojechać na zakupy, albo że ludzie mieszkający na rogu organizowali grilla, a przecież na ostatnim grillu nie byli. Co chwila wyło któreś z dzieci, najpierw solo, potem w duecie, a trzecie tylko czekało, by się przyłączyć. Następnie dwoje się uspokajało, żeby cykl mógł się rozpocząć od nowa. Mała wpadła prosto na szklane przesuwne drzwi i jeszcze przed śniadaniem rozcięła sobie czoło. Teresa przykucnęła na podłodze, żeby zakleić ranę małymi plastrami w kształcie motylków, pytając przy tym Bertę, czy jego zdaniem potrzebne są szwy. Na widok krwi zawsze czuł się niewyraźnie, więc odwrócił wzrok, mówiąc: „Nie, żadnych szwów”. Holly płakała, dlatego że mała płakała, i powiedziała, że boli ją głowa. Do tego nigdzie nie było widać Cala, mimo że krzyk, czy to którejś z siostr, czy to rodziców, zwykle błyskawicznie ściągał go z powrotem. Chłopak lubił kłopoty. Teresa z palcami upakcanymi krwią niemowlecia spojrzała na męża i spytała, gdzie podział się Cal.

Przez cały tydzień Cousins brodził wśród alfonsów, domowych oprawców i drobnych złodziejasków, prezentując się od najlepszej strony nieobiektownym sędziom i śpiącym ławnikom. Powtarzał sobie, że gdy nadejdzie weekend, zapomni o wszystkich

przestępstwach w Los Angeles, zwróci się w stronę swoich dzieci w piżamkach i ku żonie, która od niedawna znowu była w ciąży. Wytrzymał tylko do sobotniego południa. Potem mówił Teresie, że przed pierwszym przesłuchaniem w poniedziałek ma do dokończenia jakąś robotę w biurze. Zabawne było to, że naprawdę jechał do pracy. Kilka razy, gdy spróbował się wymknąć na Manhattan Beach, żeby pojeść hot dogów i poflirtować z dziewczynami w górach od bikini i w szortach z obciętych džinsów, spalił się na słońcu, co Teresa natychmiast skomentowała. Jeździł zatem do biura i siedział wśród mężczyzn, wśród których siedział przez cały tydzień. Z powagą witali się skinieniem głowy i w trzy albo cztery godziny w sobotnie popołudnie robili więcej niż w każdy inny dzień.

W niedzielę nie był jednak w stanie znowu się z tym mierzyć – z dziećmi, żoną i pracą – więc przypomniał sobie o przyjęciu z okazji chrztu, na które nie został zaproszony. Teresa spojrzała na niego i jej twarz na chwilę się rozjaśniła. Mimo trzydziestu jeden lat wciąż miała piegi rozsiane na grzbiecie nosa i policzkach. Często powtarzała, że chciałyby wspólnie z nim prowadzić dzieci do kościoła, nawet jeśli nie wierzył w Kościół, w Boga ani w związane z nimi rzeczy. Uważała, że dobrze by im to zrobiło jako rodzinie, a to przyjęcie mogło być punktem wyjścia. Mogliby pójść tam razem.

– Nie – powiedział. – To sprawy zawodowe.

Zamrugła.

– Przyjęcie z okazji chrztu?

– Ten facet jest gliniarzem. – Miał nadzieję, że żona nie spyta o nazwisko tego gliniarza, bo akurat w tym momencie nie mógł go sobie przypomnieć. – Wiesz, decyduje o ważnych sprawach. Idzie całe biuro. Muszę po prostu wpaść i mu pogratulować.

Spytała, czy to chłopiec, czy dziewczynka, i czy kupił jakiś prezent. Po pytaniu rozległ się trzask w kuchni i głośny brzęk metalowych misek. Nie pomyślał o prezencie. Podszedł do barku i wyjął butelkę dżinu. Była duża, większa, niż chciałby podarować, ale gdy zobaczył, że banderola jest nietknięta, sprawa została przesądzona.

Właśnie tak znalazł się w kuchni Fixa Keatinga, gdzie wyciskał sok z pomarańczy, po tym jak Dick Spencer opuścił posterunek dla nagrody pocieszenia w postaci mała atrakcyjnej siostry blondynki. On postanowił wytrwać, pokazać, że można na niego liczyć. Miał nadzieję, że dzięki temu sam wyhaczy blondynkę. W razie potrzeby był gotów wycisnąć sok ze wszystkich pomarańczy w okręgu Los Angeles. W mieście, w którym wynaleziono piękno, była chyba najpiękniejszą kobietą, z jaką kiedykolwiek rozmawiał, a z pewnością najpiękniejszą kobietą, obok jakiej zdarzyło mu się stać w kuchni. Owszem, była piękna, ale chodziło o coś więcej: ilekroć podawała mu kolejną pomarańczę, między ich palcami przebiegał słaby impuls elektryczny. Czuł to za każdym razem, iskrę równie prawdziwą jak sama pomarańcza. Wiedział, że podrywanie mężatki to zły pomysł, zwłaszcza w jej domu, w którym jest także jej mąż, będący w dodatku gliniarzem, i trwa impreza z okazji narodzin ich drugiego dziecka. Cousins wiedział to wszystko, ale po kilku drinkach doszedł do wniosku, że działają tu jakieś większe siły. Książd, z którym rozmawiał wcześniej na tarasie, nie był tak pijany jak on, a mimo to zdecydowanie twierdził, że dzieje się tu coś niezwykłego. Powiedzenie, że dzieje się coś

niezwykłego, było równoznaczne ze stwierdzeniem, że wszystko może się zdarzyć. Cousins sięgnął lewą ręką po kubek i przestał wyciskać sok, żeby rozluźnić nadgarstek za pomocą okrężnych ruchów, które podpatrzył kiedyś u Teresy. Sztywniała mu ręka.

Fix Keating stał w drzwiach, obserwując go, jakby dokładnie wiedział, co mu chodzi po głowie.

– Dick dał mi zadanie – powiedział Fix.

Gliniarz nie był wielkim facetem, ale od razu można było poznać, że nerwy ma napięte jak postronki i że każdy dzień upływa mu na szukaniu bójk, w którą można by się rzucić. Wszyscy irlandzcy gliniarze tacy byli.

– Jesteś gospodarzem – powiedział Cousins. – Nie musisz tu siedzieć i wyciskać soku.

– Jesteś gościem – odpowiedział Fix, sięgając po nóż. – Powinieneś dobrze się bawić.

Cousins nigdy jednak nie czuł się dobrze w tłumie. Gdyby to było przyjęcie, na które zaciągnęła go Teresa, nie wytrzymałby dwudziestu minut.

– Znam swoje mocne strony – powiedział i zdjął górną część wyciskarki, żeby splukać z głębokich metalowych żłobien nagromadzoną tam pulpę, a potem przelał zawartość pojemnika na sok do zielonego plastikowego dzbanka. Przez chwilę pracowali obok siebie i milczeli. Cousins zaczął marzyć na jawie o żonie stojącego obok mężczyzny. Właśnie się nad nim pochylała, dotykając jego twarzy, a jego dłoń sunęła w górę jej uda, gdy nagle Fix powiedział:

– Chyba już wiem.

Cousins przestał wyciskać sok.

– Co?

Fix kroił pomarańcze i Cousins zobaczył, że ciągnie nóż do siebie, zamiast pchać w przeciwną stronę.

– To była kradzież samochodu.

– Jaka kradzież samochodu?

– Wtedy cię poznałem. Odkąd przyszedłeś, próbowałem sobie przypomnieć. To było dwa lata temu. Nie pamiętam, jak ten gość się nazywał, ale kradł tylko czerwone el camino.

Cousins nie pamiętał szczegółów konkretnych kradzieży samochodów, chyba że zwinęto je w ostatnim miesiącu, a jeśli był bardzo zajęty, mógł sięgnąć pamięcią tylko tydzień wstecz. Kradzieże samochodów to był jego chleb powszedni. Gdyby w Los Angeles nie podprowadzano aut, gliniarze i zastępcy prokuratora okręgowego całymi dniami graliby na biurkach w brydża, czekając na wieści o jakimś morderstwie. Wszystkie kradzieże były takie same – jedne samochody natychmiast opychano, inne rozkręcano na części – i każdą z nich zapominało się równie szybko jak pozostałe, chyba że dokonywał jej gość zainteresowany wyłącznie czerwonymi el camino.

– D’Agostino – powiedział Cousins, po czym powtórzył to nazwisko, bo nie miał pojęcia, skąd u niego ten przeblysł pamięci. Właśnie taki był ten dzień, dzień pozbawiony uzasadnień.

Fix z uznaniem pokręcił głową.

– Mógłbym tu siedzieć cały dzień, a bym tego nie wymyślił. Ale tak, pamiętam go. Uważał, że ograniczanie się do jednej marki to jakiś wyznacznik klasy.

Przez chwilę Cousins czuł się prawie jak jasnowidz albo jakby miał przed sobą otwarte akta.

– Obrońca z urzędu obstawał przy nieprawidłowym przeszukaniu. Wszystkie samochody stały w czymś w rodzaju magazynu. – Przestał obracać pomarańczę i zamknął oczy, próbując się skupić. Bezskutecznie. – Nie pamiętam gdzie dokładnie.

– W Anaheim.

– Nigdy bym sobie tego nie przypomniał.

– Tak to było – powiedział Fix.

Może i tak, teraz jednak wszystko odpłynęło i Cousins nie pamiętał nawet, jak ta historia się skończyła. Mniejsza o oskarżonego i o przestępstwo, a tym bardziej o gliniarzy, ale wyroki pamiętał równie dobrze jak bokser, który wiedział, kto go znokautował, a kogo powalił na deski.

– Trafił do pudła. – Cousins zaryzykował i postawił na swoje przekonanie, że każdy oszust wystarczająco głupi, żeby kraść tylko czerwone el camino, trafia do pudła.

Fix pokiwał głową, starając się nie uśmiechać, ale bezskutecznie. Oczywiście, że trafił do pudła. Wysilając trochę wyobraźnię, można by powiedzieć, że wpakowali go tam we dwóch.

– Więc pracowałeś nad tą sprawą – powiedział Cousins. Wyobraził go sobie w takim samym brązowym garniturze, w jakim wszyscy detektywi zjawiali się w sądzie, jakby mieli jeden wspólny i się nim dzielili.

– To ja go aresztowałem – powiedział Fix. – Teraz staram się o stopień detektywa.

– Masz kartę śmierci?

Cousins powiedział to, żeby mu zaimponować, choć nie miał pojęcia, dlaczego miałby chcieć imponować Fixowi Keatingowi. Może i był pierwszoligowym zastępcą prokuratora okręgowego, a nie glina, ale i tak wiedział, że gliniarze prowadzą specjalne rankingi. Fix wziął jego pytanie za dobrą monetę. Wytarł ręce i wyjął portfel z tylnej kieszeni, po czym przesunął kciukiem kilka banknotów.

– Mam przed sobą jeszcze czternastu. – Podał listę Cousinsowi, który przed wzięciem jej wytarł ręce.

Na złożonej kartce było znacznie więcej niż czternaście nazwisk, chyba bliżej trzydziestu. „Francis Xavier Keating” widniał na samym dole, ale połowę nazwisk wykreślono pojedynczymi liniami, co oznaczało, że Fix Keating pnie się w górę.

– Jezu – powiedział Cousins. – Aż tylu z nich już nie żyje?

– Nie są martwi. – Fix wziął listę z powrotem, żeby spojrzeć na nazwiska pod czarnymi prostymi liniami. Przysunął kartkę pod światło. – No, paru tak. Reszta albo już awansowała, albo się wyprowadziła, odpadając z gry. Wszystko jedno – już się nie liczą.

Dwie starsze kobiety w swoich najlepszych niedzielnych sukienkach i bez kapeluszy na głowach oparły się o siebie, obwiedzione ramą otwartych kuchennych drzwi. Gdy Fix spojrział w ich stronę, obie jednocześnie do niego pomachały.

– Bar jeszcze czynny? – spytała mniejsza z nich. Chciała, żeby to zabrzmiało poważnie, ale pytanie było tak dowcipne, że zachichotała, a po chwili jej przyjaciółka też

zaczęła się śmiać.

– To moja matka – powiedział Fix do Cousinsa, wskazując tę, która zadała pytanie, a następnie pokazał tę drugą, wypłowiałą blondynkę o wesolej, szczerej twarzy. – A to moja teściowa. To jest Al Cousins.

Cousins kolejny raz wytarł rękę i wyciągnął ją najpierw w stronę pierwszej z kobiet, a potem ku drugiej.

– Bert – przedstawił się. – Czego się panie napiją?

– Tego, co zostało – powiedziała teściowa. Był w niej tylko ślad podobieństwa do córki – tak samo przeżyła ramiona, miała równie długą szyję. To zbrodnia, co czas wyrabia z kobietami.

Cousins sięgnął po butelkę burbona, która stała najbliżej, i nalał dwa drinki.

– Udane przyjęcie – powiedział. – Wszyscy na podwórku nadal dobrze się bawią?

– Moim zdaniem za długo czekali – stwierdziła matka Fixa, przyjmując drinka.

– Jesteś okropna – powiedziała do niej z czułością jego teściowa.

– Nie jestem okropna – poprawiła ją. – Jestem ostrożna. Trzeba być ostrożnym.

– Na co za długo czekali? – spytał Cousins, podając drugiego drinka.

– Na chrzest – wyjaśnił Fix. – Mama bała się, że dziecko umrze, zanim je ochrzcimy.

– Chorowało? – spytał Cousins, zwracając się do Fixa. Wychował się w wierze episkopalnej¹, ale jej nie praktykował. Jednak z tego, co wiedział, martwe episkopalne dzieci i tak trafiają do raju.

– Nie – odparł Fix. – Małej nic nie dolegało.

Matka Fixa wzruszyła ramionami.

– Nie możesz być tego pewien. Nie wiadomo, co się dzieje w takim dziecku. Ja ochrzciłam ciebie i twoich braci przed upływem miesiąca. Nie zwlekałam. A to dziecko – powiedziała, zwracając się do Cousinsa – ma już prawie rok. Nie zmieściło się nawet w rodzinne ubranko do chrztu.

– No tak, to największy problem – powiedział Fix.

Jego matka wzruszyła ramionami. Wypiła całego drinka, po czym potrząsnęła pustym papierowym kubeczkim, jakby zaszła jakaś pomyłka. Skończył im się lód, a tylko lód spowalniał tempo pijących. Cousins wziął od niej kubeczek i napełnił go jeszcze raz.

– Ktoś ma dziecko – powiedział Fix do matki. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

– Co ma? – spytała.

– Dziecko.

Zastanawiała się przez chwilę. Przymknęła oczy i skinęła głową twierdząco, ale odezwała się ta druga, teściowa.

– Ktoś ma – powiedziała, choć nie ją o to spytano.

– Jak to jest – zastanowiła się matka Fixa, niezainteresowana kwestią dziecka – że mężczyźni mogą stać w kuchni przez cały dzień, robiąc drinki i wyciskając do nich sok z pomarańczy, ale nie przekroczą jej progu, żeby przygotować jedzenie? – Spojrzała wymownie na syna.

– Nie mam pojęcia – powiedział Fix. Kobieta skierowała pytający wzrok z powrotem na Cousinsa, ten jednak tylko pokręcił głową. Dwie niezadowolone panie jednocześnie odwróciły się na pięcie i z kubkami w rękach ruszyły z powrotem na przyjęcie.

– Ma rację – powiedział Cousins. Nigdy by tu nie stał, robiąc kanapki, choć czuł, że kanapka dobrze by mu zrobiła, że ma na nią ochotę. Jednak zamiast się za nią zabrać, nalał sobie następnego drinka.

Fix znowu zajął się krojeniem pomarańczy. Był ostrożnym mężczyzną i robił to bez pośpiechu. Nawet po pijaku nie zamierzał uciąć sobie palca.

– Masz dzieci? – spytał.

Cousins pokiwał głową.

– Troje i jedną trzecią.

Fix zagwizdał.

– Nie próżnujesz.

Cousins zastanawiał się, co Fix miał na myśli: „Nie próżnujesz, biegając za dziećmiakami” czy „Nie próżnujesz, posuwając żonę”. Mniejsza o to. Do zlewu wypełnionego po brzegi pustymi skórkami po pomarańczach włożył kolejną. Zakręcił nadgarstkiem.

– Zrób sobie przerwę – powiedział Fix.

– Zrobiłem.

– No to zrób następną. Mamy zapas soku, a jeśli moja matka i teściowa mogą dawać jakieś wyobrażenie o sytuacji, to niedługo większość gości nie będzie w stanie znaleźć kuchni.

– Gdzie jest Dick?

– Wszedł, uciekł razem z żoną.

„No jasne”, pomyślał Cousins. Przed oczami mignęła mu wizja jego własnej żony i rozwrzeszczanego domu wariatów pod jego dachem.

– A właściwie to która godzina?

Fix spojrział na zegarek marki Girard-Perregaux, o wiele fajniejszy, niż można by się spodziewać po gliniarzu. Była za piętnaście czwarta, co najmniej dwie godziny później niż w ich najśmielszych domysłach.

– Jezu, powinienem już iść – powiedział Cousins. Był pewny, że obiecał Teresie, że wróci do domu najpóźniej w południe.

Fix pokiwał głową.

– Każda osoba w tym domu, która nie jest moją żoną albo moimi córkami, powinna już iść. Ale najpierw zrób mi przysługę i poszukaj małej. Dowiedz się, kto się nią zajmuje. Jeśli stąd wyjdę, wszyscy będą chcieli ze mną rozmawiać i zanim ją znajdę, wybije północ. Zrób szybki obchód, dobra? Upewnij się, że jakiś pijak nie zostawił jej na krześle.

– Skąd będę wiedział, że to twoje dziecko? – spytał Cousins. Gdy się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że nie widział na tej imprezie niemowlęcia, a przy tylu irlandusach z pewnością było ich tu mnóstwo.

– To to nowe – odparł Fix ostrzejszym tonem, jakby Cousins był kretyńcem, jakby nie bez powodu niektórzy faceci zostawiali prawnikami, a nie gliniarzami. – To

w śmiesznym ubranku. To jej impreza.

Thum przesuwiał się wokół Cousinsa, otwierał się przed nim, zamykał za nim, przepychał go dalej. W jadalni wszystkie półmiski były ogołocone, nie został nawet krakers ani słupek marchewki. Rozmowy, muzyka i pijacki śmiech stopiły się w jedną nierozróżnialną ścianę dźwięku, z której od czasu do czasu wyrывało się jakieś pojedyncze wyraźne słowo albo zdanie – „Okazuje się, że kiedy on gadał, ona cały czas leżała w bagażniku”. Gdzieś w głębi korytarza, w miejscu, którego Cousins nie widział, jakaś kobieta śmiała się niemal do utraty tchu i krzyczała: „Przestańcie! Przestańcie!”. Widział dzieci, mnóstwo dzieci; niektóre wyjmowały kubki z rąk nieświadomych tego dorosłych i wypijały ich zawartość. Nie zauważył jednak żadnych niemowląt. W salonie było za gorąco i policjanci pozdejmowali już marynarki, odsłaniając służbowe rewolwery przychepione do pasków albo umieszczone w kaburach pod ramionami. Cousins zastanawiał się, jak mógł dotąd nie zauważyć, że połowa gości jest uzbrojona. Wszedł przez otwarte szklane drzwi na taras i spojrział na popołudniowe słońce zalewające przedmieścia Downey, nad którymi nie było ani jednej chmurki, nad którymi nigdy nie było ani jednej chmurki i nad którymi nigdy nie miało być ani jednej chmurki. Zobaczył swojego przyjaciela księdza stojącego nieruchomo jak głaz i trzymającego Bonnie w ramionach. Sprawiali wrażenie, jakby tak długo tańczyli, że zasnęli na stojąco. Na krzesłach na tarasie siedzieli mężczyźni rozmawiający z innymi mężczyznami, wielu z nich miało na kolanach kobiety. Kobiety, wszystkie w zasięgu jego wzroku, w pewnym momencie pozdejmowały buty i zniszczyły sobie pończochy. Żadna z nich nie trzymała niemowlęcia i nie było go także na podjeździe. Cousins wszedł do garażu i włączył światło. Drabina wisiała na dwóch hakach, a czyste puszki farby stały na półce posortowane według wielkości. Była tam łopata, grabie, zwoje kabla z przedłużaczem, stół z narzędziami, było miejsce na wszystko i wszystko było na swoim miejscu. Na środku czystej betonowej podłogi stał czysty granatowy peugeot. Fix Keating miał mniej dzieci, fajniejszy zegarek, zagraniczny samochód i znacznie ładniejszą żonę. A facet nie był nawet detektywem. Gdyby w tym momencie komukolwiek przyszło do głowy spytać Cousinsa o zdanie, powiedziałby, że wydaje mu się to podejrzane.

Mniej więcej w chwili, gdy zaczął na poważnie przyglądać się samochodowi, który wydawał się seksowny tylko dlatego, że pochodził z Francji, przypomniał sobie o zaginionym dziecku. Pomyślał o własnym niemowlaku, o Jeanette, która niedawno nauczyła się chodzić. Miała siniaka na czole po wczorajszym zderzeniu z szybą, wciąż nosiła plastry, a on wpadł w panikę na myśl, że powinien był jej pilnować. Mała Jeanette – nie miał pojęcia, gdzie ją zostawił! Teresa powinna była wiedzieć, że jej mąż nie nadaje się do opieki nad niemowlęciem. Nie powinna była mu powierzać takiego zadania. Wszedł z garażu, żeby jej poszukać, z sercem walącym o żebra, jakby chciało go w tych poszukiwaniach wyprzedzić. Wtedy ujrzał wszystkich gości Fixa Keatinga i to przywróciło mu poczucie rzeczywistości. Stał tak jeszcze przez chwilę, trzymając się drzwi, jednocześnie czując swoją śmieszność i ulgę. Niczego nie zgubił.

Gdy ponownie spojrział na niebo, zobaczył, że słońce było niżej. Postanowił powiedzieć Fixowi, że idzie do domu, bo powinien się zająć własnymi dziećmi. Wszedł do domu w poszukiwaniu łazienki, ale najpierw znalazł drzwi do dwóch szaf. W łazience

przystanął, żeby spryskać twarz wodą, po czym wyszedł. Po drugiej stronie korytarza były kolejne drzwi. Dom nie był duży, ale odnosiło się wrażenie, że zbudowano go wyłącznie z drzwi. Otworzył te naprzeciwko i zobaczył, że w środku panuje półmrok. Ktoś opuścił rolety. Był to pokój dla małych dziewczynek – różowy dywan, różowy pasek dekoracyjny z grubiułkami królikami. W jego domu też był taki pokój, Holly dzieliła go z Jeanette. W kącie dostrzegł trzy małe dziewczynki śpiące na wąskim łóżku. Ich nogi krzyżowały się ze sobą, a palce dłoni wplatały się w nie swoje włosy. Jakimś cudem nie zauważył tylko Beverly Keating, która stała przy przewijaku z młodszym dzieckiem. Spojrzała na niego i na jej twarzy pojawił się uśmiech towarzyszący rozpoznaniu.

– Znam cię – powiedziała.

Zaskoczyła go, a może – po raz kolejny – zaskoczyła go jej uroda.

– Przepraszam – powiedział. Położył rękę na klamce.

– Nie obudzisz ich. – Skinęła głową w stronę dziewczynek. – Chyba się upiły.

Przyniosłam je tu po kolei i żadna się nie obudziła.

Podszedł i spojrzał na nie. Największa miała najwyżej pięć lat. Nie mógł nie lubić widoku śpiących dzieci.

– Jedna z nich jest twoja? – spytał. Wszystkie trzy wyglądały trochę podobnie. Żadna nie przypominała Beverly Keating.

– Ta w różowej sukience – powiedziała, skupiona na trzymanej w ręku pieluszce.

– Dwie pozostałe to jej kuzynki. – Uśmiechnęła się do niego. – Nie powinieneś robić drinków?

– Spencer już poszedł – powiedział, choć nie była to odpowiedź na jej pytanie. Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni się denerwował, na pewno nie w obliczu przestępców ani sędziów przysięgłych, a z pewnością nie przy kobietach trzymających pieluchy. Zaczął od nowa. – Twój mąż poprosił, żebym poszukał małej.

Beverly skończyła przewijanie, ubrała dziecko z powrotem w sukieneczkę i podniosła.

– Oto ona – powiedziała. Zbliżyła nos do noska dziecka, a ono uśmiechnęło się i ziewnęło. – Ktoś tu długo nie spał. – Beverly odwróciła się w stronę kołyski.

– Pozwól mi ją zanieść na chwilę do Fixa – poprosił Cousins. – Zanim ją położysz.

Beverly Keating lekko przechyliła głowę i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Po co mu ona?

Chodziło o wszystko. O blad różowy kolor jej ust w półmroku różowego pokoju, o drzwi, które były już zamknięte, choć nie przypominał sobie, żeby je zamykał, o zapach jej perfum, który jakimś cudem zdołał lekko stłumić znajomy smród kubła z pieluchami. Czy Fix prosił, żeby przynieść mu dziecko, czy tylko żeby je znaleźć? Nie robiło to żadnej różnicy. Powiedział jej, że nie wie, a potem do niej podszedł. Jej żółta sukienka jaśniała w ciemności jak osobne źródło światła. Wyciągnął ręce, a ona zbliżyła się, podając mu dziecko.

– Oprzyj jej główkę na rękę – powiedziała. – Masz dzieci?

Stała bardzo blisko niego i uniosła twarz. Wsunął jedną rękę pod niemowlę, co oznaczało, że wsuwa ją także pod jej piersi. Nie minął rok, odkąd urodziła to dziecko, i choć nie wiedział, jak wyglądała przedtem, trudno było mu sobie wyobrazić, że

kiedykolwiek mogła wyglądać lepiej niż teraz. Teresa nigdy nie odzyskała dawnej figury. Mówiła, że to niemożliwe, gdy rodzi się jedno dziecko za drugim. Miał ochotę je sobie przedstawić, żeby pokazać żonie, ile można osiągnąć, jeśli tylko chce się spróbować. Nie, wcale nie. W ogóle nie interesowało go zapoznanie z Teresą z Beverly Keating. Wolną ręką objął jej plecy, przycisnął palce do prostej linii zamka. Działała magia dżinu i soku pomarańczowego. Dziecko balansowało między nimi dwojgiem, gdy ją pocałował. Właśnie do tego zmierzał ten dzień. Zamknął oczy i całował ją, aż iskra, którą czuł w palcach, gdy dotykał jej ręki w kuchni, przebiegła przez całą długość jego drżącego kręgosłupa. Beverly położyła wolną dłoń u nasady jego pleców, a koniuszek jej języka przesunął się między jego rozchyłonymi zębami. Zaszła między nimi prawie niezauważalna zmiana. Poczul to, a wtedy ona się odsunęła. Trzymał dziecko. Małeństwo zapłakało, wydając z siebie pojedyncze łkanie, a potem zaczerwienione cichutko czknęło i przywarło do piersi Cousinsa.

– Udusimy ją – powiedziała i roześmiała się. Spojrzała na śliczną buzię dziecka. – Przepraszam.

Lekkość córeczki Keatingów była dla jego ramion czymś znajomym. Beverly wyjęła z przewijaka miękką chusteczkę i wytarła mu usta.

– Szminka – powiedziała, a potem się przysunęła i pocałowała go jeszcze raz.

– Jesteś... – zaczął, ale do głowy przyszło mu zbyt wiele słów, by powiedzieć tylko jedno.

– Pijana – dokończyła i uśmiechnęła się. – Pijana i tyle. Idź zanieść małą Fixowi. Powiedz mu, że za chwilę po nią przyjdę. – Wycelowała w niego palec. – I nie mów mu nic więcej, kolego. – Znowu się roześmiała.

Wtedy zdał sobie sprawę z czegoś, co wiedział od pierwszej chwili, w której ją zobaczył, odkąd wychyliła się zza kuchennych drzwi i zawołała męża. To był początek jego życia.

– Idź – powiedziała.

Zostawiła mu dziecko, a sama poszła na drugi koniec pokoju i zaczęła układać dziewczynki w wygodniejszych pozycjach. Jeszcze przez chwilę stał obok zamkniętych drzwi i patrzył na nią.

– Co? – spytała. Nie mówiła flirciarskim tonem.

– Niezłe przyjęcie – powiedział.

– O tak.

W pewnym sensie Fix postąpił słusznie, wysyłając po dziecko akurat jego: nikt z gości nie znał Cousinsa i łatwo mu było poruszać się w tłumie. Cousins uświadomił to sobie dopiero teraz, gdy wszyscy zaczęli spoglądać w jego stronę. Jakaś opalona kobieta ostrzyżona na zapałkę zagroziła mu drogę.

– Oto i ona! – zawołała i pochyliła się, żeby ucałować jasne loczki porastające puchem główkę dziecka, zostawiając na nich plamę koloru wina. – Och – powiedziała, rozczarowana sobą. Próbowwała zetrzeć ślad kciukiem i dziecko zmarszczyło się, jakby zamierzało się rozplakać. – Nie powinnam była tego robić. – Spojrzała na Cousinsa i uśmiechnęła się do niego. – Nie mów Fixowi, że to ja, dobrze?

Łatwo było dotrzymać tej obietnicy. Nigdy wcześniej nie widział tej kobiety.

– Znalazła się nasza zguba – powiedział jakiś mężczyzna, uśmiechając się do dziecka i poklepując Cousinsa po plecach. Za kogo go brali? Nikt nie pytał, kim jest. Znał go tu tylko Dick Spencer, a on już dawno poszedł do domu. Gdy Cousins powoli kroczył w stronę kuchni, co rusz zatrzymywali go jacyś ludzie. „O, dzieciątko – mówili ściszym głosem. – Cześć, ślicznotko”. Otaczały go komplementy i miłe słowa. Dziecko było bardzo ładne, zauważył to, gdy wyszli na światło dzienne. Bardziej przypominało matkę – jasna skóra, szeroko osadzone oczy. „Wykapana Beverly” – wszyscy tak mówili. Kołysał ją w zagięciu łokcia. Na przemian otwierała i zamykała oczy, błękitne latarnie sprawdzające, czy wciąż jest w jego ramionach. Czowała się u niego równie bezpieczna jak jego własne dzieci. Umiał trzymać niemowlęta.

– Widać, że cię lubi – powiedział jakiś mężczyzna z bronią w kaburze na szelkach.

W kuchni grupa kobiet paliła papierosy, potem starannie zgasiły niedopałki w kubkach po drinkach, sygnalizując, że już skończyły. Nie pozostało im nic innego, jak tylko czekać, aż mężowie powiedzą, że pora wracać do domu.

– Cześć, maleńka – powiedziała jedna z nich i wszystkie spojrzały na Cousinsa.

– Gdzie jest Fix? – spytał.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – powiedziała. – Musisz już iść? Wezmę ją od ciebie. – Wyciągnęła rękę.

Ale Cousins nie zamierzał oddawać jej obcej osobie.

– Poszukam go – powiedział i wycofał się na korytarz.

Cousins miał wrażenie, że od godziny krąży po domu Fixa Keatinga, najpierw szukając dziecka, a teraz jego ojca. Znalazł go na tarasie – rozmawiał z księdzem. Po kobiecie, którą tulił wcześniej Joe Mike, nie było ani śladu. Zresztą i na podwórku ubyłoby ludzi, wszędzie było ich mniej. Światło przenikające przez drzewa pomarańczowe także padało pod znacznie mniejszym kątem. Wysoko nad swoją głową Cousins zauważył pomarańczę, którą jakimś cudem przeoczono podczas gorączkowego wyciskania soku. Z dzieckiem w ramionach wspiał się na palce, żeby ją zerwać.

– Jezu – powiedział Fix, patrząc na niego. – Gdzie się podziewałeś?

– Szukałem cię – odrzekł Cousins.

– Cały czas byłem tutaj.

Cousins o mało nie zażartował, że Fix nie zadał sobie trudu, żeby go poszukać, ale ostatecznie się rozmyślił.

– Nie było cię tam, gdzie cię zostawiłem.

Fix wstał i bezceremonialnie wziął od niego dziecko, nie zaszczycając Cousinsa choćby zdawkowymi podziękowaniami. Mała, przekazywana z rąk do rąk, wydała z siebie cichy odgłos niezadowolenia, a potem umościła się przy piersi ojca i zasnęła. Ramię Cousinsa nie było już niczym obciążone. Nie spodobało mu się to wrażenie. Nie spodobało ani trochę. Fix spojrzał na płamę na czubku główki swojej córeczki.

– Ktoś ją upuścił?

– To szminka.

– No cóż – przerwał im ksiądz, podźwigając się z krzesła. – Muszę się zbierać. Za pół godziny mamy na plebanii spaghetti na kolację. Wszyscy są mile widziani.

Pożegnali się i gdy ojciec Joe Mike wychodził, zyskał na podjeździe orszak parafian, którzy poszli za nim jak za Świętym Patrykiem, gdyby ten kiedykolwiek maszerował po Downey. Pomachali Fixowi i zawołali „dobranoc”. Nie nastął jeszcze wieczór, ale południowe godziny już dawno odeszły w zapomnienie. Przyjęcie trwało zdecydowanie za długo.

Cousins odczekał jeszcze chwilę, mając nadzieję, że Beverly przyjdzie po dziecko, tak jak zapowiedziała, ale kobieta nie pojawiła się, a on powinien był wrócić do domu co najmniej kilka godzin temu.

– Nie wiem, jak ma na imię – powiedział.

– Frances.

– Naprawdę? – Spojrzał na śliczną dziewczynkę kolejny raz. – Dałeś jej imię po sobie?

Fix pokiwał głową.

– Gdy byłem mały, często biłem się przez tego Francisa. W całej okolicy nie było nikogo, kto nie omieszkałby mi powiedzieć, że mam dziewczynskie imię. Pomyślałem więc, że to dobry pomysł, by tak ją nazwać.

– A gdyby to był chłopiec? – spytał Cousins.

– Też dałbym mu na imię Francis – powiedział Fix, znowu wywołując u Cousinsa wrażenie, że zadał głupie pytanie. – Kiedy urodziła się nasza pierwsza córka, dostała imię po córce Kennedy’ego. Pomyślałem: „W porządku, zaczekam na syna, ale teraz...” – zamilkł, patrząc na córkę. Między jednym a drugim dzieckiem Beverly poroniła, będąc w dość zaawansowanej ciąży. Mieli szczęście, że w ogóle urodziło im się drugie dziecko, tak powiedział lekarz, ale nie było sensu opowiadać o tym zastępcy prokuratora okręgowego. – Wyszło inaczej – uciął.

– To ładne imię – powiedział Cousins, choć tak naprawdę pomyślał: „Dobrze, że się nie doczekałeś”.

– A ty? – spytał Fix. – Masz w domu małego Alberta?

– Mój syn ma na imię Calvin. Nazywamy go Cal. A dziewczynki... Nie. Nie mamy żadnych Albertyn.

– Ale kolejne jest w drodze.

– Urodzi się w grudniu – powiedział.

Cousins przypomniał sobie, jak to było przed narodzeniem Cala, jak przez całą noc leżeli z Teresą w łóżku, wymieniając w ciemności imiona. Jedno przypominało jej o chłopaku noszącym poplamione koszule i skubiącym kciuki, nad którym znęcano się w podstawówce. Inne kojarzyło mu się z gościem, którego nigdy nie lubił, bo był małym terrorystą. Gdy dotarli do Cala, obydwójce byli zadowoleni. Podobnie było, gdy szukali imienia dla Holly. Może poświęcili na to mniej czasu, może nie rozmawiali o tym w łóżku, może Teresa nie leżała z głową opartą na jego ramieniu, a on nie trzymał ręki na jej brzuchu, ale wybrali je razem. Nie dali jej imienia po kimś przypadkowym. Było jej własne, bo uznali, że jest piękne. A Jeanette? Nie przypominał sobie, żeby w ogóle rozmawiali o imieniu dla najmłodszej córki. Ten jeden raz spóźnił się do szpitala i jeśli pamięć go nie myliła, wszedł na salę, a Teresa powitała go słowami: „Poznaj Jeanette”. Gdyby ktokolwiek spytał go o zdanie, miałyby na imię Daphne. Powinni porozmawiać

o imieniu czwartego dziecka. Mieliby jakiś temat do rozmowy.

– Daj mu na imię Albert – powiedział Fix.

– Jeśli to będzie chłopiec.

– To będzie chłopiec. Należy ci się.

Cousins spojrzął na Frances śpiącą w ramionach ojca. Nie byłoby tragedii, gdyby urodziła im się kolejna dziewczynka, ale gdyby to był chłopiec, może nazwaliby go Albert.

– Myślisz?

– No pewnie – potwierdził Fix.

Nigdy nie porozmawiał o tym z Teresą, ale gdy dziecko przyszło na świat, był w poczekalni i wypełnił akt urodzenia – Albert John Cousins – dając synowi imię po sobie. Teresa nigdy nie przepadała za imieniem męża, ale niby kiedy miała mu o tym powiedzieć? Gdy tylko wrócili ze szpitala, zaczęła nazywać dziecko Albie, *Al-bee*². Cousins prosił, żeby tego nie robiła, ale przecież jego nigdy nie było w domu. Zresztą jak miałby ją powstrzymać? Reszcie dzieci się podobało. One też nazywały małego Albie.

¹ Kościół episkopalny, zwany też anglikańskim, to jeden z Kościołów protestanckich działających na terenie Stanów Zjednoczonych obok takich wyznań jak m.in. baptyści, metodyści, luteranie i prezbiterianie (przyp. red.; pozostałe przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

² *Bee* (ang.) – pszczoła.

II

– Więc mówisz, że to ty dałeś mu na imię Albie? – spytała Franny.

– Nie dałem mu na imię Albie – zaprzeczył jej ojciec, gdy obydwójce szli za pielęgniarką długim, jasnym korytarzem. – Gdybym to ja decydował, nie wybrałbym czegoś tak głupiego. Mnóstwo problemów, z jakimi borykają się dzieci, ma źródło właśnie w ich imionach.

Franny pomyślała o swoim przyrodnim bracie.

– W tym wypadku chodziło chyba o coś więcej.

– Wiesz, że pewnego razu uratowałem go przed poprawczakiem? Miał czternaście lat i próbował podpalić szkołę.

– Pamiętam – powiedziała Franny.

– Zadzwoiła twoja matka i poprosiła, żebym go wyciągnął z aresztu. – Poklepał się po klatce piersiowej. – Powiedziała, że oddam jej przysługę – zachnął się – jakby w ogóle zależało mi na oddawaniu jej przysług. Gdy pomyślę o tych wszystkich gliniarzach, których Bert znał w Los Angeles, zastanawiam się, dlaczego w ogóle zawracali mi głowę.

– Pomogłeś Albiemu – powiedziała. – Był jeszcze dzieckiem, a ty mu pomogłeś. Nie ma w tym nic złego.

– Nie umiał nawet wywołać porządnego pożaru. Kiedy go stamtąd wyciągnąłem, zawiozłem go do twojego wujka Toma ze straży pożarnej. Tom był już wtedy z powrotem w Los Angeles. Powiedziałem gówniarzowi: „Jeśli chcesz spalić szkołę pełną dzieci, to ci goście nauczą cię, jak to się robi”. Wiesz, co mi odpowiedział?

– Wiem – odparła Franny, nie wspominając o tym, że gdy Albie podłożył ogień, w szkole nie było żadnych dzieci, i że całkiem niezłe się spisał. O Albiem można było powiedzieć wiele, ale z pewnością umiał wywoływać pożary.

– Stwierdził, że już go to nie interesuje. – Fix się zatrzymał, przez co Franny też musiała się zatrzymać, a po chwili zatrzymała się również pielęgniarka, żeby na nich poczekać. – Chyba już go tak nie nazywają, co?

– Albie? Nie wiem. Ja zawsze go tak nazywam.

– Staram się tego nie słuchać – wtrąciła Jenny, pielęgniarka. Tak miała na imię, nosiła nawet identyfikator, ale to i tak nie miało znaczenia, znali ją.

– Możesz słuchać do woli – powiedział Fix. – Ale powinniśmy opowiadać ciekawsze historie.

– Jak się pan dzisiaj czuje, panie Keating? – spytała Jenny.

Fix zgłosił się do centrum medycznego UCLA na chemoterapię, więc pytanie nie miało wydźwięku wyłącznie towarzyskiego. Jeśli ktoś nie czuł się dobrze, odsyłali go do domu i cała procedura oddalała się w czasie, w bliżej niezidentyfikowaną przyszłość.

– W porządku – powiedział, trzymając Franny pod rękę. – Jak promień słońca odbijający się w tafli wody.

Jenny się roześmiała i wszyscy troje zatrzymali się w olbrzymiej, otwartej sali obok holu, w której dwie kobiety z chustami na głowach siedziały z cyfrowymi termometrami w ustach. Jedna z nich powitała przybyszów niemrawym kiwnięciem głową, druga tylko

patrzyła przed siebie. Wszędzie wokół nich kursowały pielęgniarki w cukierkowych fartuchach. Fix usiadł, a Jenny podała mu termometr i owinęła ramię mankietem ciśnieniomierza. Franny usiadła na wolnym krześle obok ojca.

– A wracając do tematu: rozmawiałeś z Bertem o tym, jakie imię powinien dać synowi, zanim urodził się Albie? – Franny setki razy słyszała historię o pożarze i telefonie, który po nim zadzwonił, lecz z jakiegoś powodu historia imienia chłopaka jeszcze nigdy nie wypłynęła.

Fix wyjął termometr.

– Pytasz, jakbyśmy regularnie o tym dyskutowali.

– Ej! – pogroziła mu Jenny, pokazując palcem na termometr, i Fix włożył go z powrotem do ust.

Franny pokręciła głową.

– Po prostu trudno w to uwierzyć.

Fix zwrócił oczy w stronę Jenny, która zdejmowała mankiet ciśnieniomierza.

– W co trudno uwierzyć? – spytała w jego imieniu.

– W to wszystko. – Franny rozłożyła ręce. – W to, że robiłeś z Bertem drinki, że z nim rozmawiałeś, że znałeś Cousinsa, zanim mama go poznała.

– Dokładnie trzydzieści sześć i sześć – powiedziała Jenny, wyrzucając do kosza jednorazową, plastikową osłonkę termometru. Później wyjęła z kieszeni kawałek jaskraworóżowej opaski uciskowej i obwiązała nią ramię Fixa.

– Oczywiście, że znałem Berta – powiedział, jakby odmawiano mu należnego uznania. – A myślisz, że kto go zapoznał z twoją matką?

– Nie wiem. – Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała. W jej pamięci czas przed Bertem po prostu nie istniał. – Chyba myślałam, że przedstawiła ich sobie Wallis. Tak bardzo jej nienawidziłaś.

Jenny ugniatała opuszkami wewnętrzną stronę łokcia Fixa, szukając drożnej żyły.

– Znałem ćpunów, którzy wstrzykiwali sobie działkę między palce u nóg – powiedział Fix. W jego głosie słychać było lekką tęsknotę za dawnymi czasami.

– To kolejny powód, dla którego lepiej nie mieć ćpunka za pielęgniarkę. – Jenny jeszcze przez chwilę macała skórę cienką jak papier, a potem się uśmiechnęła, przytrzymując żyłę jednym palcem. – Okej, mój panie, zaczynamy. Będzie lekkie ukłucie.

Fix nawet się nie skrzywił, gdy jakimś cudem udało jej się wsunąć igłę prosto w żyłę.

– Och, Jenny – westchnął, spoglądając na jej przedziałek, gdy się nad nim pochylała. – Gdybyś to zawsze mogła być ty.

– Naprawdę tak bardzo nienawidził pan Wallis? – Jenny próbowała odciągnąć jego uwagę od siebie i tego, co robi. Podłączyła fiolkę z gumową końcówką i patrzyła, jak wypełnia się krwią, po czym napełniła jeszcze jedną.

– Naprawdę.

– Biedna Wallis. – Wsunęła igłę i przyłożyła bawełniany wacik. – Niech pan wskoczy na wagę, potem dam panu spokój.

Fix posłusznie wypełnił polecenie i patrzył, jak Jenny jednym palcem stuka w metalowy ciężarek, przesuując go do tyłu. Stuk-puk, następny kilogram, a potem

jeszcze jeden, aż waga zatrzymała się na sześćdziesięciu.

– Na pewno pije pan preparaty wzmacniające?

Gdy skończyli to, co nazywali wstępem, poszli dalej tym samym korytarzem co wcześniej, mijając pokój pielęgniarek, w którym lekarze czytali raporty na ekranach komputerów albo ze swoich telefonów. Dotarli do ogromnego, słonecznego pomieszczenia, gdzie na rozkładanych fotelach leżeli pacjenci podłączeni do kroplówek. Z rurek płynęły powoli strumyki substancji chemicznych. Ktoś wyłączył dźwięk we wszystkich telewizorach, co oznaczało, że uwolniono ich od reklam, lecz pozostawiono z bezładnym pikaniem monitorów. Jenny poprowadziła Franny i Fixa w stronę dwóch miejsc w kącie. Biorąc pod uwagę ruch panujący na chemoterapii, byli szczęściarzami. Każdy, kto miał siłę, żeby posiadać jakieś preferencje, wolał siedzieć w kącie.

– Mam nadzieję, że po tym wszystkim czeka was miły dzień – powiedziała Jenny. To nie ona podawała chemię. Jej zadanie polegało tylko na przygotowaniu karty dla pielęgniarki, która miała przejąć Fixa na tym etapie. Mężczyzna podziękował jej, a potem umościł się na rozkładanym fotelu, podciągając się obiema rękami. Gdy odchylił głowę i wyciągnął nogi, wydał z siebie ciche westchnienie gliniarza po długim dniu pieszego patrolu. Zamknął oczy. Przez całe pięć minut, zanim jeszcze podano mu chemię, leżał nieruchomo, jakby zasnął. Franny żałowała, że nie pomyślała o przyniesieniu sobie jakiegoś magazynu z poczekalni, i zaczęła się rozglądać po sali, bo czasami poniewierały się tu zostawione przez kogoś czasopisma. Wtedy jej ojciec wrócił do przerwanej historii.

– Wallis miała na nią zły wpływ – powiedział, nie otwierając oczu. – Ciągle przesiadywała w naszej kuchni, gadając o wyzwoleniu i wolnej miłości. A musisz pamiętać, że twoja matka nie miała własnego charakteru. Zmieniała się w tę osobę, obok której akurat siedziała. Kiedy siedziała obok Panny Wolna Miłość, wolna miłość wydawała jej się świetnym pomysłem.

– To były lata sześćdziesiąte – powiedziała Franny, zadowolona, że nie zasnął. – Nie możesz zrzucić całej winy na Wallis.

– Zrzucę na Wallis wszystko, co zechcę.

Chyba nie był to zły pomysł. Dziesięć lat temu Wallis zmarła na raka okrężnicy i mimo całej swojej gadaniny o wolnej miłości i wyzwoleniu do śmierci wytrzymała z Larrym, za którego wyszła na przedostatnim roku college’u. Przed śmiercią Larry okazywał jej równie wiele cierpliwości jak przez całe życie – mył ją, gdy była przykuta do łóżka, odliczał tabletki, zmieniał worek stomijny. Larry i Wallis przeprowadzili się do Oregonu, po tym jak on sprzedał swój zakład optyczny. Uprawiali borówki amerykańskie i poświęcali niezwykle dużo uwagi swoim psom, bo dzieci i wnuki bardzo rzadko miały czas, żeby ich odwiedzać. Wallis i Beverly podtrzymywały przyjaźń z przeciwnych stron kraju od dwudziestego dziewiątego roku życia, odkąd Beverly wyjechała do Wirginii, żeby poślubić Berta Cousinsa, więc późniejsza przeprowadzka Wallis wcale ich od siebie nie oddaliła. Los Angeles, Oregon – jakie to ma znaczenie, jeśli mieszka się w Wirginii? Jeśli już, to po przeprowadzce zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej, bo w Oregonie jedynymi partnerami do rozmów byli dla Wallis jej mąż i psy. Beverly i Wallis miały teraz mejle i darmowe rozmowy międzymiastowe. Wisiały na słuchawkach godzinami. Przesyłały sobie prezenty urodzinowe, zabawne pocztówki. Gdy Beverly po

raz trzeci wyszła za mąż, za Jacka Dine'a, Wallis przyleciała z Oregonu do Arlington, żeby być starościna weseła. Była też druzną na ślubie Beverly z Fixem, ale nie na jej zaślubinach z Bertem. Ta uroczystość odbyła się w kameralnej atmosferze i bez przyjaciół w domu rodziców pana młodego pod Charlottesville. Później, gdy Wallis zachorowała, Beverly poleciała do Oregonu i siedziały razem na łóżku, czytając na głos wiersze Jane Kenyon. Rozmawiały o tym, co je w życiu zadziwiało – przeważnie o swoich dzieciach i mężach. Wallis nie lubiła Fixa Keatinga bardziej niż on jej i nigdy nie przejmowała się tym, że obarczył ją całą odpowiedzialnością za coś, co przecież nie mogło się stać z jej winy. Skoro za życia brała na barki ciężar jego pretensji, trudno było sobie wyobrazić, że przeszkadzałoby jej to po śmierci.

– Zimno ci? – spytała Franny ojca. – Mogę ci przynieść koc.

Fix pokręcił głową.

– Teraz nie robi mi się zimno. Marznę później. Przyniosą mi koc, kiedy będę go potrzebował.

Franny rozejrzała się w poszukiwaniu pielęgniarki, nie zatrzymując wzroku na żadnym z pacjentów – kobiecie śpiącej z otwartymi ustami, bezwłosej jak nowo narodzona mysz, nastolatku stukającym w iPod, kobiecie z sześciolatkiem siedzącym cicho na krześle obok niej i kolorującym obrazki. Jak wyglądała chemoterapia Wallis? Czy Larry tylko ją podrzucał, czy towarzyszył jej podczas kroplówki? Czy ich synowie przylecieli z Los Angeles? Zanotowała w myślach, żeby spytać o to matkę.

– Coś powoli dziś zaczynają – powiedziała. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. W domu była już przygotowana zupa i chleb, których Fix i tak nie chciał jeść. Czekala na nich Marjorie. Planowali, że obejrzą *Va banque*. Franny miała spać w pokoju gościnnym na piętrze.

– Nigdy nie poganiaj kogoś, kto ma cię otruć. To moje motto. Mogę tu siedzieć cały dzień.

– Kiedy zrobiłeś się taki cierpliwy?

– Cierpliwy cierpiętnik – powiedział, zadowolony z siebie. – Więc jesteś w kontakcie z Albiem?

Franny wzruszyła ramionami.

– Czasami się odzywa.

Franny zbyt często w swoim życiu rozmawiała o Albiem i teraz, jakby chcąc mu to wynagrodzić, postanowiła w ogóle nie poruszać tego tematu.

– A ze starym Bertem? Co u niego?

– Chyba w porządku.

– Często z nim rozmawiasz? – spytał Fix niewinnym tonem.

– Na pewno nie tak często jak z tobą.

– To nie są żadne zawody.

– Nie, nie są.

– Jest żonaty?

Franny przecząco pokręciła głową.

– Jest sam.

– Ale miał trzecią żonę.

– Nie wyszło.

– A czy potem nie miał jeszcze jakiejś narzeczonej? Po tej trzeciej żonie? – Fix doskonale wiedział, że Bert rozwiódł się po raz trzeci, ale mógł o tym słuchać w nieskończoność.

– Miał, przez jakiś czas.

– I z nią też mu nie wyszło?

Franny znów pokręciła głową.

– No cóż, szkoda – powiedział Fix, jakby naprawdę tak uważał. Być może nawet mówił szczerze, ale zadawał jej te same pytania w ubiegłym miesiącu i wiedziała, że zada je także w przyszłym, udając, że jest stary i schorowany, i nie pamięta ich ostatniej rozmowy. Naprawdę był stary i schorowany, ale pamiętał wszystko. „Cały czas obserwuj świadków” – właśnie tak jej powiedział przez telefon, gdy była mała i z jej szafki zniknęła bransoletka z imieniem. Zadzwoiła do niego z Wirginii o piątej, gdy tylko spadła stawka za minutę, czyli o drugiej czasu kalifornijskiego. Zadzwoiła do niego do pracy. Nigdy wcześniej nie dzwoniła do niego do pracy, choć oczywiście miała wizytówkę z numerem Fixa. Był już wtedy detektywem, a poza tym był jej ojcem, więc uznała, że będzie wiedział, jak znaleźć zgubę.

– Popytaj – powiedział jej wtedy. – Dowiedz się, kto przechodził z klasy do klasy i dokąd szedł. Nie musisz robić z tego wielkiej sprawy, niech nikt nie myśli, że go oskarżasz, ale porozmawiaj z każdym dzieciakiem, który szedł tym korytarzem, a potem porozmawiaj z nim jeszcze raz, bo albo coś przed tobą ukrywa, albo nie przypomniał sobie o czymś za pierwszym razem. Jeśli naprawdę chcesz znaleźć tę bransoletkę, musisz poświęcić trochę czasu.

Dziś jego pielęgniarką była Patsy, Wietnamka o posturze dziecka, która tonęła w lawendowym fartuchu w rozmiarze XXS. Pomachała do niego z drugiego końca zatłoczonej sali, jakby byli na imprezie i wreszcie udało jej się pochwycić jego spojrzenie.

– Tu pan jest! – powiedziała.

– Nie da się ukryć.

Podeszła do niego. Włosy miała zaplecione w warkocz upięty w podwójną pętlę niczym lina ratunkowa, której należy użyć w nagłym wypadku.

– Dobrze pan wygląda, panie Keating – powiedziała.

– Trzy etapy życia: młodość, wiek średni i „Dobrze pan wygląda, panie Keating”.

– Wszystko zależy od okoliczności. Jeśli widzę pana na plaży, leżącego w kąpielówkach na ręczniku, to chyba wygląda pan niezbyt dobrze. Ale tutaj – Patsy ściszyła głos i rozejrzała się po sali, a potem się do niego przybliżyła. – Tutaj wygląda pan dobrze.

Fix rozpiął górne guziki koszuli i zsunął ją, odsłaniając wenflon w klatce piersiowej.

– Znasz moją córkę Franny?

– Znam – powiedziała Patsy i spojrzała na Franny, leciutko unosząc brew, co było uniwersalnym skrótem oznaczającym: „Staruszek zapomina”. Wstrzyknęła olbrzymią strzykawkę soli fizjologicznej, żeby oczyścić port. – Proszę mi powiedzieć, jak brzmi pana pełne imię i nazwisko.

– Francis Xavier Keating.

– Data urodzenia?

– 20 kwietnia 1931 roku.

– Wyciągnął pan zwycięski los – powiedziała, wyjmując z kieszeni fartucha trzy przezroczyste foliowe woreczki. – Oksaliplatyna, 5-FU, a ten mały to tylko środek przeciwwymiotny.

– Dobrze – powiedział Fix, kiwając głową. – Podłączaj.

Wpadające przez okno na siódmym piętrze światło jasnego kalifornijskiego poranka ślizgało się po podłodze pokrytej linoleum. Patsy odpłynęła do pokoju pielęgniarek, żeby zapisać szczegóły leczenia, a Fix wpatrywał się w niemą reklamę w telewizorze zwisającym z sufitu. Jakaś kobieta szła przez burzę, była przemoczona i kapała z niej woda. Wokół strzelały pioruny. Potem przystojny nieznajomy podał jej swoją parasolkę i deszcz natychmiast ustał. Ulica zmieniła się w marzenie brytyjskiego ogrodnika o raję po śmierci: tylko słońce i róże. Włosy kobiety były już suche i układały się w zgrabne fale, a jej sukienka łopotała z tyłu jak skrzydła motyla. U góry ekranu pojawiły się słowa: „Zapytaj swojego lekarza”, jakby reklamodawcy przewidzieli, że wszyscy telewidzowie wyłączą dźwięk. Franny zastanawiała się, czy to lek na depresję, zespół nadreaktywnego pęcherza czy wypadanie włosów.

– Wiesz, o kim myślę zawsze, kiedy tu jestem? – spytał ją Fix.

– O Bercie.

Skrzywił się.

– Jeśli pytam cię o Berta albo o jego syna piomana, to tylko dlatego, że chcę podtrzymać rozmowę. Robię to z uprzejmości. Wcale o nich nie myślę.

– Tato. – Starła się go udobruchać. – O kim ostatnio myślisz?

– O Lomerze – powiedział. – Nie znałaś Lomera, prawda?

– Nie – odpowiedziała, choć tę historię też już słyszała. Albo jakąś jej wersję. Matka opowiedziała jej ją dawno temu.

Fix pokręcił głową.

– Nie, nie możesz pamiętać Lomera. Kiedy był u nas po raz ostatni, siedziałś mu na kolanach. Wszędzie cię ze sobą nosił. Trzymał cię, nawet kiedy jadł kolację. To było zaledwie parę miesięcy po twoich chrzcinach, teraz to sobie przypominam. Byłaś ładnym dzieckiem, Franny, do tego uroczym. Wszyscy tak się tobą zachwycali, że doprowadzało to twoją siostrę do szaleństwa. Zanim się pojawiłaś, Lomer poświęcał Caroline całą uwagę i to jej się podobało. Pamiętam, jak próbował ją do siebie zawołać: „Chodź, Caroline, mam tu jeszcze mnóstwo miejsca”, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Nie potrafiła znieść widoku was dwojga razem.

– No jasne – powiedziała Franny. Z tego, co pamiętała, jedynymi kolanami, na których kiedykolwiek chciała siedzieć Caroline, były kolana ich ojca, nawet po tym, jak się przeprowadziły na drugi koniec kraju.

Fix pokiwał głową.

– Dzieciaki uwielbiały Lomera, wszystkie bez wyjątku. Zawsze wpuszczał je do radiowozu, włączał koguta, bawił się z nimi kajdankami. Wyobrażasz sobie, ile dzisiaj byłoby pozwów, gdyby ktoś dla zabawy przykuwał dzieci do wstecznego lusterka? Żeby

to zrobić, musiały stanąć na przednim siedzeniu. Uwielbiały to. Lomer był chlubą policji. Pamiętam, jak wyszedł od nas tamtego wieczoru po kolacji, a ja i twoja matka rozmawialiśmy o tym, jakie to smutne, że taki facet nie ma własnych dzieci. Wydawało nam się, że jest bardzo stary, a miał wtedy ze dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat.

– Był żonaty?

Fix pokręcił głową.

– Nie miał dziewczyny, w każdym razie nie w chwili śmierci. W marynarce wojennej złamali mu nos i ten fragment jego twarzy już zawsze wyglądał okropnie, ale mimo to Lomer był przystojnym facetem. Wszyscy mówili, że przypomina Steve’a McQueena, co było przesadą właśnie z powodu tego nosa. Twoja matka zawsze chciała go zeswatać z Bonnie, a ja się nie zgadzałem, bo uważałem, że Bonnie to kretynka. Wielka szkoda, że w tej sprawie postawiłem na swoim. Na świecie byłoby o jednego księdza więcej.

– Może był gejem – powiedziała Franny.

Fix odwrócił głowę, a po jego twarzy przemknął cień zdumienia, jakby był przeświadczony, że nie do końca się zrozumieli.

– Joe Mike nie był gejem.

– Miałam na myśli Lomera.

Po tych słowach Fix znowu zamknął oczy i przez jakiś czas ich nie otwierał.

– Nie wiem, dlaczego to robisz.

– Nie byłoby w tym nic złego – zaznaczyła Franny, ale od razu zrobiło jej się przykro. Dawno, dawno temu w mieście Los Angeles żył bystry heteroseksualny gliniarz, który uwielbiał dzieci, przypominał Steve’a McQueena i nie miał dziewczyny. To, czy uważała coś takiego za możliwe, nie miało znaczenia. Gej czy nie gej, Lomer nie żył już prawie pięćdziesiąt lat. Woreczek z chemią właśnie się opróżnił i czekało ich kolejne półtorej godziny w sali, gdzie mogli albo rozmawiać, albo nie.

– Przepraszam – powiedziała, a gdy nie zareagował, dała mu lekkiego kuksańca w ramię. – Powiedziałam przepraszam. Opowiedz mi o Lomerze.

Fix przez chwilę zwlekał, zastanawiając się, czy chować urazę, czy zapomnieć o sprawie. Prawdę mówiąc, Franny działała mu na nerwy, bo wyglądała jak Beverly, ale w przeciwieństwie do Beverly nie wiedziała, co z takim wyglądem zrobić: włosy wiązała w kucyk, nosiła spodnie ściągane w pasie sznurkiem, a za cały makijaż starczała jej pomadka marki ChapStick. Miał tu znajomych, czasami podczas podawania chemii zjawiał się jego lekarz. Powinna bardziej się wysilić.

Poza tym nie miała zielonego pojęcia, jakim człowiekiem był Lomer. Nigdy nie zbliżyła się do mężczyzny jego pokroju bardziej niż wtedy, gdy miała rok i siedziała mu na kolanach. Stary gość, za którym tak szalała w młodości, ten, który okradł ją ze wszystkiego, a nawet jej mąż, który może i był dość miły, ale najwidoczniej ożenił się z nią dlatego, że potrzebował niańki dla swoich dzieci – jeśli chodziło o mężczyzn, Franny miała kiepski gust. Fix żywił nadzieję, że pewnego dnia jego córki poznają takich mężczyzn jak Lomer, ale nie dopisało im szczęście. Obraz w jego umyśle – jego partner trzymający Franny podczas posiłku, Beverly w kuchni ubrana, jakby wybierała się na

kolację, a nie ją gotowała – to wszystko wystarczyło, by nadal leżał z zamkniętymi oczami, ale po chwili poczuł, jak przez przelyk przebiega mu pojedynczy impuls elektryczny, jakby krążąca w nim trucizna nagle obmyła bok guza, i znowu przypomniał sobie o tym, o czym nieustannie zapominał: to go zabijało.

– Tato? – odezwała się Franny i bardzo delikatnie dotknęła jego mostka dokładnie w tym bolesnym miejscu.

Fix pokręcił głową.

– Daj mi jeszcze jedną poduszkę.

Gdy ją przyniosła i wsunęła mu pod plecy, wziął się w garść. Franny przyleciała do niego aż z Chicago. Zostawiła dla niego męża i synów.

– Musisz wiedzieć, że Lomer był zabawnym skurczybykiem – powiedział Fix. – Nie było nic lepszego niż prowadzenie obserwacji razem z nim. – Usłyszał, że mówi cicho, i chrząknął, zaczynając od nowa. – Nie mogłem się doczekać, kiedy będziemy siedzieli w jakimś gruchocie do czwartej nad ranem w South Central, a Lomer zacznie opowiadać kawały. Śmiałem się, aż robiło mi się niedobrze, aż wreszcie musiałem mu mówić, żeby przestał, bo inaczej cała nasza nocka poszłaby na marne.

Ojciec Franny wydawał się słaby i mały. Rak był już w jego wątrobie.

Rak dotarł do miednicy i w kręgach zostawił ślad,

A Lomer wciąż miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat.

Tak podsumowałyby to Lomer.

– Opowiedz mi jakiś kawał – poprosiła Franny.

Fix uśmiechnął się do sufitu, do Lomera siedzącego obok niego w samochodzie. Leżał tak kilka minut, srebrzyste kropelki chemii sunęły przez plastikową rurkę do dziury w jego klatce piersiowej. Potem pokręcił głową.

– Już ich nie pamiętam.

Nie mówił całej prawdy. Jeden pamiętał.

– Kobieta siedzi w domu i gliniarz puka do drzwi – powiedział Lomer. W pierwszej chwili Fix nie wiedział, że zaczyna się dowcip. Właśnie tak to było z jego kumplem, nigdy się tego nie wiedziało. – Gliniarz ma ze sobą psa, takiego podobnego do beagle’a, może trochę większego, i ten pies wygląda na cholernie skruszonego. Próbuje spojrzeć na kobietę, ale nie może. Nie jest w stanie spojrzeć jej w oczy, więc tylko patrzy na trawę, jakby upuścił ćwierć dolca.

Kawał. Fix prowadził i szyby były opuszczone. W radiu skrzeczały polecenia wydawane kodem numerycznym i Fix je ściszył, aż słowa i liczby stały się jedynie cichym trzaskiem zakłóceń. Nie jechali w żadnym konkretnym kierunku. Byli na patrolu. Rozglądali się.

– Gliniarz bardzo się stara – ciągnął Lomer. – To trudne zadanie. „Proszę pani – mówi – czy to pani pies?”. Kobieta potwierdza. „No cóż, przykro mi, ale wydarzył się wypadek. Zginął pani mąż”. Wyobrażasz sobie, co się dzieje: kobieta w szoku, płacze i tak dalej. Pies nadal nie jest w stanie spojrzeć jej w oczy. „Proszę pani – odzywa się gliniarz, choć wcale nie ma ochoty tego mówić – to jeszcze nie wszystko”. Zamierza jej

to oznajmić prosto z mostu. „Gdy znaleźliśmy ciało pani męża w miejscu zdarzenia, był nagi”. „Nagi?” – powtarza żona. Gliniarz kiwa głową, po czym chrząka. „To jeszcze nie koniec, proszę pani. W samochodzie była z nim kobieta, ona też zginęła”. Żona wydaje z siebie jakiś dźwięk, zduszony okrzyk, albo może mówi: „Aha”. Gliniarz zmierza do końca. Nie ma innego wyjścia. „Był z nimi pani pies. Wygląda na to, że tylko on ocalał”. A zwierzak gapi się na swoje przednie łapy, jakby żałował, że nie zginął razem z nimi.

Fix skręcił w Alvarado. Był 2 sierpnia 1964 roku i choć zbliżała się dziewiąta wieczorem, nie ściemniło się jeszcze całkowicie. Los Angeles pachniało cytrynami, asfaltem i przefiltrowanymi spalinami miliona samochodów. Dzieciaki na chodniku popychały się nawzajem i uciekały, to była jedna wielka zabawa. Powoli wychodziły też nocne glisty: bandyci, dziewczyny pracujące, ćpuny z potrzebami niemożliwymi do zaspokojenia. Wspólnie tworzyli rynek wymiany. Każdy mógł coś sprzedać, kupić albo ukraść. Noc dopiero się zaczynała. Wciąż jeszcze była bardzo młoda.

– Sam to wszystko wymyślasz? – spytał Fix. – Jeździsz od trzech godzin i układasz to sobie w głowie czy czytasz kawały w magazynach i czekasz na odpowiednią chwilę?

– To nie jest kawał – powiedział Lomer, zdejmując okulary, bo słońce już prawie zgasło. – Mówię ci, co się przydarzyło.

– Tobie – wszedł mu w słowo Fix.

– Komuś, kogo znam. Kuzynowi kogoś, kogo znam.

– Jasne, kurwa. Pytam poważnie.

– Po prostu bądź cicho i dla odmiany posłuchaj. No więc ten policjant składa kondolencje, podaje kobiecie smycz i odchodzi. Pies musi wejść do środka. Przez cały czas spogląda przez ramię na gliniarza, który wsiada do samochodu. Kobieta zamyka drzwi i od razu pyta psa:

– „Był nagi? Jechał samochodem i był nagi?” – Lomer nie mówił głosem zrozpaczonej wdowy, lecz wściekłej żony. – A pies tylko spogląda na drzwi, marząc o tym, żeby natychmiast znaleźć się w jakimś innym miejscu. – Lomer przez chwilę spoglądał przez okno po stronie pasażera, obserwował wracającego do domu dzieciaka z piłką do koszykówki wsadzoną pod pachę i faceta na rogu ulicy, pijanego albo naćpanego, stojącego z odchyloną głową i ustami otwartymi w oczekiwaniu na deszcz. Gdy znowu spojrzął na Fixa, był beagle’em, najsmutniejszym, najbardziej skruszonym beagle’em w historii beagle’ów, i ten beagle będący Lomerem pokiwał głową.

– „A ta kobieta? – spytał Lomer głosem żony. – Ona też była naga?”

I Lomer natychmiast znowu stał się beagle’em, ledwie mogącym spojrzeć Fixowi w oczy. Pokiwał głową.

– „No więc co oni tam robili?”

Pytanie było prawie ponad siły Lomera w roli beagle’a: wspomnienie tej chwili sprawiało mu ogromny ból, ale złączył kciuk z palcem wskazującym, tworząc kółko, zbliżył do niego palec drugiej ręki i kilka razy wsunął go do środka. Fix wrzucił kierunkowskaz i podjechał radiowozem do krawężnika. Nie obserwował już ulicy.

– „Uprawiali seks?” – pyta żona.

Lomer smutno pokiwał głową.

– „W samochodzie?”

Beagle zamknął oczy i bardzo powoli pokiwał głową jeszcze raz.

– „Gdzie?”

Lomer lekko unioś brodę, żeby wskazać na tylne siedzenie. Trudno było sobie wyobrazić smutniejszego beagle'a.

– „A ty, co wtedy robiłeś?”

Fix śmiał się, zanim wybrzmiała puenta, bo Lomer położył dłonie na niewidzialnej kierownicy i nerwowo – nerwowo, lecz ze szczerym zainteresowaniem – spojrzął we wsteczne lustro, żeby rzucić okiem na tylne siedzenie, na którym pan beagle'a bzykał inną kobietę.

– Skąd ty bierzesz te kawały? – spytał Fix i na chwilę dotknął czołem kierownicy.

Lomer nie odpowiedział, ale Fix pamiętał, że śmiał się wtedy do rozpuku. Potem spod śmiechu, warkotu przejeżdżających obok samochodów i głośniejszej latynoskiej muzyki dobiegającej z miejsca, którego żaden z nich nie mógł dojrzeć, przebił się numer oddzielający ich od miarowego gradu numerów wypluwanych przez radio – ich numer. Obaj go usłyszeli, mimo że radio było prawie całkiem ściszone, i ucieszyli się, choć nie należało mówić tego głośno. Jak dotąd wieczór był zbyt spokojny i ten spokój ich uwierał. Nigdy by nie uwierzyli, że w Los Angeles nic się nie dzieje – po prostu jeszcze to do nich nie dotarło. Teraz rozbłysły światła i syrena zaczęła wykrzykiwać swój zapętlony sygnał. Lomer podał wytyczne i Fix ruszył pędem po nagle opustoszałym środkowym pasie szerokiej ulicy. Piesi trzymali się chodnika i wszystkie oczy skierowały się w stronę radiowozu. Dwaj policjanci poczuli gdzieś w środku nich tego kopa, który niezawodnie pobudzał ich do działania. Zgłoszenie dotyczyło zakłócenia spokoju w domu, co mogło oznaczać wrzaski denerwujące sąsiadów, męża bijącego żonę pasem albo dzieciaki stojące na dachu i strzelające z wiatrówki do szczurów na palmach. Nie był to napad z bronią w ręku ani morderstwo. Większość ludzi po takiej interwencji była po prostu zakłopotana i cała wina spadała na tego, kto wezwał policję. Ale nie zawsze.

Pojechali po Alvarado w stronę Olympic, a potem wślizgnęli się w labirynt bocznych uliczek. Zewsząd otaczała ich noc. Fix wyłączył syrenę, ale zostawił światła patrolowe – to dlatego zasłony w każdym mijanym domu rozsuwały się o centymetr lub dwa i mieszkańcy wyglądali przez okna, zastanawiając się, kto wpadł w tarapaty albo okazał się na tyle bezmyślny, żeby ściągać gliniarzy do ich spokojnej dzielnicy, w której każdy miał co najmniej jedną rzecz do ukrycia. W domu, do którego przyjechali, było ciemno. Gdy domownicy wiedzą, że do nich jedziesz, zadają sobie trud, żeby wstać i wyłączyć światło. Standardowa procedura.

– Wygląda na to, że się spóźniliśmy – powiedział Lomer. – Już poszli spać.

– Obudźmy ich.

Czy się bali? Fix się nad tym zastanawiał, ale jeszcze nie wtedy. Dopiero w późniejszych latach poznał strach na wylot, wtedy też w końcu nauczył się nadawać twarzy taki wyraz, żeby nie było tego widać. Ale w latach, które spędził z Lomerem, zawsze wchodził drzwiami z przeświadczeniem, że przez nie wyjdzie.

Dom przypominał pudełeczko, miał małe kwadratowe podwórko. Wyglądał jak wszystkie inne domy przy tej ulicy, jeśli pominąć spływający kaskadą żywopłot z bugenwilli pokryty kwiatami w jaskraworóżowym kolorze tabletek antyhistaminowych.

– Skąd to się tu wzięło? – zastanawiał się Lomer, przesuając ręką po liściach.

Fix zapukał do drzwi, najpierw knykciami, a potem latarką. W migającym niebieskim świetle koguta zauważył, że w miękkim drewnie powstają małe wgłębienia. Zawołał: „Policja!”, ale ktokolwiek był w środku, już to wiedział.

– Sprawdzę z tyłu – powiedział Lomer i pogwizdując, ruszył wąskim przejściem z boku domu, świecąc latarką w okna. Fix czekał. Nad Los Angeles nie było żadnych gwiazd, albo może były, ale nie dało się ich zauważyć, bo nad miastem wisiała świetlna luna. Patrząc na cienki sierp księżyca, Fix zauważył jasne światło wydobywające się z ciemnego domu. Lomer włączył oświetlenie na ganku i otworzył drzwi wejściowe. – Tylne były otwarte – powiedział.

– Tylne drzwi były otwarte – powiedział Fix.

– Co? – spytała Franny. Odłożyła magazyn i naciągnęła mu koc na ramiona. Miał rację co do tego koca. Patsy go przyniosła.

– Spałem.

– To przez benadryl. Dzięki niemu później nie będzie cię swędziło.

Próbował złożyć to wszystko w całość – to pomieszczenie, ten dzień, swoją córkę, Los Angeles, dom przy Olympic.

– Tylne drzwi były otwarte, a frontowe zamknięte. Każdego by to zastanowiło, prawda?

– Tato, powiedz mi, o jakim domu mówimy. O twoim obecnym? Tym w Santa Monica?

Fix przecząco pokręcił głową.

– O domu, w którym byliśmy w dniu śmierci Lomera.

– Myślałam, że zastrzelono go na stacji benzynowej – powiedziała. Tak im powiedziała matka, i nawet jeśli to było czterdzieści lat temu, więcej niż czterdzieści, Franny wciąż to pamiętała. Jej matka toczyła boje z Caroline. Ilekroć Caroline wróciła do domu po umówionej godzinie, powiedziała Bertowi coś naprawdę okropnego albo uderzyła Franny na tyle mocno, żeby z nosa siostry popłynęła krew, korzystała z okazji, żeby przypomnieć matce, że gdyby Beverly była porządną żoną i została przy mężu, żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła. Gdyby Beverly nadal była żoną Fixa, Caroline byłaby wzorową obywatelką. Jej dobre zachowanie zależało wyłącznie od matki, a ta wszystko popsowała, postanawiając uciec z Bertem Cousinem, więc nikt nie powinien mieć do Caroline pretensji o to, jak wygląda jej życie. Stara historia. Gdy doszło do tej konkretnej kłótni, mieszkali w Wirginii dłużej, niż którakolwiek z dziewczynek mieszkała w Los Angeles, ale wątek ich alternatywnego życia był kartą atutową Caroline i sięgała po nią przy każdej okazji. Franny przypominała sobie, jak we trzy siedziały w samochodzie. Siostry wracały ze szkoły Świętego Serca: obie w kraciastych spódniczkach od mundurka i białych niegniotących się bluzkach. Nie pamiętała, co takiego zrobiła Caroline, że wybuchła kłótnia, ani dlaczego ta kłótnia wydawała się poważniejsza niż inne. Ale coś, co zostało powiedziane, skłoniło ich matkę do opowiedzenia im o Lomerze.

– Zgadza się – powiedział do niej ojciec. – Zastrzelono go na stacji Gulf przy Olympic.

Franny przechyliła się na krzesło i przyłożyła rękę do czoła Fixa. Jego włosy, siwe, odkąd sięgała pamięcią, zmieniły się po ostatniej chemii w świetlistą białą gęstwinę. Wszyscy o nich mówili. Zaczesała je do tyłu palcami.

– Naprawdę chciałabym wiedzieć, o czym mówisz – powiedziała ściszym głosem, mimo że nikt nie słuchał. Nikt w tej sali w ogóle o nich nie myślał.

Fix, który nigdy nie lubił się zwierzać, nagle zapragnął jej to wytłumaczyć. Chciał, żeby Franny zrozumiała.

– Dom był bardzo mały, więc wiedzieliśmy, że szybko ich znajdziemy. Z korytarza prowadziły drzwi do dwóch sypialni i łazienki. Wszystkie tego rodzaju domy budowało się tak samo. Byli w pierwszej sypialni. Ojciec, matka, czwórka dzieci. Siedzieli razem na łóżku w ciemności. Włączyliśmy górne światło i wtedy ich zobaczyliśmy: siedzieli wyprostowani, nawet najmniejsze dziecko. Pobity był ojciec. Nieczęsto się to widuje. Zwykle ciosy przyjmuje kobieta, ale ten facet wyglądał, jakby właśnie zeskrobano go z autostrady. Miał pękniętą wargę, jedno oko już się nie otwierało, nos był wszędzie. Widzę jego twarz równie wyraźnie jak teraz twoją. To niewiarygodne, jak dobrze pamiętam tamten dom i tych ludzi – byli boso i wszyscy trzymali stopy na łóżku. Zaczęliśmy im zadawać pytania, ale bez skutku, zupełnie nie reagowali. Ojciec patrzył na mnie tym jednym okiem, a ja się zastanawiałem, jak to możliwe, że on w ogóle siedzi prosto. Na szyi miał krew wypływającą z obojga uszu. Pomyślałbym, że lanie uszkodziło mu bębenki, gdyby nie to, że wszyscy na tym łóżku zachowywali się tak, jakby nas nie słyszeli. Lomer wezwał przez radio karetkę i wsparcie. Ja dalej do nich mówiłem i w końcu najstarsza z dziewczynek, miała może z dziesięć lat, powiedziała, że nie znają angielskiego. Faktycznie, matka i ojciec nie mówili po angielsku, ale dzieci owszem. Były tam trzy dziewczynki i chłopiec. Chłopiec miał z siedem, osiem lat. „Gdzie jest człowiek, który to zrobił?” – spytałem. Wtedy wszyscy znowu zamilkli, a najstarsza córka zastygła, patrząc prosto przed siebie, tak jak jej rodzice. W którymś momencie ta mała, która miała jakieś pięć lat i była niewiele większa niż nasza Caroline, znacząco spojrzała na szafę. Nie odwróciła głowy, ale wszystko stało się jasne. Facet siedział w szafie. Starsza dziewczynka chwyciła ją za nadgarstek i ścisnęła jak cholera, ale ja i Lomer już się odwróciliśmy. Lomer otworzył szafę, a w środku – facet wciśnięty między ubrania. Szafa była mała, taka jakie miewało się dawniej, i w środku było wszystko, co jej właścicielom przyniósł świat, łącznie z tym gościem. Facet rozumiał sytuację. Nie miał szans nam uciec. Miał krew na koszuli i rękę pokiereszowaną od bicia tego nieszczęsnego sukinsyna na łóżku. Chyba mówił po angielsku równie słabo jak ten, którego przyszedł zlać. Swoją pistolet schował do kieszeni sukienki wiszącej w szafie. Chyba uznał, że nikt go tam nie znajdzie i potem będzie mógł po niego wrócić. Mniej więcej w tym czasie przyjechały posiłki, a później karetka. Nie było wtedy prawa do zachowania milczenia, nikt nie dzwonił po gościa znajdującego hiszpański. Cała rodzina na łóżku się trzęsła, dzieci płakały. Zupełnie tak, jakby dopóki tamten siedział w szafie i nie musiały na niego patrzeć, wszystko było w porządku, a teraz, gdy znowu stał w pokoju, wróciły powody do obaw. Nazywał się Mercado. Odkryliśmy to później. Pracował na pełny etat, bijąc Meksykanów, którzy pożyczili pieniądze na przemycenie ich do kraju i nie zdążyli jeszcze zarobić wystarczająco dużo, żeby spłacić dług. Nikt, kto miał jakieś pieniądze albo znał

jakikolwiek sposób, żeby je zdobyć, nie zadzierał z tymi gośćmi. Bili ludzi na oczach ich rodzin i sąsiadów. To było ostrzeżenie. A jeśli po tygodniu lub dwóch wciąż brakowało pieniędzy, wpadali i strzelali ci w głowę. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Nie śpi pan! – powiedziała Patsy i Franny aż podskoczyła. Pielęgniarka odczepiła najmniejszy woreczek, ten ze środkiem przeciwwymiotnym, który był już pusty. Do opróżnienia pozostałych było jeszcze daleko. – Odpoczął pan trochę?

– Odpocząłem – przytaknął Fix, choć wyglądał na wyczerpanego, nie wiadomo tylko, czy chemią, czy opowiadaniem, czy jednym i drugim. Franny zastanawiała się, jak Patsy może tego nie widzieć, ale być może jej ojciec po prostu niewiele się różnił od reszty ludzi na sali.

Patsy ziewnęła na wspomnienie o odpoczynku, zasłaniając usta małą dłonią w rękawiczce.

– Pewnego dnia po prostu rozłożę się na jednym z tych foteli. Naciągnę koc na głowę i zasnę. Wiecie, niektórzy tak robią, światło podrażnia im oczy. Kto pozna, że to ja leżę pod kocem?

– Ja bym nie poznał – odrzekł Fix i zamknął oczy.

– Chce się panu pić? – Patsy poklepała koc na jego kolanie. – Mogłabym przynieść trochę wody albo jakiś napój gazowany, jeśli pan chce. Ma pan ochotę na colę?

Franny już zamierzała jej powiedzieć, że niczego nie potrzebują, ale Fix pokiwał głową.

– Na wodę. Napiłbym się wody.

Patsy spojrzała na nią.

– A pani?

Franny pokręciła głową. Pielęgniarka poszła po wodę, a Fix czekał, otworzywszy oczy, żeby odprowadzić ją wzrokiem.

– I co było potem? – spytała Franny. Właśnie o to chodziło w przywożeniu ojca na chemoterapię, gdy żaden z lekarzy nie wspominał o szansach na wyleczenie: to był jej czas, to były wszystkie historie, których miała wysłuchać. Nigdy wcześniej ani ona, ani Caroline nie były z nim zbyt długo. Teraz na zmianę przylatywały do Los Angeles. Chciały dać odetchnąć Marjorie, ponieważ to Marjorie wykonywała większość pracy przy ich ojcu, ale przede wszystkim była to szansa poznania historii, które miał ze sobą zabrać. Wieczorem, gdy Fix uśnie, zamierzała zadzwonić do Caroline i opowiedzieć jej o Lomerze.

– W domu zaroilo się od ludzi – od gliniarzy, ratowników medycznych. Lomer znalazł kopertę w koszu na śmieci i narysował na odwrocie jakieś myszki dla najmłodszej dziewczynki. Było jasne, że bardzo naraziła się rodzicom, i Lomerowi zrobiło się jej żal. Ojciec pojechał karetką do szpitala, a matka i dzieci... Mój Boże, pewnie zostawiliśmy je w domu, żeby zajął się nimi ktoś inny, nawet nie pamiętam. Musiały minąć ze dwa lata, zanim znowu o nich pomyślałem. Zawieźliśmy tego całego Mercada na komendę i zgłosiliśmy go. Kiedy skończyliśmy, była już prawie pierwsza w nocy i marzyliśmy tylko o kawie. Ta w komendzie się nie nadawała. To było określenie Lomera: „nie nadawała się”. Kiedyś przyłapywałem się na myśleniu, że gdyby zadali sobie trochę trudu i parzyli przyzwoitą kawę, Lomer wypiłby ją w komendzie. Od takich myśli można

zwariować. Pojechaliśmy na stację benzynową przy Olympic. Nie najbliżej, ale jednak dość blisko. Właściciel wydawał na kawę sporo pieniędzy i tłumaczył wszystkim zatrudnianym dzieciakom, jak ważne jest opróżnianie dzbanka i parzenie świeżej. Ludzie pokonywali parę przecznic więcej, żeby zatankować u gościa, który serwował dobrą kawę. Wtedy było inaczej niż dzisiaj, dzisiaj nikt nie napełni ci baku, ale możesz sobie kupić przekłete cappuccino. Dzbanek z kawą na stacji benzynowej, zwłaszcza z dobrą kawą, to była wtedy wielka nowość. Facet parzył kawę, przyjeżdżali gliniarze, siadali na parkingu i pili tę kawę, a potem przychodziło więcej ludzi, bo wśród gliniarzy czuli się bezpieczniej. To był mały ekosystem oparty na kawie. Właśnie dlatego tam na nią pojechaliśmy. Ja prowadziłem. Ten, kto prowadzi, prowadzi całą noc, a ten, kto nie prowadzi, idzie po kawę, więc Lomer wszedł do środka. Myślę, że nie zauważył, co się dzieje. Zanim zginął, zdążył odejść od drzwi na jakieś trzy, cztery metry. A ja nie widziałem, co się dzieje, bo pisałem raport. Usłyszałem huk wystrzału, podniosłem głowę i Lomera już nie było. Zobaczyłem, jak dzieciak za kasą podnosi ręce, wnętrzem dłoni do przodu, a wtedy ten cały Mercado się odwrócił i jego też zastrzelił.

– Zaraz – powiedziała Franny. – Mercado? Ten facet z domu?

Fix pokiwał głową.

– Właśnie jego widziałem. Stacja benzynowa wyglądała jak wszystkie stacje benzynowe w tamtych czasach – jak akwarium z jaskrawym światłem na górze – więc miałem bardzo dobry widok: Latynos, dwadzieścia pięć lat, metr sześćdziesiąt siedem, biała koszula, niebieskie spodnie, trochę krwi na koszuli. Patrzyłem na tego gościa przez ostatnie dwie godziny. Siedział przy moim biurku. Ja znałem jego, on znał mnie. Wyjrzał przez okno i mnie zobaczył. Oddał jeden strzał, ale widocznie był zdenerwowany, bo kula nie trafiła nawet w samochód. Roztrzaskała tylko szybę z przodu budynku. Mercado wybiegł drzwiami i popędził na tyły. Usłyszałem samochód, ale go nie widziałem. Wszedłem do budynku i zobaczyłem, że Lomer leży na ziemi. – W tym momencie Fix przerwał, przez chwilę się zastanawiał. – No cóż – powiedział w końcu.

– Co?

Fix pokręcił głową.

– Już nie żył.

– A ten drugi człowiek, sprzedawca ze stacji benzynowej?

– Pożył jeszcze z godzinę, wystarczająco długo, żeby zabrali go na chirurgię. Umarł na stole operacyjnym. Chodził do liceum, to była jego wakacyjna fucha. Miał tylko parzyć kawę i obsługiwać klientów.

Patsy wróciła z dwoma styropianowymi kubkami z wodą, w każdym z nich była zagięta słomka.

– Człowiek nigdy nie czuje, że jest spragniony, dopóki nie zobaczy wody. Tak to już u nas bywa.

Franny podziękowała jej i wzięła kubki. Patsy miała rację, chciało jej się pić.

– Przecież to niemożliwe – powiedziała Franny do ojca, mimo że, jak pamiętała, tak samo brzmiała część historii, którą matka opowiedziała im w samochodzie: że ich ojciec oszalał po tym, jak zastrzelono mu partnera, że nie był w stanie zidentyfikować mężczyzny, który zabił Lomera. – Jak Mercado wydostał się z komendy? Skąd wiedział,

gdzie jesteście?

– Mózg spletał mi figła, przynajmniej tak mi to później wyjaśniono. Zbyt wiele się wydarzyło i w jakiś sposób pomieszały mi się przezrocza, zamieniłem podejrzanych miejscami. Ale mówię ci, do dziś jestem przekonany, że widziałem, co widziałem. Zginął mój partner. Nie miałem pojęcia, jak do tego doszło, ale ten facet stał, jasno oświetlony, jakieś pięć metrów ode mnie. Patrzyliśmy prosto na siebie, tak jak teraz ty patrzysz na mnie. Kiedy na miejscu zjawili się gliniarze, szczegółowo go opisałem. Do diabła. Podałem im jego nazwisko. Ale Jorge Mercado właśnie siedział w areszcie wydziału Rampart. Spędził tam całą noc.

– A facet, który zabił Lomera? – spytała Franny.

– Okazuje się, że go nie widziałem.

– Więc nie znaleźli sprawcy?

Fix zagał słomkę i napił się. Picie przychodziło mu z trudem z powodu zwężenia przełyku. Woda spływała niezdolnie małymi porcjami.

– Znaleźli – powiedział w końcu. – Doszli, kto to taki.

– Przecież zidentyfikowałeś innego człowieka.

– W rozmowie z policjantami, ale nie przed ławą przysięgłych. Znaleźli kogoś, kto widział samochód pędzący niedaleko stacji benzynowej. Dołożyli starań, żeby znaleźć kierowcę, a potem dołożyli starań, żeby znaleźć broń, którą wyrzucił przez okno samochodu. Jeśli zabijesz dzieciaka na stacji benzynowej, policja będzie cię szukała ze szczerym zaangażowaniem. Jeśli zabijesz gliniarza na stacji benzynowej, to zaangażowanie będzie jeszcze większe.

– Ale nie mieli świadka – powiedziała Franny.

– Ja byłem świadkiem.

– Przecież przed chwilą powiedziałeś, że nie widziałeś tego gościa.

Fix uniósł palec.

– Nie widziałem go do dzisiejszego dnia. Nawet kiedy siedziałem naprzeciwko niego w sądzie. Nigdy nie przezwyciężyłem tej blokady. Psychiatra powiedział, że go sobie przypomnę, kiedy go zobaczę. Gdy go sobie nie przypominałem, lekarz stwierdził, że z czasem to do mnie wróci, że pewnego dnia się obudzę i wszystko będzie na swoim miejscu. – Wzruszył ramionami. – Ale tak się nie stało.

– Więc jak to możliwe, że byłeś świadkiem?

– Powiedzieli mi, który to facet, a ja powiedziałem: „Tak, to on”. – Fix posłał córce zmęczony uśmiech. – Nie przejmuj się. To na pewno był on. Musisz pamiętać, że ten gość mnie wtedy widział. Spojrzał na mnie z akwarium, a zaraz potem próbował zastrzelić. Wiedział, kim jestem. Zabił Lomera, zabił tego dzieciaka i wiedział, że widziałem, jak to robi. – Fix pokręcił głową. – Szkoda, że nie pamiętam, jak się nazywał ten dzieciak. W domu pogrzebowym jego matka powiedziała, że był świetnym pływakiem. „Bardzo obiecującym”. Tak to ujęła. Połowę rzeczy w tym życiu chciałbym sobie przypomnieć, wiele bym oddał, by resztę móc zapomnieć.

Po śmierci Lomera Beverly została z Fixem jeszcze dwa lata, mimo że już obiecała Bertowi, że odejdzie od męża. Została, dlatego że jej potrzebował. Tamtego dnia w Wirginii, kiedy doszło do paskudnej kłótni w drodze ze szkoły do domu, zjechała na

pobocze i powiedziała Caroline i Franny, żeby nie myślały, że tak po prostu zostawiła ich ojca, bo to nieprawda. Ona została.

– W końcu udało mi się przestać myśleć o Lomerze – powiedział Fix. – Przez lata nie dawało mi to spokoju, ale pewnego dnia, sam nie wiem, po prostu odpuściłem. Więcej mi się nie śnił. Nie zastanawiałem się, co zjadłby na lunch, ilekroć sam jadłem lunch, nie patrzyłem na gościa jadącego obok mnie samochodem i nie zastanawiałem się nad tym, kim on nie jest. Miałem z tego powodu poczucie winy, ale muszę ci powiedzieć, że odczułem ulgę.

– Ale teraz znowu o nim myślisz?

– No cóż, jakoś tak wyszło – powiedział Fix. – Myślę o tym wszystkim. – Przysunął rękę do plastikowej rurki łączącej go z życiem. Uśmiechnął się. – On nigdy nie będzie musiał tego przechodzić. Nigdy się nie zestarzeje i nie zachoruje. Gdyby ktokolwiek spytał go o zdanie, na pewno chciałby się zestarzeć i zachorować. Na pewno obaj powiedzielibyśmy: „Tak, proszę, dajcie nam raka, gdy dobijemy do osiemdziesiątki”. Ale teraz... – Fix wzruszył ramionami. – Nie wydaje mi się to takie oczywiste.

Franny pokręciła głową.

– Spotkał cię lepszy los.

– Poczekaj, a sama się przekonasz – powiedział jej ojciec. – Jesteś jeszcze młoda.

III

Dzień przed wyjazdem Berta i jego już wkrótce drugiej żony Beverly z Kalifornii do Wirginii Bert przyszedł do domu w Torrance i powiedział swojej pierwszej żonie Teresie, że powinna pomyśleć o przeprowadzeniu się razem z nimi.

– Oczywiście nie razem z nami – uściślił. – Musiałabyś się spakować, sprzedać dom. Wiem, że zajęłoby to trochę czasu, ale zastanów się, dlaczego nie miałabyś wrócić do Wirginii?

Kiedyś Teresa uważała swojego męża za najprzystojniejszego mężczyznę na świecie, podczas gdy tak naprawdę przypominał jednego z tych gargulców przycupniętych wysoko na narożnikach katedry Notre Dame i mających odstraszać diabła. Nie powiedziała mu tego, ale zmiana tonu jego głosu wyraźnie wskazywała, że ta myśl odmalowała się na jej twarzy.

– Słuchaj – podjął – i tak nigdy nie chciałaś się przeprowadzać do Los Angeles. Zrobiłaś to tylko dla mnie i jeśli wolno mi przypomnieć, nie obyło się bez długich narzekania. Dlaczego miałabyś tu teraz zostać? Zabierz dzieci do swoich rodziców, zapisz je do szkoły, a potem, w odpowiednim czasie, pomogę ci znaleźć jakiś dom.

Teresa stała w kuchni, która jeszcze niedawno była ich wspólną kuchnią. Zacisnęła pasek szlafroka. Cal był w drugiej klasie, Holly zaczęła chodzić do przedszkola, ale Jeanette i Albie wciąż jeszcze nie opuścili domu. Dzieci uwiesiły się nóg Berta i piszczaly, jakby był karuzelą w Disneylandzie: „Tatusiu! Tatusiu!”. Poklepywał ich główki niczym bębenki. Wybijał rytm.

– Dlaczego ci zależy, żebym wróciła do Wirginii? – spytała. Wiedziała dlaczego, ale chciała to usłyszeć od niego.

– Tak byłoby lepiej – powiedział i szybko spuścił oczy na te kochane rozczochrane główki, po jednej pod każdą ręką.

– Dlatego że dzieciom jest lepiej, jeśli rodzice mieszkają blisko siebie? Dlatego że dzieciom jest lepiej, jeśli nie wychowują się bez ojca?

– Chryste, Tereso, przecież pochodzisz z Wirginii. Nie proponuję ci przeprowadzki na Hawaje. Mieszka tam cała twoja rodzina. Tam będziesz szczęśliwsza.

– Jestem wzruszona, że myślisz o moim szczęściu.

Bert westchnął. Marnowała jego czas. Nigdy nie szanowała jego czasu.

– Wszyscy oprócz ciebie to przeboleli i żyją dalej. Tylko ty postanowiłaś tkwić w miejscu.

Teresa nalala kubek kawy z ekspresu. Zaproponowała ją Bertowi, ale ten zbył ją machnięciem ręki.

– Męża Beverly też zamierzasz poprosić, żeby z wami pojechał? Żeby mógł się częściej widywać z córkami? Tak byłoby dla nich lepiej.

Pewna wspólna przyjaciółka powiedziała Teresie, że Bert i już wkrótce druga pani Cousins przeprowadzają się do Wirginii, ponieważ Bert obawia się, że pierwszy mąż jego nowej żony będzie próbował go zabić, że znajdzie sposób, by wyglądało to na wypadek, i nigdy nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Pierwszy mąż był gliniarzem. Gliniarze, w każdym razie niektórzy, potrafią robić takie rzeczy.

Rozmowa trwała krótko i na końcu Bert był wyraźnie poirytowany – żona zawsze go irytowała – lecz to wystarczyło, żeby Teresa Cousins postanowiła spędzić resztę życia w Los Angeles.

Teresa znalazła pracę w sekretariacie biura prokuratora okręgowego Los Angeles. Dwoje najmłodszych dzieci oddała do żłobka, a dwoje starszych zapisała na zajęcia pozalekcyjne. Prawnikom z biura prokuratora okręgowego towarzyszył cień kolektywnego poczucia winy z powodu krycia Berta podczas jego długiego romansu. Uznali, że teraz, gdy już wyjechał, są Teresie coś winni, więc zaproponowali jej pracę. Już wkrótce zaczęli ją namawiać na podjęcie studiów wieczorowych i objęcie posady asystentki prawnika. Teresa Cousins była wyczerpana, wściekła i przez lata wykorzystywana, ale odkryli, że jest też całkiem niegłupia. Jako zastępca prokuratora okręgowego Bert Cousins zarabiał bardzo mało, więc zobowiązano go do płacenia skromnych alimentów. Majątek jego rodziców nie był jego majątkiem, a zatem nie brano go pod uwagę podczas sprawy rozwodowej. Ubiegał się o opiekę nad dziećmi przez całe lato, od zakończenia roku szkolnego do jego rozpoczęcia, i jego wniosek został przyjęty. Teresa Cousins zaciekle walczyła, by przyznano mu tylko dwa tygodnie, ale Bert był prawnikiem, jego przyjaciele byli prawnikami zaprzyjaźnionymi z sędzią, a rodzice przysłali mu po cichu dość pieniędzy, by w razie czego sprawa w sądzie mogła ciągnąć się całą wieczność.

Gdy powiedziano Teresie, że straciła wakacje z dziećmi, nie omieszkała zakląć i sobie popłakać, ale w głębi duszy zastanawiała się, czy nie podarowano jej właśnie rozwodowego ekwiwalentu urlopu na Karaibach. Kochała swoje dzieci, nie było co do tego żadnych wątpliwości, ale potrafiła zrozumieć, że jedna z czterech pór roku spędzona bez konieczności zmagania się z każdym bolącym gardłem i każdą bójką na pięści, bez błagania o zajęcia baletowe, na które nie było jej stać i na które nie miała czasu nikogo wozić, bez nieustannego usprawiedliwiania się w pracy z powodu spóźnień i wychodzenia przed czasem, gdy już i tak ledwie się wyrabiała, słowem: że jedna pora roku bez dzieci – choć Teresa nigdy by się do tego nie przyznała – mogła być całkiem znośna. Myśl o sobotnim poranku bez Albiego skaczącego po niej na łóżku, tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby brał udział w jakimś wymyślanym slalomie narciarskim, nie była pozbawiona uroku. A myśl o tym, że będzie tak skakał po drugiej żonie Berta, która bez wątpienia sypia w kremowym jedwabnym negliżu obszytym czarną koronką, w koszuli nocnej wymagającej oddawania do pralni chemicznej, myśl, że Albie będzie po niej skakał, była, no cóż, bardzo przyjemna.

Przez pierwszych kilka lat dzieci były za małe, żeby podróżować bez kogoś dorosłego, więc trzeba im było zapewnić opiekę. Raz towarzyszyła im matka Beverly, rok później jej siostra. Podczas spotkań z Teresą Bonnie emanowała cierpieniem i skruchą, nie była w stanie spojrzeć jej w oczy. Bonnie wyszła za księdza i była zdolna do doświadczania poczucia winy z najróżniejszych powodów, na które nie miała żadnego wpływu. Rok później w rolę opiekunki wcieliła się Wallis, przyjaciółka Beverly. Wallis miała donośny głos i szeroki uśmiech dla wszystkich. Na podróż włożyła jaskrawozieloną bawełnianą sukienkę. Wallis lubiła dzieci.

– Och, dzieciaczki – powiedziała do czworga małych Cousinsów – zjemy wszystkie

orzeszki, które są na pokładzie tego samolotu. – Wallis zachowywała się tak, jakby akurat sama leciała tego dnia do Wirginii – i czy nie byłoby fajnie, gdyby ona i dzieci mogły siedzieć obok siebie? Dzięki Wallis wszystko wydawało się takie proste, że Teresie nawet nie przyszło do głowy się rozplakać, dopóki nie wróciła sama do domu.

W drodze powrotnej dzieciom towarzyszył ktoś od Teresy: raz była to jej matka, innym razem ulubiona kuzynka. Bert kupował bilet każdemu, kto był skłonny znieść sześć godzin w samolocie z jego dziećmi.

W 1971 roku uznano jednak, że dzieci są już wystarczająco duże, by dać sobie radę bez opiekuna, albo raczej że dwunastoletni Cal i dziesięcioletnia Holly są wystarczająco duzi, żeby zapędzić do celu Jeanette, która w wieku ośmiu lat nie potrzebowała absolutnie niczego, i Albiego, który w wieku lat sześciu potrzebował dosłownie wszystkiego. Na lotnisku Teresa dała dzieciom bilety przysłane przez Berta i wyprawiła je w drogę do Wirginii bez walizek, co było śmiałym posunięciem, na które nigdy by się nie odważyła, gdyby opiekę sprawowały Bonnie albo Wallis. „Rzućmy Berta na głęboką wodę”, pomyślała. Dzieci potrzebowały wszystkiego: mógł zacząć od szczoteczki do zębów i piżam, a potem posuwać się dalej. Dała Holly list, który córka miała przekazać ojcu. Całą czwórkę trzeba było zaprowadzić do dentysty. Wiedziała, że Jeanette ma ubytki. Przesłała kopie ich kart szczepień, opatrując ptaszkiem wszystkie szczepienia przypominające, na które przyszła pora. Nie mogła wciąż zwalniać się z pracy i biegać po lekarzach. Lekarze ciągle się spóźniali i czasami mijały godziny, zanim mogła wrócić do biura. Druga pani Cousins nie miała pracy. Miała mnóstwo czasu, żeby zabrać dzieci na zakupy i do lekarza. Holly mdlała przy każdym zastrzyku. Albie gryzł pielęgniarki. Cal odmawiał wyjścia z samochodu. Siłowała się z nim, ale zapał się nogami o drzwi i nie chciał wysiąść, więc ostatnia dawka przypominająca go ominęła. Teresa nie była pewna, czy Jeanette została zaszczepiona, bo nie mogła znaleźć jej karty. O tym wszystkim napisała w liście. Beverly Cousins chciała jej rodzinę? To niech ją sobie weźmie.

W samolocie dzieci zajęły miejsca po obu stronach przejścia, chłopcy z lewej, a dziewczynki z prawej, i każde dostało skrzydła małego lotnika, choć Cal nie chciał ich założyć. Cieszyły się, że są w samolocie, cieszyły się, że przez sześć godzin nie będą pod niczym bezpośrednim nadzorem. Choć mali Cousinsowie nie lubili opuszczać matki – byli wobec niej bezdyskusyjnie lojalni – uważali się za Wirgińczyków, nawet dwoje najmłodszych, którzy przyszedli na świat po przeprowadzce rodziny na zachód. Dzieci Cousinsów nie znosiły Kalifornii. Miały dość popychania na szkolnych korytarzach w Torrance. Miały dość autobusu, który zabierał je co rano ze skrzyżowania, i dość jego kierowcy, który nie czekał na nie choćby trzydziestu sekund, jeśli się spóźniły przez guzdranie się Albiego. Miały dość matki, bez względu na to, jak bardzo ją kochały, bo gdy uciekł im autobus i wracały do domu, czasami zaczynała płakać. Spóźni się do pracy. Powtarzała to w nieskończoność w samochodzie, wioząc je do szkoły z zatrważającą prędkością – musiała pracować, nie byłiby w stanie wyżyć z tego, co dostawali od ojca, nie mogła sobie pozwolić na utratę tej posady tylko dlatego, że jej dzieci nie były dość odpowiedzialne, żeby dotrzeć o czasie na przeklęte skrzyżowanie. Uciszały ją, szczypiąc Albiego, którego krzyki wypełniały samochód jak gaz musztardowy. A najbardziej miały dość Albiego, który rozlał colę i właśnie kopał oparcie siedzenia znajdującego się przed

nim w samolocie. Wszystko, co się działo, to była jego wina. Ale Cala też miały dość. Musiał nosić klucz do domu na brudnym sznurku wokół szyi, bo matka oznajmiła, że jego zadanie polega na doprowadzeniu wszystkich do domu po szkole i przygotowaniu im czegoś na ząb. Cal miał tego dość i przeważnie zamykał się w domu przed siostrami i bratem co najmniej na godzinę, żeby oglądać w telewizji te programy, które chciał oglądać on, a nie wszyscy, i oczyścić umysł. Obok domu był szlauch, a wiatra samochodowa rzucała cień. Przecież by nie umarli. Gdy matka wracała z pracy, witali ją przed drzwiami, głośno protestując przeciwko takiemu uciskowi. Kłamali, że odrobili lekcje, wszyscy oprócz Holly, która zawsze odrabiała lekcje, czasami siedząc po turecku pod wiatą z książkami na kolanach, ponieważ żyła dla pochwał, którymi obsypywali ją nauczyciele. Mieli dość Holly i jej przewagi w postaci dobrych ocen. Tak naprawdę jedyną osobą, której nie mieli dość, była Jeanette, a to tylko dlatego, że w ogóle o niej nie myśleli. Wycofała się w milczenie, o które każdy rodzic spytałby nauczyciela albo pediatrę, gdyby je tylko zauważył, ale milczenia Jeanette nikt nie zauważył. Dziewczynka miała tego dość.

Rozłożyli siedzenia najbardziej jak się dało. Poprosili o talię kart i piwo imbirowe. Upajali się błogą atmosferą w samolocie, który na razie nie znajdował się ani w Kalifornii, ani w Wirginii – w jedynych dwóch miejscach, w których kiedykolwiek byli.

Fix brał tydzień urlopu, żeby pobyć z Caroline i Franny, gdy latem przylatywały do Kalifornii, kiedy zaś dzieci Berta przylatywały do Wirginii, ten oznajmiał Beverly, że liczba jego klientów z niewyjaśnionych powodów uległa podwojeniu. Bert zajmował się w Arlington prawem majątkowym i spadkowym, doszedłszy do wniosku, że życie zastępcy prokuratora okręgowego jest zbyt stresujące. Trudno było sobie wyobrazić, jak wiele osób pragnie spisać testament akurat w dniu przyjazdu jego dzieci. Kazał Beverly wziąć kombi i jechać samej na lotnisko. Myślał, że zdoła je odebrać osobiście, ale w ostatniej chwili wpływał wniosek, którego nikt się nie spodziewał, i Bert nie tylko nie mógł pojechać na lotnisko, ale i szczerze wątpił, by udało mu się zdążyć do domu na kolację. Beverly zdarzało się już odbierać dzieci Berta z lotniska, lecz tak naprawdę jeździła wtedy po swoją matkę, Bonnie albo Wallis, które uprzejmie zgodziły się przyjechać do niej z wizytą, skoro nie musiały płacić za bilet. Widząc, jak któraś z nich wychodzi z samolotu, Beverly tak bardzo się cieszyła, że prawie nie zauważała dzieci. Padała w ramiona matki, siostry albo najdroższej przyjaciółki i razem zaganiały owieczki po odbiór bagażu, a następnie na parking. Wyczekiwała tej chwili z niecierpliwością.

Teraz jednak Beverly czuła się dziwnie sparaliżowana, czekając samotnie na końcu rękawa lotniczego. Gdy wszyscy pozostali pasażerowie zeszli z pokładu, stewardesa przyprowadziła małych Cousinsów i Beverly poświadczyła ich odbiór. Cztery małe schodki – chłopiec, dziewczynka, dziewczynka, chłopiec – a każde z dzieci zachowywało się jak uchodźca o szklistym spojrzeniu. Rozczarowane dziewczynki przywitały się z nią uściskiem przy bramce, a chłopcy wlekli się, idąc za nią po odbiór bagażu. Albie śpiewał jakąś niezrozumiałą piosenkę, Cal chyba też, choć Beverly nie była pewna, bo zostali za daleko w tyle. Na lotnisku było głośno i tłoczno od szczęśliwych rodzin, które znów były w komplecie. Trudno było usłyszeć własne myśli.

Czekali przy taśmociągu bagażowym i patrzyli na mijające ich walizki.

– Jak wam poszło w tym roku szkolnym? Zebraliście dobre stopnie?

Beverly rzuciła te pytania w stronę całej grupki, ale tylko Holly na nią spojrzała. Holly miała piątki ze wszystkich przedmiotów oprócz czytania, z którego miała szóstkę. Beverly pytała, czy kiedy wylatywali z Los Angeles, była ładna pogoda, czy zjedli coś w samolocie, czy mieli udaną podróż. Za każdym razem odpowiadała Holly.

– Lot był opóźniony o trzydzieści minut z powodu tłoku na pasie startowym. Zajęliśmy dwudzieste szóste miejsce w kolejce – powiedziała, unosząc bródkę – ale mieliśmy dobry wiatr i pilot zdołał nadrobić większość czasu w powietrzu. – Przedziałek rozdzielający jej warkoczyki był potwornie krzywy, jakby zrobiono go palcem pijaka, a nie grzebieniem.

Chłopcy oddalili się w przeciwnych kierunkach. Przez chwilę widziała Cala stojącego na taśmie bagażowej trzy stanowiska dalej, sunącego razem z walizkami z Houston. Zaraz potem zeskoczył, żeby uniknąć szarży nadciągającego bagażowego.

– Cal! – zawołała Beverly w tłumie. Nie mogła na niego nakrzyczeć, nie przy ludziach, nie z takiej odległości, więc powiedziała tylko: – Przyrowadź tu brata! – Cal jednak rzucił jej takie spojrzenie, jakby to, że on ma na imię Cal, a ona, zupełnie mu nieznana kobieta, mówi coś do kogoś, kto też się tak nazywa, było jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności. Odwrócił się. Jeanette stała tuż obok Beverly i patrzyła na pasek swojej małej torebki, dosłownie świdrowała go wzrokiem. Czy ktoś pomyślał o tym, żeby zaprowadzić to dziecko na badania? W końcu ostatnie bagaże z bezpośredniego lotu linii TWA z Los Angeles do Dulles ześlizgnęły się na taśmę i zostały z niej zdjęte przez czekających podróżnych. Nic nie pozostało. Tłum się rozproszył, a Beverly zauważyła, że Albie próbuje odkleić od podłogi kawałek starej gumy do żucia za pomocą czegoś, co z daleka wyglądało prawie jak nóż. Odwróciła się. – No dobrze – powiedziała, obliczając w myślach, ile czasu zajmie im podróż do Arlington o tej porze dnia. – Wygląda na to, że bagaż nie przyleciał. To żaden problem. Będziemy musieli pójść do biura i wypełnić formularze. Zachowaliście kwity bagażowe? – spytała, odwracając się do Holly. Jeśli chciała się czegokolwiek dowiedzieć, najlepiej było kierować wszystkie pytania do Holly, która najwyraźniej miała naturalną potrzebę zadowalania ludzi. Była jej jedyną szansą.

– Nie mamy żadnych kwitów – powiedziała Holly. Miała bardzo bladą skórę, ciemne proste włosy i twarz usianą piegami. Wykazywała podobieństwo do Pippi Langstrumpf, które dorosłym wydawało się urocze, a innym dzieciom dawało powód do żartów.

– Ale w którymś momencie je mieliście. Czy mama wam ich nie dała?

Holly zaczęła jeszcze raz:

– Nie mamy żadnych kwitów bagażowych, bo nie mamy bagażu.

– Jak to: nie macie bagażu?

– Po prostu nie mamy. – Holly nie wiedziała, jak mogłaby wyrazić się jaśniej.

– Chcesz powiedzieć, że zapomnieliście go zabrać z Los Angeles? Że go zgubiliście? – Beverly była rozkojarzona. Rozglądała się w poszukiwaniu Cala, ale go nie widziała. Co dziesięć kroków stały tabliczki przestrzegające przed siadaniem i stawianiem na taśmach bagażowych.

Dolna warga Holly lekko zadrżała, ale jej macocha tego nie zauważyła. Holly już

wcześniej myślała, że podróżowanie bez bagażu jest podejrzane, ale matka ją zapewniła, że ojciec tak chciał. Chciał, żeby dzieci miały wszystko nowe – nowe ubrania, nowe zabawki, nowe torby, w których będą mogły zwieźć łup do domu. Może po prostu zapomniał powiedzieć o tym Beverly.

– Nie mieliśmy żadnego bagażu – powiedziała cicho.

Beverly spojrzała na nią z góry. Niech szlag trafi Berta, który zapewniał, że bez trudu poradzi sobie z tym sama.

– Co?

Zmuszanie Holly, żeby wymówiła to na głos, było okropne, a zmuszanie jej do zrobienia tego po raz drugi – niewybaczalne. Oczy Holly wypełniły się łzami, które popłynęły po piegach.

– Nie. Mamy. Żadnego. Bagażu.

Wiedziała, że naraziła się ojcu, a przecież nawet go jeszcze nie widziała. Co gorsza, ojciec znowu wścieknie się na matkę. Bez przerwy mówił, że jest nieodpowiedzialna, ale to nie była prawda.

Spojrzenie Beverly pobiegło z jednego końca hali bagażowej na drugi. Pasażerowie i ludzie, którzy po nich przyszliz, powoli się rozchodzili, jej dwóch pasierbów zaginęło, jedna pasierbica płakała, a druga była tak zaabsorbowana winylowym paskiem torebki, że trudno było jej nie podejrzewać o opóźnienie w rozwoju.

– Dlaczego w takim razie od półgodziny stoimy przy taśmociągu? – Beverly nie podniosła głosu. Jeszcze nie była wściekła. Wpadnie we wściekłość później, gdy w końcu będzie miała czas się nad tym zastanowić, teraz po prostu nie rozumiała, co się dzieje.

– Nie wiem! – krzyknęła Holly, zalewając się łzami. Podciągnęła koszulkę i wytarła nią sobie nos. – To nie moja wina. To ty nas tu przyprowadziłaś. Nigdy nie mówiłam, że mamy bagaż.

Jeanette rozpięła zamek swojej małej torebki, pogrzebała w środku i podała siostrze chusteczkę.

Co roku druga wyprawa Beverly na lotnisko okazywała się gorsza, dlatego że Beverly zawsze myślała, że będzie lepsza. Zostawiała czworo pasierbów w domu (najpierw ze swoją matką, potem z Bonnie, potem z Wallis, a teraz pod opieką Cala. Przecież zostawali sami w domu w Torrance, a w Arlington było bezpieczniej niż w Torrance) i znowu jechała na lotnisko Dulles, żeby odebrać swoje córki. Dzieci Berta przylatywały na wschód na całe wakacje, lecz Caroline i Franny podróżowały na zachód na dwa krótkie tygodnie: jeden z Fixem, a potem jeden z jej rodzicami, wystarczająco długo, by dziewczynki mogły sobie przypomnieć, że zdecydowanie wolą Kalifornię od Wirginii. Niemrawo wychodziły z samolotu, wyglądając na skrajnie odwodnione po przepłakaniu całego lotu. Beverly padała na kolana, żeby je uściskać, ale one zachowywały się jak duchy. Caroline chciała mieszkać z ojcem. Błagała o to, prosiła i rok w rok spotykała się z odmową. Nienawiść Caroline do matki promieniowała przez materiał jej różowej koszulki z kołnierzykiem, gdy matka tuliła ją do piersi. Franny zaś po prostu stała i tolerowała uścisk. Jeszcze nie wiedziała, jak nienawidzić matki, ale ilekroć cała we łzach rozstawała się z ojcem na lotnisku, coraz bardziej zbliżała się do rozwiązania tej zagadki.

Beverly ucałowała główki córek. Główkę Caroline ucałowała jeszcze raz i dziewczyna się od niej odsunęła.

– Tak się cieszę, że jesteście w domu – powiedziała Beverly.

Ale Caroline i Franny nie cieszyły się, że są w domu. Ani trochę się nie cieszyły. I właśnie w takim opłakanym stanie siostry Keating docierały do Arlington, gdzie ponownie spotkały swoje przyrodnie rodzeństwo.

Holly była zdecydowanie przyjaźnie nastawiona. Zaczęła podskakiwać i nawet klasnęła w dłonie, gdy siostry weszły do domu. Powiedziała, że tego lata chce dać kolejny pokaz tańca w salonie. To nie był problem – problemem było to, że Holly miała na sobie należącą do Caroline czerwoną koszulkę z małą rozetką z białej wstążki przy dekolcie, tę samą, którą przed wyjazdem matka kazała córce włożyć do worka z rzeczami dla potrzebujących, dlatego że wyblakła i była już za mała. Holly nie wyglądała na potrzebującą.

Do Caroline należał większy pokój z dwoma piętrowymi łózkami, a do Franny, jako że była mniejsza, mniejszy pokój z dwoma tapczanami. Sióstr nie łączyła ani miłość, ani wzajemna sympatia, lecz bardzo mała łazienka, do której można było wejść z pokoiów po obu stronach. System obejmujący dwie dziewczynki i jedną łazienkę sprawdzał się od początku września do końca maja, ale w czerwcu, gdy Caroline i Franny wracały z Kalifornii, zastawały Holly i Jeanette, które rozgościły się na jednym z piętrowych łóżek, a Franny traciła swój pokój na rzecz chłopców. Cztery dziewczynki w jednym pokoju i dwaj chłopcy w drugim mieli do dyspozycji łazienkę wielkości budki telefonicznej, którą musiała się dzielić cała szóstka.

Caroline i Franny wtaszczyły bagaż po schodach, bo bagaż był z definicji czymś, co należy taszczyć. Minęły otwarte drzwi głównej sypialni, w której Cal leżał na łóżku ich matki, z brudnymi nogami w brudnych skarpetkach opartymi o poduszki, i w rozkręconym na cały regulator telewizorze oglądał mecz tenisa. Im nigdy nie wolno było wchodzić do głównej sypialni i siadać na łóżku, nawet jeśli trzymały stopy na podłodze, i nie było im wolno oglądać telewizji bez wyraźnego zaproszenia. Gdy przechodziły korytarzem, Cal nie oderwał wzroku od ekranu i w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że je zauważył.

Holly szła za nimi, i to tak blisko, że wpadła na nie, gdy się zatrzymały.

– Pomyślałam, że wszystkie cztery mogłybyśmy tańczyć w białych koszulach nocnych. Co wy na to? Mogłybyśmy zacząć próby dziś po południu. Mam już trochę pomysłów na choreografię, jeśli chcecie zobaczyć.

Z czterech dziewczynek mających wystąpić w pokazie widać było tylko trzy. Jeanette zaginęła w akcji. Nikt nie zauważył jej zniknięcia, ale zaginął także Jaskier, kot Franny. Jaskier nie przybiegł do drzwi, żeby powitać Franny, co z pewnością by zrobił po dwóch tygodniach jej nieobecności. Jaskier, nić łącząca Franny z normalnością, zniknął. Beverly, tonąc w morzu dzieci, nie pamiętała, kiedy po raz ostatni widziała kota, ale nagłe, paraliżujące szlochanie Franny skłoniło ją do starannego przeszukania domu. Beverly znalazła Jeanette pod kołdrą na podłodze w głębi bieliźniarki (od jak dawna tam siedziała?). Dziewczynka głaskała śpiącego kota.

– To mój kot! – zawołała Franny, a Beverly pochyliła się i wzięła zwierzę od

Jeanette. Dziewczynka przytrzymała kota przez ostatnie pół sekundy, zanim go puściła.

Albie przez cały czas chodził za Beverly po domu, wydając z siebie dźwięki, które dzieci nazywały „muzyką dla striptizerki”:

– Bum czika-bum, bum-bum czika-bum.

Gdy Beverly się zatrzymywała, muzyka cichła. Jeśli zrobiła choć jeden krok, Albie akompaniował jej, mówiąc tylko „bum” głosem, który jak na głos sześciolatka miał osobliwie erotyczne brzmienie. Zamierzała to ignorować, ale po chwili sytuacja ją przerosła. Gdy w końcu puściły jej nerwy i krzyknęła: „Przestań!”, Albie tylko na nią spojrział. Miał przeogromne brązowe oczy i niesforne brązowe loki upodabniające go do zwierzątka z kreskówki.

– Mówię poważnie – powiedziała Beverly, podejmując wysiłek, żeby zapanować nad oddechem. – Masz tego nie robić.

Starła się przybrać rozsądny, rodzicielski ton, ale gdy się odwróciła, żeby odejść, usłyszała ciche, stłumione buczenie:

– Bum czika-bum.

Myślała o tym, żeby go zabić. Myślała o zabiciu dziecka. Trzęsły jej się ręce. Poszła do swojego pokoju, chciała zamknąć drzwi, przekręcić klucz i pójść spać, ale już w korytarzu dobiegł ją stukot piłki tenisowej, ryk tłumu. Wychyliła głowę zza framugi.

– Cal? – powiedziała, starając się nie rozplakać. – Chcę teraz pobyć w swoim pokoju.

Cal nie ruszył się z miejsca, nawet nie drgnął. Siedział ze wzrokiem utkwionym w ekranie.

– Jeszcze się nie skończyło – odparł, jakby nigdy wcześniej nie widziała meczu tenisa i nie rozumiała, że skoro piłka jest w ruchu, to gra nadal trwa.

Bert nie popierał oglądania telewizji przez dzieci. W najmniej szkodliwej wersji była to według niego strata czasu połączona z okropnym hałasem. W najbardziej szkodliwej – zastanawiał się, czy nie ogranicza rozwoju mózgu. Pomyślał, że Teresa popełniła ogromny błąd, pozwalając dzieciom na oglądanie takiej ilości telewizji. Mówił jej, żeby tego nie robiła, ale ona nigdy go nie słuchała w sprawach związanych z rodzicielstwem, w jakichkolwiek sprawach. Dlatego on i Beverly mieli w domu tylko jeden telewizor i dlatego postawili go w swojej sypialni, do której dzieci nie miały dostępu, albo raczej do której nie miały dostępu jej córki w ciągu roku szkolnego. Teraz Beverly miała ochotę odłączyć telewizor od kontaktu i zataszczyć go do pomieszczenia, które agentka z biura nieruchomości nazwała „pokojem rodzinnym”, mimo że chyba żaden z członków rodziny nigdy się tam nie zapuszczał. Poszła korytarzem, a Albie trzymał się w bezpiecznej odległości, monotonicznie nucąc swoją muzyczkę. Kto go tego nauczył? Matka? Ktoś go nauczył. Sześciolatki nie przesiadują w klubach ze striptizem, nawet takie jak Albie. Beverly poszła do pokoju dziewczynek, ale Holly właśnie czytała tam *Rebekę*.

– Czytałaś kiedyś *Rebekę*, Beverly? – spytała Holly, gdy tylko Beverly weszła do pokoju, a jej mała buzia promieniała, promieniała, promieniała. – Pani Danvers śmiertelnie mnie przeraża, ale i tak będę czytała dalej. Nieważne, czy miałabym szansę zamieszkać w Manderley. Nie zostałabym tam, gdyby ktoś był dla mnie tak okropny.

Beverly lekko pokiwała głową i wycofała się z pokoju. Pomyślała o tym, żeby spróbować się położyć w pokoju chłopców, który kiedyś należał do Franny, ale zrezygnowała, bo unosił się w nim nieokreślony orzechowy zapach przywodzący na myśl skarpetki, bieliznę i niemyte włosy.

Zeszła z powrotem na dół i zastała Caroline wściekle tłukącą się po kuchni, mówiącą, że zamierza upiec ojcu brownie i przesłać mu je pocztą, żeby miał coś do jedzenia.

– Twój ojciec nie lubi orzechów w brownie – powiedziała Beverly. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Starła się pomóc.

– Właśnie, że lubi! – odparła Caroline, tak szybko odwracając się od matki, że wysypała na blat pół torebki mąki. – Może nie lubił, kiedy go znałaś, ale już go nie znasz. Teraz lubi orzechy we wszystkim.

Albie był w jadalni. Słyszała przez kuchenne drzwi, jak śpiewa. Jego zdolność do skupienia się na jednej czynności była zdumiewająca. Franny była w salonie, wsuwała przednie łapy kota w rękawy lalczynej sukienki i płakała tak cichutko, że jej matka nabrała przekonania, iż każda rzecz, którą zrobiła w życiu, była błędem.

Nie było dokąd pójść, nie było jak się od nich uwolnić, nie mogła nawet schować się w bielizniarce, bo Jeanette nie wyszła z niej, odkąd zmuszono ją do oddania kota. Beverly wzięła kluczyki od samochodu i wyszła. W chwili, w której zamknęła za sobą drzwi, znalazła się jakby pod wodą, w jej płuca uderzyło gorące i ciężkie letnie powietrze. Pomyślała o tarasie za domem w Downey, o tym, jak siadywała na nim popołudniami, Caroline jeździła trójkołowym rowerkiem, szczęśliwa Franny siedziała jej na kolanach, a zapach kwiatów pomarańczy był niemal wszechogarniający. Fix musiał pozbyć się tej nieruchomości, żeby wypłacić jej połowę niewielkiego majątku, którego się dorobili, i zabezpieczyć dzieci. Dlaczego zmusiła go do sprzedaży domu? W Wirginii nie dało się wysiedzieć na zewnątrz. Już idąc w stronę podjazdu, nazbierała pięć nowych bąbli po ukąszeniu komara, a każdy z nich puchł do wielkości ćwierćdolarówki. Beverly miała uczulenie na ukąszenia komara.

W samochodzie było co najmniej czterdzieści stopni. Zapuściła silnik, włączyła klimatyzację, wyłączyła radio. Położyła się na rozgrzanym zielonym winylu kanapy, by nikt wyglądający przez frontowe okno domu nie mógł jej zobaczyć. Pomyślała, że gdyby była w garażu, a nie pod wiatą, właśnie w tej chwili popełniałaby samobójstwo.

Nauka w kalifornijskich szkołach publicznych trwała trochę dłużej niż w katolickich szkołach w Wirginii, więc między wyjazdem jej dzieci a przyjazdem jego dzieci Beverly i Bert mieli pięć dni tylko dla siebie. Pewnego wieczoru po kolacji kochali się na dywanie w jadalni. Nie było wygodnie. Od przeprowadzki do Wirginii Beverly nieustannie chudła i kościste wypustki jej kręgow i obojczyków stały się tak widoczne, że mogłaby się zatrudnić jako manekin pokazowy na lekcjach anatomii. Każde pchnięcie przesunęło ją o pół centymetra, szorując jej skórą po tkaninie z domieszką wełny. Lecz nawet mimo otarć czuli się śmiali i namiętni. „To nie był błąd”, powtarzał jej Bert, gdy leżeli potem na plecach, gapiąc się w sufit. Beverly naliczyła w żyrandolu pięć miejsc, w których brakowało szklanych kryształów. Wcześniej ich nie zauważyła.

– Wszystko, co się dotąd wydarzyło w naszym życiu, wszystko, co zrobiliśmy,

musiało się wydarzyć dokładnie w taki sposób, żebyśmy mogli być razem. – Bert wziął ją za rękę i ścisnął.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała Beverly.

– To magia – odpowiedział.

Jeszcze tego samego dnia posmarował jej kręgosłup maścią na otarcia. Spała na brzuchu. Tak wyglądały ich wakacje.

Jeśli chodzi o dzieci Keatingów i dzieci Cousinsów, najbardziej niezwykle było to, że wcale nie czuły do siebie nienawiści, a w dodatku nie miały w sobie ani krztyny plemiennej lojalności. Cousinsowie wcale nie woleli towarzystwa innych Cousinsów, a Keatingówny z łatwością mogłyby się obyć bez siebie nawzajem. Cztery dziewczynki były złe, że wciśnięto je do jednego pokoju, ale nie miały do siebie o to pretensji. Chłopcom, którzy zawsze byli źli na wszystko, chyba nie przeszkadzało towarzystwo aż tylu dziewczynek. Całą szóstkę łączyła jedna nadrzędna zasada spychająca potencjalną wzajemną niechęć na dalszy plan: nie lubili rodziców. Nienawidzili ich.

Jedyną osobą przejmującą się tym faktem była Franny, dlatego że Franny zawsze kochała matkę. W ciągu roku szkolnego zdarzało im się drzemać razem po południu po lekcjach, wtulając się w siebie tak mocno, że po zaśnięciu śniło im się to samo. Rano Franny siadała na opuszczonej klapie sedesu i patrzyła, jak jej matka się maluje, a wieczorem znowu siadała na tej samej klapie i rozmawiała z mamą zażywającą kąpieli. Franny była pewna, że jest nie tylko ulubioną córką matki, lecz i najbliższą jej osobą. Tylko nie latem, gdy matka patrzyła na nią, jakby była jedynie czwartym z sześciorga dzieci. Gdy matka miała dość Albiego, zarządzała, żeby wszystkie dzieci wyszły na dwór, i „wszystkie dzieci” obejmowały także Franny. Lody trzeba było jeść na zewnątrz. Arbuza – też na zewnątrz. A od kiedy to nie można było zaufać Franny w kwestii jedzenia arbuza przy kuchennym stole? To było uwłaczające, zresztą nie tylko dla niej. Może Albie nie był w stanie zjeść miseczki lodów, nie upuszczając jej na podłogę, ale reszta nie miała z tym najmniejszego problemu. Mimo to wychodzili wszyscy. Wychodzili, trzaskali drzwiami i wybiegali na ulicę, sadząc susy po gorącym chodniku jak sfora dzikich psów.

Czworo małych Cousinsów nie miało do Beverly pretensji o beznadziejne wakacje. Mieli pretensje do swojego ojca i powiedzieliby mu to prosto w twarz, gdyby kiedykolwiek był w pobliżu. Cal i Holly w żaden sposób nie okazywali, że ich zdaniem zachowanie Beverly jest niewybaczalne (Jeanette i tak nigdy się nie odzywała, a Albie, no cóż, kto mógł wiedzieć, co myśli Albie), lecz Caroline i Franny były przerażone. Ich matka kazała dzieciom ustawiać się w kuchni według wieku i podchodzić z talerzem do kuchenki, zamiast postawić półmiski z jedzeniem na stole, tak jak robiła to przez resztę roku. Latem opuszczały cywilizowany świat, przenosząc się do scenerii sierocińca z pierwszych scen *Olivera Twista*.

Był lipiec, czwartek wieczorem, gdy Bert zwołał rodzinne zebranie w salonie i ogłosił, że rano pojedą nad jezioro Anna. Powiedział im, że wziął dzień urlopu i zarezerwował trzy pokoje w motelu Pinecone. W niedzielę rano mieli pojechać do Charlottesville, żeby odwiedzić jego rodziców, i stamtąd wrócić do domu.

– Są wakacje – powiedział Bert. – Wszystko zorganizowane.

Dzieci zamrugały, z lekka poruszone wizją dnia, który miał być niepodobny do

każdego z pozostałych dni, a Beverly zamruwała, dlatego że wcześniej Bert jej o tym nie wspomniał. Dzieci widziały, jak próbuje pochwycić spojrzenie męża, ale jego spojrzenia nie dało się złapać. Motel, jezioro, posiłki w restauracjach, odwiedziny u skrajnie niegościnnych rodziców Berta, którzy mieli konie, staw i fantastyczną czarną kucharkę o imieniu Ernestine, latem poprzedniego roku uczącą dziewczynki piec ciasta. Gdyby dzieci były skłonne odzywać się do rodziców, być może powiedziałyby, że plan brzmi fajnie, ale nie były skłonne, więc nie powiedziały.

Nazajutrz rano było gorąco jak w piekle. Ptaki ucichły, żeby nie marnować sił. Bert kazał dzieciom wsiąść do samochodu, choć wszyscy wiedzieli, że nie jest to takie proste. Najpierw musiała wybuchnąć paskudna kłótnia o to, kto ma siedzieć z Albiem, i wszyscy stali na podjeździe, czekając na jej początek. Miejsca z przodu, zarezerwowane dla rodziców, były niedostępne, mimo że w ciągu roku szkolnego Caroline i Franny ciągle na nich jeździły. Pozostawała zatem tylna kanapa, dodatkowe siedzenie z tyłu i jeszcze jedno, na samym końcu, niemal w bagażniku. Ostatecznie dzieci zawsze siadały parami, dobrane według płci lub wieku, co oznaczało, że obok Albiego ładowali albo Cal, albo Jeanette, czasami Franny, ale nigdy Caroline czy Holly. Albie z uczuciem śpiewał swoją wersję *Dziewięćdziesięciu dziewięciu butelek piwa na ścianie*, w której liczby nie mały po kolei – u niego butelek było pięćdziesiąt siedem, siedemdziesiąt osiem, cztery, sto cztery. Straszyl, że zwymiotuje w samochodzie i wydawał z siebie przekonujące odgłosy torsji, zmuszając Berta do zjeżdżania na pobocze drogi międzystanowej bez powodu, zaś Jeanette nieuchronnie wymiotowała, nie mówiąc na ten temat ani słowa. Przy każdym znaku zapowiadającym zjazd Albie pytał, czy nie powinni już skręcić.

– Daleko jeszcze? – powtarzał, a potem wybuchał śmiechem, bardzo tym wszystkim uradowany. Nikt nie chciał siedzieć obok Albiego.

Gdy już zaczęły się przepychanki na podjeździe, Bert wyszedł z domu, niosąc płócienną torbę wielkości pudełka na buty. Bert zabierał bardzo mało bagażu.

– Cal – powiedział. – Usiądziesz obok brata.

– Siedziałem obok niego poprzednim razem – zaprotestował Cal. Nikt nie byłby w stanie sobie przypomnieć, czy faktycznie tak było, a zresztą co miało znaczyć „poprzednim razem”? Poprzednim razem, kiedy jechali samochodem? Poprzednim razem, kiedy byli na wycieczce? Przecież nigdy nie jeździli na wycieczki.

– Więc tym razem też obok niego usiądziesz. – Bert wrzucił torbę do tyłu i zatrasnął drzwi.

Cal się rozejrzył. Albie biegał za dziewczynkami, lekko dźgając je palcem wskazującym, a one piszczały. Wszystkie cztery zlewały się w umyśle Cala w bezkształtną masę: jego rodzone siostry, przyrodnie siostry, trudno było wytypować jedną, której przypadnie w udziale najgorszy los. Wtedy Cal spojrzał na Beverly, na jej fioletową koszulkę w paski, na jej długie blond włosy pokręcone i ułożone w elegancką fryzurę, na jej okulary przeciwsłoneczne, wielkie jak u gwiazdy filmowej.

– Każ jej – powiedział do ojca.

Bert spojrzał na swoje najstarsze dziecko, a potem na żonę.

– Co mam jej kazać?

– Każ jej, żeby z nim siedziała. Każ jej usiąść z tyłu.

Bert uderzył Cala otwartą dłonią. Dał się słyszeć dźwięk, ale trudno było uznać cios za poważny, ręka tylko odbiła się od boku głowy. Cal zatoczył się do tyłu dla lepszego efektu, choć w rzeczywistości wcale tak bardzo nie ucierpiał. W szkole przyjmował mocniejsze uderzenia, poza tym doszedł do wniosku, że warto było się poświęcić, by zobaczyć, jak z twarzy Beverly odpływa resztką koloru. Cal zauważył, że przez ułamek sekundy nie była pewna, po czyjej stronie stanie Bert, i zamarła, widząc oczyma duszy, jak przez całą drogę nad jezioro Anna siedzi na tylnym siedzeniu obok Albiego. Bert powiedział, że ma dość tych wszystkich bzdur. Kazał im wsiadać do samochodu. I wsiedli, nawet Beverly, milczący i bardzo rozgoryczeni.

Bert przez całą drogę jechał z opuszczoną szybą i łokciem skierowanym w stronę falujących wzgórz. Nie odezwał się ani słowem. Gdy trzy godziny później dotarli do Arrowhead Diner, kazał wszystkim ustawić się w szeregu i kolejno odliczyć: Cal był jedyneką, Caroline dwójką, Holly trójką.

– Boże, przecież nie jesteśmy Trappami z *Dźwięków muzyki* – mruknął pod nosem Cal.

Franny spojrzała na niego ze strachem zmieszonym z niedowierzaniem. Użył imienia Boga nadaremno. To poważna sprawa.

– Nie wolno tak brzydko mówić – powiedziała. Bert mógł brzydko mówić, choć oczywiście było to złe, ale dzieciom pod żadnym pozorem nie wolno było tego robić. Nie miała żadnych wątpliwości. Nawet w wakacje była wychowanką katolickiej szkoły.

Cal, najstarszy i najwyższy ze wszystkich dzieci, położył prawą dłoń na jej głowie i ścisnął, sięgając palcami w stronę uszu. Głowę którejś ze swojej rodzonych sióstr ścisnąłby mocniej, lecz i tak odzyskał kontrolę.

Caroline, najstarsza z dziewczynek, musiała zdecydować, kto z kim będzie spał w Pinecone, i przy kolacji ogłosiła, że będzie dzieliła łóżko z Holly. To oznaczało, że Franny przypadnie Jeanette. Franny lubiła Jeanette. Lubiała też Holly, po prostu nie chciała spać z Caroline, która bez wahania udusiłaby ją poduszką w środku nocy. Chłopcy dostali osobny pokój i każdy miał własne łóżko. O siódmej wieczorem rodzice zaczęli się wiercić i ziewać, a potem ogłosili, że są wyczerpani, że pora iść spać i że rano czeka ich wszystkich zabawa.

Zamiast niej rano czekał na dzieci liścik wsunięty pod drzwi pokoju dziewczynek. „Zjedzcie śniadanie w kawiarni. Niech je dopiszą do rachunku. Śpimy do późna. Nie pukajcie”. To był charakter pisma ich matki, ale nie dodała „Kocham was” ani nawet „Mamusia”. W ogóle się nie podpisała. Kolejny dokument w nieustannie rosnącej górze dowodów świadczących o tym, że są zdani wyłącznie na siebie.

Wszystkie drzwi w długim rzędzie jaskrawoniebieskich drzwi w Pinecone były zamknięte, a zasłony w oknach zaciągnięte. Samochody zaparkowane przed pokojami były mokre od rosy, zresztą może w nocy padał deszcz. Dziewczynki wyszły na zewnątrz i zapukały do drzwi Cala, które znajdowały się na prawo od ich własnych. Cal uchylił. Zza zamkniętych na łańcuch drzwi spoglądał na nie jednym okiem.

– Idziemy na śniadanie – powiedziała Holly. – Możecie iść z nami albo i nie.

Cal zamknął drzwi, odpiął łańcuch i otworzył je ponownie. W głębi pokoju zobaczyły Albiego, który siedział na szerokim łóżku i oglądał kreskówki, rytmicznie

kopiąc brzeg materaca. Ilekroć którejś z dziewczynek przyszło do głowy ponarzekać, że są we cztery w jednym pokoju i muszą się dzielić dwoma łózkami, myślały o Calu skazanym na Albiego. Cal dzielił pokój z Albiem w domu, więc może był do tego przyzwyczajony, ale pewnie nie.

– Chodźmy – powiedział Cal.

Chłopiec był zbudowany tak jak jego ojciec. Śniady, o ciemnych włosach, które latem, podobnie jak jego skóra, przybierały złotawy odcień. Miał niebieskie oczy, oczy swojego ojca, podczas gdy troje pozostałych dzieci odziedziczyło ciemne oczy matki. Albie może i przypominał trochę piegowatą Holly, ale rozwaga Holly i brak rozwagi Albiego tłumili wszelkie fizyczne podobieństwo. Cała czwórka była chuda, ale Jeanette była tak chuda, że nie przypominała nikogo z rodzeństwa. Opisując ją, nie wspomniano o ładnej twarzy czy włosach, które lśniły i miały barwę ciemnego miodu. Mówiąc o Jeanette, wszyscy odnosili się wyłącznie do jej łokci i kolan, które naprawdę przywodziły na myśl gałki u drzwi. Gdy cała szóstka była razem, kojarzyła się bardziej z uczestnikami letniego obozu niż rodziną, przypadkowe dzieci stojące na jednym chodniku. Bardzo niewiele cech wskazywało na to, że coś je ze sobą łączy, próżno było szukać podobieństw nawet między tymi, które faktycznie łączyły więzi krwi.

– Będą spali do południa – oznajmiła Holly, mając na myśli rodziców. W kawiarni popychała jajka widelcem, zataczając nimi kręgi na talerzu.

– A jak już w końcu wstaną, powiedzą nam, że muszą się zdrzemnąć – powiedziała Caroline.

Miała rację. Rodzice drzemali jak gorączkujące dwulatki. Wszystkie dzieci pokiwały głowami. Cal siedział obok okna i odwrócił się od nich, żeby gapić się na drogę. Albie walił otwartą dłońią w dno butelki z keczupem, aż w końcu jej zawartość wylała się na jego naleśniki.

– Jezu – stęknął Cal, zabierając mu butelkę. – Nie możesz przez chwilę posiedzieć, nie robiąc niczego obrzydliwego?

– Patrz – powiedział Albie, unosząc ociekający keczupem naleśnik na wysokość jego twarzy.

Jeanette dwoma palcami przyszpiliła grzankę do talerza i odcięła nożem skórkę.

– Nie zamierzam tu siedzieć cały dzień i na nich czekać – oznajmiła Caroline.

– A co innego możemy zrobić? – spytała Franny, bo nie było tam nic do roboty. Może spytaliby, czy w motelu są jakieś gry planszowe? Karty? Było jeszcze tak wczesnie, minęła dopiero siódma, i słońce wpadało przez okno kawiarni jak zaproszenie dostarczone do ich stolika na srebrnej tacy. Zapowiadał się dobry dzień na pływanie.

– Przyjechaliśmy nad jezioro, więc powinniśmy iść nad jezioro – stwierdziła Caroline, czytając w myślach siostry, albo raczej czytając w nich do połowy. Pod ubraniem miała kostium kąpielowy. Wszyscy mieli. Caroline była o wiele bardziej wściekła niż reszta. Słysząc to było w jej głosie. Z drugiej strony najbardziej wściekły mógł być Cal, tyle że jego wściekłość przejawiała się w inny sposób.

Jeanette oderwała spojrzenie od grzanki.

– Chodźmy – powiedziała.

Było to pierwsze słowo, jakie wyartykułowała, odkąd wyjechali z Arlington

poprzedniego dnia, więc sprawa została przesądzona. Po co mieliby czekać, aż rodzice się obudzą? Gdy wychodzili z rodzicami, dzieci były podzielone na dwie grupy: duże dzieci – Cal, Caroline i Holly – oraz małe dzieci – Jeanette, Franny i Albie. Dużym dzieciom wolno było się oddalać, pływać w głębokiej wodzie bez kamizelek ratunkowych, spacerować poza zasięgiem wzroku rodziców i samodzielnie decydować, co zjedzą na lunch. Małe dzieci można było równie dobrze przywiązać do drzewa i zmuszać do jedzenia z jednego talerza. Małym dzieciom nie należało ufać. Bez dalszych dyskusji cała szóstka postanowiła, że lepiej będzie potraktować tę sytuację jak okazję.

Przy kasie dodali do rachunku za śniadanie sześciopak coli i dwanaście batonów, które w razie potrzeby starczyłyby im za lunch.

– Jak daleko jest do jeziora? – spytała Holly kelnerkę, która ich obsługiwała.

– Mniej więcej trzy kilometry, może trochę mniej. Trzeba wrócić na drogę 98.

– A piechotą?

Kelnerka przez chwilę przyglądała się dzieciom. Wiele z nich wyglądało, jakby było dokładnie w tym samym wieku. Między Franny a Jeanette było tylko trzydzieści osiem dni różnicy.

– Gdzie są wasi rodzice?

– Ubierają się – powiedziała Caroline tonem znudzonego dziecka. – Kazali nam pójść razem nad jezioro. Mówili, że to będzie przygoda. Mamy tylko spytać o drogę.

Pozostałe dzieci uśmiechnęły się do niej promiennie, słysząc, jak kłamie z niezaprzeczalną wprawą. Kelnerka wzięła papierową podkładkę ze stosu i przewróciła ją na drugą stronę.

– Jeśli idzie się pieszo, można wybrać krótszą drogę.

Na jednym końcu podkładki narysowała prostokąt mający być motelem (oznaczyła go literą „P”), a na drugim kółko mające być jeziorem („J”). Nieregularna kreska, którą połączyła oba punkty, była ich przepustką do wolności.

Na parkingu Cal próbował otworzyć samochód, łapiąc za wszystkie klamki po kolei, ale kombi było zamknięte. Franny spytała, czego potrzebuje z samochodu, a on odburknął: „Czegoś. Zajmij się swoimi sprawami”. Oslonił oczy dłońmi i zajrzał przez szybę, próbując wypatrzeć to, czego szukał.

– Potrafię się włamać – powiedziała Caroline. – Jeśli to coś jest ci naprawdę potrzebne.

– Kłamczucha – odpowiedział Cal, nie zadając sobie trudu, żeby na nią spojrzeć.

– Potrafię – powtórzyła, a potem skinęła na Jeanette. – Przynieś mi wieszak z szafy.

Mówiła prawdę. Ojciec nauczył je tego na początku wakacji. W zeszłym tygodniu ich wujek Joe Mike niechcący zamknął kluczyki w samochodzie cioci Bonnie, gdy wszyscy spędzali weekend u dziadków, a ich ojciec otworzył drzwi wieszakiem, żeby Joe Mike nie musiał wzywać ślusarza i płacić mu dwunastu dolarów. Potem Fix pokazał obu zaciekawionym dziewczynkom, jak to się robi. Powiedział, że warto posiadać taką umiejętność. „Ludzie popełniają błąd, myśląc, że powinni za coś pociągnąć, a to nieprawda. Trzeba popchnąć”, poradził im.

Caroline wzięła się do prostowania wieszaka. To było najtrudniejsze.

– Strata czasu – powiedział Cal.

– Czyjego czasu? – spytała Holly. – Idź, jeśli tak bardzo ci się spieszy. – Była zaintrygowana i cała reszta wyraźnie widziała, że Cal również jest.

Albie chodził wokół samochodu, zataczając szerokie kręgi, kołysząc biodrami i nucąc swoje bum-bum.

– Przymknij się – powiedział do niego Cal. – Jeśli obudzisz tatę, urwie ci głowę.

Wtedy reszta dzieci przypomniła sobie, przed którym pokojem stoi zaparkowany samochód, i od tego czasu starała się już być cicho.

Caroline odchyliła palcem wskazującym gumową uszczelkę u dołu szyby i wsunęła końcówkę wieszaka, a pozostałe dzieci podeszły, żeby to zobaczyć. Dziewczyna trochę się bała, że zamki samochodowe mogą się od siebie różnić. Kombi było oldsmobilem, a samochód cioci Bonnie jakimś innym modelem, chyba dodge'em. Wsunęła koniuszek języka w kącik ust, gdy na czuja prowadziła wieszak ku czemuś, co jej ojciec nazwał wrażliwym punktem, a co znajdowało się jakieś dwadzieścia pięć centymetrów od przycisku blokującego drzwi. Po chwili poczuła, jak drut natrafia na mechanizm zamka. Nie próbowała go zahaczyć, choć kusilo ją, żeby to zrobić. Było to ledwo wyczuwalne wybrzuszenie i popchnęła je tak, jak ją nauczono.

Zamek odskoczył.

Wszystkie dziewczynki odniosły zwycięstwo, bo w porę przypomniły sobie, że nie należy krzyczeć. Caroline wyjęła wieszak i otworzyła drzwi, jakby to było coś zupełnie naturalnego. Nawet Albie objął ją w pasie.

– Zrobiłaś włam do samochodu! – powiedział głośnym szeptem, który upodobił go do filmowego gangstera.

– Zgadza się – przytaknęła i podarowała mu wieszak w prezencie.

Albie natychmiast podszedł do sąsiedniego samochodu i zaczął walić wieszakiem w szybę. Och, Caroline wiele by dała, żeby móc zadzwonić do ojca z motelowego telefonu! Chciała, żeby się dowiedział, jak dobrze się spisała.

Cal zabrał bratu wieszak i przyjrzał mu się z perspektywy tego nowo odkrytego potencjału.

– Nauczysz mnie, jak to się robi? – spytał, zwracając się ni to do Caroline, ni to do wieszaka.

– Coś takiego wolno robić tylko funkcjonariuszom policji – powiedziała Franny – oraz ich dzieciom. W przeciwnym razie jesteś przestępcą.

– Chciałbym być przestępcą – odparł Cal. Wślizgnął się na przednie siedzenie kombi, otworzył schowek na rękawiczki i wyjął z niego pistolet oraz małą dzinuzkę z nienaruszoną banderolą.

Nikt nie był zaskoczony, że w samochodzie leży pistolet, choć tylko Cal wiedział, że tam jest – a wiedział o tym dlatego, że kilka dni wcześniej grzebał w schowku na rękawiczki, gdy Beverly robiła zakupy w spożywczym, i znalazł pistolet, po raz kolejny udowadniając, że czasami po prostu trzeba zajrzeć do środka. Zaskoczyło ich jednak – Cala również – że Bert zostawił broń w samochodzie. Pomyśleli, że w takim razie w pokoju motelowym musi mieć drugi pistolet. Bert lubił nosić broń w teczce, trzymać ją w szafce nocnej, w szufladzie biurka w pracy. Lubiał opowiadać o przestępcach, których wsadził za kratki, i powtarzać, że nigdy nic nie wiadomo, i że musi chronić rodzinę, i że

nie zamierza pozwolić, by to ten drugi wykonał pierwszy ruch, ale tak naprawdę chodziło po prostu o to, że Bert lubił broń.

Tym, co zahipnotyzowało dzieci, był dżin. Może i rodzice lubili od czasu do czasu coś wypić, ale nie aż tak, żeby wozić ze sobą alkohol. Dzieci nigdy dotąd nie widziały dżinu w samochodzie. To było coś wyjątkowego.

– Przecież wiesz, że nie możesz tego zabrać ze sobą – powiedziała Holly, spoglądając w stronę drzwi pokoju rodziców. Miała na myśli i pistolet, i dżin.

– Wezmę na wszelki wypadek – odparł Cal.

Włożył pistolet do brązowej papierowej torby razem z batonami i colą. Jeanette wyjęła już stamtąd swoją colę i dwa batony i przełożyła do swojej torebki. Wzięła butelkę od brata i zaczęła gmerać przy folii zabezpieczającej zakrętkę, poluzowując ją tak delikatnie, że wreszcie poddała się jej paznokietkom i odeszła w jednym, możliwym do ponownego nałożenia kawałku. Wsadziła go do portmonetki i oddała butelkę bratu. Potem wyruszyli nad jezioro. Caroline niosła mapę.

Było goręcej, niż się spodziewali, choć nie bardziej niż poprzedniego dnia albo dwa dni wcześniej. Niebo już bieląło, rozmazując cały krajobraz. Holly podrapała się po rękach i ponarzekła na komary. Podobnie jak jej macocha była szczególnie wrażliwa na ich ukąszenia. Trawa na polu naprzeciw motelu, na polu, przez które kazała im iść kelnerka, sięgała im do pasa, a Albiemu do klatki piersiowej, lecz gdy już się w niej znaleźli, zauważyli maleńkie ciapki żółtych kwiatków kwitnących na łądkach.

– Widzicie jezioro? – spytał Albie. Koszulkę w niebiesko-żółte paski, którą kupiła mu Beverly, miał usmarowaną keczupem. Lepiły mu się ręce.

– Stop – powiedział Cal i podniósł otwartą dłoń w stronę nieba. Zatrzymali się jak żołnierze, wszyscy jednocześnie. – Odwróćcie się – rozkazał, a oni się odwrócili. – Co to za budynek? – spytał brata, pokazując na drugą stronę ulicy.

– Pinecone – powiedział Albie.

– Mówiła, że jak daleko jest z Pinecone do jeziora?

W ciszy słyszeli przejeżdżające ze świstem samochody. Głęboko w trawie świeższe pocierały skrzydełkami, a w górze nawoływały się ptaki.

– Trzy kilometry, może trochę mniej – powiedziała Franny. Wiedziała, że pytanie nie było skierowane do niej, ale nie mogła się powstrzymać. Stojąc tam, z jakiegoś powodu czuła niepokój, suche chwasty kłuły ją w łydki. Pola nie przecinała żadna ścieżka.

Cal pokazał na brata. To zabawne, że czasami potrafił być tak podobny do swojego ojca, choć przecież zupełnie go nie przypominał.

– Albie?

– Trzy kilometry – powiedział Albie. Zaczął smagać trawę otwartą dłonią, a potem wymachiwać ramieniem w tę i w tę, jak kosą.

– Więc już wiesz, że jeszcze daleko i wiesz, że nie widzę jeziora. – Cal znowu zaczął iść, a reszta z mozołem ruszyła za nim. Pole było większe, niż się wydawało z daleka, i po chwili nie widzieli już ani Pinecone, ani nic innego, jedynie trawę i spłowiełe niebo. Kilkoro uczestników wyprawy zastanawiało się, czy nadal idą we właściwym kierunku.

– Daleko jeszcze? – spytał Albie.

– Zamknij się – uciszyła go Holly.

Konik polny wielkości niemowlęcej piąstki wyskoczył z suchej trawy i przywarł do jej koszulki. Krzyknęła. Franny i Jeanette przesunęły się na lewą stronę grupy, a gdy się pochyliły, były przekonane, że nikt ich nie widzi. Były bardzo blisko siebie, prawie stykały się nosami, i zanim wynurzyły się z powrotem, Jeanette uśmiechnęła się do Franny.

– A teraz daleko jeszcze? – Albie skakał do przodu ze złączonymi nogami, ale gęsta trawa utrudniała mu przemieszczanie się. Odwrócił się i spojrzał na brata. – A teraz daleko jeszcze?

Cal znowu się zatrzymał.

– Mogę cię odesłać z powrotem. – Spojrzał za siebie. Wydeptany ślad, który zostawili w trawie, wciąż był widoczny.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Albie.

– W Wirginii – stęknął Cal głosem znużonego dorosłego. – Zamknij się.

– Chcę ponieść pistolet – powiedział Albie.

– Ludzie w piekle chcą wody – odezwała się Caroline. To było powiedzonko jej ojca.

– Cal ma pistolet – zaśpiewał Albie, a jego głos zabrzmiał na otwartym terenie zaskakująco donośnie. – Cal ma pistolet!

Znowu się zatrzymali. Cal przesunął brązową torbę bliżej pachy. Nie wiadomo skąd nadfrunęły dwie jaskółki, które śmignęły obok nich. Albie nie chciał przestać śpiewać. Jeanette wyjęła z torebki puszkę coli.

– Jeszcze za wcześnie, żeby pić – powiedziała Holly. Miała za sobą pierwszy rok w skautach i przeczytała w podręczniku rozdział na temat taktyk przetrwania. – Musi ci to starczyć na jak najdłużej.

Jeanette i tak otworzyła puszkę. Patrząc, jak pije, wszyscy doszli do wniosku, że też są spragnieni. Nad jeziorem będzie przecież więcej coli.

– Cal ma pistolet – zawołał Albie, ale z mniejszym zaangażowaniem.

Holly spojrzała na niebo. Było zupełnie puste. Nie zauważyła ani jednej chmurki, która mogłaby ich osłonić.

– Szkoda, że nie mam tic taca – powiedziała.

Cal przez chwilę się zastanawiał, a potem pokiwał głową. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął z niej małą foliową woreczek wielkości mniej więcej trzech znaczków pocztowych, w którym trzymał tabletki benadrylu. Matka kazała mu je nosić z powodu jego alergii. Wszyscy usiedli, rozgarniając trawę, i Caroline otworzyła papierową torbę. W bardzo oficjalny sposób wyjęła z niej pistolet i położyła go obok siebie, a potem rozdała colę. Cal poszedł za jej przykładem i wręczył każdemu po dwie jaskraworóżowe tabletki.

– Ty nie powinieneś nic dostać – powiedział do Albiego. – Cholernie działasz mi dzisiaj na nerwy.

Albie wyciągnął jednak rękę i trzymał ją w milczeniu, domagając się swojego przydziału, aż w końcu Cal westchnął i wydzielił mu dwie tabletki.

– Tego mi było trzeba – powiedziała Holly, zbliżając pigułki do ust, a następnie

odsuwając je z powrotem, przyciśnięte do kciuka. Wyjęła z torby butelkę dżinu i pociągnęła z niej jak z puszkii coli, lecz efekt ją zaskoczył. Przez chwilę omal tego nie wypłuła, ale jakoś zdołała zacisnąć usta. Podała butelkę siostrze, a potem wyciągnęła się na plecach. – Teraz nie mam już nic przeciwko temu, żebyśmy poszli nad jezioro – stwierdziła.

Jeanette golnęła dżinu i zakaszła, a potem przechyliła się w bok i podała swoje tabletki Albiemu.

– Możesz zjeść też moje.

Spojrzał na dwie dodatkowe tabletki na swojej dłoni. Miał teraz cztery. W jasnym świetle ich róż mocno odcinał się na tle tak wielkiej ilości spłowiałej trawy.

– Dlaczego? – spytał, może podejrzliwie, a może nie.

Jeanette wzruszyła ramionami.

– Po tic tacach boli mnie brzuch.

To było możliwe. Jeanette po wszystkim bolał brzuch. Dlatego była taka chuda.

Franny patrzyła, jak Caroline przesuwając kciukiem tabletki na dłoni i odrzuca głowę do tyłu, jakby zamierzała je połknąć razem z wielkim haustem coli. Caroline zawsze była przekonująca. Franny zdołała jednak zauważyć, że jej siostra dżinu tak naprawdę też nie wypila – nie otworzyła ust, przechylając flaszkę. Sama Franny, gdy butelka dotarła do niej, postanowiła pójść na kompromis – przełknąć alkohol, a tabletki ukryć w dłoni. Dżin nie mógłby bardziej jej zaskoczyć. Śledziła piekące doznanie, które spływało w dół gardła, przez klatkę piersiową i brzuch. Było gorące i mocne jak słońce, ulokowało się między jej nogami – coś pięknego, jakby to pieczenie wywołało rodzaj fizycznej czystości. Wzięła następny łyk i dopiero wtedy podała butelkę Albiemu. Chłopiec wypił najwięcej ze wszystkich.

Dzieci nie miały nic przeciwko czekaniu. Czekanie stanowiło nieodłączną część całej zabawy. Na zewnątrz było gorąco, a cola nadal była zimna. Miło było po prostu przez chwilę poleżeć i pogapić się w pustkę nieba, nie musieć słuchać, jak Albie w kółko gada o niczym. Gdy wreszcie wstali, Cal postawił pustą puszkę po swojej coli obok nogi Albiego.

– Śmiecisz – powiedziała Franny.

– Zabierzemy to później – odparł. – Będziemy musieli po niego wrócić.

No więc wszyscy zostawili swoje puszki obok Albiego, który spał w gorącym porannym słońcu zmożony czterema benadrylami i wielkim łykiem dżinu. Cal wziął pozostałe tabletki od Holly i swoich przyrodniczych sióstr, włożył je z powrotem do woreczka, a ten wsunął do kieszeni. Batony zaczynały się roztopiać, a pistolet się nagrzał, leżąc na słońcu. Schowali to wszystko z powrotem do torby i ruszyli w stronę jeziora.

Gdy tam dotarli, cała piątka wypłynęła dalej, niż by jej pozwolono, gdyby tu przyszła z rodzicami. Franny i Jeanette szukały jaskiń, a dwaj mężczyźni stojący w ustronnym zagajniku na brzegu nauczyli je łowić ryby. Cal ukradł paczkę czekoladowych roladek Ho Hos w sklepie z przynętą i nie musiał wyciągać pistoletu z brązowej papierowej torby, bo nikt nie zauważył jego występkę. Caroline i Holly wspinały się na wysoką skałę i bez końca skakały z niej do jeziora, aż w końcu zabrakło im sił, by wspinać się dalej, i zabrakło im sił, by pływać. Wszyscy spalili się na słońcu,

ale leżeli na trawie, żeby wyschnąć, bo żadne z nich nie pomyślało o zabraniu ręcznika. Gdy suszenie się ich znudziło, postanowili wracać.

Okazało się, że mieli świetne wyczucie czasu. Albie już nie spał. Siedział na polu, milczący i skołowany wśród puszek po coli, i ze wszystkich sił starał się nie rozpłakać. Nie spytał, gdzie byli ani gdzie był on sam, po prostu wstał i ruszył za nimi gęsiego, kiedy go minęli. On też spalił się na słońcu. Minęła dopiero druga po południu. Najbardziej zdumiewające było to, że kilka minut po tym, jak wrócili do Pinecone i w wilgotnych kostiumach kąpielowych rozciągnęli się na łózkach w pokoju dziewczynek, żeby oglądać telewizję, do drzwi zapukali zawstydzeni i skruszeni rodzice. Nie mogli uwierzyć, że tak długo spali. Nie mieli pojęcia, jacy byli zmęczeni. Zapowiedzieli, że zabiorą wszystkich do kina i na pizzę, żeby im wynagrodzić zmarnowany wyjazd. Najwidoczniej nie zauważyli kostiumów kąpielowych, oparzeń słonecznych, śladów po ukąszeniach komarów. Mali Cousinsowie i Keatingówny uśmiechali się z błogą wyrozumiałością. Zrobili wszystko, o czym kiedykolwiek marzyli, mieli za sobą precudowny dzień i nikt nawet nie spostrzegł, że ich nie było.

Reszta wakacji wyglądała podobnie. Wszystkie wakacje, które wspólnie spędzali, wyglądały podobnie. Nie, nie zawsze było tak fajnie, przeważnie nie było fajnie, ale robili różne rzeczy, robili je naprawdę i nigdy ich na nich nie przyłapano.

IV

Cały czas płynęła ta sama muzyka. Taśma w kółko wypluwała jedną, dwugodzinną pętlę. Kierownictwo uznało, że zanim piosenki zaczną się powtarzać, klient albo już zdąży zapłacić i wyjść, albo będzie zbyt pijany, żeby cokolwiek zauważyć. Człowiek musiałby siedzieć w barze trzeźwy i uważny przez ponad dwie godziny, zanim zdałby sobie sprawę, że George Benson śpiewa *This Masquerade* po raz drugi. Oznaczało to, że jedynymi ludźmi, którym te powtórki mogły przeszkadzać, byli pracownicy baru, a i tak wymóg trzeźwości i uważności dyskwalifikował kilkoro z nich. Pracownik mógł się spodziewać, że podczas ośmiogodzinnej zmiany wysłucha całej kasety cztery razy, a jeśli zamykał bar – dostawał kolejną godzinę w gratisie. Pod koniec pierwszego miesiąca Franny poruszyła tę kwestię w rozmowie z Fredem. Fred, lepszy z dwóch wieczornych menedżerów, nadzorował pracę baru oraz większej, bardziej zatłoczonej i mniej dochodowej restauracji hotelowej. Powiedział jej, że muzyka nie ma żadnego znaczenia.

– Owszem, ma – odparła Franny. – Doprowadza mnie do szału. – Miała na sobie czarną, krótką, wąską sukienkę bez rękawów, włożoną na dopasowaną białą bluzkę. Chodziła w czarnych szpilkach. Z prostymi jasnymi włosami zaplecionymi w luźny warkocz wyglądała jak wideoklipowa wersja uczennicy katolickiej szkoły, którą kiedyś była. Przed podjęciem tej pracy zastanawiała się, czy będzie w stanie znieść upokorzenie związane z noszeniem takiego mundurka, ale okazało się, że właściwie wcale jej nie przeszkadzał. Przeszkadzała jej za to muzyka. Sinatra śpiewający *It Was a Very Good Year* sprawiał, że miała ochotę wejść w obrotowe drzwi we frontowej części holu z tacą pełną drinków balansującą na otwartej dłoni i cisnąć ją prosto w ciemną zimową noc.

Fred pokiwał głową. Nie zachowywał się paternalistycznie ani lekceważąco, choć miał ojcowski wygląd i udzielił jej odpowiedzi, która w żaden sposób nie była pomocna.

– Wierz mi. Pracuję tu od prawie pięciu lat. Przyzwyczaisz się.

– Ale ja nie chcę tu być za pięć lat. Nie chcę się do tego przyzwyczajać. – W oczach wieczornego menedżera pojawił się leciutki błysk zakłopotania. Franny spróbowała jeszcze raz. – Nie mógłbyś po prostu przynieść dwóch różnych kaset? Mogą być ci sami wykonawcy. Nie narzekam na rodzaj muzyki. To znaczy doceniłabym też inną, ale nie na tym polega problem. Problem polega na powtarzaniu. Przecież ci ludzie śpiewają też inne piosenki.

– Mamy inne kasety – powiedział Fred, rozglądając się po małym biurze bez okien – ale nikt ich nigdy nie zmienia.

– Ja mogłabym to robić.

Podźwignął się zza zaśmieconego biurka i lekko, pojednawczo ścisnął jej ramię. Wszyscy w tym hotelu byli dotykalscy: kelnerki całowały się pod koniec zmiany, menedżerowie kładli ci ręce na ramionach, pomocnik kelnera, jeśli nie dostał odpowiednio wysokiego napiwku, potrafił mocno trącić cię biodrem, przeciskając się obok ciebie przy zmywaku. A klienci – Jezu, ci to dopiero lubili podotykać. Przez dwa lata na studiach prawniczych nikt nie tknął jej palcem, ale to było na studiach prawniczych, gdzie każdy, kto przebrnął przez pierwsze dwa tygodnie, rozumiał pojęcie nietykalności cielesnej. Stojąc tak blisko, wyczuwała w powietrzu wokół Freda leciutką

woń wódki i była zdziwiona, że wciąż jest w stanie zarejestrować zapach alkoholu.

– Cierpliwości – powiedział głosem dodającym otuchy. – To minie.

Franny powlekała się wąskim korytarzem z biura do kuchni, gdzie kucharze puszczali pirackie kasety N.W.A na zatłuszczonym magnetofonie ściszonej tak bardzo, że ledwie szeptał ponad brzękiem garnków. *Fuck tha Police*. Mężczyźni bezgłośnie poruszali ustami w takt piosenki i kiwali głowami, mieszcząc się w wąskich granicach tolerancji kierownictwa.

– Mały Domku – zawołał do niej Jerrell uziemiony przy swoim stanowisku. – Bądź tak miła i przynieś mi trochę lemoniady. – Sięgnął nad rozgrzaną płytą kuchenną w stronę okienka do odbierania potraw, żeby podać jej swój wielki styropianowy kubek z 7-Eleven z pokrywką i słomką.

– Jasne – powiedziała Franny. Wzięła kubek.

Kucharze, wszyscy co do jednego wielcy i czarni, byli zdani na kelnerki, wszystkie co do jednej drobne i białe, jeśli chcieli, żeby ktoś im przyniósł z baru coś do picia, ratując ich od śmierci na Saharze obok frytownicy.

– Liczę na ciebie – powiedział Jerrell i wycelował w nią surowym stekiem, który po chwili rzucił na rozżarzoną płytę. Franny nigdy nie zapomniała; ani o lemoniadzie, ani o tym, ile dodatkowych torebek cukru należy mu do niej wsypać, ani o dorzuceniu precelków z baru, żeby ciało Jerrella mogło uzupełnić sole mineralne wypłukane rzekami potu kapiącego na kuchenną płytę i znikającego na niej z głośnym skwierczeniem. Wiedziała, co każdy z kucharzy lubi mieć w kubku. Franny była profesjonalistką. Zapamiętywała zamówienia przy dziesięcioosobowych stolikach, wiedziała, kto chce jaką wódkę, ketel one czy absoluta. Potrafiła spacyfikować biznesmena, nie dopuszczając do tego, żeby zagarnął cały jej czas. Wychodząc nad ranem na spotkanie z falą mroźnego chicagowskiego powietrza, nie omieszkała pomyśleć, że o wiele lepiej byłoby być złą kelnerką od drinków i dobrą studentką prawa. Wyleciała ze studiów prawniczych w środku (choć bliżej początku) pierwszego semestru trzeciego roku. Wcześniej narobiła ogromnych długów na poczet swoich przyszłych dochodów jako współpracownicy kancelarii, którą nigdy nie miała zostać. Dla kogoś, komu brakowało umiejętności i pomysłu, co chciałby robić w życiu oprócz czytania, podawanie drinków w barze było najlepszym sposobem zarabiania pieniędzy bez konieczności pozbywania się ubrań. Wtedy to były jej jedyne kryteria: nie być prawniczką i nie musieć się rozbierać. Wcześniej próbowała zwykłego kelnerowania, nosiła czarne tenisówki i taszczyła tace z jedzeniem, ale zarabiała tak mało, że nie starczało jej na spłatę minimalnej raty kredytu. W ciemnym, aksamitnym wnętrzu luksusowego baru Palmer House mężczyźni regularnie, niewytłumaczalnie, dorzucali dwie dwudziestki, płacąc rachunek opiewający na osiemnaście dolarów.

Napełniła styropianowy kubek Jerrella kruszonym lodem i lemoniadą, i słysząc, że barman Heinrich wysłuchuje klienta przedstawiającego mu w zarysie siedem zgrzyot świata, zaprawiła zamrożoną breję likierem cointreau. Butelka cointreau stała na samym końcu baru niedaleko strefy napojów gazowanych, a zatem najłatwiej było chwycić właśnie ją, a poza tym uznała, że w połączeniu z lemoniadą likier wypadnie całkiem sensownie. Zapłaciłaby za alkohol, ale pracownikom nie wolno było kupować alkoholu

w czasie zmiany, a już zwłaszcza nie wolno im było kupować alkoholu dla mężczyzn operujących nożami w otoczeniu gorących powierzchni. Jerrell powiedział kiedyś, że da jej dziesięć dolców za każdą dolewkę do kubka, ale nie chciała brać od niego pieniędzy. To także zapewniało jej wśród członków kuchennego personelu status kogoś w rodzaju mitycznego stworzenia, bo choć inne kelnerki też przyjmowały od kucharzy zamówienia na drinki, to często zapominały je zrealizować, a kiedy już sobie o nich przypomniały, nigdy nie odmawiały napiwku.

Franny powtarzała w myślach prawo o czynach niedozwolonych, starając się odgradzić od muzyki, próbując stłumić coś, czego nienawidziła, czymś, czym pogardzała. Wyznaczniki napaści: aktu dokonano z zamiarem wywołania strachu bądź szkodliwej lub obraźliwej interakcji; akt faktycznie wywołał u ofiary strach, że dojdzie do szkodliwej albo obraźliwej interakcji. Wieczór zbliżał się ku końcowi. Wysoka fala dżinów i toników opadła, przechodząc w spokojny odpływ drinków pitych po kolacji: szklaneczek brandy i małych, lepkich kieliszków frangelico zamawianych przez klientów, którzy zdali sobie sprawę, że nie są jeszcze wystarczająco pijani, żeby pójść do swoich pokojów. Tym razem miała zamykać Franny i na chwilę zostawiono pod jej opieką całą salę: dwa dwuosobowe stoliki i jedną samotną duszę przy barze. Pozostałe kelnerki od drinków już wyszły, jedna, żeby odebrać śpiące dziecko z kanapy byłego męża, druga, żeby pójść na drinka z kelnerem z Palmer House do jakiegoś tańszego baru. Przed wyjściem obie ucałowały Franny, a potem siebie nawzajem. Domyśliła się, że Heinrich poszedł zapalić w korytarzu obok kuchni, co dało jej okazję do wślizgnięcia się za bar i zdjęcia szpilek. Wygięła palce, wwierciła je w przypominające plaster miodu dziury w wilgotnej macie antypoślizgowej z czarnej gumy, a potem zjadła trzy kandyzowane wisienki z pojemników do dekoracji drinków, dorzucając do nich plasterki pomarańczy, bo najlepiej smakowały jedzone razem. Właśnie wtedy – mając usta wypełnione chemicznie zmodyfikowanymi owocami – zauważyła Leona Posen. Powinna była odwrócić wzrok, ale gdy spojrzał w jej stronę, nie miała ani okazji, ani ochoty, żeby to zrobić.

– Witaj – powiedział.

Leon Posen siedział dwa miejsca dalej. Miał na sobie ciemnoszary garnitur i białą koszulę z rozpiętym górnym guzikiem przy kołnierzyku. Całkiem możliwe, że w kieszeni trzymał zwinięty krawat. Gdyby wyciągnął rękę i gdyby ona wyciągnęła rękę, z łatwością mogliby się zetknąć palcami. Z reguły Franny nie zwracała uwagi na ludzi przy barze. Byli to klienci, którzy postanowili nie siadać przy stoliku, a zatem za nich nie odpowiadała. Nie miała pojęcia, od jak dawna tu siedział. Od dziesięciu minut? Od godziny?

– Witaj – powiedziała.

– Jesteś niższa, niż byłaś – zauważył.

– Naprawdę?

– Zdjęłaś buty.

Franny spojrzała na bolesne czerwone łuki odcisnięte na stopach, wyraźnie widoczne przez pończochy. Znikały dopiero po wielu godzinach od powrotu do domu.

– Tak.

Pokiwał głową. Miał ciemnoszare, wełniste włosy. Uczesanie ich musiało

wymagać wysiłku.

– Efekt był fajny, ale obawiam się, że po jakimś czasie zniszczy ci to stopy.

– Można się przyzwyczać – powiedziała Franny i pomyślała o Fredzie, który powiedział jej wcześniej, że się przyzwyczai. Wyteńczyła słuch, chcąc zakotwiczyć z powrotem w chwili obecnej, w barze, w którym stała naprzeciwko Leona Posena. Lou Rawls śpiewał *Nobody But Me*, co wydało jej się zabawne, bo była to jedyna piosenka w powtarzającej się składance, która nigdy jej się nie znudziła, idealne zjednoczenie rzeczowników i czasowników. *I've got no chauffeur to chauffeur me. I've got no servant to serve my tea*¹.

Leon Posen pokiwał głową, opierając opuszki na osuszonej szklaneczce z resztką lodu. Franny układała w myślach relację z tego spotkania, mimo że mężczyzna wciąż siedział naprzeciw niej. Myślała o tym, że zaraz po powrocie do domu sięgnie po swoje egzemplarze *Pierwszego miasta* i *Septimusa Portera*. Wróci do fragmentów, które podkreśliła w college'u, i przeczyta je jeszcze raz. Potem obudzi Kumara i powie mu, że rozmawiała w barze z Leonem Posenem, i że spytał ją o jej szpilki. Kumar, który był mistrzem w dziedzinie nieinteresowania się niczym, będzie chciał usłyszeć wszystkie szczegóły, a gdy Franny skończy opowiadać, każe jej wszystko powtórzyć. Już w czasie, gdy o tym fantazjowała, wiedziała, że jeszcze długo będzie opowiadała historię spotkania Leona Posena w Palmer House. „Gdybym nie poszła na studia prawnicze w Chicago, a potem z nich nie wyleciała, nigdy nie pracowałabym w tym barze”. Zamierzała tak powiedzieć swojemu ojcu i Bertowi.

Ale Leon Posen jeszcze nie skończył. Nadal siedział naprzeciwko niej, czekając, aż zwróci na niego uwagę, podczas gdy ona wyobrażała sobie dalszy ciąg tej sceny.

– Dlaczego miałabyś się do tego przyzwyczajać?

– Co? – Zgubiła wątek.

– Mówię o butach. – Wyglądał całkiem jak na zdjęciach, całą powierzchnię oblicza zajmował nos, a do niego dochodziły łagodne oczy z opadającymi powiekami. Jego twarz była karykaturą jego twarzy, twarzą stworzoną do naszkicowania obok recenzji książki w „New Yorkerze”.

– No cóż, trzeba się przyzwyczaić, buty to część uniformu, a uniform nosi się po to, żeby więcej zarabiać. – I choć o tym nie wspomniała, uniform był uszyty z poliestru, z czego można by się śmiać do woli, gdyby nie to, że naprawdę dobrze zachowywał się w praniu i nie wymagał prasowania. Franny nigdy nie musiała się zastanawiać, w czym pójść do pracy, zresztą to samo było także wielką zaletą katolickiej szkoły.

– Chcesz powiedzieć, że dam ci większy napiwek za to, że nosisz niewygodne buty?

– Tak – powiedziała, bo pracowała w tym barze wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak to działa. – Dasz.

Spojrzał na nią ze smutkiem albo może po prostu tak wyglądał, jakby czuł ból wszystkich kobiet, które kiedykolwiek musiały wciskać stopy w szpilki. Efekt był zniewalający.

– No cóż, jeszcze nie zostawiłem napiwku, więc jeśli naprawdę nosisz je z tego powodu, równie dobrze możesz je włożyć z powrotem. Zobaczymy, co się wydarzy.

– Nie jestem twoją kelnerką – powiedziała, bardzo tego żałując. „Leonie Posenie,

odsuń się od baru! Idź usiąść przy którymś ze stolików z migoczącymi świeczkami. Umość się wygodnie na zaokrąglonych krzesłach obitych czerwoną skórą”.

– Mogłabyś nią być, gdybym zamówił następnego drinka. – Uniósł szklaneczkę i zagrzechotał osamotnionym lodem. – Jak masz na imię?

Przedstawiła się.

– Nigdy dotąd nie spotkałem żadnej Franny. – Powiedział to tak, jakby dostał jej imię w prezencie. – Franny, chciałbym wypić jeszcze jedną szkocką.

Podanie mu drinka było jej obowiązkiem, jeśli siedział przy stoliku, ale nie gdy był przy barze. W Palmer House nie działały związki zawodowe, lecz obowiązywał żelazny podział kompetencji. Wiedziała, gdzie jest jej miejsce.

– Jaką szkocką?

Znowu się do niej uśmiechnął. Po raz drugi!

– Sama wybierz – powiedział. – I pamiętaj, mogę należeć do tych rzadkich osobników, którzy zostawiają napiwek, doliczając procent do rachunku, a nie mierząc wysokość twoich szpilek, więc lepiej daj z siebie wszystko.

Właśnie wcisnęła lewą stopę z powrotem do buta, gdy Heinrich, odświeżony papierosem i miętówką, okrążył bar i podszedł do nich. Patrząc na Leona Posena, uniósł dwa palce w geście pytającym, czy klient jest gotowy na drugiego drinka, zwalniającym go z konieczności wyrażenia tego pytania słowami, jakby łączący ich związek był tak święty, że wykraczał poza ramy języka. Franny zsunęła lewy but, by czym prędzej odciąć barmanowi drogę, i dosłownie rzuciła się na niego. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko ją złapać. Spojrzał w dół na jej stopę w pończosze. Heinrich był mężczyzną w wieku Leona Posena, w wieku jej ojca, czyli błędzącym gdzieś w mrocznych rewirach po pięćdziesiątce. Pochodził z bardziej obyczajnych czasów. Franny w ogóle nie miała powodu, żeby stać za barem, wiedziała o tym. To była jego kraina.

– Musisz mi oddać przysługę – powiedziała. Łatwo było mówić ściszonego głosem. Trzymał ją w ramionach.

Heinrich odwrócił się do Leona Posena i lekko uniósł brwi w oficjalnym geście, pytając o pozwolenie. Leon Posen kiwnął głową.

– Chodź – powiedział Heinrich. Poprowadził Franny na koniec długiego baru, gdzie curaçao i vandermint stały na górnych szklanych półkach, czekając na odkurzenie.

– To Leon Posen – powiedziała Franny ściszonego głosem.

Heinrich pokiwał głową, choć nie sposób było stwierdzić, co to miało znaczyć: „Wiem o tym” czy „Do czego zmierzasz?”. Kiedyś Franny słyszała, jak Heinrich rozmawia po niemiecku przez telefon, w ojczystym języku jego głos miał większą moc. W jakim języku czytał, i czy w ogóle czytał? Czy Leona Posena dobrze tłumaczono na niemiecki?

– Po prostu pozwól mi się nim zająć – poprosiła Franny. – Zrób to dla mnie.

Skóra Franny była tak przezroczysta, że przypominała raczej szybę niż roletę okienną. Ona jedyna spośród kelnerek wypłacała pomocnikom należne dziesięć procent napiwku, zresztą z taką samą starannością wypłacała je też barmanom. Heinrich zawsze uważał, że jest w niej coś niemieckiego, te blond włosy, ten przejrzysty błękitny lód jej oczu, ale Amerykanie nigdy nie byli Niemcami. Amerykanie byli durniami, wszyscy co

do jednego.

– Nie jesteś barmanką – odparł.

– Umiem nalać szkockiej do szklanki.

– Masz się zajmować stolikami. Ja nie obsługuję twoich stolików, dlatego że klienci wydają mi się interesujący. – Zastanawiał się, o jak wiele może poprosić. Przemknęło mu przez myśl zbyt wiele. Nie byłiby pierwszą parą, która zaszyła się na zapleczu.

– Na litość boską, Heinrich, studiowałam anglistykę. Pierwsze trzy akapity *Nigdy więcej* potrafię wyrecytować z pamięci.

Heinrich też studiował anglistykę, na uniwersytecie w Berlinie Zachodnim, ale w jego wypadku była to literatura angielska skupiona na dziewiętnastowiecznej Wielkiej Brytanii. Jakimż luksusem było czytać Trollope’a, wiedząc, że o jeden mur dalej coś takiego byłoby niemożliwe. Miał ochotę ją spytać: „I dokąd nas zaprowadziły te wszystkie książki?”, ale zamiast tego sięgnął w stronę jej pleców, między łopatki, i przesunął ręką po warkocz przypominającym znamiona kukurydzy. Od początku miał ochotę to zrobić.

Nie miało to dla niej znaczenia. W tym momencie mogłaby obciąć ten warkocz i dać mu go na pamiątkę. Wróciła na swoje miejsce za barem i zdjęła z półki butelkę macallana, nie dwudziestopięcioletniego, ale o połowę młodszego. Nie zamierzała naciągać Posen. Włożyła świeży lód do czystej szklanki i pokryła go szkocką. Posrebrzane lejki umieszczone w szyjkach wszystkich butelek czyniły z nalewania czystą przyjemność. Zapewniały precyzję, kontrolę. Nikt nie byłby w stanie jej przekonać, że to trudniejsza robota.

Leon Posen spojrział na koniec baru, gdzie Heinrich zdejmował z wieszaka kieliszki na wino i wycierał wszystkie po kolei.

– No i co jesteś mu winna?

– Jeszcze nie wiem. – Położyła serwetkę, postawiła szklaneczkę.

– Zawsze pytaj o cenę. To może być morał naszego spotkania. – Uniósł szkło, patrząc jej w oczy. „Dziękuję, moja droga Franny, i dobranoc”. Franny, wiedząc, że w takim momencie rozmowa się kończy, a ona powinna pójść sprawdzić, co się dzieje przy stolikach, nie ruszyła się jednak z miejsca. Nie, nie zamierzała go pytać o książki ani o to, co robił od wydania *Septimusa Portera* dwanaście lat temu. Nie chciała mu psuć wieczoru. Chodziło o to, że stojąc przed nim, bardzo wyraźnie ujrzała własne życie, nudne i ciężkie. Pójście na studia prawnicze było okropnym błędem, który popełniła, mając nadzieję, że zadowoli innych ludzi, i z powodu tego błędu była teraz zadłużona jak jakaś postać z powieści Dickensa, jak ci ludzie, którzy lądują w programie Oprah i płaczą, nie mogąc się pochwalić żadnymi umiejętnościami. Aż tu dziś, nagle, do baru w Palmer House wszedł Leon Posen. Pił drinka, którego mu nalała. Jego blask, blask, który czuła, stojąc po drugiej stronie baru, był czymś, z czego nie miała zamiaru rezygnować. Zupełnie jakby dzień w dzień rzucała ptakom okruszki chleba i nagle na oparciu ławki w parku przysiadłby gołąb wędrowny. Nie chodziło o to, że coś takiego było rzadkością, to było wręcz niemożliwe, a ona nie miała zamiaru wykonać żadnych gwałtownych ruchów mogących go spłoszyć.

– Mieszkaś tu? – spytała. „Jakie to uczucie – pragnęła spytać gołębia

wędrownego – gdy cały świat myśli, że wyginąłeś?”

Spojrzał przez ramię na salę, uniósł ciężkie powieki.

– W Palmer House?

– W Chicago.

Weszła jakaś para, wyswobodziła się z plątaniny płaszczy, szalików i czapek, i usiadła przy barze dwa miejsca dalej. „Dlaczego – miała ochotę spytać Franny – mając tyle pustych stołków do wyboru, postanowili usiąść tak blisko?” Z miejsca, w którym stała, czuła zapach perfum tej kobiety, mroczny i całkiem przyjemnie piżmowy. Po chwili uświadomiła sobie, że ci ludzie usiedli naprzeciwko niej. Była barmanką.

– W Los Angeles – powiedział Leon Posen po długich wewnętrznych zmaganiach.

– Zależy, jak na to patrzeć.

– Whiskey Sour – powiedział mężczyzna, rzucając zimowe okrycia na sąsiedni stół. Sperta wełny natychmiast zaczęła się ześlizgiwać, więc chwycił rękaw płaszcza, a potem przechylił głowę w stronę kobiety. – I Daiquiri.

– W szerokim kieliszku – dodała kobieta, zdejmując rękawiczki.

Franny nie była pewna, jak im powiedzieć, że to nie należy do jej obowiązków, ale Leon Posen umiał to zrobić.

– Ona nie miesza drinków – oznajmił im. – Może nalać szkocką do szklanki, ale jeśli w drinku jest więcej niż jeden składnik, będziecie potrzebowali kogoś innego. – Spojrzał na Franny. – Zgadza się?

Pokiwała głową. Stając za barem, wprowadziła ich w błąd.

– Sam mógłbym panu nalać Whiskey Sour – powiedział do mężczyzny, a potem, kręcąc głową, spojrzał na kobietę. – Ale nie Daiquiri. Założę się, że to jakaś mieszanka.

– Nie wiem – powiedziała Franny.

– Powinniście spytać Niemca. – Leon Posen pokazał parze Heinricha, który nadal polerował kieliszki na drugim końcu baru, rozmyślnie ich ignorując. – Zrobicie mu przyjemność. Czuje się urażony.

– Dużo pan wie o tym barze – zauważyła kobieta. Było bardzo późno. Pod rękawiczką nie miała obrączki.

– Nie znam tego lokalu – powiedział Leon. – Znam się na barach. – Spytał Franny, jak ma na imię barman, i Heinrich, ze słuchem wyostrzonym bardziej niż u niejednego psa, usłyszał to pytanie i odłożył ścierkę.

– Whiskey Sour – powtórzył mężczyzna.

Gdy złożyli zamówienia i Heinrich z gracją zaprezentował swoje umiejętności posługiwania się shakerem, para zabrała swoje rzeczy i poszła z nimi do stolika w kącie, który obsługiwałaby Franny, gdyby nie milcząca zamiana, wskutek której postanowiono, że Heinrich nie tylko robi, ale także poda drinki, przejmując zarówno stół, jak i napiwek.

– Urodziłam się w Los Angeles – odezwała się Franny, gdy para wreszcie sobie poszła. Tak długo czekała, żeby to powiedzieć, że nie była pewna, czy wciąż ma to jakiś związek z ich rozmową.

– Ale miałaś na tyle rozumu, żeby się wyprowadzić.

– Lubię Los Angeles. – W Los Angeles zawsze była dzieckiem. Przepływała pod

wodą całą długość basenu matki Marjorie, mknąc nad niebieskim dnem w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym. Cień Caroline przysypiającej na dmuchanym materacu był prostokątną chmurą powyżej niej. Ich ojciec siedział na leżaku tuż nad krawędzią basenu i czytał *Ojca chrzestnego*.

– Mówisz tak, dlatego że jesteśmy w Chicago i jest luty.

– Dlaczego mieszkasz w Los Angeles, skoro jest takie okropne?

– Mam tam żonę – powiedział. – Właśnie pracuję nad rozwiązaniem tego problemu.

– Dlatego ludzie przyjeżdżają do Chicago – skwitowała Franny. – Żeby uwolnić się od żon. – Pomyślała o prawie rozwodowym, pomyślała, że nigdy nie chciałyby się nim zajmować, a potem przypomniała sobie, że nie będzie się zajmowała żadną dziedziną prawa.

– Mówisz jak barmanka.

Pokręciła głową.

– Jestem kelnerką podającą drinki. Nie umiem ich przygotowywać.

– Jesteś barmanką dla tych z nas, którzy nie potrzebują mieszanych drinków, a ja chciałbym wypić jeszcze jedną szkocką. Doskonale się spisałaś, nalewając tę pierwszą. – Przyjrzał jej się, jakby dopiero przed chwilą przed nim stanęła. – Znowu jesteś wyższa.

– Powiedziałaś, że dzięki temu mogę dostać większy napiwek.

Pokręcił głową.

– Nie, to ty mi powiedziałaś, że dzięki temu możesz dostać większy napiwek, a nie dostaniesz. Właściwie to wszystko mi jedno, ile masz wzrostu. Zdejmij buty, a postawię ci drinka.

Kiedy Leon Posen zdążył wypić szkocką? To była niezwykła sztuczka. W ogóle tego nie zauważyła, a przecież go obserwowała. Może zrobił to, gdy nalewała Whiskey Sour. Gdy przez chwilę była pochłonięta czymś innym. Franny wzięła butelkę z kontuaru za swoimi plecami.

– Nie możesz mi postawić drinka. To wbrew regułom.

Leon się pochylił.

– *Verboten*²? – spytał cicho.

Franny pokiwała głową. Lód w szklance wyglądał przejrzysto i w ogóle się nie roztopił, więc nie widziała powodu, dla którego miałyby go wymieniać na nowy. Szkockiej też nie odmierzała, po prostu naląła ją na to, co zostało. Srebrny lejek sprawił, że poczuła się zbyt pewnie, lała alkohol ze zbyt dużej wysokości i odrobina prysnęła na bar obok szklaneczki. Franny wytarła swój błąd i postawiła szkło na nowej papierowej serwetce. Prawdę mówiąc, nie była dobrą barmanką, nawet gdy chodziło o jednoskładnikowe drinki.

– No więc po co przyjechałeś do Chicago?

– Chyba jesteś analityczką. – Wyjął papierosy z marynarki i wytrząsnął jednego z paczki.

– Kiedy powiem ludziom, że obsługiwałam Leona Posena, będą chcieli wiedzieć, co robił w Chicago.

– Leona Posena? – zdziwił się.

Takiej ewentualności nie wzięła pod uwagę, ale przecież nigdy wcześniej go nie

spotkała. Jej domysły opierały się na zdjęciach z obwolut jego książek, w dodatku starych.

– Nie jesteś Leonem Posenem?

– Jestem – powiedział. – Ale zwykle moi czytelnicy są od ciebie starsi. Nie przypuszczałem, że wiesz.

– Uznałeś, że jestem po prostu niezwykle pomocną kelnerką od drinków?

Wzruszył ramionami.

– Może próbowałaś mnie poderwać.

Franny poczuła, że się rumieni, co zwykle nie zdarzało jej się w barze. Machnął ręką, jakby chciał unieważnić te słowa.

– Zapomnij o tym. Niedorzeczna myśl. Jesteś bystrą dziewczyną, czytasz książki, a teraz nalewasz szkocką Leonowi Posenowi, ale powinnaś mi mówić Leo.

Leo. Czy naprawdę mogła tak mówić do Leona Posena?

– Leo – wymówiła imię na próbę.

– Franny.

– Chodzi nie tylko o to, że nazywasz się Leon Posen – powiedziała. – Leo Posen. Ja w ogóle interesuję się ludźmi.

– Jesteś ciekawa, po co przyjechałem do Chicago?

Z jakiegoś powodu to wszystko nie zmierzało w stronę, w jaką by chciała.

– No dobrze. Nie jestem ciekawa. Podtrzymuję rozmowę.

Uniósł szklaneczkę i upił maleńki łyk, zanurzając górną wargę, jakby próbował szkockiej tylko z grzeczności.

– Jesteś dziennikarką?

Położyła rękę na sercu.

– Kelnerką od drinków.

Powtarzała to sobie codziennie przed lustrem w łazience po umyciu zębów, przed wyjściem do pracy: „Jestem kelnerką od drinków”. Praktyka czyni cuda. Wyjęła z kieszeni fartuszek ciężką zapalniczkę Zippo i kciukiem odchyliła górną część obudowy. Przynurzył się, a potem znów wyprostował, kręcąc głową.

– Nie, nie patrz na papierosa, patrz na mnie. Kiedy przypalasz komuś papierosa, musisz mu patrzeć w oczy.

Więc Franny spojrzała mu w oczy, choć przyszło jej to z wielkim trudem. Leo Posen pochylił się w stronę płomyka w jej dłoni i utkwilił spojrzenie w jej oczach. Poczowała drżenie w klatce piersiowej.

– No właśnie – powiedział, wydmuchując dym w bok. – Właśnie tak zdobywa się większe napiwki. Nie chodzi o buty.

– Zapamiętam – obiecała i zgasiła płomień.

– Zatem przyjechałem do Chicago na drinka – powiedział. – Na razie mieszkam w Iowa City. Byłaś kiedyś w Iowa City?

– Myślałam, że mieszkasz w Los Angeles.

Pokręcił głową.

– Nie wymiguj się od odpowiedzi. Zadałem ci pytanie.

– Nigdy nie byłam w Iowa City.

Upił następny łyk, żeby sprawdzić, czy po zapaleniu papierosa drink smakuje

lepiej, i najwidoczniej smakował.

– W takich miejscach się nie bywa, chyba że ma się tam konkretną sprawę do załatwienia. Jeśli uprawiasz kukurydzę, handlujesz świniami albo pisziesz poezję, jedziesz do Iowa City.

– Dlatego tam nie byłam.

Pokiwał głową.

– W barach jest pełno studentów. Wolałbym nie pić w barze pełnym studentów, ale nie na tym polegał prawdziwy problem. – Na chwilę zamilkł. Czekał na jej reakcję. Leo Posen lubił mieć publiczność.

– Na czym polegał prawdziwy problem?

– Okazuje się, że lód w drinkach zawiera pewną ilość chemii – herbicydów, pestycydów i najprawdopodobniej jakiegoś płynnego nawozu. Wyczuwa się to w smaku. Oczywiście nie chodzi wyłącznie o lód w barach, to jest w całej wodzie, w całej tej wodzie, której nie przywożą z Francji w butelkach. Słyszałem, że wiosną, kiedy śnieg zaczyna topnieć, sytuacja znacznie się pogarsza. Wyższe stężenie. Można to wyczuć na własnej szczoteczce do zębów.

Pokiwała głową.

– Więc przyjechałeś do Chicago na drinka, dlatego że w lodzie w Iowa są rolnicze chemikalia.

– I z powodu studentów.

– Wykładasz tam?

Niedbale zaciągnął się papierosem.

– Uczyłem przez jeden semestr. Mój błąd. Wydawało mi się, że zarobię mnóstwo pieniędzy, ale po uwzględnieniu kosztów pieniędzy nigdy nie jest mnóstwo. No i przed podpisaniem umowy nikt nie wspomina o problemie z wodą.

– Nie byłoby łatwiej robić lód w domu? Używając wody z Francji. Mógłbyś też myć nią zęby.

– Teoretycznie tak, ale nie ma dobrego sposobu, żeby wcielić ten pomysł w życie. Musisz albo przychodzić do baru z własnym wiaderkiem lodu, albo pić w domu w pojedynkę, a tego nie robię.

– Więc przyjeżdżasz do Chicago na parę drinków – podsumowała Franny. Cieszyła się, że on tu jest, i nie obchodziło jej, z jakiego powodu. – Dobrze się czasem wyrwać.

– Teraz rozumiesz – powiedział, uderzając w bar otwartą dłonią. – Cedar Rapids nie staje na wysokości zadania.

– Des Moines też nie.

– Znowu jesteś niższa.

– Kazałeś mi zdjąć buty.

– Mówisz, że kazałem ci zdjąć buty, a ty to zrobiłaś?

– Wolałabym ich nie nosić.

Pokręcił głową, ale nie widziała, czy ze zdumienia, czy z rozpaczy, po czym zdusił niedopałek papierosa w małej szklanej popielniczce.

– Chciałaś kiedyś zostać pisarką?

– Nie – powiedziała, a gdyby było inaczej, przyznałaby się. – Chciałam być tylko

czytelniczką.

Poklepał ją po grzbiecie dłoni, którą celowo trzymała blisko, na barze, w razie gdyby jej potrzebował.

– Doceniam to. Przebyłem daleką drogę, żeby móc się napić, nie będąc w pobliżu innego pisarza.

– Napijesz się jeszcze?

– Franny, wspaniała z ciebie dziewczyna.

Problem, i to taki, który traktowała poważnie, polegał na tym, że Franny nie wiedziała, jak długo Leon Posen siedział przy barze, zanim go zauważyła, jak długo Heinrich wykonywał swoje zadania, zanim je od niego przejęła. Bo choć Leo Posen wydawał się najzupełniej trzeźwy, mogłaby się założyć, że wydaje się taki bez względu na to, ile wypije. Niektórzy mężczyźni już tak mieli. Przechodzili od trzeźwych do ledwie przytomnych z pominięciem etapów pośrednich.

– Zatrzymałeś się u nas w hotelu? – spytała ściszym głosem.

Leciutko przechylił głowę i czekał z miną pełną dobrotliwości.

Franny pokręciła głową.

– Pytam tylko dlatego, że gdybyś zamierzał wsiąść do samochodu jeszcze dziś wieczorem i przejechać kogoś w drodze powrotnej do Iowa, mogłabym pójść do więzienia.

– Ty? To byłoby zdecydowanie niesprawiedliwe.

– Zasada odpowiedzialności cywilnej sprzedawcy trunków, stan Illinois. – Podniosła rękę na dowód, że mówi poważnie.

– Sprzedawcy trunków?

– Powinni zaktualizować nazwę.

– Czy inni sprzedawcy trunków są tego świadomi?

Miała ochotę powiedzieć, że wyłącznie ci, którzy wylecieli ze studiów prawniczych, ale zamiast tego tylko pokiwała głową.

– No cóż, bez obaw. Muszę dostać się zaledwie do windy.

Franny przyniosła butelkę szkockiej.

– To, co się dzieje w windzie, to wyłącznie twoja sprawa.

Dokładnie w tym momencie lekko przygasły światła. Heinrich zawsze kończył wieczór zbyt gwałtownie, tak szybko wyłączając światło, że człowiek miał wrażenie, jakby nagle wpadł w ciemność. Ilekroć to następowało, przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy w jej głowie nie pękło coś małego i ważnego.

– To znak – powiedział Leo Posen, spoglądając na sufit. – Nalej podwójną.

Franny przyniosła czystą szklankę, żeby pomieściła dwukrotnie większą porcję szkockiej, potem włożyła buty i poszła zanieść rachunki swoim dwóm stolikom. Czowała się onieśmielona, prosząc o pieniądze ludzi, których porzuciła dawno temu, ale chyba żaden z klientów nie miał jej tego za złe. Jeden dał kartę kredytową, a dwaj biznesmeni wręczyli jej zastanawiająco dużo gotówki, po czym włożyli płaszcze, szykując się do wyjścia. Gdy wróciła do baru, Heinrich przykrywał folią spożywczą pojemniki ze stali nierdzewnej z dekoracjami do drinków i chował kandyzowane wiśnie na noc do lodówki.

– Dali ci napiwek za buty? – spytał Leo Posen. Szkocka zniknęła i teraz opierał się

o bar. Jego wzrok nie skupiał się na niczym konkretnym.

– Dali.

– Ile?

Heinrich przerwał pracę i spojrział w ich stronę. Nie przeszkadzało mu, że pytanie jest niestosowne. Nikt nigdy nie pytał o napiwki, a sam chciał wiedzieć.

Zawahała się.

– Osiemnaście dolarów.

– Nic nam to nie mówi, dopóki nie znamy wysokości rachunku. Mogli pić starego Montracheta, a w takim razie cię wykiwali.

– To nie był Montrachet – powiedział Heinrich.

Franny westchnęła. Nie miała ochoty wyjaśniać, że potrzebuje pieniędzy, że śpi na kanapie u Kumara, żeby spłacić kolejną ratę kredytu.

– Dwadzieścia dwa dolary.

Z ust Heinricha wydobył się cichy, mimowolny dźwięk, powietrze, które wydostaje się po ciosie, lecz tym razem bez ciosu.

– Wybrałem niewłaściwy zawód – powiedział Leo Posen.

Heinrich spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Panu by tyle nie dali.

– A ci z drugiego stolika? – spytał Leo.

Franny uniosła rękę. Dość.

– Nigdy bym się nie domyślił – powiedział do Heinricha. Sięgnął do kieszeni i wyjął portfel z brązowej skóry wypchany kartami kredytowymi, zdjęciami, gotówką, złożonymi paragonami. Rzucił go na bar. Portfel wylądował z miękkim plaśnięciem piłki do bejsbola wpadającej w rękawicę.

– Masz – powiedział. – Bierz wszystko. Jestem kiepski z matematyki.

Franny wystawiła mu rachunek, złożyła karteczkę na pół i wsunęła ją do czystego kieliszka koktajlowego. Tak robili w Palmer House, żeby przypomnieć klientowi, w jaki sposób nabił ów okazały rachunek. Gołąb wędrowny przez cały wieczór siedział obok niej na ławce, ale co mogła zrobić? Nie da się go wsadzić do torebki i zabrać do domu, i nie można spać w parku, czekając, aż sam odfrunie. Było już zimno, było ciemno.

Leo Posen westchnął i otworzył portfel.

– Nie zamierzasz mi pomóc? – spytał.

Franny przecząco pokręciła głową i zaczęła wycierać bar. Przypuszczała jednak, że po części naprawdę chodzi o matematykę, że im bardziej ludzie są pijani, tym większe mają kłopoty z procentami i dlatego postanawiają grzeszyć nadmierną rozrzutnością. Z drugiej strony zastanawiała się, czy klienci dają jej większe napiwki, ponieważ wstydzą się, że piją. A może mieli nadzieję, że pobiegnie za nimi i oznajmi, że za osiemnaście dolarów jest gotowa uprawiać seks.

Leo Posen nie ruszył się z miejsca, mimo że starannie położył pieniądze na rachunku, a jego szklaneczka i serwetka zniknęły, podobnie jak wszyscy inni klienci baru w hotelu Palmer House. Jesus, pomocnik kelnera, przyszedł z restauracji, żeby sprawdzić, czy wszystko sprzątnięto ze stolików. Jego wzrok zatrzymał się na plecach Leona Posena. Przyszła pora na włączenie odkurzacza.

Gdy Franny odbiła kartę i włożyła płaszcz, wróciła do baru. Długi, puchaty płaszcz dostała od matki, gdy przyjęto ją na studia prawnicze. Beverly nazywała go śpiworem z rękawami, i miała rację, Franny wielokrotnie zdarzało się go rzucić na koce na kanapie, a potem wpełznąć do środka. Stała obok krzesła Leo Posena.

– Już wychodzę – powiedziała, po raz pierwszy od podjęcia tej pracy żałując, że wieczór nie trwa dłużej. – To było naprawdę niezwykle.

Spojrzał na nią.

– Będę potrzebował twojej pomocy – oznajmił spokojnym tonem.

Gołąb sfrunął z oparcia ławki w parku na jej kolana, przywierając łebkiem do fałdów jej płaszcza.

– Pójdę po Heinricha. – Mówiła bardzo cicho, mimo że zostali tylko we dwoje. Właśnie dlatego nie powinna była przejmować klientów Heinricha, nawet sławnych powieściopisarzy, bo w końcu i tak potrzebowali barmana. – Zaprowadzi cię do windy.

Leo Posen lekko odwrócił głowę w lewo, jakby zamierzał nią przecząco pokręcić, a potem zgubił wątek.

– Nie idź po Niemca. Po prostu potrzebuję... – Czekał, szukając właściwego słowa.

– Czego potrzebujesz?

– Przewodnika.

– Znajdziemy kogoś większego.

– Nie proszę, żebyś mnie zaniósła.

– Tak byłoby lepiej.

– Winda jest ci nie po drodze?

Czy taka prośba nie była czymś w rodzaju zaszczytu? Byłoby to najciekawszą częścią tej historii i jednocześnie tą, o której nie zamierzałyby opowiadać – że Leo Posen był zbyt pijany, aby wyjść z baru o własnych siłach, i musiała mu pomóc. Nie byłaby to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęła Franny, ale z drugiej strony nie mogłaby się równać z tymi najgorszymi. Poza tym już w latach poprzedzających ich spotkanie zdążył tak dużo dla niej zrobić, napisał te piękne powieści. Zdjęła jego rękę z baru i założyła ją sobie na ramiona. Oddał się pod jej opiekę.

– Wstań – powiedziała.

Mężczyźni potrafią być zaskakująco wysocy, gdy zdejmie się ich z wysokich stołków barowych. Ramię Franny, podniesione o wysokość obcasów, ledwie sięgało mu do pachy. Przesunął na nią większy ciężar, niż się spodziewała, ale była w stanie go utrzymać.

– Po prostu postój tak przez chwilę i złap równowagę – powiedziała.

– Dobrze ci idzie.

Próbowała przesunąć jego dłoń, która niechcący przykryła jej lewą pierś. Gdzie się podział Heinrich? Łaskawie wyszedł na papierosa? Mógł ten gest wykorzystać przeciwko niej, chociaż w wypadku Niemca zawsze trudno było przewidzieć, co go zgorszy. Franny obejmowała Leo Posena w pasie, manewrując między ciemnymi górami lodowymi stolików.

– Zaczekaj – powiedział. Zatrzymała się. Uniósł brodę. Wyglądał, jakby usiłował sobie coś przypomnieć albo jakby zamierzał poprosić o kolejnego drinka. – Ta piosenka

– powiedział.

Wsluchala się. Muzyka z kasyty płynęła dla pustej sali. Śpiewali Gladys Knight & The Pips. W piosence chodziło z grubsza o to, że związek dobiegł końca i żadna ze stron nie chce przyznać się do błędu. Przez pierwsze trzydzieści razy, gdy ją słyszała, była zachwycona. Potem już nie.

– Co z tą piosenką?

Leo odsunął rękę z piersi Franny i wycelował palcem w powietrze.

– Leciała, kiedy tu przyszedłem. *I keep wondering what I'm going to do without you*³ – zaśpiewał cicho.

Heinrich lubił mawiać, że bar to Niemcy Zachodnie, a Franny rozumie ich postępowe, elastyczne podejście do siły roboczej. Hol znajdował się jednak pod kontrolą Wschodu, był pełen sowieckich szpiegów, których nikt by się tam nie spodziewał.

– Trzymaj się z dala od holu – ostrzegł ją Heinrich, gdy zjawiła się w tej pracy. – Kiedy znajdziesz się w holu, będziesz zdana wyłącznie na siebie. Bar nie zdoła cię uratować.

Doszła jednak do wniosku, że znają ją tam równie słabo jak ona ich. Uniform kelnerki by ją zdradził, lecz schowała go pod płaszczem, a buty mogły być butami każdej niemądrej kobiety w hotelu. W Palmer House był olbrzymi hol z masywnymi perkalowymi kanapami, przesadnie wypchanymi i ozdobionymi lamowaniem. Niektóre były okrągłe, ich podwyższona środkowa część celowała w stronę żyrandoli jak fez. Orientalny dywan mógłby pokryć boisko do koszykówki. Sufit wyniesiony aż do drugiego piętra był miniaturową wersją kaplicy Sykstyńskiej, w której Adama i Boga zamieniono na gwiazdy mitologii greckiej: Afrodytę i przeróżne nimfy poutykane między przepływające chmury. Był to hol, do którego przychodzą turyści, żeby robić sobie nawzajem zdjęcia na tle strzelistych kompozycji kwiatowych. Piwonie w lutym. Nawet o pierwszej w nocy było tam mnóstwo chodzących bez celu ludzi, a za marmurowym kontuarem czekał gotowy do pomocy rząd młodych mężczyzn i kobiet w eleganckich ciemnych garniturach i garsonkach. Bar przynajmniej zamykano. Personel recepcji pracował całą noc.

Gdy Franny wcisnęła skierowaną w górę strzałkę, ona i Leo mieli chwilę, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu w mosiężnych drzwiach windy.

– Nie wyglądasz jak ktoś, kto powinien ze mną być – powiedział, poddając się czarowi filmu, w którym razem grali. Zaczynał się lekko kołysać, więc mógł patrzeć, jak się kołyszą, z lewa na prawo, z prawa na lewo. Szepnęła, żeby stał prosto. Cyfry rozświeślały się, gdy winda mijała piętra – piątka, czwórka, trójka, dwójka – a potem drzwi się rozsunęły.

– No, wchodź – powiedziała i spróbowała go zmusić, żeby o własnych siłach przesunął się do przodu. Nie była dobrej myśli.

Spojrzał na nią pod swoim ramieniem.

– Gdzie mam wejść?

– Do windy, tak jak mówiłeś. – Nie zdjął z niej jednak ani kilograma swojego ciężaru i musiała przyznać, że ta jego niemoc wydawała się prawdziwa. Nie sądziła, żeby był w stanie wejść do windy bez jej pomocy. Leo Posen milczał. Drzwi zaczęły się

zamykać i decydując się na ryzykowny pokaz równowagi, przytrzymała je jedną nogą.

– No dobrze – powiedziała pod nosem. – Dobrze, dobrze, dobrze. – Wciągnęła ich oboje do środka i drzwi się zamknęły. – Na którym piętrze masz pokój?

– Co „dobrze”?

– Na którym piętrze jest twój pokój?

– Nie mam pojęcia. – Jego słowa brzmiały ciężko, ale wyraźnie, każde przypominało kulę armatnią rzuconą w piach.

– Masz pokój w tym hotelu?

– Na pewno – powiedział z lekką nutą asekuracji w głosie, która zasiała w jej umyśle ziarno wątpliwości.

Drzwi znowu zaczęły się otwierać i Franny wcisnęła przycisk, żeby je zamknąć, po czym wybrała dwudzieste trzecie piętro. Było też dwudzieste czwarte, ale na nim znajdował się penthouse. Dwudzieste czwarte piętro wymagało osobnego klucza do windy.

– Masz klucz w kieszeni? Sprawdź.

– Nie chcesz, żeby ktoś cię ze mną zobaczył?

Franny oparła Leo Poseną w kącie windy, gdzie udało mu się złapać równowagę. Przeszukała kieszenie jego marynarki, wewnętrzne, zewnętrzne, a potem kieszenie spodni. Latem ona i Caroline urządzały sobie takie zabawy z ojcem: jak przesłuchać podejrzanego, jak go przeszukać, jak otworzyć zamek w drzwiach samochodu. Fix we wszystkim widział okazję do wpajania im policyjnych procedur. W kieszeniach Leo Poseną znalazła złożoną chusteczkę (wyprasowaną, bez monogramu), okulary do czytania, zielone opakowanie dropsów Life Savers (brakowało dwóch), kwit bagażowy z lotu do Los Angeles i jego portfel. Następnie przeszukała jego portfel. Klucze do pokoi hotelowych wyglądały teraz jak karty kredytowe. Czasami ludzie wkładali je do portfela.

– Hej – powiedział Leo tonem lekkiego rozbawienia, które za chwilę miało go opuścić. – Nie chcesz, żeby ktoś cię ze mną zobaczył?

Winda wydała z siebie dyskretny dźwięk obwieszczający dotarcie do celu. Drzwi się otworzyły, ukazując im olbrzymi hol na dwudziestym trzecim piętrze: były w nim długa romboidalna sofa z miejscami do siedzenia ze wszystkich czterech stron, trzymetrowe lustro i staromodny aparat telefoniczny na stoliku. Franny wcisnęła piątkę.

– Nie chcę, żeby ktoś cię ze mną zobaczył.

Lekko dotknął kieszeni marynarki, żeby sprawdzić, czy czegoś nie pominęła.

– Sprawiam ci kłopot.

– Ostentacyjnie zostawiłeś mi w barze górę pieniędzy, a teraz idę do twojego pokoju. Za coś takiego zwalniam tu kelnerki od drinków.

– Oczywiście mogłaby zadzwonić do studenckiego biura pomocy prawnej na Uniwersytecie Chicagowskim, gdzie słuchacze trzeciego roku oferowali za darmo porady prawne warte dokładnie tyle, ile za nie zapłaciłeś. Miała tam przyjaciół. Mogłaby ją przesunąć na początek kolejki spraw *pro bono*. Mogłaby wyjaśnić, że zwolniono ją za nagabywanie w celach nierządu, podczas gdy w rzeczywistości zrobiła coś, co zrobiłby każdy absolwent anglistyki: zadbała, żeby Leo Posen bezpiecznie dotarł do swojego pokoju. (Tylko czy brzmiało to przekonująco? Czy absolwentka anglistyki nie miałyby

ochoty przespać się z Leonem Posenem? Czy ona miała na to ochotę? Nie, w tym momencie nie. Nie). Dopilnowanie, by utrzymała się w pracy umożliwiającej spłacenie kredytu, leżało przecież w interesie uczelni. Uświadomiła sobie jednak, że to nie uniwersytetowi jest winna pieniądze. Jej dług został dwukrotnie sprzedany i teraz przejął go bank Farmers' Trust w Dakocie Północnej. To jej kredyt został zmuszony do nierządu.

Piąte piętro pojawiło się i minęło: drzwi otworzyły się przed identycznym holem jak poprzednio, a potem się zamknęły. Znowu jechali na dwudzieste trzecie. Czy ktoś w holu monitorował podejrzaną aktywność windy? W portfelu Leona Posena znalazła prawo jazdy wydane w Pensylwanii na nazwisko Leon Ariel Posen, karty American Express, MasterCard i Visa, kartę Admirals Club i kartę do biblioteki w Pasadenie, kilka szkolnych zdjęć rudowłosej dziewczynki, która dorastała z każdym kolejnym ujęciem, poskładane paragony, których nie otwierała, oraz kartę do drzwi w hotelu Palmer House. Bingo. Franny spojrzała na nią, na przyjemny ciemnozielony kolor, na nazwę hotelu wydrukowaną przesadnie ozdobną czcionką, na pasek magnetyczny z tyłu otwierający drzwi do jednego z pokoi w tym hotelu.

– Jaki masz numer pokoju?

– Osiemset dwanaście.

Drzwi znowu się otworzyły. Witaj, dwudzieste trzecie piętro. Franny wcisnęła ósemkę.

– Wcześniej mówiłeś, że nie wiesz.

– Wcześniej nie wiedziałem – powiedział, odwracając wzrok.

Jazda windą mu nie służyła. Każdemu zatrzymaniu się i startowi towarzyszyło lekkie drgnięcie, pięć szybkich centymetrów w górę, a potem powrót, żeby przypomnieć pasażerowi o kablu, na którym wisiało to pudełko. Możliwe, że zmyślił numer pokoju, byleby tylko wyprowadziła go na twardy grunt. Drzwi znowu się otworzyły i mozolnie ruszył naprzód, jakby próbował wyjść bez niej. Przewiesiła sobie jego rękę przez ramię. W płaszczu zaprojektowanym do podtrzymywania funkcji życiowych przy temperaturze dwudziestu stopni poniżej zera było jej gorąco. Twarz dziewczyny rozjaśniła warstewka potu. Pot spływał po tylnej części jej nóg i do butów.

– Nie straciłabyś pracy – powiedział. Mówił ściszym głosem i Franny była mu za to wdzięczna. Nie wszyscy pijani ludzie są zdolni do takiej powściągliwości. – Powiem im, że się przyjaźnimy. Bo przecież to prawda.

– Nie jestem pewna, czy byliby zadowoleni z naszej przyjaźni – odparła.

Korytarze, podobnie jak hole przed windą, były bardzo szerokie. Taka ilość zmarnowanej przestrzeni była luksusem w stylu Starego Świata. Nigdy wcześniej nie była na górze i przypuszczała, że uczucia, które jej towarzyszą, mają coś wspólnego z kradzieżą z włamaniem. Korytarze ciągnęły się w nieskończoność, na pozór nie mając żadnego punktu zbieżności, a wzdłuż nich wisiały czarno-białe zdjęcia sławnych ludzi z ich najlepszych lat: Dorothy Dandridge, Franka Sinatry, Judy Garland. Nie miały końca. Franny skupiła na nich wzrok. Witaj, Jerry Lewisie. Wykładzina przyprawiała o zawrót głowy, papka z pawich piór w żółtych, brzoskwiniowych, różowych i zielonych kolorach. Franny nie mogła długo spoglądać w dół, a przecież była trzeźwa. Taki deseń z pewnością nie szedł w parze ze szkocką. W korytarzu stał stolik obsługi hotelowej, niedojezdzony

Reuben sandwich, porozrzucane frytki, róża w wazoniku, butelka wina odwrócona do góry dnem w srebrnym kubelku... Osiemset sześć, osiemset osiem, osiemset dziesięć, osiemset dwanaście. Dom. Przesunęła biodro w stronę Leo Posena, żeby zneutralizować jego ciężar, a potem zanurzyła kartę w zamku. Czerwone światelko rozbłysło dwa razy i zniknęło.

– Kurwa – powiedziała cicho, potem spróbowała jeszcze raz. Czerwone światelko.

– A może pojedę z tobą do domu?

– To niemożliwe.

– Mógłbym spać na kanapie.

– Sama śpię na kanapie – powiedziała. Jeśli nie liczyć nocy, gdy szła do łóżka z Kumarem. Nie było ich wiele, bo nie na tym polegał ich związek. Kumar był jej przyjacielem. Potrzebowała miejsca do spania.

– Tysiąc osiemset dwanaście – powiedział, prostując się niewyczuwalnie. – To numer mojego pokoju.

Mogła go zaprowadzić z powrotem na tę uroczą romboidalną kanapę, stworzoną do tego, by się zrelaksować, jeśli oczekiwanie na windę stało się zbyt wyczerpujące. Z pewnością starczyłoby miejsca. Mogła go tam zostawić. Mogła zjechać na dół i zadzwonić z domu do recepcji, informując, że widziała mężczyznę śpiącego na sofie na ósmym piętrze.

– Tysiąc osiemset dwanaście.

Franny pokręciła głową.

– Masz na myśli uwerturę albo wojnę. Na pewno nie mieszkasz w pokoju tysiąc osiemset dwanaście.

Zastanowił się, wciąż spoglądając na zamknięte drzwi, przed którymi stali.

– Możliwe, że miałem na myśli wojnę – powiedział. – Moglibyśmy się na chwilę zatrzymać? Muszę trochę odpocząć.

– Ja też – powiedziała Franny. Przyszła do pracy o wpół do piątej. Nie zamierzała jechać na osiemnaste piętro. Równie dobrze mogli zacząć od drugiego i wkładać kartę do wszystkich zamków w hotelu.

– Wydajesz się zdenerwowana – powiedział sennym głosem. – Miałaś już kłopoty w tym hotelu? – Coraz chętniej przenosił ciężar ciała na jej ramiona i niezbyt sprawnie unosił nogi, przez co czuła się tak, jakby wlekła go po nierównej skalistej ścieżce. Franny minęła windy i szła dalej.

– Teraz mam kłopoty – powiedziała. Zamierzała dać mu jeszcze jedną szansę, a potem go zostawić. Nie miałby do niej pretensji. Nawet by jej nie pamiętał. Gdyby przewrócili się w korytarzu, to byłby koniec dla nich obojga. Był od niej o dwadzieścia pięć centymetrów wyższy, prawie czterdzieści kilo cięższy. Zmiażdżyłby ją, złamałby jej kostkę, zgruchotał nadgarstek. Znalazłby ich dopiero chłopak wsuwający rachunki pod drzwi o trzeciej w nocy. Nie miała ubezpieczenia zdrowotnego. Gdy dotarli do pokoju osiemset dwadzieścia jeden, wyjęła kartę z kieszeni płaszcza i wsunęła ją do czytnika. Światelko rozbłysło na czerwono, na czerwono, a potem na zielono. Zamek pstryknął i Franny przekręciła gałkę. Osiemset dwadzieścia jeden. Była zachwycona, że przynajmniej rozumie naturę pomyłek.

Leo Posen nie pomyślał o tym, żeby zostawić włączone światło. Franny zawlekła go do łóżka i posadziła na krawędzi, pstrykając jednocześnie nocną lampkę. Ładny pokój, wyściełane wezgłowie, grube zasłony, imitacja eleganckiego biurka, przy którym sławny powieściopisarz mógłby usiąść i napisać powieść. Podsumowując, zbyt ładny pokój, jeśli jego jedynym przeznaczeniem było zapewnienie pijanemu miejsca do spania. Na wyściełanym krześle leżała torba podręczna, a na oparciu wisiał płaszcz. Niezawodna i miłosierna obsługa hotelowa zjawiła się przed nimi i odsunęła narzutę, odsłaniając białe poduszki, białą pościel, głęboką kopertę zachęcającą do snu. Franny zastanawiała się, czy gdyby położyła się na godzinkę na drugim końcu szerokiego łóżka, ktokolwiek by to zauważył. Z drugiej strony młodzi studenci prawa mieliby znacznie trudniejsze zadanie, gdyby ją wylano za nagabywanie w celach nierzędu, jeśli na poduszce znaleziono by jej włos.

– Pomóż mi ze swoją ręką.

Leo Posen pochylił się i odsunął rękę do tyłu, dzięki czemu Franny była w stanie wysupłać go z marynarki. Był mężczyzną, któremu już wcześniej pomagano się pozbyć tego elementu stroju. Wydał z siebie przeciągłe, słabe westchnienie, jakby w końcu dopadł go ciężar świata.

Położyła marynarkę na jego płaszczu, a potem schyliła się w stronę butów. Leo Posen miał urocze sznurowane buty, wypastowane i zmiękczzone użytkowaniem jak rękawiczki. Ustawiała je dość daleko od łóżka, żeby nie potknął się o nie w nocy. Potem podniosła jego stopy i położyła je na łóżku, jednocześnie odwracając go na bok. O spodniach, o pasku nawet nie pomyślała.

– Następnym razem będę wiedział – powiedział, wtapiając się w całą tę miękkość, w chłodną pościel, w ciepłe koce.

Położyła mu dłoń na ramieniu, żeby jeszcze na chwilę skupić na sobie jego uwagę.

– Śpij dobrze – powiedziała. Nadała swojemu głosowi miękkość poduszek, bo teraz, gdy było już po wszystkim i bezpiecznie leżał w łóżku, znowu mogła go kochać. Przykryła go.

– Możesz chwilę zostać, prawda? – Nie było w tym żadnego zakłopotania, jedynie spokój, jedynie dość czasu, żeby poprosić o jeszcze jedną przysługę, co Franny uważała za największą różnicę między kobietami a mężczyznami. Miał zamknięte oczy i zasnął, zanim dokończył zdanie, więc nie odpowiedziała. Naciągnęła na niego narzutę i wyłączyła lampkę, a potem w ciemności usiadła na krawędzi łóżka, po drugiej stronie, i zmieniła buty. Nosila w torebce parę na płaskim obcasie. Podeszwy jej butów do pracy dotykały jedynie hotelowej wykładziny i dlatego wyglądały jak nowe. Miała je jeszcze przez wiele lat.

Gdyby ktoś kiedykolwiek spytał Fixa Keatinga i Berta Cousinsa, w czym się ze sobą zgadzają, żaden nie byłby w stanie stworzyć długiej listy. Mimo to, choć nigdy o tym nie rozmawiali (w ogóle o niczym nie rozmawiali), obaj uznali, że Caroline i Franny powinny pójść na studia prawnicze. Gdy ta myśl po raz pierwszy zaświtała im w głowach, dziewczynki były jeszcze bardzo małe, Caroline chodziła do gimnazjum, a Franny wciąż

spała z lalkami, lecz Fix i Bert planowali przyszłość niczym generałowie w swoich obozach. Ani Caroline, ani Franny nie przejawiały zainteresowania historią Ameryki. Nie miały większych predyspozycji do racjonalnego myślenia. Nie wykazywały żadnych umiejętności w dziedzinie prowadzenia debat, choć miały niespożyte siły, gdy trzeba było krzyczeć na siebie nawzajem. Nie chodziło jednak o to, co ci dwaj mężczyźni widzieli w Caroline czy we Franny. Chodziło o to, co każdy z nich widział w sobie.

Bert miał podobne oczekiwania wobec wszystkich dzieci w rodzinie, nawet wobec Jeanette, która, jak sądził, mogła przynajmniej zajmować się ustalaniem prawa własności, o ile w ogóle udałoby jej się skończyć studia. Od wszystkich oczekiwał tego samego, uważał się więc za człowieka sprawiedliwego i pozbawionego skłonności do faworyzowania kogokolwiek, a ponieważ obmyślił swój plan wiele lat przed chwilą, w której trzeba byłoby go wcielić w życie, zakładał, że ów plan ma szansę ziścić się co najmniej częściowo. Dotąd prawo było ulubioną dziedziną Cousinsów. Pradziadek Berta był prawnikiem w Pennsylvania Railroad, a dziadek sędzią sądu objazdowego. Ojciec Berta, William Cousins, zwany Billem, praktykował dżentelmeńską wersję prawa nieruchomości w okazałych kancelariach w centrum Charlottesville, przeważnie sporządzając umowy dla znajomych kupujących połacie ziemi uprawnej w Wirginii. Czekali na zmianę planu zagospodarowania terenu, a potem przemieniali obszary rolnicze w centra handlowe. Było to dobre źródło dochodu, które Bill wkrótce jednak porzucił, gdyż jego żona weszła w posiadanie praw do butelkowania coca-coli dla połowy Wspólnoty, które zapisał jej bezdzietny wuj. Bill Cousins lubił stać w swoim salonie, patrzeć przez frontowe okno na aleję obsadzoną szlachetnymi jaworami rosnącymi wzdłuż podjazdu i myśleć o tym, że świat jest piękny i nigdy nie powinien się zmieniać.

Bert żywił jeffersonowskie przekonanie, że znajomość podstaw prawa to fundament udanego życia, więc nawet jeśli któreś z dzieci chciało być pielęgniarzką albo nauczycielem, oczekiwał, że najpierw skończy studia prawnicze. Przekonanie, że osoba nieznająca prawa może być inteligentna lub interesująca, stanowiło problem w obu jego małżeństwach.

Fix miał prostsze podejście do prawa: chciał, żeby jego córki zostały prawniczkami, dlatego że prawnicy dobrze zarabiali. Gdyby Caroline i Franny utrzymywały się same, istniałoby mniejsze prawdopodobieństwo, że pewnego dnia porzucą męża dla jakiegoś bogacza. Fix święcie wierzył, że historia lubi się powtarzać, i nigdy nie wzdragał się przed nazywaniem rzeczy po imieniu. Skoro coś takiego stało się raz, to równie dobrze, do diabła, mogło się zdarzyć ponownie.

W roku, w którym Caroline skończyła trzynaście lat, a Franny dziesięć, Fix kupił im po podręczniku Kaplana przygotowującym do egzaminu wstępnego na studia prawnicze. Owinął książki czerwonym błyszczącym papierem i wysłał do Wirginii na Boże Narodzenie razem z tradycyjnymi prezentami wybranymi przez Marjorie: grami planszowymi, pluszowym królikiem, zestawem akwareli, swetrem i dwiema pozytywkami.

– To trochę szalone, ale pomysł jest niezły – powiedział Bert, sięgając po egzemplarz Franny przetrząsającej sterty pogniecionego papieru w poszukiwaniu jakiegoś przeoczonego prezentu, który mógł zaginąć pod choinką.

– Mówisz poważnie? – spytała Beverly. Miała na sobie zapinaną na zamek, sięgającą podłogi suknię z ciemnozielonego weluru, ręcznie robiony prezent bożonarodzeniowy od matki. Na każdej innej matce na świecie wyglądałaby fatalnie, lecz ich matka prezentowała się w niej zdumiewająco szykownie.

– Jeśli będą czytały jeden rozdział miesięcznie – powiedział Bert, wertując indeks – to przecież się nie przemęczą. Nie muszą tego rozumieć. Na tym etapie chodziłoby raczej o zapoznanie się ze słownictwem, ale jeśli będą się trzymały programu, pewnego dnia uzyskają doskonałe wyniki. – Nie wyartykułował jeszcze swoich planów stworzenia całej kancelarii prawników, ale uznał inicjatywę Fixa za dobry punkt wyjścia.

Caroline w czerwonej flanelowej piżamie w renifery i w puchatych skarpetkach była rozdarta między pragnieniem powiedzenia Bertowi, żeby spierdalał, a świadomością, że prezent pochodzi od jej ojca. Postanowiła, że przyjrzy się podręcznikowi później, gdy w pobliżu nie będzie Berta mogącego czerpać z tego przyjemność. Franny w tym samym czasie otwierała egzemplarz *Drzewka na Brooklynie*, który dostała od babci. Już po pierwszym zdaniu wiedziała, że podczas przerwy świątecznej będzie czytała właśnie tę książkę, a nie podręcznik przygotowujący do egzaminu na studia prawnicze. Tego samego ranka, gdy Fix zadzwonił, żeby życzyć im wesołych świąt oraz powiedzieć, że tęskni za nimi jak za nikim innym na świecie i żałuje, że nie mogą być wszyscy razem (co doprowadziło do tego, że dziewczynki rozplakały się przy osobnych słuchawkach, Caroline w kuchni, Franny siedząc na podłodze obok łóżka w pokoju Berta i jej matki), przekazał córkom dodatkową wieść: dostał się na studia prawnicze. Od stycznia miał uczęszczać w trybie wieczorowym do Southwestern College of Law. Studia wieczorowe oznaczały, że nauka potrwa cztery, a nie trzy lata, lecz wcale mu to nie przeszkadzało, właśnie tak studiował Dick Spencer. Fix żałował, że nie zaczął wcześniej, tak jak Dick, ale przecież nie można przez całe życie czegoś żałować.

– Gdybym poszedł na studia, kiedy byłem w waszym wieku, byłbym już starszym współnikiem – powiedział do córek. *When I was a boy I took a turn, as an office boy in an attorney's firm*⁴ – lubił śpiewać o poranku. – Wy macie mnóstwo czasu na naukę. Jeśli zaczniecie teraz i ja też zacznę teraz, będziemy mogli pouczyć się razem, kiedy przyjedziecie do mnie w wakacje.

Tymczasem była przerwa świąteczna i Franny nie miała ochoty się uczyć ani nawet obiecywać, że będzie się uczyła w wakacje. Wcześniej ojciec mówił, że latem zabierze je nad jezioro Tahoe i wynajmie łódź pontonową, którą będą mogli popływać. Nie zamierzała tego zamienić na wspólne siedzenie przy stole w kuchni i wzajemne odpytywanie się w ramach czegoś, co kojarzyło jej się z olbrzymim sprawdzianem z ortografii.

Gdy Caroline odłożyła słuchawkę, była gotowa z marszu wypełnić formularz zgłoszeniowy. Poszła do swojego pokoju z podręcznikiem Kaplana pod pachą i zamknęła drzwi. Zamierzała podjąć studia prawnicze razem z ojcem.

Franny natomiast wydmuchała nos, wytarła oczy i wróciła do salonu. Jej matka zbierała pogniecione kawałki papieru i błyszczące skrawki poskręcanej wstążki do worka na śmieci, a Bert siedział na kanapie z kubkiem kawy i spoglądał na świąteczny obrazek: choinkę, piękną żonę, ogień w kominku i uroczą pasierbicę.

– Tatuś idzie na studia prawnicze – powiedziała Franny, sadowiac się w niebieskim fotelu z powieścią od babci. – To dlatego chce, żebyśmy się uczyły. Chce, żebyśmy studiowały prawo razem z nim.

Beverly się wyprostowała. Jej torba z papierami była już przeładowana, ale wciąż lekka jak piórko.

– Fix wybiera się na studia prawnicze?

Bert pokręcił głową.

– Jest na to za stary.

– Wcale nie – powiedziała Franny, zadowolona, że może to wyjaśnić. – Będzie studiował tak jak Dick Spencer. – Lubiła Spencerów, którzy co lato zabierali ich wszystkich na lunch do Lawry's w Los Angeles.

Na dźwięk tego nazwiska w głębi umysłu Berta zabrzmiał dzwoneczek. Chodziło o Dicka Spencera z biura prokuratora okręgowego, o tego, który kiedyś był gliniarzem. O Dicka Spencera, który zaprosił go do domu Fixa na przyjęcie z okazji chrztu. Z okazji chrztu Franny.

– Na jaką uczelnię się wybiera? – spytał Bert. Wydawało mu się, że Spencer studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

– Do Southwestern College of Law – powiedziała Franny, imponując samej sobie tym, że zdołała coś takiego zapamiętać.

– Dobry Boże – powiedział Bert.

– No cóż – powiedziała Beverly, odsuwając z oczu kosmyk blond włosów. – Życzę mu powodzenia.

– Jasne – powiedział Bert. – Ale trudno mu będzie chodzić na zajęcia codziennie wieczorem po pracy. Nie wiem, kiedy znajdzie czas na naukę.

Franny spojrzała na niego. Jej jasne włosy były długie i lekko strąkowate. Rano nie zawracała sobie głowy czesaniem się, spieszyła się na dół, żeby otworzyć prezenty.

– A ty nie byłeś na studiach prawniczych?

– Pewnie, że byłem – powiedział Bert. – Studiowałem na Uniwersytecie Wirginii. Ale nie wieczorowo. Studiowałem w normalnym trybie.

– Więc nie miałeś aż tak trudno – powiedziała Franny. Była dumna z ojca, który zamierzał robić dwie rzeczy naraz. Zakonnice wpoily jej, że Bóg daje pierwszeństwo ludziom wybierającym trudniejszą drogę.

– Miałem wystarczająco trudno – odparł Bert, po czym upił łyk kawy.

Caroline zeszła na dół i przemaszerowała przez salon, idąc do kuchni po coś na ząb: po drugi kawałek bożonarodzeniowego ciasta kawowego, które – jak zakładała – pomogłoby jej w nauce.

– Więc twój ojciec wybiera się na studia prawnicze – zagadnęła ją uśmiechnięta Beverly. – To wspaniale.

Caroline stanęła jak wryta, jakby matka ugodziła ją w szyję strzałką zanurzoną wcześniej w neurotoksynach. Na jej twarzy rozkwitło coś między przerażeniem a wściekłością. Wszyscy zauważyli, że popełniono błąd i że nie sposób go już naprawić.

– Powiedziałaś im? – wykrzyczała Caroline, kierując całą swoją uwagę w stronę Franny.

– Ja nie... – Franny zaczęła mówić ściszym głosem, a po chwili zupełnie zamilkła. Chciała powiedzieć, że nie wiedziała, że ma nie mówić, albo że nie wiedziała, że to tajemnica, ale słowa po prostu zastygły jej na ustach.

– Myślałaś, że tata chciał, żeby oni wiedzieli? Nie zastanowiło cię, dlaczego nie poprosił ich do telefonu?

Caroline zrobiła dwa szybkie kroki w stronę Franny i uderzyła siostrę otwartą dłonią w kościste ramię. Cios rzucił młodszą dziewczynkę na podłogę. Zabolalo ją zarówno ramię, w które została uderzona, jak i to, na które upadła. Dla całego zajścia Franny nie znajdowała innego wytłumaczenia jak tylko takie, że Caroline naprawdę jest na nią zła, zła bardziej niż zwykle. Caroline prawie nigdy nie biła jej przy ludziach.

– Jezu, Caroline – powiedział Bert, odstawiając kubek. – Przestań. Beverly, nie pozwalaj jej bić Franny.

„W Boże Narodzenie jest szczególnie trudno”. Wszyscy czworo mieli w głowie jakąś własną wersję tego zdania. Beverly ledwie zauważalnie odsunęła się od córek. Nikt nie lubił patrzeć na krzywdę Franny, ale prawda wyglądała tak, że Beverly bała się starszej córki i nie interweniowała, dopóki na scenie nie pojawiła się krew.

– Nie odzywaj się do mnie – powiedziała Caroline do Berta, leciutko plując z wściekłości. – Gadaj ze swoim szpiclem.

Franny już płakała. Zanim położyła się spać, czerwony ślad po dłoni siostry zmienił się w fioletowego siniaka. Caroline się odwróciła i weszła po schodach, głośno tupiąc, a każdy jej krok był jak cios. Została zmuszona do nauki bez kawałka ciasta.

Odkąd Fix zaczął studia prawnicze, jego rozmowy z córkami krążyły wokół wykroczeń.

– Pani Palsgraf stała obok wagi na dworcu East New York sieci Long Island Rail Road – zaczął swobodnym tonem, jakby zamierzał im opowiedzieć historię swojej sąsiadki. Mówił tylko do Caroline, bo Franny odłożyła słuchawkę i wróciła do lektury *Krystyny, córki Lavransa*. Podczas „wakacji prawniczych”, jak je później nazywali, Caroline i jej ojciec siedzieli razem przy stole w kuchni i Fix objaśniał córce różne sprawy sądowe. Powiedział, że dzięki temu jest mu łatwiej, że jeśli może zreferować dziewczynkom jakąś sprawę, przyswaja sobie związane z nią przepisy. – Ludzie będą wam mówili, że w studiowaniu prawa chodzi o naukę myślenia, ale to nieprawda. To nauka zapamiętywania. – Podniósł rękę i odliczył na palcach. – Rażące zaniedbanie, doprowadzenie do czyjejś śmierci, naruszenie prywatności, zniesławienie, nadużycie nienoszące znamion przestępstwa... – Caroline robiła notatki. Franny czytała. Była przekonana, że to dzięki studiom prawniczym ojca przeczytała *Dawida Copperfielda* i *Wielkie nadzieje*, wszystkie książki Jane Austen, sióstr Brontë i w końcu *Świat według Garpa*.

Caroline i Fixa zawsze łączyła szczególna więź, a teraz, gdy mogli dyskutować o dziesięciu wyjątkach od Dead Man's Rule⁵, zbliżyli się jeszcze bardziej. Byli zgodni, że nie ma nic nudniejszego od prawa własności, pięciokrotnie bardziej szczegółowego niż inne dziedziny prawa i dopuszczającego niewiele intuicyjnego rozumowania, które mogłoby pomóc w jego opanowaniu. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko brnąć przez kolejne sprawy, wspomagając się nieustannymi powtórkami i sprytnymi

mnemotechnikami. Co to jest oferta? Co to jest przyjęcie oferty? Co to jest umowa? Co to jest świadczenie na rzecz osoby trzeciej? Prawo własności wymagało bacznej uwagi.

– Dobrze, że będziemy mieli w rodzinie dwóch prawników – powiedział Fix do Franny przy kolacji, mając na myśli Caroline i siebie. – Ktoś będzie musiał zarobić na te wszystkie twoje książki.

– One są za darmo – odgryzła się Franny. – Wypożyczam je z biblioteki.

– No to dziękujemy Bogu za biblioteki – powiedziała Caroline.

Zdumiewające, ile protekcjonalności udało jej się zawrzeć w słowach „No to dziękujemy Bogu za biblioteki”. Fix się roześmiał, ale po chwili się zreflektował. Franny przypuszczała, że wcale nie zamierzał się śmiać.

Fix faworyzował Caroline, jeszcze zanim zaczął chodzić na studia prawnicze. Dlatego że była starsza, więc mieli więcej czasu, żeby się poznać przed rozwodem z jej matką. Dlatego że nienawiść Caroline do Berta płonęła jak czysty biały płomień i dlatego że Caroline wychodziła ze skóry, by uprzykrzyć matce życie, a potem zdawała ojcu szczegółowy raport. Fix mówił jej, żeby odpuściła, lecz jednocześnie rozkoszował się drobiazgowością tych relacji. Żałował, że sam nie ma okazji, żeby zatruć życie Beverly. Caroline wyglądała jak Fix – brązowe włosy, skóra opalająca się na złoto, gdy tylko weszli na plażę. Franny za bardzo przypominała matkę, była zbyt delikatna, jasna i nieskoordynowana. Zbyt ładna i jednocześnie nie aż tak ładna jak Beverly. Gdy o szóstej rano zabierał ich rakiety i nowe puszki z piłkami do tenisa i zaprowadzał córki na uliczkę za sklepem spożywczym, Caroline potrafiła wykonać aż dwadzieścia siedem celnych uderzeń z rzędu. Bach, bach, bach w pustą ścianę sklepu A&P. Gdy brała zamach, jej długie ramiona poruszały się z wrodzonym wdziękiem. Życiowym rekordem Franny były trzy uderzenia z rzędu, co w dodatku wydarzyło się tylko raz. Prawdziwa różnica między Caroline a Franny polegała jednak na tym, że Caroline zależało. Zależało jej na prawie i na tenisie, i na stopniach z przedmiotów, których nawet nie lubiła. Obchodziło ją, co ich ojciec mówi o ich matce, co mówi o wszystkim. Franny chciała jedynie wrócić do samochodu i czytać Agathę Christie. Przeważnie jej na to pozwalali.

Po drugim dniu egzaminów adwokackich stanu Kalifornia ojciec zadzwonił do córek w Wirginii, żeby powiedzieć, jak zwariowani są niektórzy ludzie. Przychodzili na egzamin, taszcząc własne krzesła, swoje szczęśliwe lampki biurkowe. Jeden facet był tak przesądny, że przy pomocy przyjaciela przywlekł własne biurko. Obłąd! Test był długi i trudny, jak przebiegnięcie latem całej drogi z parku MacArthura do akademii policyjnej, ale właśnie po to się ćwiczy – żeby we właściwym czasie być przygotowanym. Fix był przygotowany i egzamin miał już za sobą. Zrobił swoje.

Franny powiedziała o tym Bertowi. Weszła do jego gabinetu i zanim się odezwała, zamknęła drzwi, choć i tak zamierzała mówić ścisłym głosem.

– Tata podszedł do egzaminu.

Franny i Bert dobrze się dogadywali, nawet kiedy Bert przestał się dogadywać z Beverly i mimo że Bert nigdy nie dogadywał się z Caroline. Bert spojrzał znad stosu leżących przed nim teczek.

– Zdał?

– Dopiero podszedł do egzaminu – powiedziała. – Ale na pewno zda. – Przez cztery

lata nie robił nic poza pracą, nauką i chodzeniem na studia, poświęcał wakacje i wszystkie pieniądze, jakie miał. Na pewno zdał. Nie było innej możliwości.

Bert pokręcił głową.

– W Kalifornii jest ciężko. Mnóstwo ludzi musi podchodzić do tego egzaminu parę razy, zanim w końcu go zda.

– Ty też podchodziłeś parę razy?

Bert, który często bywał nieprzyjemny dla wszystkich innych ludzi, dla Franny był miłszy. Spojrzał na nią, na jej wyprostowane ramiona, i pokręcił głową, jakby było mu przykro z tego powodu, a potem wrócił do pracy.

Fix nie zdał egzaminu adwokackiego.

To Marjorie zadzwoniła, żeby zawiadomić o tym dziewczynki.

– Za pierwszym razem nikt nie zdaje. Znam mnóstwo prawników i wszyscy mówią, żeby nawet o tym nie marzyć. Wasz tata po prostu będzie musiał podejść do testu jeszcze raz. Za drugim razem człowiek już wie, z czym się mierzy. Za drugim razem wszystko ma sens.

– Za drugim razem test będzie taki sam? – chciała wiedzieć Caroline. Płakała, lecz starała się to robić cicho, zasłaniając słuchawkę dłonią.

– Nie wydaje mi się – odrzekła z wahaniem Marjorie. – Myślę, że co roku jest inny.

– Jak to przyjął? – odezwała się Franny rozmawiająca z drugiego aparatu. Wiedziała, że teraz to ona powinna podtrzymywać rozmowę. – Co się stało, kiedy się dowiedział?

Fix prosił Franny i Caroline, żeby modliły się za niego w dniu egzaminu. Poprosiły zakonnice w Świętym Sercu, żeby też się za niego modliły, a mimo to nie zdał.

– Pojechaliśmy do mojej mamy, a ona przygotowała waszemu tacie pyszną kolację.

– A, to dobrze – powiedziała Franny, bo matka Marjorie była w stanie poprawić humor każdemu, bez względu na to, co się stało.

– Podała mu dzin z tonikiem i upiekła klops. Powiedziała, że to szkoda, że nie zdał egzaminu, ale przynajmniej może do niego podejść ponownie. A większość testów w życiu zdaje się tylko raz. To chyba poprawiło mu humor.

Przed drugim podejściem Fix zrobił fiszki. Znał faceta, który za drugim razem robił fiszki i ten facet zdał. Latem Fix pokazał karteczki córkom. Trzymał je ułożone w pudełku po butach, uporządkowane tematycznie. Było ich przeszło tysiąc. Caroline go odpytywała, nawet gdy samochód przejeżdżał przez myjnię, tylko że tak naprawdę to wcale nie było odpytywanie. Podawała mu odpowiedzi, trzymając fiszkę przyciśniętą do klatki piersiowej. „Doktryna, zgodnie z którą osoba użytkująca ziemię należącą do kogoś innego może zdobyć tytuł do tej ziemi, jeśli zostaną spełnione pewne wymogi prawa zwyczajowego, a drugi posiadacz...”

Franny stała za długim rzędem okien i szła równolegle do samochodu przejeżdżającego między smagającymi go szmatami, które dyndały pod sufitem (nieprzerwanie), przez pianę (uporczywą), płukanie (jawne i notoryczne), woskowanie (faktyczne). Pozwalała, by myjnia samochodowa wypełniła ją całą, każdą jej część, lecz to i tak nie wystarczało, żeby ścierpieć cztery wyznaczniki bezprawnego posiadania nieruchomości.

Fiszki były wprawdzie wspaniałe, ale się nie sprawdziły, nie pomogło także to, że za drugim podejściem Fix przyniósł własną lampkę na biurko. Matka Marjorie znowu przygotowała mu kolację i powiedziała, że będzie musiał podejść do egzaminu po raz trzeci, nie ma się czego wstydzić, mnóstwo ludzi zdaje trzy razy, więc Fix znowu podszedł do testu, a gdy i wtedy nie zdał, dał za wygraną. Nikt już nie mówił o studiach prawniczych, chyba że w odniesieniu do Caroline i Franny.

Kiedy w ostatniej klasie liceum Loyoli Caroline podchodziła do egzaminu wstępnego na studia prawnicze, jej podręcznik Kaplana był sklejonny taśmą, popodkreślany trzema kolorami i najeżony karteczkami samoprzylepnymi. Ludzie zdający ten egzamin to przesądne grono, więc choć na zajęciach uważnie czytała zaktualizowane wersje podręcznika, to przed pójściem spać w akademiku czytała wyłącznie egzemplarz, który dostała od ojca na Boże Narodzenie w Wirginii. Wyznawana przez Fixa i Berta teoria, że wytrwałe, wieloletnie przygotowania zapewniają doskonały wynik, okazała się niesłuszna. Doskonały wynik na egzaminie wstępnym na studia prawnicze to sto osiemdziesiąt punktów. Caroline Keating zdobyła ich sto siedemdziesiąt siedem. Nie wiedziała, na czym straciła trzy pozostałe, ale nigdy ich sobie nie wybaczyła.

Prawie dwa tygodnie po tym, jak Franny genialnie wydedukowała, że Leo Posen mieszka w pokoju 821, a potem zaprowadziła go do tego pokoju i wy dostała się z hotelu, tak że nikt się nie zorientował, ktoś zadzwonił do niej do baru. Dziesięć po szóstej wszystkie stoliki były zajęte, na każdym stolku przy barze ktoś siedział. Stojący tłoczyli się wokół ludzi na krzesłach, trzymając drinki, śmiejąc się i za głośno rozmawiając oraz mając nadzieję, że zwolni się jakieś miejsce. Jedna z kelnerek, dziewczyna o imieniu Kelly, ta, która miała byłego męża i dziecko, położyła dłoń u nasady pleców Franny i szepnęła, prawie dotykając umalowanymi ustami jej ucha. Wszystko, co robili ci ludzie, miało intymną oprawę, nawet przekazywanie wiadomości.

– Telefon – powiedziała głosem, który wślizgnął się pod gwar.

W barze nigdy nie było telefonów do Franny. Kelly odbierała je bez przerwy: od byłego męża i opiekunki do dziecka, i od matki, która czasami pilnowała dziecka. Dziecko nie było w stanie wytrzymać całej zmiany, nie stając w obliczu jakiejś niemożliwej do zaspokojenia potrzeby. Franny szybko pomyślała o wszystkich ludziach, którzy mogli umrzeć, po czym zdała sobie sprawę, że i tak nie zgadnie. W sali było bardzo głośno, przekrzykiwano się, nieustannie brzęczały szklanki, a z kasety leciał Luther Vandross, co oznaczało, że następny będzie Bing Crosby. Heinrich trzymał słuchawkę z boku, w wyciągniętej ręce, jakby była jakimś paskudnym kawałkiem ścierva zeszkobanego z asfaltu, i kontynuował rozmowę z klientem. Lekko pochylił głowę, co było jego sposobem na wyrażenie dezaprobaty. Nie musiał nic mówić. Franny zasłoniła ucho ręką, jakby mogło ją to odgrodzić od hałasu.

– Mówi Leo Posen – zabrzmiał głos w słuchawce.

– Naprawdę? – powiedziała. Nie użyłaby tego słowa, gdyby miała chwilę na zastanowienie. Po tym jak go odprowadziła do łóżka, jeszcze raz przeczytała *Pierwsze miasto*, dzięki czemu Leon Posen był stale obecny w jej myślach. Franny wątpiła, żeby

pamiętał jakikolwiek aspekt tamtego wieczoru, a nawet gdyby pamiętał, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Leon Posen jeszcze kiedyś się do niej odezwie. Myśl, że do niej zadzwoni, wymagała pewnego napuszenia się, do którego Franny Keating nie była zdolna.

– Powinienem być zadzwonić wcześniej.

– Dlaczego? – spytała.

– Postawiłem cię w trudnej sytuacji. Nie sprawdziłem, czy nie wpadłaś przez to w kłopoty.

– Och, nie wpadłam – powiedziała. Spojrzała na miejsca przy barze i wyobraziła sobie, że piją tam postacie z jego książki: Septimus Porter trzymał wysoką szklankę, jego dziewczyny robiły mnóstwo hałasu.

– Nie słyszę cię.

– Powiedziałam, że nie wpadłam w kłopoty. Bardzo tu dzisiaj głośno. Mamy happy hour. – Heinrich gapił się na nią, więc zasłoniła słuchawkę dłonią. – To Leon Posen – powiedziała do barmana, na co on tylko pokręcił głową i się odwrócił.

– Mogłabyś przyjechać w piątek do Iowa?

– Do Iowa?

– Będzie przyjęcie, na które muszę iść, i pomyślałem, że mogłoby ci się na nim spodobać. – Na chwilę zamilkł, a Franny wyteżyła słuch, żeby wyłowić dźwięki miejsca, z którego dzwonił, ale w barze było zbyt głośno. Jeszcze mocniej przycisnęła słuchawkę do uciskanego ucha. Wreszcie odezwał się ponownie. – W zasadzie to nieprawda. Wątpię, żeby ci się na nim spodobało, ale pomyślałem, że gdybyś przyjechała, mógłbym je jakoś znieść. Zarezerwuję ci pokój w hotelu. Nie jest to Palmer House, ale na jedną noc będzie w porządku.

– Nie mam samochodu – powiedziała Franny.

– Prześle ci bilet na autobus! Tak będzie jeszcze lepiej. Z tutejszą pogodą nigdy nic nie wiadomo. Gdybyś jechała samochodem, martwiłbym się o ciebie. Nie masz nic przeciwko podróżowaniu autobusem? Mógłbym ci przesłać bilet na adres hotelu. Dla Franny z baru w Palmer House. Jak masz na nazwisko?

Zauważyła, że na drugim końcu sali, przy jednym z jej stolików, jakiś mężczyzna uniósł szklankę i przechylał ją z boku na bok. Nie powinno było do tego dojść, klienci nie powinni być zmuszani do proszenia o drinka.

– Keating. Słuchaj, muszę już lecieć – powiedziała, skupiając wzrok na tej jednej szklance i na lodzie, w którym odbijało się światło lamp wiszących ponad głowami ludzi. – Znowu stracę pracę. Mogę przyjechać autobusem.

Tego dnia Franny miała pracować, ale znalezienie zastępstwa na piątek nigdy nie było trudne. Dostawało się wtedy największe napiwki, więc gdy tylko oddała ten wieczór, odbiło się to na jej kieszeni. Nawet jeśli nie płaciła za bilet ani za nocleg, wiedziała, że ta wycieczka będzie ją drogo kosztować.

– Chce się z tobą przespać – stwierdził Kumar, gdy opowiedziała mu o rozmowie telefonicznej. Nie spał jeszcze, kiedy wróciła z pracy. Siedział przy stole w kuchni otoczony stertami książek i samoprzylepnych karteczek. Wydawał się zniechęcony, a jeszcze tego wieczoru musiał napisać recenzję artykułu liczącego sto stron i opatrzonego

ponad setką przypisów. Nie miał siły myśleć o Franny, a tym bardziej z nią sypiać.

Oczywiście Kumar miał rację – bo niby po co ktokolwiek miałby sprowadzać kelnerkę od drinków z innego stanu? – lecz z jakiegoś powodu wcale nie odnosiła takiego wrażenia. Leo Posen czekał dwa tygodnie, zanim do niej zadzwonił. Co to oznaczało? Że próbował o niej zapomnieć, ale mu się nie udało? Że kelnerki od drinków w Iowa nie są rozwiązłe?

– Może spodobał mu się mój umysł – powiedziała i zaśmiała się ze swojej beztraskiej głupoty. – Moje uroczę towarzystwo.

Jej współlokator skomentował to lekkim, pojednawczym wzruszeniem ramion, ale się nie odezwał.

Tamtej nocy, gdy poznała Leo Posena, obudziła Kumara i opowiedziała mu całą historię. Od początku wiedziała, że to zrobi. Była prawie druga w nocy, kiedy wspięła się na jego łóżko w ciemnym pokoju i potrząsnęła go za ramię.

– Zgadnij, kogo poznałam! Musisz zgadnąć!

Kumar uwielbiał książki Posena. Rozmawiali o nich niedługo po tym, jak się poznali. Gdy poszła do kuchni zaparzyć dzbanek kawy, przyjrzał się jej regałom, a gdy wróciła z kubkami, trzymał egzemplarz *Septimusa Portera*. Zostawił na półce Updike'a, Bellowa i Rotha.

– Czytasz Leona Posena? – spytał, chcąc się upewnić, czy książki nie zostawił jakiś jej dawny chłopak.

Franny i Kumar poznali się niedługo po rozpoczęciu studiów na Uniwersytecie Chicagowskim. Siedzieli obok siebie na wykroczeniach i postanowili, że będą się razem uczyć. Zostali przyjaciółmi, nie zdając sobie sprawy, że wkrótce nie będą mieli czasu na przyjaźń. Teraz, gdy Franny była splukana i spała na jego kanapie, trudno było powiedzieć, co najbardziej zaniepokoiło Kumara w tej jej wycieczce do Iowa: to, że kobieta, którą polubiłby jeszcze bardziej, gdyby tylko miał czas, wybiera się na przyjęcie w innym stanie z innym mężczyzną, to, że wolałby z nią pójść, czy to, że wolałby pójść zamiast niej.

Leo Posen czekał na nią na dworcu autobusowym w Iowa City. Miał na sobie czarny płaszcz oraz szary pilśniowy kapelusz i studiował rozkład jazdy wiszący pod pleksiglasem na ścianie, jakby zastanawiał się, czy gdzieś nie pojechać. Na widok idącej w jego kierunku Franny uśmiechnął się znacznie szerzej i ze znacznie większą wdzięcznością niż w barze.

– Nie przypuszczałem, że to się uda – powiedział, pokazując jej na krótką chwilę uroczą i mało elegancką wadę zgryzu. Wyciągnął rękę, żeby ucisnąć jej dłoń. Zanotowała w myślach, żeby później powiedzieć o tym Kumarowi, bo gdyby plan Leona Posena polegał na przespaniu się z nią, gdyby tylko taki był jego zamiar, od razu by ją pocałował.

– To była przyjemna podróż – powiedziała.

– Nie rozumiesz – odrzekł ze śmiechem. – Myślałem, że będę odmrażał tu sobie tyłek, patrząc na każdą osobę wysiadającą z autobusu z Chicago, a żadna z nich nie będzie tobą. Nawet poszedłbym sprawdzić, kiedy przyjeżdża następny autobus z Chicago, bo nie byłbym pewny, czy nie pomyliłem godziny. Sądziłem, że potem będę się czuł jak krety,

będę sobie powtarzał, że postąpiłem żałośnie, myśląc, że mogę przesłać nieznajomej bilet, a ona wyjdzie z autobusu tylko dlatego, że chciałem, żeby to zrobiła. Wszystko sobie zaplanowałem. Byłem tak pewny, że się nie zjawisz, że nawet myślałem o tym, by w ogóle nie przyjeżdżać na dworzec i w ten sposób dać ci nauczkę.

– To byłoby okropne – powiedziała Franny, bo właśnie zdała sobie sprawę, że nie ma jego numeru telefonu ani adresu.

Pokręcił głową.

– Myślałem, że przez resztę dnia będę się czuł okropnie, głupio i staro, a potem zadzwonię do dziekana i powiem, że zważywszy na okoliczności, nie mogę się zjawić na jego przyjęciu.

– No cóż – powiedziała Franny, nie do końca to wszystko rozumiejąc. – Wygląda na to, że pokrzyżowałam ci plany.

– O, pokrzyżowałaś, pokrzyżowałaś! Przewróciłaś mi do góry nogami cały dzień. – Zatarł ręce, żeby je rozgrzać, a potem włożył je głęboko do kieszeni.

Dworzec był przyjemniejszy, niż się spodziewała, podłogi pozamiatano i nikt nie spał na ławkach w poczekalni, ale w środku było prawie tak zimno jak na zewnątrz, panoszył się tam przenikliwy ziąb wysmaganej wiatrem środkowozachodniej prerii pod koniec lutego. Działała tylko jedna kasa. Sprzedawca biletów w okienku miał na sobie nie tylko gruby płaszcz, ale także czapkę i rękawiczki.

– Chcesz najpierw pojechać do hotelu, odświeżyć się? Odpocząć?

Franny pokręciła głową.

– Nieszczególnie.

Nie rozumiała, dlaczego jest taki zaskoczony: to oczywiste, że Franny Keating przyjechałaby do Leo Posen. Przypuszczała zatem, że wszystko zależy od tego, do jakiego stopnia Leon Posen uważa się za Leona Posen. Gdyby uważał się za sławnego powieściopisarza, wiedziałby, że do niego przyjedzie, ale jeśli uważał się tylko za kogoś, kogo spotkała w barze, to, no cóż, miał rację. Nigdy nie wsiadłaby do autobusu, żeby pojechać do kogoś poznanego w barze, z żadnego innego powodu, jaki była w stanie wymyślić. Nikogo innego nie odprowadziłaby też do pokoju. W zasadzie na wspomnienie tego zdarzenia czuła chłód, który w żaden sposób nie wiązał się z mrozem panującym na dworcu. Mimo to patrząc na niego, nie miała tego dobrze sobie znanego wrażenia, że popełniła poważny błąd. Widziała tylko Leo i cieszyła się, że jest w Iowa.

Zdjął z jej ramienia płócienną torbę, tę, w której w czasach szkolnych nosiła podręczniki. Torba zawsze była przeładowana. Teraz miała w niej tylko koszulę nocną i szczoteczkę do zębów, ubranie na jutro i zbiór opowiadań Alice Munro, który czytała w autobusie.

– Nie wygląda na to, żebyś planowała tu zostać – powiedział.

– Tylko na jedną noc.

– W takim razie powinienem ci pokazać trochę Iowa, zanim zrobi się jeszcze ciemniej.

– Widziałam okropnie dużo Iowa, jadąc autobusem. Wygląda jak Illinois. W tej części, która nie jest Chicago. – Podróż trwała pięć i pół godziny. Między opowiadaniem Alice Munro Franny patrzyła na te wszystkie bezkresne zaśnieżone pola z powtykanymi w nie

setkami tysięcy skoszonych łodyg kukurydzy i na długie cienie rzucone przez te kukurydziane kikuty na śnieg w świetle późnego popołudnia. Siedziała z głową opartą o szybę. Pola przesuwaly się jedno za drugim i ani centymetr przestrzeni nie marnował się na coś tak ozdobnego i bezużytecznego jak drzewo.

– W takim razie reszty możesz się domyślić – powiedział i wskazał na duże dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na parking. – Zamiast tego zabiorę cię na kolację.

Wyszli razem w mroźne powietrze. Cienka warstewka śniegu właśnie zaczynała pokrywać odsnieżone niedawno chodniki.

Stary śnieg leżał warstwami na ziemi, na zaparkowanych samochodach, których nikt nie dotykał, na małych odpornych krzewach mających znieść nieprawdopodobny ciężar śniegu aż do wiosny. Franny czuła swoją kruchość, gdy mroźne powietrze toczyło bój z jej płaszczem. Nie było gorzej niż w Chicago, może nawet o dwa stopnie cieplej, a mimo to czuła się, jakby weszła na ścianę pokrytą potłuczonym szkłem. Wyobraziła sobie pierwszych osadników, którzy w osłoniętych wozach przemierzali prerię w poszukiwaniu lepszego życia. Dlaczego zatrzymali się akurat tutaj? Czy okulały im konie? Czy nastala wiosna? Czy tak bardzo zgłodnieli, że zatrzymali wozy i spytali samych siebie: „Zajechaliśmy wystarczająco daleko?”.

– Przypomnij mi, dlaczego tutaj jest lepiej niż w Los Angeles – poprosiła Franny. Żałowała, że nie może wziąć go pod rękę i się przytulić. Był dość wysoki, żeby osłonić ją od wiatru.

– W Iowa nie mam żony.

– Miejmy nadzieję, że to samo możesz powiedzieć o większości stanów.

– Właśnie to mi się w tobie podoba. Masz pozytywne podejście. – Położył dłoń na jej plecach i skierował ją w stronę włoskiej restauracji, która wyglądała, jakby niedawno była zwykłą jadłodajnią. – Przeliczyłem się – powiedział, spoglądając na zegarek. – Chyba nie mamy czasu na kolację. Raczej wyłącznie na drinka. Czy na razie wystarczy ci tylko drink? Później będzie mnóstwo jedzenia.

Franny cieszyła się, że już nie stoją na mrozie. Wiatr wdarł się razem z nimi przez drzwi, omiatając stoliki arktycznym podmuchem i skłaniając innych klientów do spojrzenia w ich stronę. Restauracja w przeciwieństwie do dworca autobusowego miała gorliwy grzejnik.

– W zupełności wystarczy mi drink.

Zacęła rozpinąć płaszcz, odwiązywać szalik, zdejmować czapkę. Miała buty na gumowej podeszwie i z gumowym wzmocnieniem nad palcami. Były obszyte futerkiem wyrzuconych pluszowych misiów. Zimą brakowało miejsca na próżność.

Za barem stała kobieta, która równie dobrze mogła być tuż przed sześćdziesiątką, jak i niewiele po. Miała gęstwinę jasnych loków zaczesanych do góry i upiętych na czubku głowy oraz czarną kamizelkę, która z trudem radziła sobie z pomieszczeniem jej biustu. Na jej lewej piersi widniało wyhaftowane zamaszystą kursywą imię Rae.

– Kogo ja widzę! – powiedziała Rae. – Wpadłeś przed pracą?

– Uznałem, że powinienem.

– Próbowałam urwać się z pracy – zwróciła się do Franny, jej oczy błyszczały w klatkach z zaschniętej mascary – ale się nie udało. Czego się napijesz, kochana?

– Tego samego co on – powiedziała Franny, kiwając głową w stronę Leo. – Może jeszcze poproszę trochę paluszków i szklankę wody.

– Dobrze kombinujesz – powiedziała kobieta, zdejmując butelkę szkockiej z półki za swoimi plecami. – Trzeba zadbać o podkład. Zamierzasz mi go przedstawić?

– Nie znacie się? – spytała zdezorientowana Franny. Miała wrażenie, że barmanka z kimś ją pomyliła. Wyciągnęła rękę w stronę siedzącego obok mężczyzny. – Znasz Leo Posenę?

Pytanie niezmiernie ucieszyło ich oboje, Leo i barmankę, we dwójkę wybuchnęli głośnym śmiechem, który ożywił ich koniec baru w tej posępnej restauracyjce.

– Rae – przedstawiła się barmanka, wyciągając rękę do Leo, który ujął ją w obie dłonie i uściśnął z wielkim namaszczeniem.

– Ona robi dla mnie lód – powiedział.

– Przechowuję go w torebce strunowej. – Rae sięgnęła do zamrażarki pod barem i wyjęła torebkę, na której widniał napis „Nie dotykać” zrobiony czarnym grubym flamastrem. – Wydaje mu się, że Iowa próbuje go otruć kiepskim lodem.

– Wspominał mi – powiedziała Franny, kiwając głową.

– Wspominałem ci o tym? – spytał Leo, zdejmując szalik i wyswobadzając się z płaszcza. Znowu miał na sobie garnitur, tym razem granatowy, i krawat w paski.

– Więc komu mam cię przedstawić?

– Masz go przedstawić publiczności na dzisiejszym odczycie – powiedziała Rae i za pomocą wysokiej szklanki nabrała dwie porcje lodu. – Wielcy sławni pisarze raczej niewiele znaczą w tym mieście, ale lubię gdzieś wyjść, kiedy mam wolny wieczór. Chodzę na te odczyty od lat. Dzięki temu widuję wszystkich swoich klientów przy pracy. I wiesz, co mi mówią? Mówią: Rae, to ty powinnaś pisać książki.

Leo pokiwał głową, z powagą potwierdzając jej słowa.

– Powinnaś.

Rae uśmiechnęła się do niego i skupiła z powrotem na Franny.

– Czasami proszą któregoś ze studentów, żeby przedstawił starszków. A skoro o tym mowa, powinnam spojrzeć na twój dowód tożsamości.

Franny pogmerała w torebce w poszukiwaniu portfela, a potem podała swoje prawo jazdy barmance. Kobieta wyjęła z kieszeni spodni okulary i wczytała się w dokument, co Franny nigdy się nie zdarzało. Ona prawie nigdy nie prosiła klientów o dowód, a jeśli to robiła, uznawała, że samo jego okazanie jest równoznaczne z pełnoletnością.

Gdy Rae poczuła się usatysfakcjonowana, podała Leo zarówno okulary, jak i prawo jazdy.

– Popatrz – powiedziała. – Frances ma prawie dwadzieścia pięć lat. Słowo daję, pomyślałabym, że masz siedemnaście. Tak to jest, kiedy człowiek się starzeje. Cała reszta zaczyna wyglądać młodziej.

Leo wziął okulary i przyjrzał się dokumentowi.

– Wspólnota Wirginii? – zdziwił się i odwrócił prawo jazdy na drugą stronę. Być może interesowało go, czy postanowiła zostać dawczynią organów. – Myślałem, że jesteś z Los Angeles.

– Jestem, ale prowadzić nauczyłam się w Wirginii.

– Więc jeśli nie jest twoją studentką i nie wie, że za dwadzieścia minut masz odczyt, to kim ona jest? – Rae nadal mówiła wesołym tonem, ale teraz patrzyła tylko na Leo, a on nadal przyglądał się prawu jazdy.

– To moja barmanka – powiedział rozkojarzony, a po chwili, zreflektowawszy się, spojrzał na Rae i uśmiechnął się. – Moja inna barmanka.

Franny go nie poprawiła. Kobieta za barem o nic więcej jej nie pytała. Rae nałala dewara do dwóch szklaneczek i przesunęła je w ich stronę.

– To będzie osiem – powiedziała. Nie zwracała sobie głowy paluszkami i wodą. W ciepłym końcu baru, najdalej od drzwi, zaczął się tworzyć tłum i poszła go obsłużyć.

Leo Posen położył na barze dziesięciodolarowy banknot. Nawet jeśli wiedział, co ugryzło jego przyjaciółkę, która specjalnie dla niego robiła lód w domu i przynosiła go do pracy w foliowej torebce, to nie dał tego po sobie poznać. Skupił się na drinku.

– Muszę wygłosić odczyt, a potem będzie przyjęcie na moją cześć. To jedno ze zobowiązań. Nie ma ich wiele i wszystkie zostały zapisane w mojej umowie. Na pozostałe przyjęcia nie muszę chodzić.

– Zamierzałeś mi powiedzieć o tym odczycie?

Leo lekko pokręcił głową.

– Myślałem, że nie będę musiał. Przede wszystkim naprawdę nie przypuszczałem, że przyjedziesz z Chicago autobusem, i sądziłem, że nawet gdybyś przyjechała, byłabyś zmęczona i chciałabyś odpocząć w pokoju hotelowym. Ja zawsze jestem zmęczony po dotarciu do nowego miejsca. Podróże mnie męczą, nowości mnie męczą i nigdy nie jeżdżę autobusami, więc myślałem, że jeśli przyjedziesz, będziesz chciała się od razu położyć. Najwyraźniej masz więcej energii niż ja.

– Nie sądzisz, że nawet gdyby udało ci się porzucić mnie w hotelu, pójść na odczyt i dopiero potem zabrać na przyjęcie, ktoś mógłby mnie tam spytać: „Jak ci się podobało na odczycie?”. – Poszłaby na niego, nawet gdyby nie poznała Leo Posena. Gdyby tylko wiedziała, że Leon Posen daje odczyt w Iowa City, sama przyjechałaby autobusem. Kumar wymigałby się od obowiązków redaktora przeglądu prawniczego, czego jeszcze nigdy nie zrobił, byleby tylko móc pojechać razem z nią. Właśnie tego Leo Posen nie rozumiał.

– Albo ktoś mógłby powiedzieć: „Mój Boże, ten odczyt był nudny jak flaki z olejem”. Poza tym wcale bym cię nie porzucił. Po prostu bym cię oszczędził. To byłby gest miłosierdzia.

Franny się uśmiechnęła, a Leo Posen spojrzał na zegarek i wyciągnął szyję w stronę Rae. Śmiała się razem z nowymi klientami na drugim końcu baru, oddzielona od nich dwojga szeroką belą swoich pleców.

– Jesteś zawodowcem. Jaki jest najlepszy sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę barmanki, kiedy ci się spieszy?

– Zaprosić ją na swój odczyt jako osobę towarzyszącą – powiedziała Franny. – Działa za każdym razem.

Postukał palcem w tarczę swojego zegarka, jakby podawał tę wiadomość w wątpliwość.

– Po prostu czułbym się o wiele pewniej, gdybym mógł wypić jeszcze jednego, zanim stąd wyjdziemy.

Franny podsunęła mu swoją szklaneczkę. Przygotowany z taką troską lód właśnie zaczynał się topić, łagodząc dewara butelkowaną wodą z pradawnego źródła we Francji.

– W zasadzie to nie piję – powiedziała. – Poznałam tę sztuczkę dawno temu. Dzięki temu ludzie mnie lubią.

Leo spojrział na szklaneczkę, a potem na Franny.

– Mój Boże – powiedział. – Jesteś czarodziejką.

¹ „Nie mam szofera, który by mi szoferował, nie mam służącego, który by mi usługiwał”.

² *Verboten* (niem.) – zabronione.

³ „Ciągle się zastanawiam, co bez ciebie zrobię”.

⁴ „Gdy byłem chłopcem, spróbowałem swoich sił jako goniec w kancelarii prawniczej”.

⁵ Przepisy zabraniające świadkowi będącemu stroną w postępowaniu spadkowym składania zeznań dotyczących jego ustaleń i transakcji ze zmarłym, mające zapobiegać krzywoprzysięstwu.

Jakiś obcy rower stał w korytarzu przed jej mieszkaniem, tam gdzie nie wolno było zostawiać rowerów, lecz ten fakt oczywiście w żaden sposób nie przygotował jej na to, co się stało później. Jeanette otworzyła drzwi – reklamówki z zakupami wrzynały jej się w nadgarstki, płaszcz i buty zrobiły się ciężkie i gorące po wejściu po schodach na czwarte piętro – i zastała swojego brata siedzącego na kanapie z jej synem na kolanach.

– Popatrz! Popatrz! – zawołał jej mąż. Fodé był tak przejęty, że uściskał żonę, zanim przyszło mu do głowy uwolnić ją od części reklamówek. Bintou, niania ich synka, podbiegła, żeby wyrwać Jeanette torby z drugiej ręki, a potem pomogła jej zdjąć płaszcz. Oboje traktowali ją, jakby była królową Williamsburga.

– Albie? – Nie miała wątpliwości, że to jej brat, zaskoczyła ją raczej różnica między chłopcem a mężczyzną. Włosy Albiego, które dawniej były gęszcem ciemnych loków, zmieniły się w gruby warkocz; tak długi, że Jeanette zaczęła się zastanawiać, czy odkąd widzieli się po raz ostatni, choć raz je obciął. I skąd się wzięły te kości policzkowe? Chodziły pogłoski, że DNA ze strony ich matki zawierało maleńką domieszkę materiału genetycznego plemienia Mattaponi. Może Mattaponi odrodzili się w osobie najmłodszego dziecka Cousinsów. Wyglądał, jakby wcielił się w rolę. „Mój dziki Indianin” – mawiała Teresa, gdy biegał z krzykiem po domu. I oto się zjawił, chudy i milczący jak grób.

– Niespodzianka – powiedział Albie, jakby stwierdzał najzwyklejszy fakt: „Jestem zaskoczony, że siedzę w twoim salonie. Ty jesteś zaskoczona, że się tu znalazłem”. Potem dodał coś, co zaskoczyło go najbardziej. – Masz dziecko.

Dayo, dziecko, uczeplił się sznura z włosów Albiego. Posłał matce szeroki uśmiech, żeby pokazać, że cieszy się z jej powrotu do domu i że jest bardzo zadowolony z pojawienia się egzotycznego gościa.

– Szalik – powiedziała Bintou, odwijając mokrą wełnę z szyi Jeanette. Zdjęła czapkę z jej głowy i strząsnęła stopiony śnieg. Był luty.

Jeanette odwróciła się do męża.

– To mój brat – powiedziała, jakby to on dopiero co wszedł do mieszkania. Czuli się, jakby spotkała Albiego w swoim salonie zupełnie przypadkiem, tak jak inni ludzie natykają się na dawno niewidziane rodzeństwo na lotnisku albo na pogrzebie.

– Zobaczyłem go na ulicy! – wyjaśnił Fodé. – Prowadził rower i oddalał się od naszego budynku, akurat kiedy wracałem z pracy.

Albie pokiwał głową, żeby potwierdzić tę nieprawdopodobną historię.

– Pobiegł za mną. Myślałem, że to jakiś wariat.

– Nowy Jork – skwitowała Bintou.

Dobre wieści przetaczały się przez Fodé, wylewały się z niego, emocje wciąż jeszcze były bardzo świeże.

– Przecież wołałem cię po imieniu: „Albie! Albie!”. Wariaci nie wiedzą, jak masz na imię.

Jeanette marzyła o tym, żeby móc na pięć minut wrócić na korytarz i zebrać myśli. W salonie było za ciasno: Albie i Dayo rozsiedli się na kanapie jak goście, a Fodé i Bintou stali. Czy podeszli do drzwi dopiero przed chwilą, czy może już od jakiegoś czasu na nią

czekali? Jak wielka część ich rozmowy ją ominęła?

– Tak po prostu szedłeś sobie ulicą? – spytała Albiego. „Moją ulicą, akurat tą jedną jedyną na całym świecie?”

– Przyszedłem cię odwiedzić – wyjaśnił. – Zadzwoiłem do drzwi. – Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że na tym sprawa się skończyła, że próbował.

– Tylko że nacisnął niewłaściwy dzwonek – dodała Bintou. – Tutaj nic nie dzwoniło.

Wtedy Jeanette odwróciła się do męża. Cała ta historia nie miała sensu.

– Więc skąd wiedziałeś, że to mój brat?

W ich mieszkaniu nie było żadnych zdjęć Albiego, a Fodé z pewnością nigdy go nie poznał. Jeanette próbowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziała brata. Wsiadał do autobusu w Los Angeles. Miał osiemnaście lat. Minęło dużo, dużo, dużo czasu.

Fodé się roześmiał, nawet Bintou zasłoniła usta dłonią.

– Spójrz na siebie – powiedział.

Zamiast tego spojrzała na brata. Był jej przejawskrawioną wersją: wyższy, chudszy, bardziej śniady. Nie powiedziałaaby, że łączy ich jakieś szczególne podobieństwo, chyba że w porównaniu z przybyszami z Afryki Zachodniej znajdującymi się w salonie. Zabawnie było pomyśleć, że w mieszkaniu znalazł się ktoś podobny do niej, ponieważ Dayo przypominał jedynie swojego ojca i nianię. Gdy wieczorem Bintou otwierała jej drzwi, trzymając Dayo pomyslowo przywiązanego do piersi za pomocą wielometrowego pasa jasnożółtej tkaniny, Jeanette chcąc nie chcąc zadawała sobie pytanie: „To jest mój syn? Naprawdę?”

– Jesteśmy aż tacy podobni? – spytała brata, ale Albie nie odpowiedział. Usiłował wyplątać włosy z malutkich paluszków.

– Chciałam poczekać i zobaczyć, jak się ucieszysz – powiedziała Bintou, ściskając ramię Jeanette. – Teraz już pójdę. Czas dla rodziny. – Pochyliła się nad dzieckiem i kilkakrotnie ucałowała je w czubek główki. – Do jutra, mały. – Potem dodała coś w susu, kilka wznoszących się i opadających tonów ptasiego trrelu, które miały połączyć chłopca z Konakry z ojczyzną.

– Odprowadzę ją – zaproponował Fodé. – Będziecie mieli trochę czasu dla siebie.

Musiał ich zostawić. Nie był w stanie dłużej powściągać radości, szczęścia wywołanego wizytą rodziny. Włożył płaszcz, czapkę i szalik Jeanette. Były pod ręką, a Fodé w bardzo niewielkim stopniu rozróżniał, co jest jego, a co jej.

– Do widzenia, do widzenia! – powiedział, machając, a potem pomachał jeszcze raz, jakby zamierzał odprowadzić Bintou aż do Gwinei. Najzwyklejszemu wyjściu Fodé towarzyszyła wielka gala.

– Wyjaśnij mi to – powiedział Albie, gdy drzwi się zamknęły i stopniowo cichły rozlegające się na korytarzu odgłosy dwóch par stóp oraz płynąca za nimi elegancja ożywionej francuszczyzny. Gdy Fodé i Bintou byli sami, rozmawiali po francusku. – Oni są parą?

Jeanette za nic nie przyznałaby tego na głos, ale po ich wyjściu poczuła ulgę, w ciasnym pokoju było więcej przestrzeni, więcej powietrza.

– Fodé to mój mąż.

– I ma dwie żony?

– Bintou jest naszą nianią. Oboje pochodzą z Gwinei, oboje mieszkają na Brooklynie. To jeszcze nie czyni z nich pary.

– Wierysz w to?

Jeanette wierzyła.

– Nie musisz szukać sposobu, żebym oszalała. Wystarczy sam twój widok. Czy mama wie, gdzie jesteś?

Zignorował pytanie.

– Więc ono naprawdę jest twoje. – Wyciągnął ręce najdalej, jak pozwalał mu na to trzymany przez chłopca warkocz, i zakołysał dzieckiem, a ono śmiało się i poruszało nóżkami w górę i w dół. – Wyobrażasz sobie, co by na to powiedzieli ci wszyscy starzy Cousinsowie? Kazaliby ci go oddać Ernestine.

– Ernestine nie żyje – powiedziała Jeanette. Zabrała ją cukrzyca: najpierw stopę, potem wzrok. Ich babka wyliczała straty Ernestine w dorocznych bożonarodzeniowych listach, aż w końcu przyszła wiadomość o śmierci gosposi. Od tamtej pory Jeanette rzadko myślała o Ernestine i teraz w wyraźnym obrazie jej twarzy, który tak nagle powrócił, ujrzała własny brak lojalności. Ernestine była jedyną osobą w domu dziadków, którą Jeanette kiedykolwiek lubiła.

Albie potrzebował chwili, żeby się oswoić z tą informacją.

– Ktoś jeszcze?

Inni też umarli, oczywiście że tak, ale nie przychodził jej na myśl nikt, kto mógł być ważny dla Albiego. Pokręciła głową. Dziecko zaczęło wpychać sobie do buzi włosy jej brata, więc wzięła małego, nie mając pewności, czy Albie życzyłby sobie śliny niemowlęcia w swoich włosach, nie mając pewności, czy sama życzy sobie, żeby te włosy trafiły do buzi dziecka. Podsunęła Dayo nadgarstek, a on natychmiast zaczął na nim ćwiczyć obolałe dziąsła, wbijając jej w skórę swoje nieliczne zęby. Podniósł wzrok, żeby podczas ssania i zucia wpatrywać się w oczy matki. Coś w tym pogryzaniu działało na nią uspokajająco, pozwalało jej dojść do siebie, wrócić do tego pokoju, do tej chwili.

– Czy skoro zamierzałaś urodzić afrykańskie dziecko, nie mogłaś przynajmniej dać mu trochę mniej afrykańskiego imienia?

Jeanette przeczesła palcami pluszową gęstwinę włosów swojego synka.

– Prawdę mówiąc, dałam mu na imię Calvin, ale okazało się, że nie jestem w stanie tak się do niego zwracać. Przez dłuższy czas nazywaliśmy go po prostu dzieckiem. To Fodé zaczął na niego mówić Dayo.

Kręgosłup Albiego mimowolnie się wyprostował, a po chwili mężczyzna z powrotem się pochylił, żeby spojrzeć chłopcu w oczy.

– Cal?

– Gdzie się podziewałeś? – spytała Jeanette.

– W Kalifornii. Przyszła pora, żeby się stamtąd wynieść.

– Przez cały czas byłeś w Kalifornii?

Albie lekko się uśmiechnął, słysząc coś tak niemożliwego, i w tym uśmiechu Jeanette zauważyła coś z brata, którego kiedyś znała.

– A skąd – powiedział.

Rękawy czarnego swetra podwinął do łokci, odsłaniając wzorzyste pasy czarnych tatuaży otaczające jego nadgarstki jak szerokie bransolety. Wszystko było czarne: tatuaże, sweter, dżinsy, buty robocze. Jeanette zastanawiała się, czy podkreślił oczy kredką, czy ma po prostu bardzo ciemne rzęsy.

– Więc teraz mieszkasz tutaj? – To nie było pytanie, choć miała do niego prawo, bo przecież on pytał o wiele spraw.

– Nie wiem. – Wyciągnął rękę i dotknął palcem brody Dayo, ponownie doprowadzając dziecko do śmiechu. – Zobaczmy, jak to będzie.

Wtedy zauważyła torbę na ramię stojącą przed kanapą, kilka centymetrów od czubka jej zimowych butów. Z jakiegoś powodu ją przeoczyła, gdy tak intensywnie wpatrywała się w brata.

Albie wzruszył ramionami, jakby to nie był jego pomysł.

– Twój mąż powiedział, że mogę spać na kanapie, dopóki czegoś nie znajdę.

Musiał mu zaproponować kanapę, bo oprócz niej pozostawał tylko stolik kawowy albo pojedynczy fotel, w którym Fodé się uczył, siedząc przy ich maleńkim stole kuchennym. Dziecko spało z nimi w sypialni w łóżeczku wciśniętym między ich pościelanie a ścianę. Jeśli w środku nocy musiała iść do łazienki, zdejmowała z siebie koce i pełzła w nogi łóżka. Jeanette usiadła na kanapie, a dziecko, które właśnie zaczynało raczkować, wyciągnęło rączki w przeciwną stronę, starając się dostać na podłogę. Postawiła je tam.

– Przecież nie zostanę tu na zawsze – powiedział Albie.

Nie potrafił powiedzieć nic bardziej zbliżonego do przeprosin i zdumiało ją to, bo choć nie mieli miejsca, czasu ani pieniędzy, żeby go gościć, choć mu nie wybaczyła, że zniknął na ostatnie osiem lat i tylko czasami przysyłał jakąś pocztówkę, dając jej znać, że jeszcze nie umarł, to na myśl o tym, że mógłby sobie pójść, miała ochotę wstać i zamknąć drzwi na klucz. Pewnie wiele razy nie miał gdzie się podziać, ale nigdy nie zadzwonił do niej, do Holly ani do ich matki. Skoro teraz się u niej zjawił, to znaczyło, że zaszła jakaś zmiana. Dziecko trzymało zamek torby na ramię i próbowało go rozpracować.

– Zostaniesz tu – powiedziała.

Albie i Jeanette nie pochodzili z Wirginii. Obydwoje urodzili się w Kalifornii i w tym sensie tworzyli drużynę, choć żadne z nich nie chciało do niej należeć. Jeanette złożyła pierwszy wniosek o paszport w wieku dwudziestu sześciu lat, po tym jak zaszła w ciążę, po tym jak poślubiła Fodé. Chciał ją zabrać do Gwinei i przedstawić rodzinie. Wypełniając formularze na pocztce, zatrzymała się przy pytaniu o miejsce urodzenia. Miała ochotę wpisać „nie-Wirginia”. Pochodziła z „nie-Wirginii”. Cał nękał Albiego i Jeanette, wypominając im ich gorsze miejsce urodzenia.

– Dobrze się rozejrzyjcie – powiedział kiedyś, gdy jechali do Arlington z Dulles, a krajobraz przesuwiał się za oknem niczym wielowymiarowy odcień zieleni, jakiego nie spotyka się w południowej Kalifornii. – Wpuszczają was tu tylko dlatego, że jesteście mali. Tata zdobył pozwolenie. Kiedy dorośniecie, zatrzymają was na lotnisku i wsadzą z powrotem do samolotu.

– Cal – upomniała go wtedy macocha. Wymówiła tylko imię. Prowadziła samochód i nie chciała dać się w to wciągnąć, lecz błysnęła we wstecznym lusterku swoimi dużymi okularami przeciwsłonecznymi à la Jackie Onassis, żeby mu pokazać, że mówi poważnie.

– Ciebie też odeślą z powrotem – odgryzł się, odwracając się do szyby. – Prędzej czy później.

Po śmierci Cala nikt nie wspominał o ponownym przyjeździe Jeanette, Holly i Albiego do Wirginii. Od czasu do czasu ojciec przylatywał do Los Angeles i zabierał ich do SeaWorld i do Knott's Berry Farm, zawoził do tej restauracji w zachodnim Hollywood, gdzie dziewczyny pływały w olbrzymich akwariach wzdłuż ściany, gdy ty jadłeś kolację, ale bezkresne i pozbawione nadzoru dorosłych wakacje we Wspólnocie Wirginii dobiegły końca. Oczywiście Albie wrócił tam później na jeden katastrofalny rok szkolny po pożarze, a Holly spędziła w tym miejscu dwie noce jako dorosła kobieta, próbując oszacować, ile spokoju i przebaczenia zyskała dzięki dharmie, lecz Jeanette spisała na straty zarówno ten stan, jak i jego mieszkańców, w tym – choć nie tylko – swojego ojca, oba komplety dziadków, wujów i ciotki oraz garść kuzynów, macochę i dwie przyrodnie siostry. Żegnajcie. Postanowiła trzymać się ludzi, których uważała za swoją prawdziwą rodzinę: Teresy, Holly i Albiego – trzech osób, które były z nią w domu w Torrance, gdy wieczorem myła zęby. To zabawne, ale aż do tej chwili nie rozumiała w pełni, że ojciec od nich odszedł, że opuścił ich przed laty i już nigdy nie wróci, chyba że po to, by spędzić z nimi dzień w parku rozrywki. Jej matka spała samotnie w swoim pokoju, tak jak Albie spał sam u siebie. Jeanette, Bogu dzięki, miała Holly. W nocy leżała na łóżku, patrzyła, jak siostra oddycha i obiecywała sobie, że będzie mniej nienawidzić Albiego. Nawet jeśli był denerwujący i jednocześnie zagadkowy, był także jej bratem, a przecież został jej tylko jeden brat. Dla jej emocjonalnej dobroczynności były to jednak chude lata i bez względu na to, przez ile nocy umacniała się w swoim postanowieniu bycia życzliwą, życzliwość ją zawodziła. Bez ojca, bez Cala czterej pozostali członkowie południowokalifornijskiej rodziny Cousinsów stawali się w większym stopniu sobą, jakby wszelkie umiejętności społeczne zdobyte w ciągu życia wyparowały w czasie, jakiego potrzeba, by pszczoła użądliła chłopca. Szybkość, z jaką ich matka biegała z pracy do szkoły, do sklepu spożywczego i do domu, uległa podwojeniu. Ciągle skądś przyjeżdżała, ciągle dokądś wychodziła, nigdy jej nie było. Nie mogła znaleźć torebki, kluczyków do samochodu. Nie miała czasu zrobić kolacji. Holly znalazła w szufladzie biurka w salonie pudełko z anulowanymi czekami i ćwiczyła podpis matki – „Teresa Cousins”, „Teresa Cousins”, „Teresa Cousins” – dopóki nie nauczyła się go składać z odpowiednim naciskiem, trzymając długopis pod idealnym kątem. Dzięki wielkiemu zaangażowaniu Holly w sztukę fałszerstwa nadal mogli jeździć na szkolne wycieczki i oddawać podpisane świadectwa szkolne. Holly, która wierzyła w uznanie, tam gdzie się ono należało, od razu pochwaliła się nową umiejętnością matce, a Teresa przydzieliła jej zadanie płacenia rachunków, nie mówiąc jej nigdy, czy to ma być kara, czy nagroda. Teresa słynęła z niezdolności do zapanowania nad domowym budżetem, która sięgała czasów, gdy ona i Bert byli jeszcze szczęśliwym małżeństwem. Zanim Holly przejęła książeczkę czekową, ostateczne wezwania do zapłaty i zapowiedzi odłączenia od sieci lądowały w skrzynce pocztowej i natychmiast się gdzieś zapodziewały, tak że parę razy

w roku dom niespodziewanie pogrążał się w ciemności. Jeśli pominąć telewizję, brak prądu nieszczerólnie im doskwierał, a świece migoczące na środku stołu, gdy jedli płatki na kolację, kojarzyły im się z bardzo bogatymi i bardzo zakochanymi ludźmi. Gdy jednak w sedesach przestała spływać woda i wyschły prysznice – no cóż, to było nie do zniesienia. Wszyscy zgodnie uznali, że rachunki za wodę trzeba płacić w terminie. Holly, która w wieku niespełna czternastu lat radziła sobie w zasadzie ze wszystkim, była dobra także z matematyki. Zaczęła podliczać wydatki, tak jak ją uczono na zajęciach z prowadzenia domu (na tych samych, dzięki którym umiała także naprawiać ubrania i przygotowywać pomysłowe kolacje w naczyniu żaroodpornym). Gdy udało jej się ocenić rozmiary katastrofy, jaką była ich sytuacja finansowa, co tydzień przyklejała taśmą do lodówki podstawowy szkic budżetu, tak jak według jej nauczycielki pani Shepherd robiło się po wyjściu za mąż. Na samym dole pisała flamastrem: „Kwota do wydania: ___ \$”. Nawet Albie zwracał na to uwagę.

Wkład Jeanette polegał na wywlekaniu kuchennej drabiny na podwórko za domem i zrywaniu z drzew nisko wiszących pomarańczy, a następnie na zanoszeniu ich do wiadra w kuchni i wyciskaniu z nich soku za pomocą starej metalowej wyciskarki. Kosztowało ją to mnóstwo wysiłku, ale podejmowała trud, ponieważ kiedyś w jej rodzinie zawsze piło się sok pomarańczowy. Wieczorem matka wyjmowała dzbanek z lodówki i robiła sobie screwdrivera. Nigdy nie pytała, które z nich było tak troskliwe, by zrobić sok pomarańczowy, a Jeanette, w przeciwieństwie do siostry, nie potrafiła się zmusić, żeby jej powiedzieć. Ich matka zachowała zdolność reagowania na sytuację – gdyby wylała sok z dzbanka, posprzątałaby – ale zupełnie nie przejawiała zainteresowania rzeczywistością. Nigdy nie zastanawiała się nad niczym oprócz Cala.

Przeważnie o nim nie mówiła, lecz zdradzały ją pewne subtelne sygnały, na przykład to, że kiedyś kupowali w sklepie spożywczym całe stopy mrożonej pizzy Tombstone, a teraz wyraźnie się wzdrygała, jeśli zdarzyło im się je minąć w dziale mrożonek. Dlatego, że Cal tak często jadł pizzę Tombstone z kiełbasą i pepperoni, czy po prostu dlatego, że nie mogła znieść tej nazwy¹? Nikt o to nie pytał. Teraz dzwoniłi do pizzerii i dostarczano im zamówienie pod drzwiami.

Jednak pewnego wieczoru, gdy wszyscy jedli pizzę i oglądali telewizję, matka bez wstępów zwerbalizowała to, co nieustannie chodziło jej po głowie.

– Opowiedzcie mi o Calu.

Oglądali stary program Jacques’a Cousteau. Nie miał nic wspólnego z Calem.

– O czym konkretnie? – spytała Holly. Naprawdę nie wiedzieli, co matka miała na myśli. Od śmierci Cala upłynęło ponad sześć miesięcy.

– Co się wydarzyło tamtego dnia – powiedziała Teresa, po czym dodała, w razie gdyby nie zrozumieli, o co jej chodzi: – W domu babci i dziadka.

Czy nikt jej tego nie powiedział? Czy ich ojciec niczego jej nie wytłumaczył? To nie było w porządku, że wszystko spadało na barki Holly, ale właśnie tak się stało. Jeanette nie odrywała oczu od talerza, a Albie, no cóż, Albie też nie znał tej historii. Holly była wdzięczna Caroline za scenariusz, którym mogła się posiłkować. W przeciwnym razie nie miałyby pojęcia, jakich słów użyć. Powiedziała matce, że dziewczynki wyszły z domu później niż Cal, bo Franny postanowiła, że chce zawrócić i włożyć długie spodnie

ze względu na kleszcze, i że od kuchennych drzwi Cousinsów można było dotrzeć do stodoły dwiema drogami, i że Cal i dziewczynki wybrali inne trasy, i że znalazły go dopiero, gdy wracały. Matka oczywiście знаła dom Cousinsów. Ona i Bert wzięli ślub na werandzie i tańczyli przed dwustoma gośćmi w namiocie na trawniku. W szafie w przedpokoju wciąż jeszcze leżał album oprawiony w kremową skórę i wypełniony ślubnymi zdjęciami. Ich ojciec był przystojny. Matka, piegowata i blada, z wążutką talią i ciemnymi włosami – przypominała pannę młodą z bajki, delikatną jak dziecko.

– Dlaczego czekałyście, aż włoży spodnie? – spytała ich matka. – Dlaczego nie zaczekała na nią jej siostra?

– Caroline też czekała – tłumaczyła Holly. – Wszystkie czekałyśmy. Dziewczynki zostały razem. – Powiedziała matce, że zobaczyły Cala leżącego w trawie i początkowo myślały, że się wygłupia. Inne dziewczynki pobiegły do domu, ale Franny została przy nim na wszelki wypadek.

– Jak to „na wszelki wypadek”? – Teresie nie spodobało się, że to Franny została przy jej synu.

Wypowiedzenie tych słów przyszło Holly z trudem, bo pochodziły z tego okresu jej życia, kiedy wciąż jeszcze wierzyła w szansę na inne zakończenie.

– Na wypadek, gdyby się obudził – powiedziała.

– Widziałem to – wtrącił się Albie, nie odrywając wzroku od telewizora. Właśnie leciała reklama, jakaś ładna kobieta smarowała kromkę chleba masłem orzechowym.

– Niczego nie widziałeś – sprostowała Holly. Albiego nie było z dziewczynkami i nie było go także z Calem. Albie spał. Co do tego nikt nie miał wątpliwości.

– Wyszedłem, zanim tam dotarliście. Widziałem, co się stało, zanim przyszłyście.

– Albie – powiedziała ich matka ze współczuciem. Myślała, że rozumie, co on czuje. Ją też wykluczono z tej historii.

– Spałeś – zaprzeczyła Holly.

Albie gwałtownie się odwrócił i cisnął w siostrę widelcem, rzucił nim jak oszczepem, mając nadzieję, że ugodzi ją w serce, ale widelec odbił się od jej ramienia, nie czyniąc żadnych szkód. Albie miał dziesięć lat i zwykle jego ruchom brakowało precyzji.

– Ktoś go zastrzelił i tylko ja to widziałem.

– Albie, przestań – upomniała go matka. Przeczesała włosy palcami. Żałowała, że spytała o to dzieci i one wyraźnie to widziały.

– Nic się nie stało – powiedziała Holly, chłodna i lekceważąca w sposób, który doprowadzał Albiego do szału.

– To był Ned ze stodoły! – krzyknął. – Zastrzelił Cala z pistoletu taty. Z tego z samochodu, z tego, który Caroline wyjęła z samochodu! Widziałem to, a wy nie, dlatego że ja tam byłem. Oni nawet nie wiedzieli, że tam jestem.

Jeanette i Holly zaczęły płakać. Matka też płakała. Albie krzyczał, że ich nienawidzi, nienawidzi, i że są kłamczuchami. I tak to się skończyło.

Podczas tych najgorszych ze wszystkich sierpniowych dni w Wirginii Caroline już wiedziała, że chce zostać prawniczką, i dlatego dokładnie wyjaśniła pozostałym dziewczynkom – Holly, Franny i Jeanette – co się stało, mimo że przecież tam były. Zrobiła to po tym, jak pobiegły do domu szybko niczym rączy konie i Ernestine

zadzwoiła po karetkę, po tym jak zaprowadziły gosposię do Cala. Ernestine, z dwudziestopięciokilową nadwagą i w źle dopasowanych butach, gnała z dziewczynkami przez pole za domem, a pani Cousins czekała w domu, żeby skierować karetkę w odpowiednią stronę. Gdzieś w całym tym zamieszaniu Caroline ułożyła w głowie zeznanie. Kiedy znalazła na to czas? Gdy wszystkie jeszcze biegły? Po powrocie do domu? Cal był w karetce, która pędziła z obracającymi się światłami i syreną wyjąca bez powodu (och, ale byłby zachwycony), a Cousinsowie siedzieli w samochodzie jadącym do szpitala za ambulansem wiozącym chłopca. Ernestine próbowała znaleźć Albiego, który jakimś cudem zaginał w tym całym zamęcie. Ich ojciec biegł przez parking przed swoją kancelarią w Arlington, żeby wskoczyć do samochodu, popędzić do Charlottesville i po raz ostatni zobaczyć syna. Nikt nie wiedział, gdzie jest Beverly. Właśnie wtedy Caroline zapędziła trzy pozostałe dziewczynki do łazienki na piętrze domu Cousinsów, wepchnęła je do środka i zamknęła drzwi. Tylko Franny płakała, prawdopodobnie dlatego, że spędziła z Calem te dodatkowe piętnaście minut, gdy reszta dziewczynek biegła do domu, a później z powrotem. Tylko Franny rozumiała, że Cal nie żyje. Nawet ludzie z karetki nie chcieli wypowiedzieć słowa „martwy”, mimo że mogli na Cala co najwyżej popatrzeć. Caroline kazała siostrze się zamknąć.

– Posłuchajcie mnie – powiedziała, tak jakby nie zawsze jej słuchały. W te wakacje miała czternaście lat. Mówiła ostrym, nagłym tonem. Do jej nóg i tenisówek przyklejały się kawałki trawy. – Nie byliśmy z nim, rozumiecie? Cal sam poszedł do stodoły. Dołączyliśmy później i znaleźliśmy go w trawie, tam, gdzie leżał, i zaraz potem pobiegliśmy prosto do domu, żeby o tym powiedzieć. Nic więcej nie wiemy. Jeśli ktokolwiek będzie o to pytał, właśnie tak będziemy mówić.

– Dlaczego musimy kłamać? – spytała Franny. Po co było kłamać, skoro nie wolno było kłamać? Czy te wydarzenia nie były dość okropne i bez ich komplikowania? Caroline, z pełną mocą swojej frustracji wywołanej okolicznościami i głupotą Franny, uderzyła siostrę w twarz. Franny się tego nie spodziewała, nie przygotowała się, cios odrzucił ją na bok, tak że uderzyła głową o drzwi bieliźniarki. Siniak na jej lewej skroni zaczął rosnąć w oczach. Miały następną sprawę do wyjaśnienia.

Caroline zdenerwował odgłos, jaki wydała głowa jej siostry w zderzeniu z drzwiami. Starła się przecież, żeby nikt ich nie słyszał. Odwróciła się do Holly i Jeanette, dwóch bardziej niezawodnych osób.

– Możemy się smucić, ile chcemy. Będą tego od nas oczekiwać. Ale smucimy się dlatego, że go znaleźliśmy, dlatego, że to się stało, i kropka, a nie dlatego, że tam byliśmy.

W tamtym momencie mogłaby im powiedzieć, że jedynym wyjściem z sytuacji jest wyhodowanie ogonów i kołysanie się na nich wśród drzew, a też by to zrobiły. Caroline myślała o ich winie i być może także o tym – bo przecież to była Caroline – jak to wydarzenie wpłynęłoby na jej przyjęcie na studia. Jesienią miała iść do liceum.

– Powiedz mi jeszcze raz, co się stało – zwróciła się Teresa do Jeanette pewnego wieczoru.

Od śmierci Cala minął już grubo ponad rok. Z reguły członkowie rodziny o nic Jeanette nie pytali. Ale teraz Holly uczyła się u przyjaciółki mieszkającej przy tej samej

ulicy, a Albie jeździł rowerem z paczką chłopaków, którą ostatnio zebrał. Jeanette i jej matka były przez chwilę same, mimo że w zasadzie nigdy nie były same. Matka powiedziała to tak zwyczajnym tonem, jakby miała na myśli kolejną rzecz, o której zapomniała. „Gdzie jest moja szminka?” „Kto dzwonił?”

Jeanette wciąż miała przed oczami Caroline stojącą w łazience, słyszała jej agresywne, wyraźne instrukcje. Widziała, jak pot zmoczył jej włosy na skroniach i przesiąkł przez kołnierzyk żółtej koszulki. Ale Cala już nie widziała. W ciągu zaledwie roku jego twarz jej się wymknęła.

– Nie było mnie tam – powiedziała Jeanette.

– Ależ byłaś – przekonywała ją matka, jakby Jeanette zapomniała.

„Jeśli chcesz znaleźć sprawcę, musisz w kółko zadawać te same pytania” – poradziła jej Franny pewnego lata w Wirginii. To było dawno temu, przed śmiercią Cala. Franny próbowała ją nauczyć różnych technik policyjnych, między innymi wlamywanie się do samochodów i rozkładania słuchawki telefonu, żeby móc podsłuchiwać rozmowy nieświadomych tego ludzi. „Prędzej czy później ktoś zawsze się wygada” – dodała Franny.

Jeanette zastanawiała się, czy matka próbuje ją skłonić, żeby się wygadała.

– Znudziło mu się czekanie na nas – powiedziała. – Chciał iść popatrzeć na konie, a my miałyśmy go dogonić.

– Dogoniłyście go – odparła jej matka.

Jeanette wzruszyła ramionami – okropny gest, zważywszy na okoliczności, oznaka braku szacunku.

– Było już za późno.

Po śmierci Cala ich matka w końcu straciła piegi, jakby nawet one ją opuściły. Jeanette wpatrywała się w grzbiet nosa Teresy, starając się skupić, starając się sobie przypomnieć, jak wyglądała jej matka, zanim to wszystko się stało.

– No a kto dał Albiemu tabletki?

– Cal – powiedziała Jeanette, zaskoczona tym, jak miło jest wyznać prawdę. – Zawsze to robił.

Po wszystkim, co się wtedy wydarzyło, nikt oprócz Ernestine nie przejął się zniknięciem Albiego. Gdy sprawdziła, czy nie ma go na strychu i w piwnicy, doszła do wniosku, że pojechał z Beverly. Nikt nie wiedział, gdzie jest Beverly. Wzięła jeden z samochodów teściów i nikomu nie powiedziała, że gdzieś pryska. Jeśli wybrała się do miasta, na pewno wzięła ze sobą Albiego. W każdym innym dniu na samą myśl, że Beverly mogłaby gdziekolwiek – GDZIEKOLWIEK – zabrać Albiego, dziewczynki pękłyby ze śmiechu.

Sąsiedzi w Torrance nazywali ich Przekłętymi Chłopakami na Rowerach i później sami zaczęli tak o sobie mówić. Słyszeli wykrzykiwane za nimi słowa, gdy przecinali trawniki, gdy śmigali między samochodami, tak że z piskiem wpadały w poślizg, gwałtownie hamując, gdy mknęli przez parkingi przy sklepach spożywczych i szybko zataczali ciasne kręgi, czerpiąc przyjemność z terroryzowania matek z wyładowanymi

koszykami. Ludzie jednocześnie mieli ochotę ich zabić, wierzyli, że te łobuzy omal ich nie zabiły, i bali się, że zostaną przez nich zabici. Albie, członek plemienia Mattaponi, Salwadorczyk Raul, urodzony po tej stronie z rodziców urodzonych po tamtej, oraz dwa czarne chłopaki: niższy, przystojniejszy i wyglądający na bardziej zaspanego Lenny i ten drugi, najwyższy z całej czwórki, Edison. Zaczęli razem jeździć, mając po dziesięć, jedenaście lat, gdy byli jeszcze zwykłymi działającymi na nerwy chłopakami, których po południu matki chciały się pozbyć z domu. Od samego początku byli niebezpieczni, zmuszali kierowców, którym przecinali drogę, do gwałtownego wjeżdżania na cudze trawniki. Jeden z takich samochodów podskoczył na krawężniku i wpadł prosto na słup telefoniczny, a chłopcy pojechali dalej, pohukując tak, jak w ich wyobraźni pohukiwali Indianie. Latem, gdy większość z nich miała dwanaście lat, ktoś niespodziewanie otworzył drzwi samochodu i Lenny wystrzelił w powietrze. Pozostała trójka wyhamowała w samą porę, by zobaczyć, jak ich młody przyjaciel koziołkuje niczym gimnastyk na tle błękitnego nieba. Coś takiego powinno było go zabić, zabiłoby go, gdyby wylądował na głowie, lecz wyciągnął prawą rękę, żeby się czegoś złapać, i strzelił mu nadgarstek, tak że kość wyszła przez skórę. Albie miał wypadek niespełna dwa tygodnie później; nagła ulewa utworzyła kałużę z oleju, którym nasączony był chodnik, i rower wyslizgnął się spod chłopca, kręcąc piruety. Albie złamał ramię i naderwał ucho, tak że wymagało założenia trzydziestu siedmiu szwów. Przez resztę lata Edison i Raul ostrożnie pedałowali po ścieżkach rowerowych w parku, nikomu nie napędzając stracha, nawet sobie. Edison przyszedł odwiedzić młodego Cousinsa w domu i stał obok rozkładanego fotela w słabo oświetlonym salonie. Z powodu ramienia Albie musiał właściwie bez przerwy leżeć na rozkładanym fotelu.

– Czasem każdemu przydarza się kiepskie lato – powiedział Edison i Albie, który wiedział, że to prawda, poczęstował przyjaciela paracetamolem z kodeiną, gdy oglądali kreskówki.

Kończąc Jefferson Middle School, Albie, Lenny i Edison mieli po czternaście lat, a Raul – piętnaście. Byli wysocy, ale nie tacy wysocy, jacy mieli być. Z daleka nie sposób było stwierdzić, czy na rowerach jadą chłopcy czy mężczyźni. Jeździli za szybko, a ponieważ ciągle próbowali się przekonać, któremu z nich uda się prześcignąć pozostałych, w ich szyku zachodziły gwałtowne rotacyjne zmiany, które upodabniały ich do liderów kolarskiego wyścigu.

Po gimnazjum Przekłete Chłopaki na Rowerach rzadziej kradły cukierki – wołały bitą śmietaną w sprayu Reddi-wip, którą wsuwali do kieszeni na brzuchu bluzy, robiąc zakupy w Albertsons. Później kładli się razem na podłodze w pokoju Albiego i przyjmowali małe, słodkie dawki fluorowęglowodoru albo wdychali klej modelarski z papierowych torebek na lunch. Matka każdego z nich rozpaczała nad złym towarzystwem, w jakie wpadł jej syn, i z wyjątkiem Teresy każda była przekonana, że całą winę ponoszą koledzy syna.

Pewnego gorącego letniego dnia, gdy większość z nich miała czternaście lat, z roweru Raula spadł łańcuch. Byli wiele kilometrów od domu, na wąskiej bocznej drodze biegnącej obok szerokiego pola za strefą przemysłową. Zatrzymali się, a Raul kucnął obok roweru i zajął się łańcuchem. Pole było nieskoszone, porośnięte wysokimi trawami

i różnymi chwastami, które uschły wiele miesięcy temu. To było Torrance. Albie leżał na plecach na chodniku o jakieś dwa stopnie chłodniejszym od żaru, jakiego nie byłby w stanie wytrzymać. Jego ramieniu takie gorąco służyło. Żałował, że nie ma okularów przeciwsłonecznych, ale żaden z nich nie miał okularów przeciwsłonecznych. Wyjął niebieską zapalniczkę Bic z olbrzymiej zapinanej na guzik kieszeni długich szortów. Nosił w niej, choć tylko na pokaz, także małą fajkę z przesuwaną zasuwką z drewna nad małym metalowym koszyczkiem w główce. Już dawno skończyła mu się trawka i pieniądze ukradzione Holly, która zarobiła je, niańcząc dzieci, więc nie mógł kupić więcej ziela i zamiast się ujarac, wysoko podniósł ręce i pstryknął zapalniczką w stronę słońca.

– Co? – spytał Lenny. Spróbował usiąść na chodniku, ale nawierzchnia była zbyt gorąca. Nie pojmował, jak Albie może na niej leżeć.

– Ogień komunikuje się z ogniem – powiedział Albie, przekonany, że to głęboka myśl. Potem odwrócił głowę w prawo, w stronę pola, zauważył dwie brązowe ćmy nurkujące w suchej trawie, najzwyczajniej w świecie opuścił rękę, podkręcając płomień bica do maksimum, i zbliżył ogień do trawy.

To było pole stworzone do spalania. Płomień liznął nadgarstek Albiego, a on gwałtownie cofnął rękę, przeturlał się po chodniku, skoczył na równe nogi i chwycił rower. Ogień huknął, a potem ekstatycznie zatrząskał jak sztywne arkusze celofanu zginiatane rękoma.

– Kurwa, stary – krzyknął Raul, zataczając się do tyłu. – Coś ty narobił?

Odciągali rowery coraz dalej, przerzucając nogi przez siodełka, żeby się stamtąd wynieść, ale żaden z nich się nie odwrócił. Wszyscy czterej zastygli jak zahipnotyzowani. Przedziwny chłód obmywał ich skórę, gdy patrzyli, jak ten cudowny, rosnący zwierz pożera ziemię w każdym kierunku, w każdym kierunku, w którym rosła trawa, ale w żaden sposób nie niepokoi ich na chodniku. Ogień sięgał im aż do pasa, do klatki piersiowej, wspanialszy niż wszystko, co kiedykolwiek wcześniej widzieli, falujące pomarańczowe prześcieradła wiszące w powietrzu jak pustynny miraż, jak coś, co jest i czego nie ma. Czarny dym kłębił się nad płomieniami, obwieszając okolicy ten bardzo osobisty akt Albiego. „Pali się! Pali się!” – krzyczano już pewnie w strefie przemysłowej, mimo że na obrzeżach ogień zaczynał dogasać. Ogień miał wielki apetyt. Chłopcy widzieli, jak rozgląda się w poszukiwaniu trawy, czegokolwiek, co utrzymałoby go przy życiu. Z radością strawiłby także ich, gdyby dzięki temu mógł zyskać kolejną minutę.

– Lepiej się stąd wynośmy – powiedział Edison, choć w uszach całej reszty zabrzmiało to jak: „Co za widok!”

Mniejsza o bitą śmietaną w sprayu, o waczenie kleju, o trawkę. Mniejsza nawet o rowery. Od tej pierwszej chwili marzyli wyłącznie o pierwotnym ogniu. W oddali rozległy się syreny. Jeszcze wczoraj ruszyliby w ich kierunku, pojechali za jaskrawoczerwonymi ciężarówkami na akcję jak zgraja małych fanów za ulubionym zespołem. Dziś sami byli akcją i mieli dość rozumu, żeby stamtąd spieprzać.

To dziadek Cousins pewnego letniego dnia w Wirginii nauczył Albiego i Cala robić pistolety z zapalek. Potrzebne były tylko staromodny spinacz do bielizny, dwie gumki, pudełko zapalek i kawałek papieru ściernego. Chłopcom polecono uważnie słuchać

niesamowicie nudnego staruszka, któremu z kolei polecono przekazać chłopcom jakiś skrawek rodzinnej mądrości. Pomyślał o pistolecie z zapalek. Oczywiście w Wirginii było to do przyjęcia, bo tam, przynajmniej tego jednego dziwnego lata wypełnionego nieustannym deszczem, świat stał się przepastny, bujny i w zasadzie ognioodporny. W Wirginii ludzie gromadzili drewno w garażu, mając nadzieję, że pewnego dnia wyschnie na tyle, żeby można je było spalić. Gdy zrobili swoje pistolety, dziadek ustawił zapalną w odpowiedniej pozycji i *prast*, pocisk wystrzelił z werandy i zatoczył ładny, ognisty łuk.

– Nigdy nie róbcie tego w stodole – powiedział, przekazując im swój wynalazek.
– W ogóle nie róbcie tego sami. Słyszycie? Jeśli chcecie postrzelać zapalnikami, to tylko w mojej obecności.

Cal był zawiedziony. Ilekroć nadarzała się okazja, wyjmował pistolet ojca ze schowka na rękawiczki i wsuwał go w skarpetkę pod dżinsami, ciasno przywiązując kolbę do kostki bandaną. Miał go przy sobie tamtego dnia na werandzie, gdy dziadek zrobił tyle zamieszania wokół spinacza do bielizny.

Albie jednak nie miał pistoletu, więc mały miotacz płomieni wzbudził jego zainteresowanie, i to na tyle skutecznie, że gdy pięć lat później w Torrance próbował go zrekonstruować z pamięci, okazało się, że umie to zrobić. Rozłożywszy materiały na stole w jadalni, przygotował pistolet na zapalniki dla każdego członka swojej bandy. Po jednym treningu na podwórku za domem Edisona, podczas którego palili papierowe ręczniki i chusteczki porzucane na trawie w różnej odległości, podpalili stertę pustych kartonów za sklepem monopolowym i dwa uschnięte krzewy przed stacją Exxon. Gdy udało im się obudzić wystarczająco wcześnie, strzelali zapalnikami w gazety czekające na chodnikach i progach domów sąsiadów. Potem znacznie się podszkolili i strzelali do tych gazet, jadąc rowerami. Jechali miejskim autobusem aż do Sunset Strip i strzelali zapalnikami do palm, a potem czekali, aż szczury sturlają się po smukłych pniach, nad którymi wyschnięte liście stawały w płomieniach. Próbowali też strzelać do szczurów, ale nigdy nie udało im się trafić. Te gryzonie były szybkie i niespecjalnie łatwopalne.

Przez całe lato podpalali różne rzeczy mimo suszy i wiatrów, mimo widniejących przy drogach ostrzeżeń Niedźwiedzia Smokeya. Pieprzyć Smokeya. Nie interesowało ich coś tak byle jakiego jak pożar lasu. Lubili precyzję, sztukę ognia, jedną płonąca gazetę, jedną płonąca działkę. Strzelali zapalnikami przez dwa semestry pierwszej klasy Shery High. Jako sklepowe złodziejaszki czasami wpadali w tarapaty, lecz jako podpalacze okazali się wyjątkowo biegli w sztuce unikania odpowiedzialności. Przynajmniej do czasu, gdy podpalili szkołę.

W piątek ostatnią lekcją Raula była plastyka, chwila wytchnienia pod koniec tygodnia, podczas której mógł swobodnie rysować skomplikowane smoki ziejące ogniem na drzewa. Na moment przed wyjściem z klasy, sekundę po dzwonku, gdy wszyscy zaczęli gorączkowo wrzucać zeszyty do plecaków, przechylił się w bok i przesunął zasuwkę w oknie do pozycji otwartej. Sala plastyczna mieściła się w piwnicy szkoły, duże okna znajdowały się na poziomie ziemi. Nikt na niego nie patrzył, więc nikt nie zauważył, że to zrobił. A zrobił to tylko dlatego, że mógł. Pomyślał, że plastyczka, panna Del Torre, zamknie okno przed pójściem do domu, a jeśli nie przyjdzie jej to do głowy – panna Del

Torre była idiotką, więc nie należało tego wykluczać – zrobi to woźny podczas mycia podłogi po lekcjach.

– Chcę coś sprawdzić – oznajmił Raul reszcie chłopaków w sobotni rano.

Nie mieli nic innego do roboty, więc nawet nie zadali sobie trudu, żeby spytać, o co chodzi. Po prostu wsiedli na rowery i pojechali za nim do szkoły. Zaprowadził ich za niski żywopłot zasłaniający widok z okna na ulicę i zaglądając do sali plastycznej, popchnął szybę. Ledwie jej dotknął, a okno się otworzyło. Albie, uradowany perspektywą ciekawej soboty, zaprowadził cztery rowery za żywopłot, a Lenny, który był najmniejszy, pierwszy przecisnął się do środka. Gdy znalazł się w sali i stanął prosto, uśmiechnął się do nich przez szybę i pomachał. Otworzył na drugim końcu sali inne okno, które uchylało się szerzej, bramę do innego świata, i Przekłete Chłopaki na Rowerach jeden po drugim wślizgnęli się do środka.

Nie sposób było wytłumaczyć, jak szkoła, największe źródło cierpienia w ich życiu, mogła się przemienić w najbardziej fascynujące miejsce na ziemi wyłącznie dzięki temu, że była akurat sobota. *What a difference a day makes* – śpiewała matka Albiego, gdy jeszcze robiła takie rzeczy. – *Twenty-four little hours*². Korytarze były ciche i szerokie, wolne od zgraj wściekłych dzieci i zgorzkniałych, zrezygnowanych dorosłych. Nie było słyhać bzyczenia jarzeniówek, słońce padało na ściany i płytki linoleum, tworząc rozwodnione kałuże wokół stóp. Edison zastanawiał się, jak by to było być starym, tak starym jak jego ojciec, i wtedy znowu tu przyjść. Doszedł do wniosku, że byłoby dokładnie tak jak teraz, cały budynek należałby do niego, bo Edison nie brał pod uwagę, że w przyszłości mogłyby się tu uczyć inne dzieci. Raul przystanął i spojrzał na prace, które zwyciężyły w konkursie plastycznym i wisiały przypięte do korkowej tablicy. Tylko dwie miały jakąś wartość: rysunek węglem – studium dziewczyny w letniej sukience – i mały obrazek ukazujący dwie gruszki w misce. Obie otrzymały jedynie wyróżnienie, zwyciężył niedorzeczny kolaż przedstawiający wieżowiec złożony z wyciętych z czasopism małych zdjęć wieżowców. Zastanawiał się, czy panna Del Torre, będąca – o czym nie należało zapominać – idiotką, nie potrafi dostrzec, którzy uczniowie naprawdę mają talent, dlatego że zawsze otacza ją zbyt wiele osób.

W pewnym momencie zgubili gdzieś Lenny'ego. Żaden nie zauważył jego zniknięcia, a potem Lenny wrócił do nich korytarzem.

– Chłopaki – Machał ręką, jakby mogli go przeoczyć. – Chodźcie tu. Musicie to zobaczyć.

Popiskiwanie ich tenisówek niosło się echem po korytarzach, co rozbawiło Albiego, a potem wszyscy się śmiali, przechodząc obok nieskończonego rzędu szafek – zamkniętych i identycznych.

– Patrzcie – powiedział Lenny i skręcił do toalety dla chłopaków.

Dla ucznia pierwszej klasy publicznej szkoły średniej w Torrance, a zwłaszcza dla Lenny'ego, który nie był tak wysoki jak reszta chłopaków i mimo usilnych starań pozostawał od nich chudszy, nie istniało bardziej przerażające miejsce niż toaleta. Korzystał z wszelkich sposobów, jakie zdołał wymyślić, żeby trzymać się od niej z daleka, choć czasami przypuszczał, że to właśnie tak częste myślenie o toalecie wywołuje potrzebę skorzystania z niej. Jednak pomieszczenie, które jeszcze wczoraj było

obrzydliwe i niebezpieczne jak nora ćpuna, pełna oparów chłopięcego potu, gówna i szczyń, kwaśnego odoru chłopięcego strachu, to pomieszczenie było teraz idealnie czyste. Nieznacznie, nawet przyjemnie pachniało chloroxem, jak na basenie publicznym. W zasadzie sposób, w jaki je urządzone – lustra i umywalki po jednej stronie, rząd kabin z zielonymi metalowymi drzwiami po drugiej – cechowała pewna spokojna symetria. Było dość miejsca między toaletami a umywalkami, żebyś nie musiał trącać innych chłopaków, chyba że inne chłopaki próbowałyby trącić ciebie. Po raz pierwszy chłopcy zauważyli trzy pasy z płytek biegnące wokół całego pomieszczenia, trzy pasy błękitu, które nie pełniły zupełnie żadnej funkcji poza dekoracyjną. Raul podszedł do pisuaru, a gdy strumień płynął, odchylił głowę i zauważył słońce.

– Kiedy wstawili tu okna?

Ponieważ nie było nikogo, kto mógłby ich powstrzymać, poszli też do toalety dla dziewczyn i odkryli, że jest dokładnie taka sama jak tamta, tyle że okalające ściany trzy paski z płytek miały odcień różu, a zamiast pisuarów obok umywalek przymocowano automat z tamponami, na którym ktoś wydrapał w białej emalii słowa „ZJEDZ MNIE”. Ktoś inny bezskutecznie próbował je zetrzeć. Pomieszczenie było w pewnym sensie rozczarowujące. Nawet Albie i Raul, którzy mieli siostry, myśleli, że zobaczą tam coś więcej.

Wszystkie szafy z wyposażeniem szkoły okazały się zamknięte, podobnie jak gabinet dyrektora. Byli niepokieszeni, bo mieli ochotę pogrzebać w szufladach jego biurka. Zastanawiali się, czy nie wynieść wszystkiego z jednej sali i nie zanieść do innej albo czy nie przemieścić kilku przedmiotów, żeby ludzie zaczęli się zastanawiać, czy nie tracą rozumu, lecz ostatecznie postanowili niczego nie dotykać. Przebywanie w szkole w sobotę było zbyt przyjemne, a jeśli chcieli to jeszcze kiedyś powtórzyć, lepiej było zostawić wszystko na swoim miejscu.

Albie postąpił zatem bezmyślnie, wrzucając zapalki do kosza na śmieci w sali plastycznej, akurat gdy zbierali się do wyjścia. Teraz bez przerwy nosił w kieszeni pudełko zapalek, żeby ćwiczyć się w ich otwieraniu i zapalaniu zapalki jedną ręką. Potem mocno potrząsał pudełkiem i ogień gasł. Tylko że gdy zapalił zapalkę tym razem, wrzucił całą paczkę do kosza na śmieci w kącie sali niedaleko okna, przez które weszli do środka, kierowany podobnymi pobudkami, z jakich wcześniej Raul to okno odblokował. Bez żadnego konkretnego powodu: nie miał powodu, żeby zapalać zapalkę ani żeby ją wyrzucać. Nie chciał zaimponować pozostałym chłopakom, którzy w tamtym okresie sami ciągle rzucali zapalkami. To, że zrobił coś takiego w sali plastycznej, też nie miało żadnego uzasadnienia, chyba że takie, iż akurat byli w sali plastycznej – a przede wszystkim nie było żadnego powodu, dla którego mieliby przebywać w szkole w sobotę. Kosz na śmieci był dużą, metalową puszką sięgającą pasa, dziesięć razy większą od tych, jakie stały w normalnych salach lekcyjnych, gdzie dzieciak mógł wyrzucić najwyżej kartkówkę, z której dostał marną ocenę. Kosz w sali plastycznej powinien być pusty, wszystko w szkole było puste i czyste, ale na samym dniu zielonego worka na śmieci zachowały się jakieś pogniecione kawałki gazety i dwie wytłuszczone szmaty, którymi wycierano pędzle moczone w terpentynie, i dlatego kosz buchnął płomieniem jak sama paszcza piekła, strzelając ogniem, na widok którego Albie odskoczył jak na sprężynach,

a pozostałe chłopaki gwałtownie się odwróciły. Płomień dał susa na zielone supełkowe zasłony z poliestru uszyte z dwóch warstw materiału, żeby zaciemnić salę, gdy w trakcie semestru panna Del Torre pokazywała slajdy z największymi dziełami w historii sztuki. Zasłony były w wieku ich rodziców i płonęły szybciej niż sucha trawa na polu. Płomienie pomknęły prosto ku panelom akustycznym w suficie i pobiegły nad głowami chłopaków na drugą stronę sali, gdzie farby i pędzle, i pastele, i papier, i słoiki z rozpuszczalnikami czekały niczym koktajle Mołotowa, żeby eksplodować. Ogień zupełnie nie przypominał tego, który uwielbiali na zewnątrz. Ten był czymś pomiędzy atramentem a smołą, był oleisty, kleisty i czarny. Pełznął po nich, wsysając powietrze, a czysty pomarańczowy płomień wsysał zasłony. Nacierają już na nich cała sala, ogień był w każdym kącie. Weszli do środka przez okno, ale gdy teraz na nie spojrzeli, okazało się, że ta droga ucieczki została odcięta.

Nigdy wcześniej nie wywołali pożaru w pomieszczeniu, nigdy takiego pożaru nie widzieli i dlatego niewłaściwie użyli umiejętności zdobytych podczas podkładania ognia na zewnątrz: stali w zupełnym bezruchu i patrzyli, wyznając teorię, że to oni stworzyli ogień, więc żywioł będzie ich szanował. Po chwili włączył się szkolny alarm przeciwpożarowy. Znali ten dźwięk, był tak głośny, że zdawał się dobiegać z wnętrza ich mózgow. Uwielbiali ćwiczenia przeciwpożarowe: trzeba było wszystko zostawić, dziewczyny zawsze były zrozpaczone, bo nie pozwalano im zabrać torebek, wszyscy ustawiali się w szeregu i zdyscyplinowani pędzili na zewnątrz. Alarm przywrócił im zmysły. Alarm ich uratował. Wcześniej ćwiczyli to wiele razy, więc teraz zrobili wszystko, czego ich nauczono: pochylili się, trzymali się razem, pobiegli do drzwi. Płomień wystrzelił i dosięgnął na Albiem koszulki Red Baron, niszcząc jej tył. W korytarzu Edison zdjął ją z kolegi, parząc sobie rękę. Gdy biegli do drzwi, zraszacz, których nigdy wcześniej nie zauważyli, spryskały długi, pusty korytarz, rozpuszczając w wodzie prace biorące udział w konkursie plastycznym. Wybiegli bocznymi drzwiami na słońce i padli na trawę obok parkingu, dysząc i kaszląc, zasapani i poprzepaleni, z wonią dymu wtartą w skórę. Albie przez chwilę myślał o swoim bracie. Zastanawiał się, czy umierając, też coś takiego czuł. Czterej chłopcy leżeli na trawie, po poczerniałych policzkach spływały im łzy. Byli tak upojeni siłą swojego życia, że nie potrafili się ruszyć. Właśnie tak wyglądali, gdy zaledwie minutę później znaleźli ich strażacy.

Decyzja o wysłaniu Albiego do Wirginii, by zamieszkał z Beverly i Bertem, w ogóle nie mieściła się Teresie w głowie. Owszem, najwyraźniej potrzebował ojca, ale wolałaby jakiegoś innego ojca, jakiegokolwiek innego ojca. Beverly i Bert nie zabili Cala. W głębi serca Teresa dobrze o tym wiedziała. Nie zapewnili mu odpowiedniej opieki, ale jak dowodziła ostatnia katastrofa z udziałem Albiego, ona też jej nie zapewniała. Mimo wszystko czuła się lepiej, mogąc ich obwiniać. Czuła się prawie dobrze, choć chyba nie było to właściwe słowo. Mogła zadzwonić do Berta i spytać: „Dobrze ci z tym, że mnie obwiniasz za Albiego? Czy »dobrze« to właściwe słowo?”.

Teresa nie miała wątpliwości, że nie może zatrzymać przy sobie drugiego syna, a ponieważ nikt inny nie zaoferował, że go przygarnie, nie widziała innego wyjścia. W końcu Albie poleciał do Arlington, a gdy nie powiodło mu się w tamtejszej prywatnej szkole, został wysłany do szkoły z internatem w Karolinie Północnej, a następnie do

szkoły wojskowej w Delaware. Tamtego lata, gdy zjawił się z powrotem w Torrance, miał osiemnaście lat i dzięki temu, że nie wyrzucono go ze szkoły z internatem, był w przedostatniej klasie liceum. Holly i Jeanette przyjechały do domu z college'u i próbowały go wyciągać na plażę, na imprezy z przyjaciółmi, których mógł pamiętać, ale Albie zaległ na kanapie jak kłoda, oglądał teleturnieje i pochłaniał miseczki płatków kukurydzianych pokrytych grubą skorupą cukru. Ograniczał komunikację z nimi wszystkimi do dwudziestu słów dziennie. Liczył je. Rozpracowywał zawartość barku, metodycznie przesuując się od lewej do prawej, mimo że nie obowiązywał w nim żaden określony porządek. Nigdy nie zaczynał następnej butelki, dopóki nie skończył poprzedniej.

Potem pewnego dnia oznajmił, że zadzwonił do niego Edison. Dawny przyjaciel miał dla niego robotę polegającą na przyjmowaniu zespołów w klubie w San Francisco i powiedział, że Albie musiałby tylko wynosić wzmacniacze z autokarów, a potem je podłączać. Edison wynajmował mieszkanie z jakimiś innymi chłopakami i Albie mógł rzucić swój materac na podłogę. Albie wydawał się wręcz podekscytowany tym pomysłem – bardziej podekscytowany niż w jakiegokolwiek innej sytuacji, którą Jeanette, Holly i ich matka były sobie w stanie przypomnieć. Noszenie różnych rzeczy i podłączanie różnych rzeczy brzmiało jak coś, do czego miał kwalifikacje, więc Teresa kupiła mu bilet na autobus do San Francisco i przygotowała górę kanapek z masłem orzechowym. Holly i Jeanette dały mu po sto dolarów z własnych oszczędności. Wpakował rower do luku bagażowego razem z torbą na ramię, a Jeanette, jej siostra i ich matka czekały, aż zajmie miejsce przy oknie, żeby mógł zobaczyć, jak mu machają na pożegnanie. Znowu odjeżdżał. Miał się stać niemożliwym do rozwiązania problemem dla kogoś innego. Każda z nich w głębi duszy czuła oszałamiającą ulgę.

Wieczorem Fodé wszedł do łazienki, gdy Albie mył zęby. Zapukał tylko raz i wszedł, zamykając za sobą drzwi. W łazience dobrze się rozmawiało, nawet jeśli brakowało w niej miejsca, by dwaj dorośli mężczyźni mogli swobodnie stać. Albie przywarł do umywalki, a Fodé, ubrany we flanelowe spodnie od piżamy i białą koszulkę, ominął stertę plastikowych skrzynek na mleko wypełnionych poskładanymi ręcznikami, zabawkami do kąpieli i pampersami.

– Bracie – zaczął – posłuchaj, chcę ci powiedzieć, że tu z nami zostaniesz. Na tydzień, na rok, na resztę twojego życia, tak długo, jak będziesz potrzebował. Jesteś tu mile widziany.

Albie miał w ustach szczoteczkę do zębów, miętowa piana ściekała mu po dolnej wardze, a mąż jego siostry chwycił go za kark i zbliżył do siebie ich czoła. Jakiś plemienny zwyczaj? Oznaka szczerości? Podryw? Albie wiedział o swojej siostrze tylko to, co mgliście pamiętał z okresu, kiedy byli nastolatkami, a o jej stukniętym mężu z Afryki nie wiedział zupełnie nic. Stykając się z nim czołem, pokiwał głową. Wciąż przecież potrzebował noclegu.

Fodé się uśmiechnął.

– Dobrze, dobrze, dobrze. Twoja siostra potrzebuje rodziny. Calvin potrzebuje wujka. A mnie przydałby się brat. Jestem bardzo daleko od domu.

– Jasne – powiedział Albie.

– Możesz ze mną rozmawiać. Właśnie tak tu robimy. Rozglądasz się po tym domu, po twoim domu, i myślisz, że dużo się tu dzieje. – Pokręcił głową. – Przystawanie idzie mi bardzo dobrze. Mówisz: „Bracie, przestań, chodź i posiedź ze mną”, a ja natychmiast przestaję. Mówisz mi, czego potrzebujesz. – Fodé na chwilę zamilkł i jeszcze raz spojrzął na szwagra. Jego twarz była tak blisko, że z trudem skupiał wzrok. – Albie, czego potrzebujesz?

Albie się zastanowił. Pochylił się, żeby wypluć pastę do umywalki. Pękała mu głowa.

– Paracetamolu?

Słyszając tę małą prośbę, Fodé się rozpromienił – jego zęby, jego okulary, jego szerokie czoło: tyle powierzchni odbijających światło. Sięgnął ręką obok Albiego i otworzył szafkę na lekarstwa, wskazując drugą półkę.

– Paracetamol – powiedział z dumą. – Złe się czujesz?

– Boli mnie głowa. – Jego oczy szybko otaksowały to, co było dostępne, czyli przede wszystkim paracetamol i paracetamol dla dzieci, krople do uszu, krople do oczu, krople do nosa.

Fodé nappełnił żółty kubeczek stojący na umywalce i podał mu go. Własność wspólna.

– Niedługo zaśniesz. To ci pomoże. Masz za sobą długą podróż do domu.

Albie połknął cztery tabletki i pokiwał głową, co miało oznaczać dziękuję i jednocześnie dobranoc. Fodé z powagą skinął głową i wycofał się z łazienki, zamykając za sobą drzwi. Jeanette mówiła Albiemu, skąd pochodzi ta najprzyjaźniejsza z istot, ale niech go szlag, jeśli zdołał to zapamiętać. Z Namibii, Nigerii, Ghany? I nagle sobie przypomniał.

Z Gwinei.

Nawet mimo dodatkowej zachęty w postaci Bintou, która – jeśli tak naprawdę nie była drugą żoną jego szwagra – prawdopodobnie dałaby się przelecieć, gdy dziecko zażywało drzemki, Albie nie był w stanie wysiedzieć w tym mieszkaniu przez cały dzień. Po pierwsze, panował tam tropikalny skwar. Grzejnik syczał i klekotał, jakby ktoś wykańczał go w piwnicy ołowianą rurą. Bintou i Dayo nawet się nie wzdrygnęli, słysząc ten hałas, lecz Albie miał ochotę wyleźć ze skóry. Nic dziwnego, że Jeanette i Fodé tak wcześniej wychodzili do pracy. Nawilżacz powietrza nieustannie wdmuchiwał mgiełkę do maleńkiego pomieszczenia, co z dużym prawdopodobieństwem było próbą odtworzenia subsaharyjskiego klimatu w tym brooklińskim terrarium. „To dobre dla płuc” – powiedziała z uśmiechem Bintou, gdy Albie wstał, żeby sprawdzić, czy nie da się tego wyłączyć. Okno prowadzące na schody przeciwpożarowe było zablokowane, więc żeby zapalić, schodził cztery piętra w dół. Za trzecim razem wziął ze sobą rower i odjechał po miękkim filcu śniegu. O pierwszej miał już posadę gońca rowerowego.

Znajdował taką pracę w każdym mieście, uważał, że to jedyny rodzaj zatrudnienia, do którego przygotowało go życie. Nie mógł nawet nazywać siebie podpalaczem, bo miał już dwadzieścia sześć lat i od czternastego roku życia nie rozniecił nawet ognia w kominku. Gdy spytano, kiedy może zacząć pracę, powiedział, że natychmiast, a potem cały dzień upłynął mu na poznawaniu Manhattanu. Nie było to skomplikowane miejsce.

– Jestem z ciebie taki dumny! To oznacza, że zostaniesz. Ktoś, kto przyjeżdża w odwiedziny, nie dostaje pracy pierwszego dnia pobytu w mieście. Goście nie dostają pracy pierwszego dnia. Teraz jesteś rezydentem. Spędziłeś tu jeden dzień, a już zawojowałeś Nowy Jork.

Jeanette uśmiechnęła się do brata uśmiechem małej Jeanette, lekko przewracając oczami. „Ech, ci Afrykańczycy – zdawała się mówić. – Co poradzisz?” Wciąż miała na sobie służbowe ubranie: spódnicę i sweter. Zaszła w ciążę, będąc na drugim roku uzupełniających studiów magisterskich z inżynierii biomedycznej. Bo Jeanette, jak się okazało, była bystra. Poprzedniego wieczoru powiedziała Albiemu, że zamiast zrealizować swój pierwotny plan i poddać się aborcji, postanowili z Fodé przeprowadzić radykalny eksperyment społeczny, który nazwali Urodzeniem Dziecka, a w wyniku tego eksperymentu odpadła ze studiów i teraz pracowała jako pracownik techniczny Philipsa. Podłączała, uczyła obsługiwać i serwisowała urządzenia do rezonansu magnetycznego w szpitalach od Queensu po Bronx.

– Uruchamiam je – powiedziała beznamiętnym tonem. – Pokazuję ludziom podręcznik użytkownika. – Poprzedniego dnia wieczorem, ścieląc Albiemu łóżko, wyjaśniła, że będzie musiała tak pracować jeszcze przez jakiś czas, mimo niewymagającej myślenia, zniechęcającej natury tego zajęcia, przynajmniej dopóki Fodé nie obroni doktoratu ze zdrowia publicznego na Uniwersytecie Nowojorskim, a Dayo nie osiągnie wieku, w którym wysłanie go do przedszkola stanie się możliwe do zniesienia. Nazywali to dayopieką przedszkolną. – Jeśli nie wrócę na studia – szepnęła, wsuwając prześcieradło pod poduszki kanapy – radykalny eksperyment społeczny okaże się porażką, bo będę musiała się zabić.

Albie trzymał dziecko, a Jeanette odgrzewała kolację, którą zostawiła dla nich Bintou. Fodé nakrył do stołu i otworzył butelkę wina, opowiadając im, jak mu minął dzień.

– Amerykanie uwielbiają szczepić Afrykańczyków. Czy może być coś piękniejszego niż zdjęcie małych zakurzonych Nigeryjczyków stojących w kolejce po szczepionkę zamieszczone na pierwszej stronie „New York Timesa”? Ale gdy chodzi o ich własne dzieci, nowojorskie matki uznają, że szczepienia są passé. Mówią, że szczepionki są nie dość naturalne, że mogą spowodować coś gorszego niż to, przed czym chronią. Cały dzień upłynął mi na przekonywaniu kobiet z wyższym wykształceniem, żeby szczepiły swoje dzieci, a one się ze mną kłóciły. Muszę iść na studia medyczne. Nikt nie będzie mnie słuchał, jeśli nie będę lekarzem.

– Ja będę cię słuchała – powiedziała Jeanette. – Nie idź na studia medyczne.

– Jedna kobieta oznajmiła mi, że nie wierzy w epidemiologię. – Zasłonił twarz dłońmi. – To przerażające.

– W Nowym Jorku nie występuje już odra. – Jeanette poklepała go po ramieniu. – Pokonałiśmy ją.

Jeanette umyła sałatę. Fodé owinał krojony chleb w folię aluminiową i włożył go do piekarnika. Pracowali razem w maleńkiej przestrzeni, nie wchodząc sobie w drogę.

– Opowiedz mi lepiej, jak ten dzień minął tobie – zwrócił się do niej. – Pomyślmy o czymś przyjemniejszym.

– Chcesz słuchać o szkoleniach z rezonansu magnetycznego w szpitalnych piwnicach?

Fodé na chwilę znieruchomiał, a potem się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Nie, nie. – Następnie odwrócił się do szwagra, bardzo zadowolony, że ma jeszcze jedną możliwość. – Chciałem powiedzieć... Albie, proszę, opowiedz nam, jak ci minął dzień.

Albie przesunął siostrzeńca na drugie ramię. Mówiąc, zwracał się do dziecka.

– W czterech budynkach zatrzymali mnie dzisiaj ochroniarze. Pokazałem dowód, każdy z nich mówił, że mogę wejść, a potem drugi ochroniarz przy windzie oznajmiał, że nie pozwoli mi wjechać na górę.

Fodé pokiwał głową z uznaniem.

– Jak na białego to wielkie osiągnięcie.

– I o mało nie potrącił mnie autobus linii M16.

– Dość – powiedziała Jeanette, stawiając miskę z sałatą na środku stolika. – Ty też już nie opowiadaj, jak ci minął dzień.

– Więc zostaje nam tylko Dayo – skwitował Albie.

Fodé wziął od niego dziecko.

– Dayo. Nikogo nie chciałbym posłuchać tak bardzo jak jego. Synu, powiedz nam, czy miałeś dziś wspaniały dzień?

– Wujek – powiedział Dayo i wyciągnął rączki z powrotem do Albiego.

Albie, który tak długo żył blisko krawędzi, a czasami zapuszczał się na drugą stronę, spojrzął przez okno na światła niezliczonych brooklińskich mieszkań. Zastanawiał się, czy właśnie tym zajmują się teraz ludzie – przygotowaniem kolacji z rodziną, trzymaniem dzieci, opowiadaniem, jak im minął dzień. Czy właśnie tak wyglądało ich życie?

Rower Albiego łączył w sobie tak wiele różnych części zamiennych, że nie miał już prawa uchodzić za schwinna. Praca polegała na dostarczaniu drobnych przesyłek, poświadczonych notarialnie dokumentów ubezpieczeniowych i obiecujących rękopisów. Czasami chodziło o jakąś umowę i Albie musiał czekać na podpis, a następnie wracać tam, gdzie ją nadano. Czasami proszono go o złożenie podpisu w charakterze świadka. Nowy Jork był krainą niezliczonych przesyłek. Zawsze był tam ktoś mający coś, co musiało się znaleźć gdzieś indziej. W taki właśnie sposób Albiemu upływał dzień, dopóki sam go nie zakończył. Śmigał przed autobusami i między taksówkami, zaskakiwał kierowców z Connecticut jak Przeklęty Chłopak na Rowerze, którym kiedyś był. Turyści widzieli, jak pędzi wprost na nich, i trzymali się skraju chodnika. Po dotarciu na miejsce zarzucał sobie rower na ramię jak młodszego brata i niósł go do windy. Albie wprawdzie przerósł ojca o siedem centymetrów, lecz wciąż był tylko bardzo wysoki, a nie wyjątkowo wysoki. Był przy tym także wyjątkowo chudy, a chudość wywoływała złudzenie wyższego wzrostu. Recepcjonistom często zdarzało się lekko poblednąć na widok Albiego zbliżającego się do ich kontuaru z szarą kopertą w dłoni i rowerem wrzynającym się w ramię. Był żywym szkieletem z czarnymi tatuażami i grubym czarnym warkoczem, i wyglądało to tak, jakby przyszła po nich sama Śmierć, gotowa powieźć ich na kierownicy.

– Powinieneś pomyśleć o zwiększeniu liczby przyjmowanych kalorii – upominała go Jeanette, gdy wieczorem wracał do domu, powłócząc nogami.

– Ryzyko zawodowe – mówił. Była to nie do końca prawda: widywał grubych gońców.

Albie zarabiał i po dwóch miesiącach myślenia, że wyprowadzi się jutro albo pojutrze, zaczął oddawać Jeanette połowę wypłaty na czynsz, kawę i wino oraz na edukację Dayo albo jej. Drugą połowę zamieniał na studolarówki i wkładał do zamykanej na suwak kieszonki w torbie na ramię. Najpierw próbował wręczyć je Fodé, ale mężczyzna nie chciał na nie nawet spojrzeć. Następnego dnia Albie zaczekał na siostrę na stacji metra i dał jej Jeanette. Kiwnęła głową i wsadziła banknoty do kieszeni.

– Nie sądzisz, że pewnego dnia powinieneś pójść na terapię? – spytała, kiedy mijali stoisko z jogurtem, zakład szewski, koreańskie sklepy z wiadrami żonkili przy wejściu. Może pomyślała, że dał jej pieniądze przeznaczone na terapię. – Gdybyśmy już podreperowali psychikę, moglibyśmy nawiązywać połączenia konferencyjne z mamą i Holly, żeby poddawały się terapii razem z nami.

Albie powiedział, że nie jest jeszcze gotowy, żeby zadzwonić do matki, ale Jeanette nie miała takich oporów. Prawie codziennie telefonowała do Teresy z pracy i o wszystkim jej mówiła.

– A tata? – spytał Albie. Na ulicy było tłoczno i idąc, objął siostrę ramieniem. Nie wiedział dlaczego. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobił, a to było miłe. Chodzili podobnym krokiem.

– Założę się, że tata od lat poddaje się terapii. Założę się, że ma ją już za sobą.

– I nigdy nie nawiązał z nami połączenia konferencyjnego?

Jeanette pokręciła głową.

– Nie wpadłby na to.

Albie przyjechał na Brooklyn, żeby stanąć na nogi, i w pewnym sensie już na nich stał, jeśli pominąć picie, z którym radził sobie, przyjmując z żelazną konsekwencją ograniczone dawki alkoholu i amfy, które pozwalały mu przetrwać drugą połowę dnia. Palenie się nie liczyło. Wszystkie nałogi to była kwestia perspektywy i jeśli na terażniejszość patrzyłoby się przez soczewkę przeszłości, każdy by uznał, że Albie radzi sobie fantastycznie. Odłożył dość pieniędzy, żeby znaleźć własne mieszkanie, ale nigdy nie zaczął go szukać. Jakimś cudem mimo wręcz komicznego niedostatku przestrzeni miał przy Fodé i Jeanette poczucie, że w ogóle nie powinien się od nich wyprowadzać. Gdy tylko Albie wchodził do mieszkania, Dayo nabierał ochoty, żeby na stałe przywierać do wuja. Stawał oboma nóżkami na stopie Albiego i oplatał rączkami jego umięśnioną łydkę, żeby się nie przewrócić. „Wujek” było jego ulubionym słowem, wymawiał je idealnie. I nie mógł się nim nacieszyć. Albie lubił spać na kanapie, choć była dla niego za krótka. Lubiał dni, kiedy po południu wracał do domu i mówił Bintou, że może sobie wziąć kilka godzin wolnego, a sam zabierał dziecko do parku. Lubiał uczucie, którego nie potrafił nazwać, a które ogarniało go na widok Fodé czekającego na niego późnym wieczorem z piwem na schodach przed budynkiem. Wiedział, że w końcu się wyprowadzi, ale zanim to nastąpiło, przynosił do domu zimny makaron z sezamem z Chinatown, codziennie rano składał swoją pościel i wsuwał ją za kanapę, szukał pretekstów, żeby kilka razy

w tygodniu wrócić późno i zapewnić gospodarzom trochę prywatności, a gdy wracał bardzo późno, przekręcał klucz w zamku tak cicho, że nigdy ich nie obudził.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? – pytała Jeanette, a Albie myślał: „Tęskniłaś za mną”.

Początkowo Albie chodził wieczorami do barów i kin, ale szybko zrozumiał, że nowojorskie bary i kina są w stanie pochłoniąć całodzienny zarobek. Siedział w bibliotece aż do jej zamknięcia, a potem szedł do czytelni Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki i w niej też siedział do zamknięcia, by następnie, zależnie od jakości książki, którą czytał, i ilości amfy, która nadal go napędzała, iść do pralni samoobsługowej, której nigdy nie zamykano, i siedzieć wśród martwych ciem, dudniących suszarek i wszechobecnego zapachu chusteczek dorzucanych podczas suszenia. Poznał recepcjonistki z wydawnictw, którym dostarczał przesyłki, i pytał je, co aktualnie czytają, więc zawsze miał książki. W żadnym innym miejscu, z którego odbierał przesyłki albo do którego je dostarczał, nie dawano mu prezentów, lecz recepcjonistki w wydawnictwach nie miały nic przeciwko obdarowaniu gońca rowerowego książką, nawet jeśli był to rowerowy posłaniec śmierci.

– Powiedz mi potem, jak ci się podobało – mówiła któraś z nich, a on odpowiadał jej uśmiechem. Uśmiech Albiego był czymś olśniewającym, takich dowodów na cuda dziecięcej ortodoncji nikt nie mógłby oczekiwać od reszty jego rodzeństwa. Po tym uśmiechu recepcjonistka czuła, że też ją czymś obdarował.

Pewnego razu po północy na początku czerwca Albie był w pralni automatycznej w Williamsburgu. Taksówki wciąż się gdzieś spieszyły, ale ciszej. Ludzie na ulicy też byli ciszej. Albie czytał powieść, którą zaczął poprzedniego dnia, i pogrążony w lekturze, stracił poczucie czasu. Była znacznie lepsza od kryminałów i thrillerów, które zwykle miał w ręku, bo recepcjonistka z Vikinga dawała mu ciekawsze tytuły. I to nie tylko takie, które wyszły w ostatnim tygodniu, choć i takie się zdarzały. Raz ofiarowała mu *Dawida Copperfielda*, mówiąc, że chyba mu się spodoba, tak po prostu, jakby był człowiekiem, na którego wystarczy spojrzeć, by pomyśleć o Dickensie, więc przeczytał tę książkę. Powinien był to zrobić w szkole, w ciągu tego roku, który spędził w Wirginii. Nosił ją wówczas ze sobą przez cały miesiąc, tak jak reszta klasy, ale ani razu jej nie otworzył.

– Gdybym cię znał, kiedy mieszkałem w Wirginii – powiedział recepcjonistce, gdy skończył czytać – to może zdałbym do następnej klasy.

– Jesteś z Wirginii? – spytała. Może była w wieku jego matki, może trochę młodsza, na pewno była bystra, od razu to poznał. Ich rozmowy nigdy nie trwały dłużej niż dwie, trzy minuty, ale ją lubił. Albie miał przesyłki do dostarczenia, a na jej kontuarze bez przerwy dzwonił telefon. Odbierała i pytała, czy może przełączyć rozmówcę na oczekiwanie, i robiła to bez względu na odpowiedź.

– Nie pochodzę stamtąd – wyjaśnił. – Po prostu w dzieciństwie przez jakiś czas tam mieszkałem.

– Nie wychodź jeszcze – powiedziała. – Zaczekaj chwilę. – Gdy wróciła, dała mu książkę w miękkiej okładce zatytułowaną *Dziedzictwo*. – To było wielkie wydarzenie ubiegłego roku, ten tytuł zdobył National Book Award, sprzedał się w ogromnym nakładzie. Czytałeś?

Albie pokręcił głową. W ubiegłym roku był jeszcze w San Francisco, a pieniądze,

które zarabiał jako goniec, szły na heroinę. We Wschodnie Wybrzeże mógłby trafić meteor, a on i tak by o tym nie wiedział. Pokazała mu tył okładki i postukała palcem w umieszczone tam malutkie zdjęcie mężczyzny.

– To była pierwsza książka, którą napisał po piętnastoletniej przerwie, może dłuższej. Wszyscy w wydawnictwie spisali go już na straty. – Zadzwoił telefon. Mrugały wszystkie światelka połączeń oczekujących. Pora wracać do pracy. Recepcjonistka podała mu książkę i pomachała na pożegnanie. Lekko kiwnął do niej głową, uśmiechnął się i wyszedł.

Patrząc na to z perspektywy czasu, powiedziałby, że od początku, może od połowy pierwszego rozdziału, czuł, że coś jest na rzeczy, choć z perspektywy czasu wszystko zawsze wydaje się jasne. Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że książka go wciągnęła, na długo zanim rozpoznał w niej siebie. Właśnie to zdumiewało go najbardziej: że zanim sobie uświadomił, o czym jest ta książka, był nią zachwycony.

Opowiadała o sąsiadujących ze sobą rodzinach z Wirginii. Jedna para mieszka w domu od dawna, druga właśnie się wprowadziła. Mają wspólny podjazd. Dobrze się dogadują. Pożyczają od siebie różne rzeczy, opiekują się dziećmi. Wieczorami siedzą razem na którymś z tarasów, piją i rozmawiają o polityce. Jeden z mężczyzn jest politykiem. Dzieci – w sumie sześcioro – swobodnie wchodzą do obu domów, dziewczynki śpią razem w łóżkach. Dość łatwo było się domyślić, dokąd to wszystko zmierza, tyle że w zasadzie wcale nie chodziło o żaloszny romans. Chodziło o nieokreślony ciężar ich życia: pracę, domy, przyjaźń, małżeństwo, dzieci, jakby wszystko, czego pragnęli i na co pracowali, przesądziło o niemożliwości zaznania jakiegokolwiek szczęścia. Dzieci, które początkowo wydają się tylko niewinnymi ofiarami okoliczności, tak naprawdę przypominają raczej gniazdo węży. Najstarszy i najmłodszy z grupy są chłopcami, między sobą mają cztery dziewczynki. Dwie to córki polityka, dwie pozostałe i dwaj chłopcy to dzieci lekarki, w której polityk się zakochał. Zbędny mąż, zbędna żona. Najmłodsze dziecko, chłopiec, jest nieznośne. Może właśnie na tym polega prawdziwy problem. Ten chłopiec jest kwintesencją wszystkiego, czego nie sposób przezwyciężyć. Kochankowie, obarczeni małżeństwami, domami i pracą, uciekają się do wszelkich sztuczek, żeby pobyć przez chwilę sam na sam, ale tak naprawdę próbują uwolnić się od dzieci, a zwłaszcza od najmłodszego. Reszta potomstwa, która bardzo często musi się nim opiekować, podaje mu benadryl, żeby mieć spokój. Starszy syn nosi tabletki w kieszeni, bo ma alergię na użądlenia pszczoł. Faszcerują zatem najmłodszego chłopca benadrylem i pakują go do kosza na bieliznę, a potem przykrywają prześcieradłami, żeby móc w spokoju pojechać rowerami na basen. Czy nie tego wszyscy pragną, chwili spokoju?

Albie przyłożył kciuk do kartki i zamknął książkę. Nagle w pralni zrobiło się zimno. Było tam jeszcze dwoje młodych punków, chłopak z włosami postawionymi na klej i dziewczyna z nosem przebitym dwiema agrafkami. Siedzieli i palili, podczas gdy ich czarne pranie zataczało kręgi w pralce. Dziewczyna uśmiechnęła się lekko do Albiego, być może biorąc go za jednego z nich.

Czy wiedział, że to był benadryl? Mówili na to tacy, ale czy wiedział? Budził się pod łóżkiem, na polu, w samochodzie, na kanapie przykrytej kocami. Budził się na podłodze w pralni w Wirginii, zakopany w pościeli. Nigdy nie wiedział, dlaczego budzi

się w miejscach, o których nie pamięta, żeby kładł się w nich spać. „Bo jesteś jeszcze mały – tłumaczyła mu Holly. – Małe dzieci potrzebują więcej snu”.

Miał zimne ręce. Włożył książkę z powrotem do torby gońca i wyprowadził rower na ulicę, słysząc cykanie szprych. Młode punki obserwowały go, myśląc, że wychodzi bez swojego prania. Znał dalszą część książki, tę, której nie przeczytał, wiedział, jak umrze starszy syn Patrick, wiedział, że odda młodszemu wszystkie tabletki i że mu ich zabraknie, gdy będą potrzebne. Wiedział, że nie o tym jest ta książka.

Albie prowadził rower ulicą. Czy rozpoznawał siebie w duńskich powieściach detektywistycznych? W postapokaliptycznych thrillerach? Może problem polegał na tym, że umieszczał się w centrum wszystkiego?

Nie, nie na tym polegał problem.

Gdy wrócił do mieszkania, była prawie druga. Wszedł do ich sypialni i stanął w nogach łóżka. Jeanette, Fodé i Dayo głęboko spali. Może ich podświadomość pogodziła się już z tym, że Albie z nimi mieszka, i przestali słyszeć jego kroki, a może byli tak skonani po ciężkim dniu, że w ich sypialni mógłby teraz stanąć ktokolwiek, a oni spaliby dalej. Nawet przy opuszczonych roletach w pokoju było widno. Mieszkali w Nowym Jorku. Tam nigdy nie jest naprawdę ciemno. Dayo spał razem z nimi, między nimi, leżąc na plecach. Jeanette trzymała rękę na klatce piersiowej. Obserwowanie innych ludzi we śnie było prawie nie do zniesienia. Czy powiedziała Fodé, co się stało? Na pewno powiedziała, że jeden z jej braci zmarł, ale czy Fodé znał szczegóły? Albie nie powiedział nikomu. Ani chłopakom na rowerach, ani gońcom, z którymi rano pijał kawę, ani Elsie w San Francisco, z którą dzielił się igłą. Nigdy nie wspominał o Calu. Położył dłoń na stopie siostry, na jej stopie, kołdrze, kocu, narzucie. Ścisnął tę stopę, a ona przez sen próbowała ją odsunąć, ale trzymał, dopóki nie otworzyła oczu. Nikt nie chciałby się obudzić i zobaczyć w swojej sypialni jakiegoś mężczyznę. Jeanette wydała z siebie cichy i zduszony dźwięk, dźwięk czystego strachu, który złamał jej bratu serce. Jej mąż, jej syn spali dalej.

– To ja – szepnął Albie. – Wstań.

Pokazał na drzwi, a potem wrócił do salonu, żeby tam na nią zaczekać.

¹ *Tombstone* (ang.) – nagrobek.

² „Jeden dzień potrafi tyle zmienić. Dwadzieścia cztery krótkie godziny”.

VI

Leo Posen wynajął na wakacje dom w Amagansett. Nie było widoku na ocean – musiałby napisać zupełnie inną książkę, żeby móc sobie pozwolić na widok na ocean – ale dom był piękny, miał szerokie korytarze i słoneczne pokoje, w ogrodzie huśtawkę wielkości kozetki oraz kuchnię z olbrzymim stołem wyglądającym tak, jakby zrobili go ojcowie pielgrzymi, by uczcić późniejsze, bardziej dostatnie Święto Dziękczynienia. Dom należał do aktorki, która zazwyczaj korzystała z niego latem, ale tego roku kręciła jakiś film w Polsce. Agentka nieruchomości wyraźnie zaznaczyła, że tej posiadłości nigdy nie wynajmowano; zrobiono wyjątek, bo właścicielka jest ogromną wielbicielką Leo. Miała nawet nadzieję na rolę w filmie na podstawie *Dziedzictwa*. Chciała zagrać romansującą lekarzkę i liczyła na to, że Leo, otoczony ładnymi rzeczami i jej zdjęciami, pomyśli o niej w tym kontekście.

Działając w duchu pełnej szczerości, Leo powiedział pośredniczce, że nie podpisał żadnego kontraktu filmowego.

Wtedy agentka zaczęła się zastanawiać. Nawet ona, mająca tylko mgliste pojęcie o branży filmowej, wiedziała, że prawa do ekranizacji są rozchwytywane jeszcze przed wydaniem książki. Przez króciutką chwilę zadawała sobie pytanie, czy w przypadku *Dziedzictwa* sama nie powinna ich nabyć.

– Bez obaw – powiedziała. – Kiedy w końcu zaczną kręcić film, ona nadal będzie chciała dostać tę rolę.

Leo wynajął dom, mając nadzieję, że lato upłynie mu na pisaniu nowej powieści, tej, którą jego agent literacki sprzedał wydawcy, nie znając nawet zarysu fabuły, gdy *Dziedzictwo* królowało na listach bestsellerów. Wynajął ten dom również z myślą o Franny. Powiedział jej, że nie będzie musiała robić niczego poza leżeniem na dużej kanapie w salonie i czytaniem całymi dniami – mogła też wsiąść na rower i czytać na plaży.

– Piasek, fale, plaża, róże – kusił, podnosząc kosmyk jej fascynujących włosów i pozwalając, by wsunął mu się między palce. Wieczorem po kolacji siedzieliby razem na werandzie, a on czytałby jej wszystko, co napisał w ciągu dnia. – To chyba nie najgorsze wakacje.

Ale były najgorsze. Problem, jak poniewczasie zrozumieli, tkwił w samym wspaniałym domu stojącym na wzgórzu owiewanym popołudniową bryzą, którego prywatności bronił wysoki żywopłot otaczający całą posiadłość. Drzewa owocowe rozsiane na szerokim trawniku kwitły z opóźnieniem z powodu długiej, ostrej zimy, więc nawet teraz, na początku czerwca, gałęzie wiśni uginały się pod ciężarem ciemnoróżowych kwiatów. Bezładnego gąszczu rabat tworzących artystyczny nieład doglądał ogrodnik przychodzący w środy, w tym samym dniu co Peruwiańczyk z siatką do wylawiania kwiatów wiśni z basenu. W domu było pięć sypialni prezentujących różne odmiany skośnych sufitów i mansardowych okien. Były tu też ławeczki w wykuszach, puchowe kołdry i ręcznie plecione dywany leżące na podłogach z ukośnie ciętego dębu. Leo Posen powiedział agentce nieruchomości, że szuka czegoś zdecydowanie mniejszego, ale odrzuciła ten pomysł. „Coś mniejszego i tak będzie droższe, trafiła się

panu okazja – powiedziała. – Nie wyobraża pan sobie, ile kosztowałyby ten dom, gdyby wynajęto go po cenie rynkowej. Jeśli nie chce pan korzystać z dodatkowych pokoi, radzę po prostu zamknąć drzwi”.

Być może rozwiązałyby to problem, lecz latem natura nie znosi pustych pokoi w Amagansett, zwłaszcza gdy należą do aktorki i wynajmuje je pisarz. Ludzie chcą wpadać z wizytą. Eric, redaktor Leo Posena, który powinien zatrudnić do patrolowania posiadłości wartownika z bronią w rękę, zadzwonił pierwszy, żeby powiedzieć, że miło byłoby się spotkać poza miastem i omówić pomysły na nową książkę. Mógł przyjechać w czwartek, zdążając przed weekendowym tłumem, ale Marisol, jego żona, miała wieczorem otwarcie wystawy, na którym musiała być obecna. Uznał, że w takim razie będzie musiała stawić czoło piątkowemu autobusowi.

– Marisol? – Leo na chwilę zaniemówił, ale potem uprzejmię zgodził się na wszystko: – Tak, tak, będą się wspaniale bawić. – Odłożył słuchawkę i popatrzył na leżący przed nim żółty notes, a następnie wyrzwał przez okno. Padał deszcz. Leo przez chwilę siedział, podziwiając wiśniowe drzewa i zastanawiając się, czy kiedykolwiek produkowano z nich notesy. Potem zszedł na dół, żeby spytać Franny, czy ma ochotę pojechać do miasta na lunch. – Dobrze, że odwiedzi nas Eric – powiedział do niej. Chociaż ciągle mżyło, usiedli na zewnątrz, pod markizą kawiarni, w której jedli lunch przez ostatnie trzy dni. Było tam niezwykle przyjemnie. – Będę mógł go spytać, czy nie znalazłby dla ciebie pracy. Jesteś wspaniałym redaktorem, lepszym niż on kiedykolwiek będzie, choć oczywiście o tym mu nie wspomnę.

Franny pokręciła głową.

– Nie pytaj go.

Obok nich przechodziła kelnerka. Leo dotknął krawędzi pustego kieliszka do wina. Było już po drugiej, jedli bardzo późny lunch.

– Nawet jeśli go nie pytam, domyśli się. Mógłbym po prostu wspomnieć, że się za czymś rozglądasz. Albo może napomknę o tym Marisol.

– Eric mnie zna – powiedziała. – Jeśli będzie chciał mnie zatrudnić, wie, gdzie mnie znaleźć.

Istniało też prawdopodobieństwo, że Eric zauważył, iż Leo i Franny nie mieszkają w Nowym Jorku, co więcej – że nigdzie nie mieszkają dłużej niż cztery miesiące, a to z pewnością utrudniałoby jej podjęcie stałej pracy. Zresztą Franny nie była pewna, czy chce być redaktorką.

– Eric zna cię z przyjęć. Tak naprawdę nie miał okazji spędzić z tobą czasu. Właśnie dlatego to taki dobry pomysł.

Eric przyjechał w czwartek po południu i powiedział, że wolałby zjeść kolację w domu. W tym tygodniu codziennie jadał na mieście, a poza tym w domu znacznie łatwiej się rozmawia. Był mężczyzną czerstwym w każdym sensie, biegaczem o filigranowej posturze, któremu dawniej prawdopodobnie często mówiono, że niebieski pasuje do jego oczu. Franny nigdy nie widziała go w czymś, co byłoby w innym kolorze. Eric spojrzął na schody, czule dotykając poręczy.

Leo popatrzył na Franny.

– W porządku, prawda?

Już wtedy powinna się była domyślić, co ją czeka, ale się nie domyśliła. Myślała kategoriami: jedna kolacja – jeden wieczór. Poszła do kuchni i zadzwoniła do Jerrella z Palmer House, żeby spytać, jak przyrządzić steki. Wiedziała, że Jerrell właśnie zaczyna zmianę. Pewnie siekał natkę pietruszki.

– Mały Domku – powiedział. – Wracaj tu, do kurwy nędzy. Wiesz, że nikt oprócz ciebie nie potrafi napełnić mi kubka.

Roześmiała się.

– Mam zrezygnować z wakacji, żeby przynosić ci lemoniadę z baru? Bądź człowiekiem i pomóż mi z tymi stekami.

Jerrell stał w biurze menedżera, który gapił się na niego bez słowa. Nikt nigdy nie dzwonił do kucharzy. Jerrell powiedział Franny, żeby natarła mięso odrobiną przyprawy Old Bay i odstawiła je na jakiś czas.

– Tylko pamiętaj, odrobiną, ten szajs nie jest do steków. – Później zapoznał ją z podstawami przygotowywania szparagów i pieczonych ziemniaków. – Sałatkę i ciasto kup na mieście. Przecież jesteś z kimś, kto ma forszę. Nie waż się robić wszystkiego samodzielnie.

Franny pojechała do sklepu spożywczego, do mięsnego i do piekarni. Poszła do monopolowego i wybrała wino, kupiła też zapas szkockiej i dżinu. Po powrocie do domu wypakowała zakupy z samochodu. Leo i Eric wykręcili się od wyprawy na miasto, mówiąc, że chcą porozmawiać o powieści, żeby przed wieczorem mieć obowiązki z głowy. Słyszała, jak się śmieją na osłoniętej werandzie z boku domu (Leo uznał, że można tam palić). Głośny, rehotliwy śmiech. Franny zaniósła im dwie szklanki z lodem i butelkę macallana na znak przyjaźni. Miała na sobie strój na plażę: szorty z obciętych džinsów, japonki i zwyczajną białą koszulkę. Miała dwadzieścia dziewięć lat. Bawili się w dom. Ona bawiła się w gospodynię.

– Eric, tylko spójrz na tę dziewczynę – powiedział Leo. Siedząc na krześle, objął jej biodra i przyciągnął ją do siebie. – Czy to nie jest chodzące marzenie?

– Tak, marzenie – przytaknął Eric, a potem spytał Franny, czy nie mogłaby mu przynieść pellegrino albo perriera w wysokiej szklance z lodem.

Kiwnęła głową, ciesząc się, że pomyślała o kupieniu wody mineralnej. Wróciła do kuchni. Mężczyźni rozmawiali o Czechowie, nie o powieści Leona. Eric zastanawiał się, czy na rynku jest zapotrzebowanie na nowy przekład, na dziesięciotomową kompletną serię. Była ciekawa, która z tych książek tak ich rozbawiła.

Jako feministka musiała zadać sobie pytanie, dlaczego w czwartkowy wieczór, gdy przygotowywała kolację dla Leo i Erica, nawet przez chwilę nie oczekiwała, że zaoferują jej pomoc, za to gdy następnego dnia z miasta przybyła Marisol, w haftowanej lnianej tunice i czerwonej lnianej apaszce, i usiadła na osłoniętej werandzie, i powiedziała, że dobrze by jej zrobił kieliszek białego wina, najlepiej jakieś zacne chablis, Franny poczuła lekkie ukłucie, jakby ktoś strzelił ją gumką w kark. Owszem, chwilę wcześniej sama spytała Marisol, czego się napije, a ona, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu papierosów, uradowana widokiem innych palaczy, udzieliła jej odpowiedzi. Co w tym dziwnego?

– Tu jest cudownie! – powiedziała Marisol, uśmiechając się i wyjmując kieliszek z ręki Franny. – Nie znam większego szczęściarza niż Leo.

Właściwie z tego samego powodu co poprzedniego dnia postanowiono, że tym razem też nie zjedzą w restauracji. Marisol skinęła w stronę wiśniowych drzew.

– Mamy opuścić to miejsce i jechać do miasta? Jeść kolację z tymi wszystkimi ludźmi z autokaru? Po moim trupie.

Marisol prowadziła galerię sztuki w SoHo. Myśl o mieszkaniu w domu aktorki, o słuchaniu świerszczy aktorki, urzekła ją.

Franny zachowała neutralny wyraz twarzy, ale Leo zauważył lekki błysk niezadowolenia w jej oku. W przyptywie dobrego humoru klasnął w rękę.

– Możemy zrobić dokładnie to samo co wczoraj. Kolacja była doskonała, więc zjemy ją jeszcze raz. Chyba nie masz nic przeciwko temu? – spytał Franny.

– Marisol nie je mięsa – powiedział Eric, okraszając tę wieść swoim najmiłszym uśmiechem.

Eric i Marisol byli mniej więcej w wieku Leo, należeli do obozu ludzi tuż po sześćdziesiątce. Mieli syna, który właśnie kończył rezydenturę na dermatologii w Johnsie Hopkinsie, oraz córkę, która siedziała w domu, opiekując się dzieckiem.

– Jem ryby – wtrąciła Marisol, podnosząc rękę jak skautka składająca ślubowanie.
– Jestem wegetarianką, ale jadam ryby dla towarzystwa.

Spojrzeni na Franny, niewinnie i wyczekująco, umoszczeni wśród miękkich poduszek w kolorze kości słoniowej leżących na wiklinowych fotelach. Nie mogła znowu zadzwonić do Jerrella. Powiedziałaby jej, że jest pieprzoną idiotką. W sprawie ryby musiała zatelefonować do matki.

– Coś jeszcze? – spytała Franny.

Eric pokiwał głową.

– Coś do chrupania. Jakies orzeszki albo krakersiki, może mieszanka?

– Przekąski barowe – podsumowała Franny i poszła do kuchni po kluczyki.

Dotąd między Leo i Franny było zupełnie inaczej. Ich trwający od pięciu lat związek został zbudowany na podziw i obustronnym niedowierzaniu. Po tych wszystkich latach Leo wciąż nie mógł uwierzyć, że ona z nim jest: nie tylko była młoda (nie jedynie młodsza, lecz bezapelacyjnie młoda) i piękniejsza, niż zasługiwał na tym etapie życia, lecz tworzyła linię, po której – ręka za ręką, zdanie za zdaniem – wciągnął się z powrotem w pracę. Była jego impulsem elektrycznym, jego iskrą. Franny Keating była życiem. Ona zaś mogła wymawiać nazwisko „Leon Posen” tak samo jak wymawiała „Anton Czechow”, mimo że ten pierwszy leżał obok niej w łóżku. Z upływem czasu zdumienie nie malało. Co więcej, Leo uważał, że jej życie jest ważne, podczas gdy ona sama nie znajdowała w nim żadnego sensu.

Nie oznaczało to, że nie mieli problemów: była przyszłość, zawsze nieznana, lecz – mówiąc realistycznie – w pewnym momencie przesądzona przez dzielącą ich trzydziestodwuletnią różnicę wieku, oraz przeszłość, ponieważ formalnie rzecz biorąc, Leo nadal był żonaty. Jego mieszkająca w Los Angeles małżonka domagała się udziału w przyszłych tantiemach, co było wzruszająco optymistycznym żądaniem, zważywszy, ile minęło czasu, odkąd opublikował poprzednią książkę. Przez lata Leo kategorycznie odmawiał oddania jakiegokolwiek części dzieła, którego jeszcze nie napisał. Potem wydał bestseller, któremu towarzyszyły pokaźna zaliczka, już przejedzona, zdobyte nagrody

i wysoka sprzedaż za granicą. Gdy tantiemy wkroczyły w nową fazę, jego żona nie omieszkła wypomnieć swojemu prawnikowi, jak dobrze postąpiła, nie dając za wygraną.

W tym czasie Leo powinien był być bogaty, lecz tak naprawdę, chcąc związać koniec z końcem, ciągle musiał przyjmować prestiżowe zaproszenia od różnych dzianych instytucji, a przez to prawie w ogóle nie miał czasu, by pracować nad nową książką. Owszem, pieniędzy było mnóstwo, lecz płynęły jedną rzeką o niezliczonych ujściach. Miał już jedną byłą żonę, z którą naprawdę się rozwiódł i która naprawdę była przeszłością, lecz płacił jej okazałe alimenty, a w dodatku musiał je płacić także żonie, która na dobrą sprawę powinna być jego drugą byłą żoną. Kosztowała go fortunę. Jego córka z pierwszego małżeństwa ciągle potrzebowała pieniędzy, bo potrzebowała czegoś o wiele ważniejszego niż pieniądze, lecz to dzięki nim w najłatwiejszy sposób wyrażała swoje potrzeby. Oprócz niej Leo miał jeszcze dwóch synów z drugiego małżeństwa, ci dla odmiany w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać – jeden był na drugim roku w Kenyon College, a drugi na trzecim w Harvard-Westlake School w Los Angeles. Ich chesne oraz zaspokajanie każdego ich życzenia spoczywało na barkach Leo.

Franny wiedziała, że już najwyższa pora uporządkować sobie życie, lecz Leo trzymał się jej jak dziecko ukochanego kocyka i szczerze mówiąc, cudownie było czuć się potrzebną osobie, którą darzyło się tak wielkim podziwem, słyszeć od niej, że jest się kimś niezbędnym. Było to zdecydowanie lepsze niż składanie papierów na uzupełniające studia magisterskie w sytuacji, gdy nie wiedziała nawet, co chciałaby studiować. Dlatego zwykle mu towarzyszyła, pokazując się w ładnych sukienkach na kolacjach dla pracowników wydziałów ze Stanfordu albo Yale. Czasami wracała do Chicago i przez parę miesięcy znowu pracowała w Palmer House, zatrzymując się w mieszkaniu, które mieli przy North Lake Shore Drive. Leo spłacał jej kredyt, co zapewniało jej bezpieczeństwo finansowe, ale brakowało jej własnych pieniędzy. Poza tym miło było zobaczyć się z przyjaciółmi. W Palmer House zawsze chętnie ją przyjmowano.

– To szaleństwo – mówił do niej przez telefon zbyt wiele drinków po tym, gdy faktycznie powinien był zadzwonić. – Jestem tu sam, żebyś mogła być kelnerką? Proszę, jedź na lotnisko, jeszcze dziś wieczorem, jutro, choćby z samego rana, po prostu wsiądź do samolotu. Przyślę ci bilet.

Był to ich prywatny żart, on przesyłający jej bilet, ale w tym wypadku wcale nie żartował.

– Poradzisz sobie. – Podczas takich rozmów Franny starała się nie mówić niczego ważnego. Wiedziała, że jutro nie będzie pamiętał ani słowa. – Poza tym to mi służy. Muszę od czasu do czasu pracować.

– Przecież pracujesz! Stale mnie inspirujesz, podczas gdy cały świat nie wywiązuje się z tego zadania. Będę ci wypłacał pensję. Wypiszę ci czek. Kurwa, Franny, ta książka jest twoja. To ty.

Oczywiście pisząc książkę, mówił, że wcale tak nie jest. Twierdził, że to, co mu powiedziała, było jedynie punktem wyjścia dla jego wyobraźni. To nie była jej rodzina. Nikt nie rozpoznałby w tej książce jej najbliższych.

Ale oni tam byli.

Pomijając różnicę wieku, to, że wciąż pozostawał z żoną w separacji, i to, że

napisał powieść o jej rodzinie, która w ostatecznym kształcie wywoływała u niej odruch wymiotny, mimo że gdy nad nią pracował, wydawała jej się co najmniej fascynująca, Franny i Leo tworzyli wspaniałą parę. I nie, nie chodziło o to, że miała mu tę powieść za złe, powieść była znakomita, była znakomitym dziełem Leona Posena, które sama na siebie sprowadziła.

Skoro już powstawała lista problemów, na wzmiankę zasługiwał jeszcze jeden, nawet jeśli Franny odmawiała uznania go za problem: Franny nie piła. Leo odczuwał jej abstynencję jak krytykę, bez względu na to, jak beztrosko ją bagatelizowała. Zauważał ten problem, gdy po lunchu na mieście z przyjaciółmi podchodziła do drzwi kierowcy, dlatego że wypił marne trzy kieliszki pinot gris. Zauważał go, kiedy był sam, a ona znajdowała się na drugim końcu kraju. Powiedziała mu, że dawno temu miała wypadek, że spowodowała go, ponieważ piła. To dlatego przestała. Poruszał ten temat jeszcze kilkakrotnie, ale zawsze czuł się wtedy tak, jakby rozmawiał z tą częścią Franny, która studiowała prawo. Uważał, że przepuściła wspaniałą okazję, nie wracając na uczelnię.

– Zabiłaś kogoś w tym wypadku? – zaczął.

– Nie zabiłam.

– Ktoś został ranny? Przejechałaś psa?

– Nie.

– Zrobiłaś sobie krzywdę?

Głęboko westchnęła i zamknęła książkę, którą czytała, *Marsz Radetzky'ego* Josepha Rotha. Sam ją jej polecił.

– Mógłbyś mi odpuścić?

– Jesteś alkoholiczką?

Franny wzruszyła ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Prawdopodobnie nie.

– Więc dlaczego po prostu się nie napijesz, dotrzymując mi towarzystwa? Mogłabyś wypić drinka w domu. Nie zamierzam cię prosić, żebyś potem prowadziła samochód.

Pochyliła się i pocałowała go. Pocałunki były jej niezawodnym sposobem na kończenie sporów.

– Wyteż swój wielki mózg – powiedziała życzliwie. – Potrafisz znaleźć lepszy powód do kłótni.

Franny poszła do kuchni i zadzwoniła do matki w Wirginii.

– Ryba na kolację – powiedziała – cztery osoby, coś, czego nie da się schrzanić.

– Nie możecie zjeść na mieście? – spytała jej matka.

– Wygląda na to, że nie. Okazuje się, że ten dom to istny hotel Kalifornia. Ludzie wchodzi i nie mają ochoty wyjść. Pewnie miałabym identycznie podejście, gdyby nie to, że to ja muszę gotować.

– Ty i gotowanie? – zdziwiła się Beverly.

– Właśnie.

– Zajrzałaś do jej garderoby?

Franny roześmiała się głośno. Jej matka potrafiła od razu trafić w sedno.

– Bikini Etro, flota kusych jedwabnych sukienek na ramiączkach, mnóstwo długich

kaszmirowych sweterków, waga piórkowa, buty, jakich w życiu nie widziałaś. Ta kobieta musi mieć wielkość zakraplacza do oczu. Nie wyobrażasz sobie, jakie to wszystko jest małe.

– W jakim rozmiarze są buty?

– Siódemki. – Franny próbowała wcisnąć stopę w sandałek niczym niezgrabna siostra przyrodnia Kopciuszka.

– Mogłabym przyjechać i pomóc ci przy gotowaniu – zaoferowała Beverly.

Franny uśmiechnęła się i westchnęła. Jej matka miała małe stopy.

– Nie potrzebuję więcej towarzystwa. Właśnie ono stanowi teraz problem.

– Nie jestem towarzystwem, jestem twoją matką. – Powiedziała to lekkim tonem.

Przez chwilę Franny myślała, że byłoby miło. Jej matka siedziałaby na drugim końcu kanapy i czytała książki. Franny przeważnie jeździła do Wirginii w pojedynkę albo jej matka przyjeżdżała z wizytą, gdy ona była w Chicago i pracowała w barze. Przy tych nielicznych okazjach, gdy Beverly spotykała się z Leo, obydwójce zachowywali się chłodno i uprzejmie. Jej matka była młodsza od Leo. Przeczytała *Dziedzictwo* i choć była zadowolona, że została przedstawiona jako lekarka, cieszyłaby się jeszcze bardziej, gdyby w ogóle ją pominięto. Do tego wątpiła, by Leo Posen kierował się dobrem jej córki. Powiedziała mu to kiedyś przy drinku. Nie, nie potrzebowali Beverly do dopełnienia swoich wakacji.

– Proszę – powiedziała Franny. – Po prostu pomóż mi z tą rybą.

Matka odłożyła słuchawkę, żeby przynieść swój przepis na chowder z owocami morza.

– Jeśli zastosujesz się do moich instrukcji, czego nigdy w swoim życiu nie robiłaś, odniesiesz zawrotny sukces.

Och, jej matka miała rację. Zachwyтом nie było końca. Eric i Marisol powiedzieli, że na Manhattanie nie mogliby zjeść lepszego posiłku. Matka Franny dopracowała każdy szczegół: sałatkę z nektarynkami, nawet to, który rodzaj serowych krakersów kupić. Franny była pod równie wielkim wrażeniem jak jej goście. Jednak Leo znowu nie pojechał z nią na zakupy i żadne z nich nie przyszło do kuchni, żeby spytać, czy mogliby posiekać paprykę, a gdy przyszła na werandę oznajmić, że kolacja jest gotowa, będący w środku kolejnej zabawnej historii o Czechowie Eric podniósł rękę, żeby zaczekała, aż skończy, co zajęło mu blisko piętnaście minut, i Franny chcąc nie chcąc pomyślała o krewetkach, które powinno się gotować na wolnym ogniu tylko przez trzy minuty. Pod koniec posiłku goście byli ogromnie wdzięczni, naprawdę, nie mogliby być miłsi, a Eric ostentacyjnie podwinął rękawy niebieskiej lnianej koszuli i zaniósł talerze do zlewu. Poza tym nikt nie kiwnął palcem.

Astrid, agentka Leo, zadzwoniła w sobotę rano. Dzień wcześniej jej sekretarka telefonowała do biura Erica w sprawie niemającej żadnego związku z Leo i w trakcie rozmowy dowiedziała się, że przebywa u Posena w Amagansett. Astrid miała dom w Sag Harbor. Latem przyjeżdżała do niego w każdy czwartek wieczorem i wyjeżdżała w poniedziałek rano. Naprawdę myśleli, że unikną spotkania? Powiedziała, że po południu przyjeżdżają do Amagansett. „Oni”, czyli ona i jeden z jej autorów, młody i niezwykle obiecujący mężczyzna, który spędzał w jej domu dwa tygodnie,

wprowadzając ostatnie poprawki.

– Podam ci adres – powiedział Leo z pewną rezygnacją.

– Nie bądź niemądry – odrzekła. – Wszyscy znają ten dom.

– Astrid? – Twarz Erica przybrała wyraz lekkiej rozpaczki. Właśnie rozwiązywał krzyżówkę w sobotniej gazecie. Nie ogolił się i nie miał ochoty tego robić.

– Nie spytała – powiedział Leo, choć lubił Astrid. Już sam fakt, że Eric za nią nie przepadał, dowodził, że dobrze się wywiązywała ze swoich obowiązków.

– No to po lunchu – westchnął Eric.

Marisol zeszła po schodach w czerwonym kostiumie kąpielowym i kapeluszu z szerokim rondem.

– Idę nad basen – powiedziała.

– Przyjeżdża Astrid – poinformował ją Eric.

Marisol zatrzymała się i włożyła okulary przeciwsłoneczne.

– No cóż, ma dom w Sag Harbor. Przecież tu nie zostanie.

Franny pojechała do Bridgehampton i kupiła lunch w niedorzecznie drogich delikatesach oferujących wyroby garmażeryjne, zapakowała jedzenie do samochodu, a potem w przybliżeniu olśnienia uświadomiła sobie, że nikt od nich nie wyjedzie, więc od razu zawróciła po coś na kolację. Leo dał jej kartę kredytową. W sumie za te dwa posiłki zapłaciła niepojętą fortunę. Gdy wróciła do domu, była tam już Astrid z młodym bladym pisarzem o imieniu Jonas, który miał lśniąco czarne włosy i żółte lniane spodnie. Zjadł dwa razy tyle co reszta razem wzięta. Franny ze smutkiem zdała sobie sprawę, że nic nie zostanie na jutrzejszy lunch.

– Po co przedrukowywać Czechowa? – spytał młody pisarz Erica, nakładając sobie na talerz kurczącą pierś w ziołach i łososia w plasterkach cytryny. – Dlaczego nie postąpić odważniej i zamiast niego wydać jakichś młodych rosyjskich pisarzy?

– Może dlatego, że nie pracuję w rosyjskim wydawnictwie. – Eric nalał sobie kieliszek wina, a później napełnił kieliszek Marisol. – A, i poza tym nie mówię po rosyjsku.

– A Jonas tak – powiedziała Astrid. Brzmiała jak dumna matka.

– *Kanieszna*¹ – potwierdził Jonas.

Astrid pokiwała głową.

– Jest bardzo zaangażowany w losy refuseników.

– Nie ma żadnych refuseników – zaproponował Leo. – W latach siedemdziesiątych otworzyli bramę i wszystkich wypuścili.

– Prowadziłem badania nad refusenikami – powiedział Jonas. – I proszę mi wierzyć, w Rosji nadal jest mnóstwo uciskanych Żydów.

– Więc czy nie powinienem raczej wydawać dzieł jakiegoś młodego Rosjanina piszącego o refusenikach zamiast prac Amerykanina, który prowadził nad nimi badania? Czy nie byłoby to oznaką większej odwagi?

– Nie wydajesz mnie.

Eric uśmiechnął się na tak przyjemną myśl.

– Uznajmy, że jest remis, dobrze? Czechow to moja dziedzina badań, refusenicy – twoja. Obaj jesteśmy zacofani.

– To kuskus? – spytała Marisol Franny, pokazując na sałatkę z ogórkami i pomidorami.

– Izraelski – powiedziała Franny, podając jej półmisek. – Jest po prostu większy.

Przeczucie, które Franny miała w delikatesach, okazało się słuszne. W porze kolacji Leo i goście nadal wylegiwali się na różnych kanapach w całym domu. Zdaje się, że Jonas pracował nad rękopisem, a przynajmniej trzymał stertę kartek na kolanach i ołówek między zębami. Wydawało się dziwne, że przywiózł rękopis na lunch. Eric wrócił znad basenu i przyznał, że choć jeszcze dwie krótkie godziny temu myśl o jedzeniu wydawała mu się niedorzeczna, to teraz znowu robił się głodny. Potrzebował przynajmniej drinka.

Leo podniósł głowę i uśmiechnął się.

– To jest myśl!

Po bardzo długim wieczorze, podczas którego Franny nie musiała gotować, ale musiała podgrzewać, wykladać na talerze i podawać, po skonsumowaniu nadzwyczajnej ilości wina, ograbieniu aktorki z calvadosu i sauternesu, żeby zrobić drinki po kolacji („Franny, zapamiętaj, co kradniemy – powiedział Leo, przetrząsając stojak w spiżarni. – Chcę to odkupić”), i w końcu po wyjściu wszystkich na papierosa na boczną werandę, jadalnia wyglądała jak po jublu u Bachusa. Franny wzięła wdech i zaczęła zbierać talerze.

Wysoki młody powieściopisarz poszedł za nią do kuchni. Przez chwilę myślała, że jest zainteresowany podaniem jej pomocnej dłoni, ale potem zdała sobie sprawę, że jest tylko zainteresowany. Miał teraz okulary, choć nie przypominała sobie, żeby nosił je wcześniej, podczas czytania.

– Podpisałem kontrakt z Knopfem – oznajmił, biorąc kieliszek do wina i trzymając go przez ściereczkę. – *Entre nous*², miałem nadzieję na FSG. Od czasów college’u chciałem, żeby wydawało mnie FSG, ale... – Patrząc na Franny, wzruszył ramionami i oparł się o zlew. – No wiesz.

– Nie chcieli twojej książki? – spytała.

Jonas wyglądał na urażonego.

– Pieniądze – powiedział. – Wszyscy wiedzą, że w FSG nie ma prawdziwych pieniędzy.

Gdy przyszedł Leo, Franny opłukiwała talerze.

– Tutaj jesteś! – zawołał do młodego powieściopisarza. Miał rozpostarte ramiona i w jednej ręce trzymał wysoką szklankę. – Chciałem ci pokazać drzewo.

Czasami, gdy pił, zamiast mówić zaczynał strasznie krzyczeć. Franny zastanawiała się, czy skoro wszystkie okna są otwarte, słyszą go sąsiedzi.

– Drzewo? – powtórzył Jonas. Jego okulary lekko zaparowały od ciepłej wody ze zlewu.

Leo objął młodego mężczyznę ramieniem i wyprowadził go z kuchni.

– Chodź, zobacz. Niebo wieczorem jest piękne.

– Naprawdę, Leo? – zawołała za nimi Franny. – Drzewo? Nie możesz wymyślić czegoś lepszego?

Astrid nie została na noc, młody pisarz i owszem. Jonas powiedział, że po alkoholu ma skłonność do choroby lokomocyjnej, a nie ulegało wątpliwości, że pił alkohol.

Rozejrzał się po domu i oznajmił, że cała ta sytuacja jest isticie fitzgeraldowska, do tego stopnia, że musi się zakończyć noclegiem. Astrid, która też by została, gdyby ją zaproszono, zaoferowała, że przyjedzie po niego nazajutrz w porze lunchu.

Gdy ostatnie sztuki duńskiej porcelany należącej do aktorki wróciły do przeszklonych szafek, cynowe blaty zostały wytarte, a śmieci wyniesione, Franny przystanęła, żeby ocenić efekt swojej pracy. Goście zapewnili jej trzy dni ciężkiej roboty, ale był to ten rodzaj roboty, do którego przywykła. Może nie konkretnie gotowanie, ale napełnianie szklanek i opróżnianie popielniczek, poprawianie i przynoszenie, ciche przysłuchiwanie się rozmowie. Jutro była niedziela i to wszystko miało się skończyć. Franny była z siebie dumna: stanęła na wysokości zadania. Wiedziała, że Leo będzie jej wdzięczny za rozliczne uprzejmości, które wyświadczyła jego przyjaciółom.

Po śniadaniu, na które każdy, kto miał kaca, zażyczył sobie jajek w innej postaci, Leo oznajmił, że musi popracować. Włożył do płóciennej torby notes, długopisy, szkocką oraz dwa tomy Czechowa (Eric namówił go, by napisał wstęp do nowego wydania, choć oczywiście dopiero, gdy skończy pisać własną powieść) i poszedł po trawniku do maleńkiego jednoizbowego domku na tyłach posiadłości. Widząc małe biurko, wąskie łóżko i wyściełane krzesło, podnózek i lampę podłogową, nietrudno było sobie wyobrazić, że domek powstał właśnie w tym celu – nie żeby pisać, ponieważ Leo wcale nie pisał – by móc uwolnić się od zgraj ciem ściąających do wspaniałego płomienia tej rezydencji.

– Dobrze, że pracuje – powiedział Eric do Franny. Trzymał kubek z kawą obiema rękami, patrząc tęsknie w kierunku, gdzie zniknął Leo, tak jak kobieta stojąca na plaży mogłaby patrzeć na punkt na horyzoncie, w którym zniknął statek wielorybników. – Musimy go zachęcać, pilnować, żeby pisał dalej. Nie może znowu stracić siły rozpędu.

Franny nie sprostowała, że nie ma żadnej siły rozpędu, dlatego że nie ma książki. Zastanawiała się, co mu powiedział Leo.

– Będzie pisał – powiedziała oględnie. – Gdy tylko wszystko wróci do normy i się uspokoi. – Czy wypadało spytać, którym autobusem zamierzają wrócić do miasta? Spojrzała na Erica, na jego długie, kręcone włosy, na okulary odsunięte na czoło. – Dajcie znać, o której wyjeżdżacie – powiedziała. – Zawiozę was na przystanek. W niedzielę zdarzają się kolejki, jeśli za długo się zwleka.

Marisol pokręciła głową.

– Ja mam dość po piątku. Nie wyobrażam sobie powtórki w niedzielę. – Spojrzała na męża. – Kiedy wracasz?

Eric poruszył głową w górę i w dół, jakby próbował obliczyć wysokość napiwku.

– We wtorek? Chyba we wtorek. Będę musiał jeszcze to sprawdzić.

Marisol pokiwała głową i wyjęła z gazety dodatek o modzie.

– No cóż, ja zostanę o jeden dzień dłużej. Przyjechałam później niż ty.

Jonas wszedł do kuchni ubrany w zielone kąpielówki i koszulkę.

– Czy mogę na razie napić się tylko kawy? – spytał, mrużąc oczy w porannym świetle. – Idę popływać.

Franny miała ochotę im wszystkim wygarnąć, lecz akurat w tym momencie jej uwaga skupiła się na kąpielówkach pisarza. Zdumiała ją.

– Skąd wzięłaś kąpielówki?

Jonas spojrział na siebie.

– Te? Nie pamiętam. Z REI? – W koszulce i w jasnym świetle wyglądał najwyżej na dwadzieścia lat.

– Są twoje? Przywiozłaś je tutaj?

Teraz wszyscy patrzyli na nią.

– Przywiozłem – powiedział. Wziął materiał w dwa palce. – Mogą być?

– Przywiozłaś ubranie na zmianę?

Domyślił się, dokąd zmierzają te pytania, i zareagował na atak gospodyni źle przygotowaną obroną.

– Cierpię na chorobę lokomocyjną. I nie lubię jeździć samochodem w nocy. Astrid powiedziała, że to duży dom.

Gdy przyjechali, Franny była w sklepie. Nie widziała, jak wchodzi z walizką. Wiedziała za to, że będzie musiała wyprać pościel w jego sypialni, chyba że nie zamierzał wyjechać. Gdy zaczął dzwonić telefon, Jonas w geście niezależności sam nalał sobie kawy i wyszedł tylnymi drzwiami.

– Chcę rozmawiać z ojcem – oznajmił głos w słuchawce.

– Ariel?

Nie padła żadna odpowiedź, bo brzmiałaby tak, że Leo miał troje dzieci i dwoje z nich było płci męskiej, a ostatnio rozmawiała z nim tylko córka, więc jeśli dzwoniła jakaś kobieta i chciała rozmawiać z ojcem, to tak, z pewnością była to Ariel.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała Franny. – Jest za domem. Muszę po niego pójść.

Eric rzucił jej pytające spojrzenie, próbując dociec, czego chce Ariel, ale Franny go zignorowała. Przeszła po mokrym trawniku, pod drzewami wiśniowymi i obok basenu, gdzie Jonas leżał już na trampolinie bez koszulki i z kubkiem kawy przy głowie. Wchodząc do domku, nie zapukała.

– Dzwoni Ariel – oznajmiła.

Leo leżał wyciągnięty na wąskim łóżku z książką Czechowa w rękach. Spojrział na Franny i uśmiechnął się.

– Mogłabyś jej powiedzieć, że pracuję? Powiedz, że oddzwonię.

– Nigdy w życiu – odparła Franny.

– Nie mogę z nią teraz rozmawiać.

– Wiesz, ja też nie, więc proponuję, żebyś poszedł do kuchni i sam odłożył słuchawkę.

Wyszła z domku i skierowała się na tyły posiadłości. Wiedziała, że w żywo płocie jest luka. Przepchnęła się przez nią, a potem przeszła jeszcze przez podwórze sąsiada i po jego podjeździe, aż na ulicę, w japonkach kłapiących o stopy. Żałowała, że nie wzięła roweru, kapelusza, jakichś pieniędzy, choć jednocześnie marzyła tylko o chwili spokoju. Nie mogła się uwolnić od myśli, że sama ponosi winę za wszystkie nieprzyjemności, które ją spotykają. Gdyby coś w życiu osiągnęła, nikt by jej nie prosił o zrobienie cappuccino, zresztą gdyby coś w życiu osiągnęła, z wielką radością robiłaby cappuccino, bo nie byłby to jej obowiązek. Parzyłaby kawę, ponieważ byłaby życzliwa i pomocna. Mogłaby czerpać przyjemność z bycia uprzejmą i nie zastanawiać się bez przerwy, czy jest kimś

więcej niż tylko dość ładną kelnerką. Zbliżając się do trzydziestki, żałowała, że nie zdołała się dowiedzieć, jak być kimś więcej niż muzą, ponieważ – jak to ujął jej ojciec, gdy po raz ostatni widzieli się w Los Angeles – „Bycie kochanką to nie praca”.

Ojciec nie czytał *Dziedzictwa*, ale jej siostra owszem.

– Nie ma tam nic szczególnie zniesławiającego – powiedziała jej Caroline. – Pozacierał ślady.

– Cieszę się, że recenzujesz dla „Timesa”.

– Ujmę to inaczej: nie podobało mi się, co napisał, ale nie zamierzam go pozwać.

– Przecież prawie cię nie ma w tej książce.

Caroline się roześmiała.

– Chyba właśnie to mnie tak zdenerwowało. Zresztą gdybym zamierzała go pozwać, zrobiłabym z tego pozew zbiorowy, zaangażowałabym całą rodzinę.

– No cóż – powiedziała Franny – zawsze to jakiś sposób, żebyśmy znowu byli wszyscy razem.

To zabawne, ale Franny tęskniła za Caroline. Choć w dzieciństwie się nienawidziły, z biegiem lat wkradła się między nie pewna osobliwa sympatia. Łączyła je wspólna przeszłość. Caroline specjalizowała się w prawie patentowym i pracowała w Dolinie Krzemowej. Nie ma cięższej roboty. Wyszła za programistę, który nazywał się Wharton. Było to jego nazwisko, lecz nikt nigdy nie zwracał się do niego inaczej, ponieważ na imię miał Eugene. Franny uważała, że przy Whartonie jej siostra złagodniała. Rozśmieszał Caroline. Franny nie przypominała sobie, żeby jej siostra kiedykolwiek się z czegoś śmiała, kiedy były małe, w każdym razie nigdy nie robiła tego w jej obecności. Caroline i Wharton mieli syna o imieniu Nick.

Franny spędziła z siostrą mnóstwo czasu w semestrze, podczas którego Leo wykładał na Stanfordzie. Caroline wciąż głądziła, że Franny powinna wrócić na studia prawnicze, a ona była w stanie uwierzyć, że to głądzenie bierze się z sympatii.

– Wierz mi – powiedziała Caroline – wiem, że na studiach jest okropnie. Wiem nawet, że bycie prawnikiem potrafi być okropne. Ale prędzej czy później będziesz musiała się czymś zająć. Jeśli myślisz, że znajdziesz dla siebie coś idealnego, to w osiemdziesiąte urodziny będziesz czytać ogłoszenia w sprawie pracy.

– Mówisz, jakbyś chciała mnie nakłonić do małżeństwa z rozsądku.

– Przecież to wcale nie musi być złe małżeństwo. Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć? Zdobądź dyplom i idź walczyć przeciwko dyskryminacji mieszkaniowej albo znajdź pracę u jakiegoś wydawcy i pisz umowy autorskie.

Franny uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Coś wymyślę. – To było wszystko, co powiedziała siostrze.

Niczego jednak nie wymyśliła, a teraz była w Amagansett i szła przez miasteczko, żeby odciąć się od ukochanego mężczyzny i jego przyjaciół. Spoglądała na witryny sklepowe, a gdy zauważyła na ławce porzuconą gazetę, usiadła i całą ją przeczytała. Słońce było tak delikatne, tak miodowe, że prawie mogłaby wybaczyć gościom chęć zostania dłużej. Odczekała kolejne minuty, dopóki nie nabrała pewności, że zrobiło się za późno, by ktokolwiek mógł ją poprosić o przygotowanie lunchu. Minęła restaurację, do której lubili chodzić z Leo. Miała nadzieję, że jakimś cudem go tam zobaczy. W końcu

postanowiła wrócić. Nie było nic innego do roboty. Zamierzała niepostrzeżenie przemknąć do sypialni, ale zauważyli ją z bocznej werandy i pomachali.

– Franny, ale mieliśmy bez ciebie dzień! – powiedział Leo, jakby w jej wyjściu i powrocie nie było nic dziwnego.

Astrid, która znowu przyjechała z Sag Harbor, pokiwała głową.

– Musiałam przywieźć kanapki na lunch. Zostało jeszcze trochę sorbetu.

– A my z Erikiem poszliśmy do miasta i kupiliśmy produkty na kolację – pochwaliła się Marisol.

– Ktoś i tak będzie musiał tam pojechać jeszcze raz – stwierdził Eric. – Kupiliśmy za mało.

Franny spojrzała na ludzi siedzących na werandzie, zmiękczonego welonem siatki, promieniami słońca ukośnie wpadającymi zza ich pleców, rabatą żółtych lilii, która ją od nich oddzielała. Nie różniło się to zbyt od oglądania tygrysów w zoo.

– Dzwonił Hollinger – powiedział Leo. – Jedź tu z Ellen. Powinni być mniej więcej za godzinę.

– Hollinger? – spytała Astrid. – Nie wspominałeś mi o tym. Jak się dowiedział, gdzie jesteś?

John Hollinger nie był klientem Astrid. Jego powieść *Siódma historia* pokonała *Dziedzictwo* w wyścigu po Pulitzera i obaj mężczyźni z wielkim zaangażowaniem udowadniali publicznie, że nie wpłynęło to na ich przyjaźń, mimo że właściwie nigdy się nie przyjaźnili.

Marisol lekceważąco machnęła ręką.

– Na pewno nie za godzinę. On zawsze się spóźnia.

Był czas, gdy Franny poczułaby się oszołomiona na myśl, że John Hollinger przyjedzie na kolację, ale ten czas minął. Teraz on i jego żona oznaczali jedynie dwa dodatkowe nakrycia przy stole. Łącznie było ich zatem ośmioro, zakładając, że Jonas i Astrid nie zamierzają wyjeżdżać.

– A ty? – spytał Eric, spoglądając na Franny, jakby wreszcie sobie przypomniał, że jej nie było. – Miło spędziłaś dzień?

Franny osłoniła oczy dłonią i spojrzała na niego zaskoczona.

– Pewnie – powiedziała.

Nie potrzebowali niczego więcej, żeby ją zwolnić z obowiązku podtrzymywania rozmowy.

Na długim drewnianym stole w kuchni leżało sześć kartonowych pudeł i pół tuzina kolb kukurydzy nieobranych jeszcze z zielonych liści. Franny usłyszała drapanie, a potem jedno z pudeł gwałtownie skoczyło do przodu.

Leo przyszedł do kuchni i stanął za nią.

– Przepraszam za Hollingera – powiedział, całując ją w skroń. – Nie pytał o pozwolenie. Zadzwoił, żeby zapowiedzieć swój rychły przyjazd. Powinniśmy byli wynająć na lato pokój w jakimś motelu w środku Kansas.

– Też by nas znaleźli.

– Cały dzień ukrywałem się w domku, żeby wszyscy myśleli, że piszę powieść. A ty gdzie byłaś?

– Co jest w tych pudłach? – spytała Franny, choć doskonale wiedziała, co się w nich kryje.

– Marisol pomyślała, że fajnie byłoby zjeść homara.

Franny się odwróciła i spojrzała na niego.

– Mówiła, że jest wegetarianką. Umie je przygotować?

– To chyba nie jest zbyt skomplikowane. Po prostu wrzuca się je do wody. Posłuchaj – powiedział, kładąc ręce na jej ramionach i patrząc jej prosto w oczy w sposób, dzięki któremu wydawał się bardzo odważny. – Muszę ci o czymś powiedzieć, a wolałbym nie: Ariel przyjeżdża na kilka dni.

Wiele rzeczy było możliwych na tym świecie, ale przebywanie Franny i Ariel w jednym domu z pewnością do nich nie należało. Gdy Franny odwiedzała Nowy Jork, z powodu Ariel trzymała się z dala od całego Gramercy Park. Tylko w ten sposób mogły się nawzajem szanować: nie kolidując ze sobą.

– Nie przyjechałaby, wiedząc, że tu jestem – powiedziała Franny. – Odebrałam telefon.

– Tak naprawdę chyba po prostu chce zobaczyć dom. Wiele miesięcy temu popełniłem błąd i powiedziałem jej o nim. Nie sądziłem wtedy, że go wynajmiemy. Powiedziała, że potrzebuje wakacji.

Franny rozpraszało szuranie dobiegające z kartonów. Widziała, że pudła przesuwają się po stole, pokonując mikroskopijne odległości. Myśl, że każdy homar tkwi samotnie w ciemności, była równie potworna jak myśl o przyjeździe Ariel Posen do Amagansett – albo tu tkwiło wyjaśnienie jej zdenerwowania, albo Franny doświadczała właśnie jakiegoś rodzaju przeniesienia emocji. Leo podążył za jej spojrzeniem w stronę stołu.

– „Lepiej byłoby już być parą chropawych kleszczy – powiedział, patrząc na smutne pojemniki, które usiłowały uciec – przemykających się po dnach milczących mórz”³.

– Leo, ona mnie nie znosi. Nie pozostawiła co do tego żadnych wątpliwości.

Mężczyzna zebrał siły na bladym uśmiechu.

– No cóż, może właśnie tego lata przestanie cię nienawidzić i wszyscy zaczniemy się dogadywać. Prędzej czy później musi to nastąpić.

– Kiedy? – spytała Franny. Nie „Kiedy przestanie mnie nienawidzić?” – na to pytanie Franny znała odpowiedź – lecz „Kiedy przyjeżdża?”.

Westchnął i przyciągnął ją do siebie, do szerokiego, ciepłego torsu literatury.

– Nie była pewna. Prawdopodobnie jutro, może we wtorek. Powiedziała, że jeśli wszystko ogarnie, może się zjawić jeszcze dziś wieczorem, ale wątpię, żebyśmy musieli się obawiać, że tak właśnie będzie.

– Przyjeżdża z Button?

Button była córką Ariel, czteroletnią wnuczką Leo Posen, jedyną wnuczką.

Leo spojrzał na nią zdziwiony.

– Oczywiście, że z Button.

Oczywiście.

– Z kimś jeszcze?

Leo podszedł do lodówki i znalazł butelkę z resztką pinot gris z lunchu. Przełał to, co zostało, do kieliszka stojącego na zlewie.

– Chyba z chłopakiem. Ma kogoś o imieniu Gerrit. Zdaje się, że to Holender. Powiedziała, że jeszcze nie wie, jakie on ma plany. Może będzie się lepiej zachowywała, jeśli przywiezie kogoś, na kim będzie chciała zrobić wrażenie.

– „I teraz, gdy łyżeczkę na spodeczek złożę, miałabym postawić rzecz na ostrzu noża?”⁴ – powiedziała Franny, zwracając się do homarów.

– A cóż to ma niby znaczyć? – zdziwił się Leo.

Franny pokręciła głową.

– Nic. To następny wers.

– To nie jest następny wers – odparł i poszedł z winem na werandę.

Franny włożyła do torebki parę nożyczek i zniosła sześć pudeł do samochodu. Choć uważała się za osobę pozbawioną talentów, była bardzo biegła w noszeniu większej liczby przedmiotów, niż ktokolwiek uznałby za możliwe. Czuła skrobanie homarów, gdy ich ciała ciężko ześlizgiwały się w ciemne narożniki kartonów.

– Pomóc ci? – spytał Jonas, przyspieszając kroku na jej widok. Wracał znad basenu, klatkę piersiową i plecy miał nierówno spalone słońcem.

– Poradzę sobie – powiedziała, wkładając pudła do samochodu.

– Jedziesz do miasta?

– Tak, znowu do miasta. – Ułożyła pasażerów na podłodze przed tylnym siedzeniem, po trzech z każdej strony.

– Zaczekaj, pobiegnę tylko po koszulę – powiedział, rozpromieniając się na myśl o takiej okazji. – Potrzebuję paru rzeczy. Dotrzymam ci towarzystwa.

Chciała odmówić, jakoś uzasadnić tę odmowę, ale zamiast tego pokiwała głową. Zaczekała, aż zamkną się za nim drzwi do kuchni, odczekała jeszcze dziesięć sekund, a potem wsiadła do samochodu i odjechała.

Franny i Leo nie rozmawiali o małżeństwie, chyba że czasami w łóżku, pod wpływem natłoku uczuć, gdy jego dłonie rozpościerały się na jej plecach. Jednak nawet wtedy mówili tylko o tym, jak szybko wzięliby ślub, gdyby nie przyszłość i przeszłość. Nigdy zaś nie wspominali o zaporowym elemencie terażniejszości, którym była córka Leo.

Przez większość czasu Franny usilnie starała się nie myśleć o Ariel, którą spotkała przy kilku katastrofalnych okazjach na początku swojego związku z Leo. Nie aspirowała do zostania najlepszą przyjaciółką córki Leo, lecz miała nadzieję, że pewnego dnia zdoła osiągnąć niewygórowany poziom zdystansowanego zrozumienia dla tej kobiety. W tym celu, ilekroć w pobliżu pojawiała się Ariel, Franny zmuszała się do myślenia o własnym ojcu, do wyobrażania sobie, że Fix zjawia się z kobietą młodszą od niej, zostawiwszy nieszczęsną, kochaną Marjorie. Że związuje się ze swoją ulubioną kelnerką od drinków i to nie tylko przez weekend, lecz przez pięć lat. Wyobrażała sobie ojca zakochanego w kelnerce od drinków, która nie ma własnych środków utrzymania, lecz jest gotowa czekać w motelach, aż on wróci z patrolu. Gdy udawało jej się myśleć o tych sprawach w taki sposób, lawa wściekłości Ariel stawała się łatwiejsza do udźwignięcia. Naga prawda wyglądała tak, że Franny nie potrafiła znieść czyjejś nienawiści. Nie

przygotowało ją na nią ani Święte Serce, ani college. Studia prawnicze robiły wszystko, co w ich mocy, żeby ją zahartować, lecz wiadomo, jak to się skończyło.

Franny znalazła miejsce parkingowe dwie przecznice od brzegu oceanu. Zaniósła sześć kartonów na koniec pomostu, mijając rybaków z wiadrami i wędkami oraz turystów, którzy trzymali się za ręce. Chciała, żeby homary trafiły do głębokiej wody. Mogły okazać się na tyle głupie, żeby jutro trafić do innego garnka, lecz nie chciała, żeby wyszły prosto na plażę już kilka minut po ułaskawieniu. Ustawiła pudła w rzędzie i otworzyła je. Boże Narodzenie na pomoście. Boże Narodzenie dla skorupiaków. Homary były pokryte czarnymi i zielonymi cętkami, bez śladu neonowej czerwieni, jaką przybrałyby po ugotowaniu. Wciąż były żywe – zelektryzowane bliskością słonej wody niecierpliwie wymachiwały związanymi szczypcami. Nigdy nie miały się dowiedzieć, co je ominęło, choć skoro były homarami, to prawdopodobnie w ogóle niczego nie wiedziały. Wzięła nożyczki i wsunęła je do pudła, starając się przeciąć szerokie gumowe opaski i nie dziabnąć przy tym szczypców ani nie stracić palca. (Z pierwszą opaską szło łatwo, druga była wyzwaniem). Gdy skończyła, przechyliła jedno pudło po drugim i wrzuciła homary do oceanu, a one z przyjemnym dla ucha kłaśnięciem wpadły do wody, po czym zanurzyły się i zniknęły jej z oczu.

Gdy Franny załadowała do samochodu wszystkie niezbędne produkty i pojechała z powrotem do domu, było już późne popołudnie. Kątem oka zauważyła, że Leo stoi na frontowej werandzie i rozmawia z kimś przy drzwiach (Dziewięć osób na kolacji? Miała dość), a reszta była nie wiadomo gdzie. Za domem stało zaparkowane eleganckie srebrne audi, Hollingerowie pewnie już przyjechali. Franny pomyślała, że miło byłoby wziąć prysznic, zanim się z nimi zobaczy, ale nie było na to szans. Zaczęła wnosić pudła i torby do kuchni. Zrobiła trzy kursy, zanim Leo wszedł do środka z młodym wysokim mężczyzną z długim czarnym warkoczem.

– Franny – powiedział Leo.

Postawiła na stole ciężkie pudło, w połowie wypełnione mocnym alkoholem, a w połowie winem. W samochodzie została jeszcze jedna skrzynka wina. Położyła ręce na pudle, żeby butelki przestały się chybotać. Gdy go zobaczyła, od razu wiedziała, jaki błąd popełniła, jak brzemienne w skutki i złe było oddanie czegoś, co nie należało do niej. Od początku o tym wiedziała, lecz dotąd jej to nie obchodziło. Obchodził ją sposób, w jaki słuchał jej Leo, sposób, w jaki zadawał te wszystkie pytania, a potem prosił, żeby opowiedziała mu wszystko jeszcze raz. W jej życiu nie było niczego, co równałoby się z żarem jego zainteresowania.

– Chryste – powiedział Albie. – W ogóle się nie zmieniłaś.

Był wyższy i chudszy, niż kiedykolwiek mogłaby sobie wyobrazić. Włożył koszulkę bez rękawów i jakieś workowate spodnie pokryte kieszeniami. Ręce miał ciemne i umięśnione, nadgarstki wytatuowane. Był kimś, kogo znała jako brata, i jednocześnie kimś, kogo nigdy nie spotkała.

– Ty przeciwnie – powiedziała.

Czy nie myślała, że prędzej czy później Albie się zjawi? W pierwszych miesiącach po wydaniu książki spodziewała się go za każdym rogiem, ale czas mijał. Czy wtedy o nim zapomniiała?

– Jak nas znalazłeś?

– Znalazłem jego. – Albie kiwnął w stronę Leo. – Okazuje się, że odszukanie tego człowieka to najłatwiejsza rzecz na świecie.

– Dobrze wiedzieć – powiedział Leo.

– Nie pomyślałem o tobie – ciągnął Albie, zwracając się do Franny – ale to chyba oczywiste. Ktoś musiał mu powiedzieć.

Chcieli pójść do stodoły i wyszczotkować konie. Jeśli porządnie wyczesali konie i wynieśli łąno z kilku boksów, po południu Ned zwykle pozwalał im pojeździć na zmianę na klaczy. Ale Albie doprowadzał ich do szału. Co takiego robił, że nie mogli go znieść? Gdy teraz przed nią stał, Franny nie potrafiła sobie przypomnieć. A może nie robił nic złego. Może po prostu chodziło o to, że kiedy byli wśród koni, ktoś ciągle musiał go pilnować, a żadne z nich nie miało ochoty tego robić. Nie był potworem, jakim mówili, że jest, w zasadzie nie był taki straszny. Po prostu był mały.

– Albiemu okropnie śmierdzi z ust – oznajmiła Franny. Potem odwróciła się do niego. – Nie myłeś rano zębów?

I tak się to zaczęło. Holly pochyliła się i powąchała powietrze przed buzią brata. Przewróciła oczami.

– Poprosimy tic taca.

Caroline spojrzała na Cal.

– Nie zaszkodzi. Wiesz, że on nigdy nie chce myć zębów. Wątpię, czy w ogóle je mył, odkąd tu przyjechaliśmy.

Cal wyjął z kieszeni plastikowy woreczek. W środku były cztery tabletki, więc dał mu cztery.

– Wszystkie? – spytał Albie.

– Śmierdzisz – powiedział Cal. – Jeśli ich nie weźmiesz, spłoszysz konie.

Wtedy Jeanette wyszła z pokoju. Nie powiedziała, dokąd idzie, ale reszta uznała, że muszą na nią poczekać.

– Chcę już iść! – zawołał Albie.

Franny pokręciła głową.

– Ernestine powiedziała, że mamy się trzymać razem.

Zaczekali, aż usnie. To nigdy nie trwało długo. Cal zaniósł Albiego do pralni i zostawił go pod stertą ręczników na podłodze. Była niedziela i Ernestine szykowała uroczystą kolację. W niedzielę nigdy nie robiła prania. Teraz, dwadzieścia lat później, Albie stał w letnim domu aktorki, przeczytawszy o dniu, który w większości przespał, w powieści napisanej przez kogoś, kogo nigdy nie spotkał. Franny pokręciła głową. Miała zimne ręce. Jeszcze nigdy nie było jej tak zimno.

– Przepraszam – powiedziała. Wypowiadaniu tego słowa nie towarzyszył żaden dźwięk, więc je powtórzyła. – Wiem, że to nic niewarte, ale przepraszam. Popełniłam okropny błąd.

– Jaki błąd? – zaciekawiał się Leo. Sięgnął do kartonu i wyjął butelkę befeatera. – Zamierzam się napić. Czy ktoś też miałby ochotę?

– Myślałaś, że nigdy tego nie zobaczę? – spytał Albie. – Może i słusznie. Zajęło mi to sporo czasu.

– Próbowałem mu to wyjaśnić, zanim przyjechałaś – powiedział Leo, nalewając sobie trochę dżinu do szklanki. – Pisarze czerpią inspirację z wielu źródeł. To nigdy nie jest jedna rzecz.

Franny spojrzała na Leo, marząc o tym, żeby wziął szklankę i poszedł z powrotem na werandę palić z gośćmi.

– Zostaw nas na chwilę – powiedziała do niego. – Tu nie chodzi o ciebie.

– Oczywiście, że chodzi o mnie – odparł Leo. – To moja książka.

– Nadal nie rozumiem – powiedział Albie, wskazując na Franny, a potem na Leo.

– Jak to się stało, że moje życie trafiło w jego ręce?

– To nie jest twoje życie – stwierdził Leo. – Właśnie próbuję ci to wytłumaczyć. To moja wyobraźnia.

Albie gwałtownie się odwrócił, podniósł ręce na wysokość ramion Leo i go odepchnął. Zaskoczony Posen upuścił szklankę na podłogę i przez chwilę powietrze było przesycone czystym zapachem dżinu.

– Nie rozumiesz, dlaczego tu jestem, prawda? – spytał Albie. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się staram, żeby cię nie zabić. Naprawdę mógłbym. A skoro mnie wymyśliłeś, to na pewno rozumiesz, jak mało mam do stracenia.

Istniały słuszne powody, żeby podejść do Leo, żeby położyć ręce na jego ramionach, ale zamiast tego Franny odwróciła się do Albiego. To jemu wyrządziła krzywdę. Oboje wyrządzili mu krzywdę.

– Słuchaj, chodźmy stąd i porozmawiajmy – powiedziała. – Wyjdźmy na zewnątrz i porozmawiaj ze mną.

Leo zatoczył się do tyłu jak po przyjęciu ciosu, miał zarumienioną twarz. Leo – niższy, cięższy, ponad dwukrotnie starszy od Albiego – mógłby później przysiąc, że naprawdę go uderzono. Wysoka szklanka przetoczyła się obok jego stóp, o dziwo niepotłuczona.

– Dzwonię na policję – powiedział. Słyszał nierówność własnego oddechu.

– Nikt nie będzie dzwonił na policję – powiedziała Franny.

– Co ty mówisz, do cholery? – zaprotestował Leo.

Marisol weszła do kuchni przez drzwi wahadłowe, za nią szedł Eric.

– Franny, gdzie są moje homary? – spytała.

Z początku Franny nie miała pojęcia, o czym ona mówi i dlaczego w ogóle nadal jest w domu, lecz potem sobie przypomniała.

– Idź stąd – powiedziała. Nie odrywała wzroku od Albiego.

– Masz pojęcie, ile kosztują homary?

Eric dotknął ramienia żony.

– Wracajmy do salonu – powiedział. – Mają towarzystwo.

– My jesteśmy ich towarzystwem! – Marisol włożyła jedwabną luźną sukienkę w kolorze szmaragdowym i płaski naszyjnik ze złota. Przyjechali Hollingerowie i wystroiła się do kolacji. Na rynku wydawniczym tylko Hollinger liczył się bardziej niż Posen, a i tak niektórzy mogliby się z tym nie zgodzić. Hollinger był bardziej konsekwentny w swojej karierze, miał na koncie większe sukcesy. Kolacja, nieprzygotowana, stała na stole w pudłach i reklamówkach. – Jonas mówił, że zaniostaś

je do samochodu. Coś było z nimi nie tak?

Albie odwrócił się do Franny.

– Pracujesz u nich?

Franny zsunęła dłoń z ramienia Albiego i wzięła go za rękę.

– Musimy iść.

– Kto to jest? – spytała Marisol. Marisol, która w ogóle nie powinna była uczestniczyć w tej scenie, której nikt tam nie zapraszał.

– To mój brat – powiedziała Franny.

– To nie jest twój brat, do diabła – powiedział Leo głosem wystarczająco donośnym, by wydostał się przez okna i przedarł przez trawniki.

Rano Franny popełniła błąd, wychodząc z domu bez torebki, i nie zamierzała go teraz powtórzyć.

– Zaczekaj tu – zwróciła się do Leo. – Wszystko będzie dobrze.

Albie sięgnął po butelkę dżinu.

– Nigdzie z nim nie pójdziesz – powiedział Leo.

– Jeśli z nim nie wyjdę, to zaproszę go na kolację. Ulokuję go na górze, w pokoju gościnnym. W porządku?

– Wiecie co – wtrącił się Eric – może zaniemiemy drinki naszym gościom? Marisol, weź korkociąg i jakieś kieliszki. Chyba wszyscy powinniśmy usiąść i się napić. Masz dżin. – Skinął w stronę Albiego, a potem zwrócił się do Franny. – Hollingerowie już są. Przyjechali, kiedy byłaś w mieście. Chodź się przywitać.

Eric próbował zmienić wieczór z powrotem w imprezę. Franny uświadomiła sobie, że on faktycznie nie ma pojęcia, kim jest Albie, i nie ma pojęcia, kim ona jest, poza tym że jest dziewczyną Posena. Gdy Leo nazywał ją swoją inspiracją, a zawsze tak robił, nikomu nie przychodziło do głowy, że mówił to w sensie dosłownym. Historia dwóch par mieszkających po sąsiedzku, ich okropnych dzieci, była dla Erica jedynie fabułą powieści. Franny miała ochotę podejść do Leo, uspokoić go, lecz Marisol już otworzyła drzwi do kuchni. Bez tej bariery wszyscy usłyszeli głosy dobiegające od frontu, tak wiele głosów! „Dzień dobry! Dzień dobry!”, trzask zamykanych drzwi samochodu, śmiech, głos Ariel nawołującej ojca.

Gdyby Beverly i Bert mieli teraz przedstawić tę historię, powiedzieliby, że rozwiedli się po śmierci Cala. I była to oczywiście prawda, rozwiedli się po jego śmierci, lecz w tym wypadku słowo „po” byłoby mylące. Wiązało śmierć z rozwodem jak przyczynę ze skutkiem, jakby Beverly i Bert byli jedną z tych par, które po śmierci dziecka podążają tak odrębnymi ścieżkami smutku, że nie potrafią już znaleźć drogi, która doprowadziłaby je z powrotem do siebie. A wcale tak nie było.

Bert obwiniał Beverly, że zostawiła sześcioro dzieci na farmie z Ernestine i jego rodzicami i nikomu nic nie mówiąc, wzięła samochód jego matki i pojechała do Charlottesville, żeby obejrzeć dwie projekcje *Harry’ego i Tonto*, jedną po drugiej. (Nie planowała oglądać tego dwa razy, ale w kinie było bardzo pusto, cicho i chłodno. Pod koniec filmu się popłakała. Płakała przez całe napisy końcowe i zamiast wyjść z sali

z rozmażanym tuszem do rzęs, postanowiła zostać tam, gdzie była). Czy naprawdę myślał, że choć przez chwilę pilnowała dzieci? Czy myślał, że gdyby tamtego popołudnia została w domu, po przeczytaniu kolejnej książki w swoim pokoju, kolejnego magazynu, po kolejnej drzemce, po tym, jak oficjalnie umarłaby z nudów, mogłaby pójść z dziećmi do stodoły i wyszczotkować konie? Prawda wyglądała tak, że w Arlington też zostawiała dzieci same, zostawiała je, żeby nie postradać zmysłów. Na farmie przynajmniej był jakiś dorosły. Czy jego rodzice nie ponosili żadnej odpowiedzialności za to, co się stało na ich posesji? A Ernestine? Beverly zostawiła dzieci pod opieką gosposi, nawet jeśli jej o tym nie wspomniała. Ernestine miała więcej instynktu rodzicielskiego niż Beverly, Bert i jego rodzice razem wzięci, a przecież uznała, że dzieciaki spokojnie mogą same pójść do stodoły odległej o kilometr.

Bert nie powinien był nalegać, żeby Beverly i dzieci zostały w wiejskim domu jego rodziców na tydzień, gdy sam pojechał kombi z powrotem do Arlington do pracy. Skoro uważał, że dzieci należało eskortować do stodoły, powinien był zostać i eskortować je osobiście. Beverly nie chciała być gościem w domu jego rodziców. Bez przerwy pytali dzieci o ich cudowną matkę: „Co u Teresy?“, „Co teraz porabia?“, „Mam nadzieję, że wasza matka wie, że zawsze jest u nas mile widziana”.

Dzieci też nie miały ochoty przebywać u dziadków ze strony ojca. Były o wiele szczęśliwsze w Pinecone, gdzie dawniej spędzały wakacje. W domu rodziców Berta musiały zdejmować buty przy tylnych drzwiach i wycierać nogi ręcznikiem. Ponieważ pod żadnym pozorem nie wolno im było wchodzić do salonu, prędko wymyślili zabawę w jak najszybsze przebieganie przez niego, ilekroć usłyszeli, że ktoś idzie korytarzem. Porcelanowa figurka angielskiego dżentelmena z psem gończym spadła z niskiego stolika i roztrzaskała się.

Rodzice Berta ich tam nie chcieli. Zaproponowali tę przedłużoną i wielce nietypową wizytę w nadziei, że zobaczą swojego syna, a nie jego dzieci, drugą żonę i jej dzieci. Bert jednak wyjechał.

Ernestine też ich tam nie chciała. Jak mogłaby chcieć? Oznaczyli osiem dodatkowych gęb do wykarmienia (siedem po ulotnieniu się Berta), sterty prania, stos zabaw do wymyślenia i bójek do przerywania, dwoje pracodawców do pocieszania. Największy ciężar spadł na barki Ernestine, mimo to ona jedna zносиła go bez narzekania.

Bert wrócił do Arlington, ponieważ w zwykłym tygodniu pracy szukanie miejsca do kontynuowania romansu z asystentką było drogie, niepraktyczne i stymulująco niebezpieczne. Linda Dale (tak brzmiało jej imię, na Lindę nie reagowała) powiedziała, że chciałyby, aby choć raz zjedli kolację w restauracji jak normalni ludzie, poszli do łóżka w prawdziwym łóżku, obudzili się w środku nocy i kochali się nie do końca rozbudzeni, a potem zrobili to jeszcze raz pod prysznicem o poranku. Bert nie szalał na punkcie Lindy Dale, była marudna, wymagająca i bardzo młoda, ale mówiła takie rzeczy przez telefon, gdy dzwonił do kancelarii, więc niby co miał zrobić? Zostać na farmie?

Był w kancelarii, gdy zadzwoniła matka, żeby powiedzieć mu o Calu. Wskoczył do samochodu i lekceważąc wszelkie ograniczenia prędkości, pokonał dwugodzinną drogę do szpitala w Charlottesville w niespełna półtorej godziny, tak jak zrobiłby to każdy rodzic. Nie było czasu jechać do domu i sprzątać. Nawet o tym nie pomyślał.

Czasami Beverly i Bertowi trudno było sobie przypomnieć, co ich zniszczyło. Gdy Beverly płakała z powodu romansu męża, bo w ich niezaścielonym łóżku znalazła obce czerwone majtki, Bert był zdumiony. Śmierć dziecka przebijająca niewierność. Śmierć dziecka przebijająca wszystko. Beverly prawie zdołała dostrzec tę logikę. Jeśli ból i poczucie straty można było stopniować, Bert z pewnością wygrał te zawody, i przyszła pora, żeby się pozbierali dla dobra swojego małżeństwa albo pozostałych dzieci. Okazało się jednak, że akceptacja okoliczności to nie to samo co przebaczenie. Posklejali się kawałkiem taśmy i mężnie parli naprzód, ale choć ich małżeństwo przetrwało jeszcze blisko sześć lat po śmierci Cala, oboje pamiętali to inaczej. Powiedzieliby, że smutek, jaki przeżywali, każde na swój sposób, rozdzielił ich znacznie wcześniej.

Jeśli Cal nie ponosił odpowiedzialności za koniec małżeństwa Beverly i Berta, to nie ponosił jej także Albie, lecz gdy przyjechał z Kalifornii, emocjonalne zasoby tej pary były już tak uszczuplone, że nie musiał zbyt wiele robić, by zobaczyć, jak małżeństwo się rozpada. Okazało się, że wystarczył sam jego przyjazd. Pięć lat, dwa miesiące i dwadzieścia siedem dni po śmierci Cala Albie wrzucił płonące pudełko zapalek do pojemnika na śmieci w sali plastycznej w Shery High w Torrance. Teresa zadzwoniła do Berta i powiedziała mu o pożarze, powiedziała mu, płacząc z wyczerpania, że Albiego wsadzili do aresztu. Bert odłożył słuchawkę i kazał Beverly zatelefonować do byłego męża i poprosić, żeby go stamtąd wyciągnął. Gdy już było po wszystkim, zadzwonił do Teresy, żeby jej powiedzieć, jaka nieudolna z niej matka. Była sobota rano, a ona nie wiedziała, gdzie jej syn pojechał na rowerze? Oznajmił jej, że dom, jaki stworzyła, jest nieodpowiedni, niebezpieczny i że nie ma innego wyjścia, jak tylko wysłać Albiego do Wirginii. Bert prowadził tę rozmowę przez telefon w kuchni, gdzie Beverly dusiła cebulę na boeuf Stroganow na kolację. Wyłączyła ogień pod patelnią i powoli poszła po schodach do pokoju Caroline. Po wyjeździe starszej córki do college'u często się tu chowała. Bertowi nigdy nie przyszło do głowy szukać jej właśnie tam.

Oczywiście wiele zarzutów Teresa mogłaby odeprzeć, lecz u podstaw pompatycznego okrucieństwa jej męża tkwiło ziarno prawdy: Teresa nie potrafiła zapewnić Albiemu bezpieczeństwa. Nie była przekonana, że uda się to Bertowi, lecz inni przyjaciele, inna szkoła, drugi koniec kraju mogły dać mu większe szanse. W poniedziałek rano zadzwonił dyrektor szkoły, mówiąc, że Albie i pozostali chłopcy zostali zawieszani na czas śledztwa, a jeśli w toku dochodzenia stwierdzi się ich winę (co było prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że widziano, jak w sobotę rano wybiegają z płonącego budynku, i że przyznali się do zaproszenia ognia), zostaną wydaleny ze szkoły. We wtorek Teresa zadzwoniła do Berta. Zamierzała wsadzić Albiego do samolotu.

Albie, już prawie piętnastolatek, doszedł aż do tarasu za domem, rzucił walizkę, usiadł na białym krześle z kutego żelaza i zapalił papierosa. Jego ojciec nadal szamotał się z rowerem owiniętym olbrzymimi arkuszami kartonu sklejonymi w coś na kształt pudełka, usiłując wydostać pakunek z tyłu kombi. W drodze z Dulles zdążył powiedzieć synowi, że Beverly nie będzie na kolacji. W czwartkowe wieczory brała lekcje francuskiego w dwuletnim college'u, a potem z przyjaciółmi z grupy szła na kolację, podczas której urządzali sobie francuskie konwersacje.

– Próbuje się odnaleźć – powiedział Bert, a Albie odwrócił się w stronę szyby.

„Więc jak on się dostanie do domu z lotniska?” – spytał Bert kilka godzin wcześniej, gdy Beverly oznajmiła, że jej nie będzie. W ten sposób sam ściągnął sobie na głowę ten problem.

Po rozpakowaniu roweru Bert wyprowadził go z garażu, jakby to był bożonarodzeniowy poranek. Chciał powiedzieć: „Spójrz na niego! Całkiem jak nowy!”, lecz zobaczył paczkę papierosów, a co bardziej niepokojące, czerwoną zapalniczkę Bic leżącą na stole przed jego synem. Rower nie miał podpórki, więc oparł go o jedno z krzeseł na tarasie.

– Nie wolno ci nosić zapalniczki – powiedział Bert. Zabrzmiało to jak pytanie w dużo większym stopniu, niżby chciał.

Albie spojrzał na niego zdziwiony.

– Dlaczego?

– Bo spaliłeś swoją szkołę, do diabła. Chcesz mi powiedzieć, że matka nie dała ci szlabanu na ogień?

Albie się uśmiechnął, widząc bezbrzeżną głupotę ojca.

– Wcale jej nie spaliłem. Podłożyłem ogień w sali plastycznej. To był wypadek, a oni potrzebowali nowej sali plastycznej. Szkoła znowu jest otwarta.

– W takim razie ja to powiem: masz szlaban na ogień. To znaczy: żadnych podpaień i żadnych papierosów.

Albie się zaciągnął. Z szacunkiem odwrócił głowę i wydmuchnął dym w bok. Z szacunku palił papierosa poza domem.

– Ogień to żywioł. Jak woda albo powietrze.

– No więc masz szlaban na żywioł.

– A mogę używać kuchenki gazowej?

Obaj patrzyli na zapalniczkę na stole. Gdy Bert wyciągnął po nią rękę, Albie zgarnął bica, patrząc mu prosto w oczy. Nadeszła ta chwila: Bert mógł albo uderzyć syna, albo nie. Albie opuścił rękę z papierosem, uniósł twarz i szeroko otworzył oczy. Bert się wyprostował, odsunął. Nigdy nie bił dzieci. Teraz też nie zamierzał tego robić. Tych kilka razy, gdy trzepnął Cala dłonią, bez końca wracało do niego w snach na jawie.

– Nie pał w domu – powiedział Bert i wszedł do środka.

Albie wpatrywał się w budynek. Nie był to ten sam dom, do którego przyjeżdżał w dzieciństwie. Tego nigdy wcześniej nie widział. W pewnym momencie między jego poprzednią wizytą w Wirginii a teraźniejszością Bert i Beverly się przeprowadzili i nie wspomnieli o tym Holly, Albiemu ani Jeanette. Bo i dlaczego mieliby wspominać, skoro nikt nie przypuszczał, że Holly, Albie i Jeanette kiedykolwiek tu jeszcze przyjadą? Ale ojciec nie napomknął o nowym lokum nawet na lotnisku. Czy zapomniał? Czy myślał, że Albie nie zauważy? Dom był z krwistoczerwonej cegły, od frontu miał żłobkowane białe kolumny i wyglądał jak młodszy krewny wielkiej posiadłości jego dziadków niedaleko Charlottesville. Obsadzono go roślinami i drzewami, których Albie nie znał, wszystko było uporządkowane i schludne. Widział krawędź basenu zasłoniętego plandeką na zimę. Mógł zajrzeć przez okno przy tarasie i zobaczyć kuchnię, wyszukane miedziane garnki zawieszane pod sufitem. Ale gdyby wstał, otworzył drzwi i wszedł do tej kuchni, nie wiedziałby, w którą stronę skręcić. Nie wiedziałby, w którym pokoju ma spać.

Caroline na pewno była już w college'u i gdyby Albie miał zgadywać, powiedziałby, że ma mnóstwo przyjaciół, którzy zapraszają ją do siebie na wakacje. Prawdopodobnie zorganizowała sobie bardzo absorbującą wakacyjną pracę jako opiekunka na obozie albo stażystka w jakiejś instytucji państwowej, co uniemożliwiało jej przyjeżdżanie do domu czy nawet korzystanie z automatu telefonicznego. Caroline nigdy nie pozostawiała złudzeń, że gdy wreszcie się stąd wydostanie, już nie wróci. Była żołą pod każdym względem, lecz to ona organizowała wszystkie wywrotowe akcje w letnich miesiącach ich dzieciństwa. Nienawidziła ich, zwłaszcza własnej siostry, ale nadawała sprawom bieg. Gdy przypomniał sobie, jak otworzyła kombi za pomocą wieszaka i wyjęła pistolet ze schowka na rękawiczki, pokręcił głową. Nigdy w całym swoim życiu nie podziwiał nikogo tak, jak podziwiał Caroline.

Pozostawała jeszcze Franny. Nie widział żadnej z siostr od pięciu lat, odkąd urwały się letnie wizyty w Wirginii, ale to Franny trudniej mu było sklasyfikować. Wydawało się to dziwne, bo ze wszystkich dzieci w rodzinie byli do siebie najbardziej zbliżeni pod względem wieku. Pamiętał, że zawsze nosiła kota, i w jego pamięci dziewczynka i kot złączyli się w jedno: w coś uroczego i małego, starającego się wszystkich zadowolić, skorego do drzemek, ciągle gramolącego się komuś na kolana.

Albie został na tarasie za domem i palił, a światło na przedmieściach przybierało złoty odcień, zimne powietrze szczypało go w ramiona. Nie miał ochoty wchodzić do domu i pytać ojca, gdzie będzie spał. Przeszło mu przez myśl, by pogrzebać w walizce w poszukiwaniu hojnie wypchanej torebki z ziołem, na które jego przyjaciele złożyli się w ramach prezentu pożegnalnego, lecz uznał, że zdążył już wyczerpać limit bezczelności na ten dzień. Gdyby skonfiskowano mu zapalniczkę w świecie pełnym darmowych zapalek, nie stałaby się żadna tragedia, lecz nie chciał, żeby ktokolwiek zabrał mu trawkę. Mógł pojeździć rowerem po nowej okolicy, zaznajomić się z tym, co oferowała, ale siedział dalej. I gdy na podjeździe zaparkowała Franny, wciąż jeszcze tylko myślał o tym, żeby wstać.

Miała na sobie białą bluzkę z podwiniętymi rękawami, niebieską spódniczkę w kratę, podkolanówki i półbuty, uniwersalny strój dziewczyny z katolickiej szkoły. Była chuda i blada, włosy ściągnęła w kucyk. Gdy wstał i wyrzucił papierosa, przez ułamek sekundy nie był pewny, jak to między nimi będzie. Franny cisnęła plecak na ziemię i z otwartymi ramionami ruszyła prosto na niego. Nie pojmując, że żył po drugiej stronie grubego muru, gdzie nikomu nie wolno było brać go w ramiona, wzięła go w ramiona i mocno uściskała. Była ciepła, silna i lekko, przyjemnie pachniała dziewczęcym potem.

– Witaj w domu – powiedziała. Trzy słowa.

Spojrzał na nią.

– Nie wpuścili cię do środka? – spytała, patrząc na walizkę. – Możesz przynajmniej wejść do garażu?

– Tu mi się podoba.

Franny spojrzała na dom. W gabinecie Berta paliło się światło.

– W takim razie posiedzimy tu razem. Co ci przynieść? Na pewno jesteś głodny.

Albie wyglądał na głodnego nie tylko z powodu niepokojącej chudości, która cechowała wszystkie dzieci Cousinsa. Ten głód było widać w jego zapadniętych oczach.

Albie wyglądał, jakby mógł zjeść całą świnie niczym pyton i nawet tego nie poczuć.

– Prawdę mówiąc, napiłbym się czegoś.

– Powiedz tylko, na co masz ochotę – odparła Franny. Stała lekko odwrócona w stronę domu, myśląc o ukrytym zapasie 7-up, którego nie pochwalala jej matka.

– Dżinu.

Spojrzała na Albiego i uśmiechnęła się. Dżin w czwartek wieczorem.

– Mówiłam ci, że się cieszę z twojego przyjazdu? Pewnie jeszcze nie. Cieszę się, że przyjechałeś. Wejdiesz ze mną?

– Za chwilę – powiedział.

Gdy poszła, Albie spojrzał na niebo. Śmigaly po nim jakieś zwierzęta – latające wiewiórki? nietoperze? – przy akompaniamencie niemal ogłuszającego ryku czegoś świerszczowatego. Nie, z pewnością nie był już w Torrance.

Po chwili Franny wróciła z dwiema szklankami wypełnionymi do połowy lodem i dżinem oraz z butelką 7-up pod pachą. Uzupełniła swojego drinka napojem, zamieszała palcem, a potem spojrzała pytająco na Albiego.

– Spasuję – powiedział.

– Bardzo po męsku. – Stuknęli się szklankami tak jak ludzie w filmach, tak jak jej przyjaciółki na pizamowych imprezach po podprowadzeniu tego, co można było dyskretnie podebrać z rodzinnych zapasów. Franny wypila już w życiu kilka drinków, po prostu nie robiła tego w domu, nie w dzień powszedni, nie z Albiem, lecz jeśli kiedykolwiek istniał odpowiedni dzień na łamanie zasad, było to właśnie dzisiaj. – Na zdrowie.

Skosztowała drinka i lekko się skrzywiła, ale Albie sącył swojego z uśmiechem. Zapalił następnego papierosa, bo papieros doskonale pasował do dżinu. Czuli się, jakby odświeżali znajomość, po prostu siedząc i milcząc. Zbyt dużo się wydarzyło, minęło zbyt dużo czasu, by próbować to teraz ubrać w słowa.

Po chwili Bert wyszedł na taras. Wydawał się bardzo ucieszony obecnością Franny. Pocałował ją w skroń, kłęb tytoniowego dymu stłumił woń dżinu.

– Nie wiedziałem, że już jesteś w domu.

– Oboje jesteśmy – powiedziała Franny z uśmiechem.

Bert zadzwonił kluczykami od samochodu.

– Pojadę po pizzę.

Franny pokręciła głową.

– Mama przygotowała kolację. Jest w lodówce. Podgrzeję.

Bert wyglądał na zaskoczonego, choć trudno byłoby powiedzieć, z jakiego powodu. Beverly zawsze szykowała kolację. Podniósł walizkę Albiego.

– Chodźcie do środka, dzieciaki. Robi się zimno.

Franny i Albie wzięli swoje szklanki, papierosy i zapalniczkę i ruszyli za ojcem Albiego. W trójkę weszli do domu, akurat gdy zapadała głęboka ciemność.

¹ *Kanieszna* (ros. *конечно*) – oczywiście.

² *Entre nous* (fr.) – (mówiąc) między nami.

³ T.S. Eliot, *Pieśń miłosna Alfreda Prufrocka*, tłum. S. Barańczak.

⁴ Tamże.

VII

– Więc przez dzieciaka Berta Cousinsa zerwałaś z tym starym Żydem? – spytał Fix. Byli w drodze do Santa Monica, jechali z opuszczonymi szybami. Wybrali się do kina. Prowadziła Caroline. Franny siedziała z tyłu, pochylona między dwoma siedzeniami.

– Jak to możliwe, że nigdy nie słyszałam tej części historii? – zdziwiła się Caroline.

– Czy mógłbyś go nie nazywać starym Żydem? – Franny zwróciła się do ojca.

– Wybacz. – Fix położył rękę na sercu. – Chciałem powiedzieć: starym pijakiem. Niech Bóg złoży jego duszę w Syjonie. Chodzi mi o to, że chłopakowi należą się wyrazy uznania. Wreszcie zasłużył na mój szacunek.

Franny wyobraziła sobie, jak dzwoni do Albiego z taką wiadomością.

– To nie było tak, że tamtego wieczoru wyszłam z domu i nigdy nie wróciłam. Spędziliśmy w Amagansett całe lato. – Miała na głowie Ariel i jej nieznośnego holenderskiego chłopaka oraz małą smutną Button, a oprócz nich musiała wytrzymać długie, okropne lato pełne gości. Koniec związku Leo i Franny zgromadził szeroką publiczność. Minęło ponad dwadzieścia lat, a mimo to wciąż doskonale pamiętała zupełną beznadziejność tego okresu.

– Ale zasadniczo właśnie tak to było, prawda? – zapytał Fix. – Chłopak wbił gwóźdź w oponę.

Caroline pokręciła głową.

– Albie tylko stwierdził obecność gwoździa w oponie – sprostowała.

Franny, zaskoczona trafnością oceny, roześmiała się.

– Powinnaś być zostać na studiach prawniczych – powiedziała. – Wtedy byłabym taka mądra jak ty.

Caroline pokręciła głową.

– To niemożliwe.

– Zmień pas – Fix wskazał kierunek palcem. – Na światłach skręcamy w lewo. – Trzymał na kolanach swoją mapę Thomas Brothers. Nie pozwolił, żeby Franny wpisała adres kina do nawigacji w swoim telefonie.

– Nie wiesz przypadkiem, dlaczego minęło aż tyle czasu, zanim nakręcili ten film?

– Caroline spojrzała we wsteczne lustro, a potem zręcznie przyspieszyła, żeby prześcignąć nadjeżdżające porsche. Podobnie jak w bardzo wielu dziedzinach życia, w prowadzeniu samochodu też była lepsza od Franny.

– Zdarza się. Leo nie chciał sprzedać praw do ekranizacji, więc mogli zacząć dopiero po jego śmierci. Wątpię, żeby z jego żoną łatwo się współpracowało.

Natalie Posen. Gdy piętnaście lat temu Leo zmarł, o dziwo, wciąż byli małżeństwem, wciąż toczyli swoją bitwę. Przez te wszystkie lata była jego żoną, a potem została wdową po nim. Franny widziała ją tylko ten jeden raz, na pogrzebie, o wiele niższą, niż sobie wyobrażała, siedzącą w pierwszym rzędzie w synagodze i w obstawie dwóch synów, którzy wyglądali jak Leo – jeden od nosa w górę, a drugi od nosa w dół, jakby każdy odziedziczył połowę ojcowskiej głowy. Ariel zajęła miejsce po drugiej stronie synagogi, siedziała z bardzo dorosłą Button i swoją matką, pierwszą panią

Leonową Posen. Erica wymieniono w programie uroczystości jako honorowego żałobnika niosącego trumnę. Honorowego, bo był już wtedy za stary, żeby udźwignąć jedną szóstą jej ciężaru. To on zadzwonił do Franny z wieścią o śmierci Leo, co było uprzejme, jeśli wziąć pod uwagę, ile minęło czasu od ich ostatniego spotkania. Spytała o książkę, tę, na poczet której dawno temu wypłacono zaliczkę i którą Leo ponoć ciągle pisał. Eric powiedział, że nie, niestety, nie było żadnej książki.

Byli tam wszyscy, czas odcisnął na nich swoje piętno: Eric i Marisol, Astrid, Hollingerowie i z dziesięć innych osób – wszyscy wakacyjni goście przybyli upomnieć się o niego razem z resztą świata. Franny trzymała się z tyłu, stała pod ścianą w grupce byłych studentów, oddanych fanów i dawnych dziewczyn. Natalie Posen postanowiła pochować męża w Los Angeles, czym nadała swojej złości wiekuisty wymiar.

– Żona – powiedział Fix. – Skoro rozmawiamy o pozytywach, podziękujmy też żonie.

– Żonie Leo?

Fix pokiwał głową.

– Jest cichą bohaterką tej całej historii.

– Niby dlaczego? – Fix miał akurat urodziny, osiemdziesiąte trzecie, i miał przerzuty do mózgu. Franny starała się, jak mogła.

– Gdyby nie to, że warowała przy nim jak pitbul, czekając na więcej pieniędzy, Leo Posen byłby wolnym człowiekiem.

– Aha. – Caroline pokiwała głową. Ufarbowała włosy na ciepły, rudawy odcień brązu, jaki miała w dzieciństwie, trzy razy w tygodniu chodziła na pilates. Szła za przykładem matki, trzymała fason. Caroline stała się młodszą siostrą.

– Nie rozumiem, o co wam chodzi – powiedziała Franny.

Fix się uśmiechnął. Caroline zawsze bezbłędnie wylapywała jego aluzje.

– Gdyby Leo dostał rozwód – wyjaśniła jej siostra – ożeniłby się z tobą.

– Moja mała Franny – powiedział ojciec, odwracając się z trudem, żeby na nią spojrzeć – to chyba jedyna kula, przed jaką udało ci się uskoczyć.

Franny i Caroline już dawno zgodnie uznały, że ich jednoczesne odwiedziny u matki lub ojca to marnowanie zasobów. Mając rozwiedzionych rodziców na przeciwległych końcach kraju, oraz mężów, których rodzice także co jakiś czas wymagali odwiedzin, Franny i Caroline podzieliły się ciężarem, żeby łatwiej go było udźwignąć. Dysponowały ograniczoną liczbą dni wolnych od pracy i urlopu okolicznościowego, biletów lotniczych, opuszczonych przedstawień szkolnych i nieusprawiedliwionych nieobecności. Sympatia, którą siostry obdarzyły się nawzajem w późniejszych latach życia, nie przejawiała się pod postacią odwiedzin. Franny nigdy nie zbliżyła się do Bay Area bardziej niż podczas pobytów w Los Angeles, choć oczywiście miała taki zamiar. Mieszkał tam teraz Albie, dwie godziny od Caroline. Najstarszy syn Caroline, Nick, był na ostatnim roku w Northwestern University, więc gdy Caroline i Wharton przyjeżdżali na weekend rodzicielski, Franny mogła przynajmniej wyskoczyć do Evanston, żeby zobaczyć się z całą trójką. Z pozostałą dwójką dzieci Caroline, jej córkami, Franny w ogóle się nie widywała, podobnie jak Caroline nie widywała się z dwoma synami siostry. Tylko że Ravi i Amit, bez względu na to, jak długo z nimi mieszkała, właściwie

nie byli synami Franny. Dostała ich razem z mężem, a Caroline, choć starała się podchodzić do tego inaczej, nie potrafiła przyznać pasierbom pełnych praw.

Dlatego w normalnych okolicznościach ani Franny, ani Caroline raczej nie pojechałyby do Los Angeles, by wspólnie świętować urodziny Fixa. Ponieważ jednak ich ojciec przebił już najbardziej optymistyczne prognozy onkologów, postanowiły wysilić się nieco bardziej. To miały być jego ostatnie urodziny, by to potwierdzić, wystarczyło szybkie spojrzenie na miejsce pasażera, i chcąc uczcić tę okazję, siostry odstąpiły od wcześniejszych ustaleń i spotkały się w Kalifornii.

– A zatem jak spędzimy to wielkie święto? – spytała Caroline dzień wcześniej. – Możliwości są nieograniczone.

Wszyscy czworo siedzieli w salonie w domu w Santa Monica, do którego Fix przeprowadził się z Marjorie, gdy po przejściu na emeryturę wreszcie opuścili Downey. Ten dom był swego rodzaju cudem, w żadnym razie nie luksusowym, mimo że od plaży dzieliły go tylko dwie przecznice. Czterdzieści lat temu Fix znał gliniarza, który grał w pokera z sędzią orzekającym w postępowaniach upadłościowych. Dostał cynk, że dom trafi na aukcję. Wtedy Fix w końcu powiedział Marjorie, że chce się z nią ożenić. Wpłacili zaliczkę, korzystając ze spadku po ciotce z Ohio, który Marjorie niedawno dostała. Planowali kupić ten dom i wynajmować go przez jakieś dwadzieścia lat, a po przejściu na emeryturę mieliby go na własność.

– To twoje oświadczyły? – zdumiała się Marjorie. Ale przyjęła propozycję.

– Właściwie to jaką rolę odegrał w tym wszystkim tata? – spytała ją Franny wiele lat później, gdy wreszcie usłyszała całą historię. Fix i Marjorie przejeżdżali z dziewczynkami obok domu w Santa Monica, ilekroć byli w tym mieście. Pokazywali im go z samochodu, mówili, że należy do nich i że pewnego dnia w nim zamieszkają. – Skoro to ty miałaś pieniądze, to dlaczego musiałaś za niego wychodzić? Przecież mogłaś sama kupić ten dom i go wynajmować.

– Twój ojciec chciał mieć dom przy plaży, a ja chciałam wyjść za twojego ojca. – Marjorie roześmiała się, gdy usłyszała, jak to zabrzmiało. Spróbowała jeszcze raz. – On też chciał tego ślubu. Po prostu musiało minąć więcej czasu, zanim to zrozumiał. Lubię myśleć, że ostatecznie wszyscy na tym zyskaliśmy.

Marjorie właśnie skończyła wpychać preparat odżywczy do rurki gastrostomijnej Fixa. Przy starym osiemdziesięcioletku była młodą siedemdziesięcioletką, lecz odnosiło się wrażenie, że przestała jeść mniej więcej w tym samym czasie co jej mąż. Łopatki sterczały jej pod swetrem jak metalowa kratka.

– Chodźmy do kina – powiedział Fix. – Obejrzymy popołudniowy pokaz filmu Franny.

– Fix – odparła Marjorie zmęczonym głosem. – Już o tym rozmawialiśmy.

– Mojego filmu? – spytała Franny, lecz oczywiście wiedziała, o czym ojciec mówi. Przecież nazywał tę książkę jej książką.

– Na podstawie powieści, którą napisał o nas twój chłopak. Mam chyba jedyną szansę, żeby zobaczyć film o własnym życiu. – Fix wydawał się niezwykle z tego zadowolony. – Wiesz, nie przeczytałem tej książki. Nie miałem zamiaru nabijać temu sukinsynowi kabzy. Ale teraz, kiedy już nie żyje i pieniądze trafią do jego żony, nie mam

nic przeciwko temu. Poza tym czytałem w gazecie recenzję, w której napisali, że kobieta grająca twoją matkę kiepsko się spisała. Myślę, że twoją matkę musiało to naprawdę rozwścieczyć.

Marjorie podniosła szczupłą rękę.

– Ja odpadam. Baw się dobrze z dziewczynami. Będę na was czekała z babeczkami z kremem. – Kilka godzin tylko dla siebie miało wartość miesięcznej emerytury.

– Och, tato – powiedziała Caroline. – Nie byłoby fajniej zostać w domu i wrywać paznokcie obcęgi?

Po wydaniu *Dziedzictwa* Franny czuła się winna i była przerażona, lecz mimo to nigdy by nie zaprzeczyła, że był to wspaniały okres: uroczysty lunch zorganizowany przez wydawcę w La Grenouille, ceremonia wręczenia nagród, podczas której Leo został zaproszony na scenę, niekończąca się trasa promująca książkę, którą autor wieczór w wieczór czytał urzeczonym tłumom, a potem do stolika ustawiała się kolejka wielbicieli chcących mu powiedzieć, jak jego dzieło zmieniło ich życie. Znowu był sławny, znowu na świeczniku i co noc w innym pokoju hotelowym wyrażał jej pełne uznanie, tuląc jej głowę w dłoniach, gdy się kochali. Nie potrafił oderwać od niej wzroku. Kochał ją, dziękował jej i to jej potrzebował. Leo Posen. Więc mimo rozlicznych kosztów, jakie poniosła, została wynagrodzona.

Wiedziała jednak, że obejrzenie tego filmu będzie jej przypominało o czymś więcej niż tylko o zdradzeniu własnej rodziny. Ten film opowiadał także o klęsce jej dawnego związku i o samotnej śmierci mężczyzny, którego kochała, i to w wersji sprzedanej przez jego drugą żonę.

Gdy Leo pisał książkę, Franny nie miała pojęcia, jak będzie wyglądało życie z *Dziedzictwem*, a gdy już ją przeczytała, było za późno, żeby cokolwiek w tej sprawie zrobić. Sprawa z filmem wyglądała jednak wtedy zupełnie inaczej. Jeszcze go nie nakręcono. Franny błagała Leo, żeby nie sprzedawał praw. Wiedziała, że taka obietnica oznaczałaby dla niego poważne straty finansowe, lecz mimo to, trzymając w rękach manuskrypt, błagała o nią.

Leo dał jej te prawa na karteczce o wymiarach siedem na dwanaście centymetrów, dlatego że Franny była jego słońcem, księżycem i każdą spadającą gwiazdą.

Dla Frances Xavier Keating

z okazji dwudziestych siódmych urodzin,

przekazuję ci prawa do ekranizacji „Dziedzictwa”

na teraz i na zawsze

w dowód mojej wiecznej miłości i wdzięczności.

LEON ARIEL POSEN

Honorował te prawa nawet później, gdy rzadko ze sobą rozmawiali i gdy – jak

przypuszczała – potrzebował pieniędzy. Po jego śmierci nikomu nie wspomniała o tej obietnicy. Bo i komu miałyby powiedzieć? Jego żonie? Wiedziała, że fiszka nie ma szans w starciu z flotyllą prawników. Ubzdurała sobie, że mogliby nawet spróbować odebrać jej tę karteczkę.

– Nie – powiedziała Franny. Nie, to nie był film, jaki miałyby ochotę obejrzyć, a już z pewnością nie z ojcem i siostrą oraz setką obcych ludzi upakowanych w kinie AMC 3 Santa Monica i jedzących popcorn.

Fix się roześmiał i uderzył otwartymi dłońmi w podłokietniki rozkładanego fotela.

– Jezu, obie nadal zachowujecie się jak małe dziewczynki. W tym filmie nie ma nic, co mogłoby was zranić. Powinnyście zrozumieć, że umierający facet, który znalazł się w potrzasku, ma ochotę zobaczyć, jak wciela się w niego jakiś przystojny gwiazdor filmowy. A poza tym to zamierzchła historia. Macie czas do jutra, żeby wziąć się w garść. To moje urodziny i pojedziemy na film.

Caroline zaparkowała, a Franny wyjęła wózek inwalidzki z bagażnika. Fix już od dawna nie prowadził, lecz nie chciał sprzedać samochodu. Zawsze istniała szansa, że los się odmieni, że za pięć dwunasta ktoś wynajdzie lekarstwo i uda się odtworzyć te części jego ciała, które pożarł rak. Nadzieja, mówił Fix, to siła napędowa życia, a tego samochodu nie dałoby się zastąpić innym. To był crown victoria, dawny nieoznakowany radiowóz, który Fix odkupił od wydziału. Franny nazywała go batmobilem, bo w razie potrzeby mógł wyciągnąć dwieście dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Nie żeby Fix kiedykolwiek jechał z taką prędkością, ale lubił mawiać, że sama świadomość, iż jest to możliwe, poprawia mu humor.

Franny otworzyła drzwi samochodu, oderwała stopy ojca od podłogi i wysunęła je delikatnie na zewnątrz, a potem wzięła go pod rękę.

– Liczymy do trzech. – Gdy wspólnie odliczali, kołysała się, żeby nabrać rozpędu.

Samochód zdolny dogonić kradzione ferrari nie był w stanie pomóc Fixowi podnieść się z fotela. Franny wyciągnęła ojca, a gdy znalazł się na zewnątrz auta, Caroline złapała go na wózek. Jeszcze miesiąc temu Fix się przed tym bronił. Miesiąc temu nie chciał chodzić z balkonikiem, upierając się, że zamiast tego wesprze się na Marjorie, mimo że zdarzyło mu się już upaść. Ale teraz to była przeszłość. Teraz pozwalał, żeby Franny umieszczała jego stopy na podnóżkach. Mówił dziękuję.

Aktorka, do której należał dom w Amagansett, chciała zagrać filmową Julię. Inaczej mówiąc, chciała zagrać matkę Franny. Oczywiście nie wiedziała, że Franny jest żywą osobą, która spała w jej łóżku, w jej pościeli z egipskiej bawełny. Leo obwinał Albiego o koniec ich romansu. Uważał, że gdyby chłopak ich nie odnalazł, dalej byłiby ze sobą szczęśliwi. Ale Caroline miała rację: Albie nie wbił gwoźdź w oponę, ten gwoździec już tam tkwił. Dopóki jednak Leo obarczał odpowiedzialnością za ich osobiste problemy niewinną osobę, Franny korzystała z możliwości przrzucania winy na aktorkę i jej nedorzeczny przeklęty dom. Nikt nie powinien mieć aż tyle pieniędzy, żeby było go stać na taką posiadłość i żeby nawet nie musiał zaprzętać sobie głowy mieszkaniem w niej. Basen był długi i głęboki i wcale nie przypominał basenu. Wyglądał jak jeden z tych charakterystycznych dla południa domków o wąskiej fasadzie zbudowanych na początku dziewiętnastego wieku, a potem zmiecionych przez burzę. Zasilała go woda ze

strumienia. Nikt do końca nie wiedział, skąd się wzięły – zarówno woda, jak i basen, bo jedno i drugie było tam dłużej niż dom aktorki. To jednak nie wszystko: rosły tam też róże, które pięły się po wschodniej ścianie, a potem tworzyły olbrzymią gęstwinę na pochyłym dachu, cudowna obfitość kwiecica. Istne zatrzęsienie róż, białych i czerwonych, w sześciu odcieniach różu, wspinających się po sobie nawzajem przez całe lato, jeden gatunek kończył kwitnąć, a następny zaczynał. Latem trawnik przykrywał dywan ze zdmuchniętych płatków. A w ich sypialni wisiał obraz Klimta, mały, lecz bezdyskusyjnie autentyczny, przedstawiał kobietę, która przejawiała rodzinne wręcz podobieństwo do aktorki. Kto trzyma dzieło Klimta w domu letniskowym? Franny uważała, że właśnie przez ten dom im się nie udało. Nikt poza samą aktorką nie potrafił się trzymać z dala od niego. Pewnego wieczoru, długo po zakończeniu ich związku, Leo zadzwonił do Franny, żeby ją poinformować, że aktorka zaprosiła go do Amagansett na kolację. Powiedziała, że chce porozmawiać o filmie, choć ją uprzedził, że nie będzie żadnego filmu.

– Mimo to przyjeżdż – ponowiła zaproszenie.

– Pamiętasz ten zapas szampana w lodówce? – Leo spytał Franny przez telefon.

Franny pamiętała.

– No więc go wypiliśmy. – Leo westchnął w swoim mieszkaniu w Cambridge. – Nic się nie wydarzyło. Właśnie to ci chciałem powiedzieć. Koniec końców nie potrafiłem pójść z nią na górę. To wciąż była nasza sypialnia, Franny. Nie zamierzałem tego zrobić.

Zgodnie ze standardami obowiązującymi w branży filmowej zarówno aktorka, jak i podejmowane przez nią próby zdobycia roli wszelkimi możliwymi sposobami należały już do zamierzchłej przeszłości. Producenci już dawno się nią nie interesowali w romantycznym kontekście. Potem przestała się wcielać w role matek. W wieku sześćdziesięciu lat była za stara nawet na to, by grać czarownice w bajkach. Pozostała jej garstka ról wiekowych matron, czasem jakiejś sędziwej senatorki albo bezwzględnej szefowej w zbierających dobre recenzje serialach telewizji kablowej. Właśnie tym musiała się pocieszać Franny, gdy zgasły światła w kinie w Santa Monica: ta piękna aktorka obejrzy gdzieś film *Dziedzictwo* i przypomni sobie, jak desperacko próbowała zdobyć rolę Julii.

Okazało się jednak, że to marne pocieszenie.

Gdy Franny i Caroline siedziały w ciemności obok ojca, połączyła je jedna nieprawdopodobna myśl: czy oglądanie filmu o ich prawdziwym dzieciństwie nie byłoby przypadkiem jeszcze gorsze? Pewnego lata Bert miał kamerę na ośmiomilimetrową taśmę i tropił ich jak Antonioni, gdy przebiegali przez strumienie zraszaczy i lawirowali na rowerach, raz po raz wypadając z kadru. Holly obracała hula-hoopem wokół prostego słupka swoich bioder. Albie skakał przed nią, zdejmując koszulkę. Zza kamery dobiegał głos Berta, warczał na nich, żeby zrobili coś ciekawego, ale byli tylko dziećmi, co zresztą z perspektywy czasu wydawało się fascynujące. Może ten film nadal leżał w jakimś pudle na strychu matki albo gdzieś na dnie szafy z dokumentami w garażu Berta. Podczas kolejnej wizyty w Wirginii Franny mogła spróbować go znaleźć i zamontować taśmę w projektorze. Dzięki temu zobaczyliby prawdziwego Cala, znów biegającego, i wymazaliby z pamięci ponurego chłopca, który go zagrał. Film o ich życiu byłby zdecydowanie lepszy od tego filmu, nawet gdyby przed laty bez przerwy mieli za sobą

kamerę rejestrującą całą katastrofę ich dzieciństwa, uwieczniającą wszystkie najgorsze chwile, i tak oglądanie takiego nagrania byłoby lepsze niż konieczność patrzenia, jak obcy ludzie podejmują kretyńską próbę odtworzenia ich życia. Z Holly i Jeanette ulepiono jedną dziewczynkę, która nie była ani Holly, ani Jeanette, lecz jakimś okropnym dziwadłem tupiącym i trzaskającym drzwiami podczas kłótni. Czy Holly albo Jeanette kiedykolwiek się tak zachowywały? Oczywiście mali aktorzy nie próbowali grać prawdziwych dzieci. Z pewnością nie zdawali sobie sprawy, że książka miała coś wspólnego z ludźmi z krwi i kości, a zresztą i tak pewnie jej nie czytali. Czy zatem oglądanie tego filmu było takim koszmarem dlatego, że w żaden sposób nie przystawał do ich życia, czy dlatego, że – o dziwo – niektóre elementy się zgadzały? Od czasu do czasu w małych okrucieństwach, którymi nękały się dwie rodziny, pojawiał się przebłysk czegoś znajomego.

– To nie jesteś ty – powiedział Leo, gdy Franny skończyła czytać książkę. – To nie jest żadne z was.

Siedział w drugiej sypialni, gdzie urządził sobie gabinet, w ich małym mieszkaniu w Chicago, które posiadali, jeszcze zanim pojawiły się pieniądze. Trzymał ją na kolanach i głaskał po włosach, a ona płakała. Mówiąc mu o przeszłości, popełniła koszmarny błąd, a on przemienił go w coś trwałego i pięknego. To był ten gwóźdź w oponie. Albo nawet nie. Nie to, że przeczytała tę książkę, nie to, że on ją napisał, lecz dzień, który zdarzył się dawno temu w Iowa, dzień, w którym Leo, myjąc zęby, podczas gdy Franny stała pod prysznicem, wypluł pastę, lekko odchylił zasłonę i powiedział:

– Myślałem o tej historii, którą mi opowiedziałaś o twoim przyrodnim bracie.

Wtedy, naga i mokra, z pianą spływającą po szyi, pomyślała, że Leo Posen jej słuchał, że uznał śmierć Cala za coś wartego głębszego namysłu. Włożył rękę pod wodę, nakreślił palcem krąg wokół jej drobnej namydlonej piersi.

Pod prysznicem nie przemknęło jej przez myśl, że pewnego dnia będzie miała pięćdziesiąt dwa lata i przyjdzie jej obejrzeć efekt swojego niefrasobliwego przyzwolenia na kinowym ekranie. Filmowy Cal jeszcze nie umarł, mieli to jeszcze przed sobą. Reszta dzieci dwa razy nafaszerowała Albiego lekami, filmowa Caroline biła i szczypała filmową Franny, ilekroć kamera skierowała się w ich stronę, a całość nawet nie była o dzieciach. Opowiadała o matce z jednej rodziny i ojcu z drugiej, oraz o tym, jak patrzyli na siebie nocą z przeciwległych stron podjazdu. Filmowa matka Franny nieustannie przeczesywała palcami swoje długie jasne włosy i patrzyła w dal, co miało dowodzić, że zmagala się z ciężarem swojej niewierności. Nosila niebieski fartuch chirurgiczny, który wyglądał jak skrojony specjalnie na jej ładną figurę. Filmowa matka miała tyle na głowie: szpital, dzieci, sąsiada, który był jej kochankiem, jego żonę, z którą się przyjaźniła. Tylko jej nieszczęsny mąż zdawał się niczego od niej nie chcieć. Poruszał się na peryferiach ekranu, zbierając talerze po dzieciach, kiedy ona przechodziła przez środek kuchni. Znowu wzywano ją do pacjenta.

– Dość! – zawył Fix. Podźwignął się do pozycji półstojącej, jakby zamierzał wyjść z kina o własnych siłach, lecz jego stopy nadal tkwiły na podnóżkach. Caroline zerwała się z miejsca i chwyciła go, akurat gdy przechylał się do przodu ku szerokiej otwartej przestrzeni przed miejscem dla niepełnosprawnych, i zamortyzowała upadek własnym

ciałem. Gramolili się w ciemności, każde z kolanem i obiema rękami na lepkiej podłodze. Franny objęła ojca na wysokości klatki piersiowej, lecz rzucał się i opędział od niej.

– Nie mogę wstać! – krzyknął. Zwróciły się ku nim oczy całej widowni, ale nikt ich nie uciszał. Na ekranie zmieniła się scena. Teraz filmowy Cal pędził ulicą obok domu sąsiadów w środku dnia, a jego brat biegł za nim, próbując nadążyć. Przez chwilę było dość światła, by widzowie mogli zobaczyć, że hałas dobiega od staruszka na wózku. Dwie kobiety próbowały pomóc mu wstać. Nikt nie wiedział, że ten film jest o nich.

– Wynośmy się stąd – powiedział Fix płaczliwym głosem. – Wynośmy się!

Posadziły go z powrotem na wózku. Nadal miał poplątane nogi. Opierał się, ale Franny zdołała ułożyć jego stopy z powrotem na podnóżkach. Caroline stanęła za wózkiem, a jej siostra chwyciła ich torebki. Może nie biegły z ojcem na wózku, ale szły najszybciej jak potrafiły. Franny pognęła przodem i otworzyła drzwi do długiego, wyłożonego wykładziną korytarza, po chwili przeszli przez hol i minęli zwariowaną neonową tęczę pulsującą nad stoiskiem z popcornem i nastoletnich bileterów w brązowych kamizelkach z poliestru. Bam! Wypadli przez szklane dwuskrzydłowe drzwi i zderzyli się z nieznosną powodzią słońca.

– Pieprzyć to! – zawołał Fix na parkingu. Jakaś matka z dwójką dzieci szła w ich stronę, lecz nagle się zatrzymała, zastanowiła i skręciła w drugą. Franny wybuchła śmiechem, a potem schowała twarz w dłoniach. Caroline zgięła się w pasie i oparła głowę na ramieniu ojca.

– Wszystkiego najlepszego, tato – powiedziała i pocałowała go lekko w szyję.

– Pieprzyć to – powtórzył Fix, tym razem z mniejszym przekonaniem.

– Tak – przytaknęła Franny i potarła jego drugie ramię. – Pieprzyć to.

Po wizycie w kinie poszli na plażę. Franny i Fix byli temu przeciwni. Mówili, że są zmęczeni i chcą wracać do domu, lecz to Caroline prowadziła samochód.

– Nie pozwolę, żeby tak wyglądały moje wspomnienia z urodzin taty – powiedziała, raz po raz wciskając pedał gazu, żeby im przypomnieć, do czego jest zdolny ten samochód, do czego ona jest zdolna. – Chcę zetrzeć ten film spod powiek. Pojedziemy popatrzeć na ocean.

– Skręć w Altamont – polecił Fix. Głos mu prawie zupełnie osłabł, jakby inwektywa wykrzyczana na parkingu przy kinie pochłonęła wszystkie jego siły.

– Nie wydaje ci się, że jeśli zabierzemy go teraz na plażę, możemy go zabić? – spytała Franny siostrę.

Fix się uśmiechnął.

– Właśnie tak chcę odejść. Chcę umrzeć na plaży ze swoimi córkami. Moglibyśmy zadzwonić po Joego Mike'a, żeby przyjechał mi udzielić ostatniego namaszczenia.

– Joe Mike nie jest już księdzem – powiedziała Caroline.

– Dla mnie zrobiłby wyjątek.

Wydostanie ojca z samochodu za drugim razem okazało się trudniejsze. Nie był w stanie im pomóc tak jak poprzednio, ale Franny i Caroline jakoś sobie poradziły. Oczywiście Caroline miała rację co do plaży. Prawie wszystkie dni w Santa Monica były piękne, a ten, jako że nie rozgrywał się już w kinie, był piękniejszy niż większość z nich. Fix miał w swojej crown victorii plakietkę osoby niepełnosprawnej, dzięki której znaleźli

wspaniałe miejsce parkingowe, mimo że wszystkie ogólnodostępne miejsca były zajęte.

– Wlepianie dwustudolarowego mandatu w pełni sprawnemu dupkowi parkującemu na miejscu dla niepełnosprawnych. – Fix pokręcił głową. – To przyjemność, jakiej nigdy nie zaznacie.

Franny pchała wózek po chodniku, na który wiatr naniósł drobiny piasku. Chłonęli to wszystko: mewy i fale, dziewczyny w bikini, chłopaków w szerokich szortach i ratownika w drewnianej wieży spoglądającego na nich niczym dobrotliwy bóg. Młodzi ludzie tak piękni, że powinni reklamować balsam do opalania albo wieczną młodość, rozgrywali mecz siatkarski, któremu nikt się nie przyglądał. Inni biegali ze swoimi psami, jedli desery lodowe albo wyciągali się na kolorowych ręcznikach wielkości prześcieradeł i smażyli się na słońcu.

– Nie zastanawia was, kim są ci wszyscy ludzie? – zdziwiła się Caroline. – Jest czwartek. Czy nikt z nich nie pracuje?

– Świątują moje urodziny – powiedział Fix. – Dałem im wolne.

– Dlaczego te dzieciaki nie są w szkole? – Caroline spojrzała na sześcioro maluchów uwijających się z wiaderkami w piasku.

– Pamiętacie, jak was przywoziłem na plażę? – spytał Fix.

– Co roku – powiedziała Franny.

Fix pokręcił głową.

– To nie w porządku. Nauczyłbym was surfować. Gdybyście mieszkały tu ze mną, nauczyłbym was surfować.

Caroline wyciągnęła rękę i przeczesała włosy ojca palcami. Kiedy była młoda, marzyła tylko o tym, żeby zamieszkać z ojcem, ale nikt nie chciał jej na to pozwolić.

– Nie umiałeś surfować.

Fix wolno kiwał głową w rytm fal, zastanawiając się nad tym wszystkim.

– Nie byłem dobrym pływakiem – przyznał.

Obserwowali chłopca z różowo-czerwonym latawcem w kształcie smoka, który pędził prosto w górę, zataczał dzikie kręgi, a potem gwałtownie opadał. Patrzyli na dwie dziewczyny w bikini, które przejechały obok nich na rolkach, prawie muskając kolana Fixa swoimi długimi nogami.

– Wasza matka taka nie była – powiedział Fix, nie odrywając oczu od surferów.

Franny nie wiedziała, o czym on mówi. O dziewczynach na rolkach? Ale Caroline zrozumiała.

– Mama nie była chirurgiem ortopedą?

– Wasza matka była lepsza, i tyle. Zwykle nie staję w jej obronie, ale powinnyście wiedzieć, że nie była jak ta kobieta grająca ją w filmie.

Spojrzenia siostr spotkały się ponad wózkiem inwalidzkim. Caroline przechyliła głowę.

– Tato – powiedziała Franny. – Żadna z tych osób nie była nami.

– Zgadza się – przytaknął Fix i poklepał ją po ręce, jakby chciał powiedzieć, że się cieszy, iż zrozumiała.

Po powrocie do samochodu Caroline i Franny sprawdziły telefony. Wyłączyły je przed seansem, a później zapomniały włączyć z powrotem.

– Szkoda, że nie mam telefonu – powiedział Fix. – Mógłbym należeć do waszego klubu.

– Zjrzyj do swojej mapy Thomas Brothers – rzuciła Caroline, przewijając kciukiem niekończący się strumień wiadomości z pracy.

Franny miała dwie nowe wiadomości, jedną od Kumara, który chciał się dowiedzieć, gdzie jest książeczka czekowa, a drugą od Albiego, który napisał „ZADZWOŃ DO MNIE!!”.

– Zaczekajcie chwilę – powiedziała i wysiadła z samochodu.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Dalej jesteś w Los Angeles?

Parę tygodni wcześniej do siebie mejlowali. Napisała mu, że wybiera się na urodziny ojca.

– Właśnie stoję naprzeciw oceanu.

– Muszę cię prosić o ogromną przysługę, którą zresztą i tak jesteś mi winna za to, że nie wspomniałaś o premierze tego pieprzonego filmu.

– Nie oglądaj go – powiedziała Franny. Smoczy latawiec nadal fruwał w powietrzu. Wiatru było w sam raz.

– Moja mama jest chora. Od trzech dni bardzo źle się czuje, a nie chce jechać do szpitala. Mówi, że nic jej nie dolega i jednocześnie powtarza, że jest chora, a mnie wcale się nie wydaje, żeby nic jej nie dolegało. Nie dam rady dziś do niej przyjechać, a obawiam się, że powinna natychmiast trafić do szpitala. Nie mogę się dodzwonić do jej sąsiadów, jej najlepsza przyjaciółka wyjechała z miasta. Mama nigdy nie była zbyt towarzyska, a jeśli nawet, to nic mi o tym nie mówiła, więc mam ograniczone możliwości. Nie chcę do niej wysłać karetki, bo mogłoby to ją śmiertelnie wystraszyć, może zresztą naprawdę nic jej nie dolega. – Albie na chwilę zamilkł, wziął oddech. – Chciałem spytać, czy mogłabyś do niej zajechać i sprawdzić, co się dzieje. Jeanette jest w Nowym Jorku, Holly w pieprzonej Szwajcarii. Mogę zadzwonić do mamy i uprzedzić, że przyjedziesz. Będzie wściekła, ale przynajmniej otworzy drzwi.

Franny spojrzała na crown victorię. Wiedziała, że ten samochód mógłby tam dotrzeć w mgnieniu oka. Spojrzała na ojca i siostrę na przednich siedzeniach, gapili się na nią przez szybę jak dwoje ludzi spóźnionych na spotkanie.

– Jasne – zgodziła się. – Podaj mi adres. Potem do ciebie zadzwonię i dam znać, czy powinieneś przyjechać, czy nie.

Na linii zapadła cisza i Franny zaczęła się zastanawiać, czy nie wyczerpała jej się bateria. Czasami zapominała ją podładować. Po chwili jednak znowu odezwał się Albie.

– A, Franny...

– Twoja mama nie wie o filmie, prawda?

– Moja mama nie wie o książce – powiedział. – Okazuje się, że powieść to całkiem dobre miejsce, żeby coś ukryć.

Minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd Albie pojechał pociągiem do Amagansett. Przed podróżą dokończył książkę i dał ją Jeanette. Pokonał pieszo pięć kilometrów z dworca do domu aktorki i zapukał do drzwi, ponieważ chciał się dowiedzieć, w jaki sposób jego życie trafiło w cudze ręce.

Później, po kłótni z Leo, Franny wyszła z Albiem tylnymi drzwiami, nie witając się z Ariel ani z Button. Poszli do domku na tyłach posiadłości i po drodze minęli na podwórzu Johna Hollingera. Miał na sobie idealnie wygnieciony letni garnitur i palił papierosa. Chłonał piękno wieczoru.

– Prawda, że to niezwykle miejsce? – zwrócił się do nich z zachwytem.

Franny i Albie usiedli w domku, nie zapalając świateł, i pili dżin, podając sobie butelkę. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby ich tam szukać, lecz z drugiej strony było bardzo prawdopodobne, że nikomu w ogóle nie przyszło do głowy ich szukać. Zamiast tego Leo i jego goście siedzieli pewnie na osłoniętej werandzie po drugiej stronie trawnika, paląc i pijąc dżin przywieziony przez Hollingerów. Leo pomstował na stukniętego byłego przyrodniego brata Franny, który zjawił się nie wiadomo skąd i do tego wściekły, lecz na pewno nie wspomniał, co przyrodniego brata tak bardzo rozwścieczyło.

– Powiedziałaś Jeanette, że przyjeżdżasz? – spytała Franny.

– No coś ty? – Albie w ciemności pokręcił głową. – Jeanette chciałaby przyjechać razem ze mną, a ona naprawdę by go zabiła.

– Nie jego – powiedziała Franny. Dżin przyjemnie i znajomo palił ją w gardło. Uświadomiła sobie, że odkładała tego drinka na taką okazję. – To była moja wina.

– No tak – powiedział Albie. – Ale ciebie nie pozwoliłbym jej zabić.

– Szybki gest miłosierdzia – zakomunikowała Franny, wsiadając z powrotem do samochodu. Wyjaśniła sytuację Caroline i ojcu. – Podrzucę was do domu, a potem pojedę do niej zajrzeć. To nie powinno zająć dużo czasu.

– Rozmawiałaś z Albiem? – spytał Fix.

– Tak.

– A to ci dopiero! – powiedziała Caroline. – Ale zbieg okoliczności. – Nawet ona była pod wrażeniem.

Nie był to jednak żaden zbieg okoliczności. Franny i Albie się przyjaźnili. Razem z Kumarem była na jego ślubie. Miała na lodówce zdjęcie jego córki Charlotte. Przeważnie pamiętali o swoich urodzinach.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu twojej siostry, ale mnie nigdzie nie podrzucisz – oznajmił Fix. – Od wieków nie widziałem Teresy Cousins.

– A odkąd to znasz Teresę Cousins? – spytała Caroline. W dzieciństwie, kiedy leżały we cztery na swoich piętrowych łóżkach podczas wspólnie spędzanego lata, rozmawiały o tym, że byłoby idealnie, gdyby tata Caroline i Franny mógł poślubić mamę Holly i Jeanette. Wtedy wszystko by się ułożyło.

– Odkąd Albie spalił szkołę. Nigdy wam o tym nie opowiadałem? Zadzwoiła wasza matka i poprosiła, żebym wyświadczył jej przysługę i wyciągnął go z aresztu, zupełnie jakby mi zależało, żeby wyświadczać waszej matce przysługi.

– Tę część już znamy – niecierpliwiła się Caroline. – Przejdź do wątku Teresy.

Fix pokręcił głową.

– Jeśli się nad tym zastanowić, to zadziwiające, że ci z aresztu w ogóle mi go wydali. Widzieli mnie pierwszy raz w życiu. Pokazałem im tylko odznakę i powiedziałem, że przyjechałem po Alberta Cousinsa. Dwie minuty później składałem

podpis, a oni go wypuszczali. Założę się, że teraz tak się tego nie załatwia, w każdym razie nie w wypadku młodocianych. Jeśli dobrze pamiętam, w tym ich gangu było jeszcze ze dwóch albo trzech chłopaków, dwóch czarnych i Meksykanin. Dyżurny spytał, czy ich też chcę zabrać.

– Co z nimi zrobiłeś? – zaciekała się Franny. Jak to możliwe, że słyszała tę historię już tyle razy, a dopiero teraz uświadamiała sobie, że pominięto w niej wszystkie ciekawe szczegóły?

– Zostawiłem ich tam. Nie chciałem nawet tego jednego, więc ni cholery nie miałem zamiaru wyciągać stamtąd ich wszystkich. Pamiętam, że najpierw trafił do szpitala. Miał poparzone plecy, bo zapaliła się na nim koszulka. Dali mu górę od fartucha, ale i tak śmierdział dymem. Kazałem mu opuścić szyby w oknach.

– Masz serce z kamienia, tatau – powiedziała Caroline.

– Serce z kamienia, a niech mnie! Przecież go uratowałem. To ja go stamtąd wyciągnąłem. Zawiozłem go do remizy, żeby poznał waszego wujka Toma. Tom pracował wtedy w Westchester, aż za lotniskiem. Utknąłem w korku z dzieciakiem Berta Cousinsa, który śmierdział jak dół z węglem drzewnym. Tom przeprowadził z nim szczerą rozmowę o podpalaniu. Wiecie, że wasz wujek był w dzieciństwie piromanem? Bez przerwy puszczał coś z dymem. Nie szkoły, żeby nie było niedomówień, po prostu puste parcele i drobne przedmioty, na których nikomu nie zależało. Wielu strażaków zaczyna od podkładania ognia. Uczą się, jak go rozpalić, a potem uczą się, jak go zgasić. Tom wyjaśnił to wszystko Albiemu, a później zawiozłem dzieciaka z powrotem do Torrance. Spędziłem w samochodzie cały cholerny dzień.

– I wtedy poznałeś Teresę Cousins – Caroline przywołała go do głównego wątku.

– I wtedy poznałem Teresę Cousins. Miła kobieta, pamiętam ją. Naprawdę nie miała lekko, a mimo to szła przez życie z podniesioną głową. Ale ten jej dzieciak to był istny diabeł.

– Poprawił się – wtrąciła Franny.

– Zauważyłem. Najpierw się dowiaduję, że doprowadził do zerwania twoich zaręczyn z Żydem... – Fix podniósł rękę. – Chwileczkę, przepraszam, znowu to zrobiłem. Z pijakiem. A teraz martwi się o matkę.

– Nie byliśmy zaręczeni – sprostowała Franny.

– Franny – upomniała ją Caroline. – Nie umniejszaj zasług Albiego.

– Teresa nadal mieszka w tym samym domu w Torrance? – spytał Fix.

Franny przeczytała adres. Skinął głową.

– Tak, to ten sam. Powiem ci, jak tam dojechać. Nie będziemy musieli korzystać z autostrady.

„Wszystkie historie odchodzą razem z tobą – pomyślała Franny, zamykając oczy.

– Wszystko, czego nie słuchałam, nie zapamiętałam, nie zrozumiałam, wszystko, co mnie ominęło. Wszystkie drogi do Torrance”.

W Wirginii sześcioro dzieci dzieliło się dwoma pokojami i jednym kotem, wybierało sobie nawzajem jedzenie z talerzy i używało tych samych ręczników, lecz w Kalifornii wszystko było oddzielne. Holly, Cal, Albie i Jeanette nigdy nie zostali zaproszeni do domu Fixa Keatinga, a Caroline i Franny nigdy nie wiedziały, gdzie

mieszka Teresa Cousins. Bert i Teresa kupili nieruchomość w Torrance w latach sześćdziesiątych, gdy Bert podjął pracę w biurze prokuratora okręgowego Los Angeles: dom był niezbyt daleko od centrum i wystarczająco blisko plaży. Miał trzy pokoje: jeden dla Berta i Teresy, po jednym dla Cala i Holly. Po pojawieniu się Jeanette i Albiego wszyscy musieli się dzielić. Ten dom to był punkt wyjścia, port, z którego zamierzali wyruszyć ku swojemu wspaniałemu życiu. Ostatecznie opuścili go wszyscy oprócz Teresy: najpierw Bert, potem Cal, potem Albie, potem Holly i w końcu Jeanette. Jeanette przemówiła w tym ostatnim roku przed college'em, gdy mieszkały z Teresą same. Dobrze im było razem, rozśmieszały się nawzajem, co zaskakiwało je obie.

Prawdę powiedziawszy, nie ułożyło się to najgorzej. Gdy Teresa dzień po dniu i rok po roku chodziła do pracy w biurze prokuratora okręgowego, Torrance rozkwitało. Okolica, dawniej będąca miejscem, jakie opuszcza się zaraz po zdobyciu pieniędzy, najpierw zaczęła rokować nadzieje, a później je wszystkie spełniła. Teresa obsadziła skalniak sukulentami, posiłkując się projektem z ogrodniczego magazynu. Dobudowała taras. Zmieniła pokój chłopców w salę telewizyjną. Agenci nieruchomości zostawiali w jej skrzynce odręcznie pisane liściki, pytając, czy byłaby zainteresowana sprzedażą, a ona wyrzucała te epistoły do kosza na śmieci. Teresa lubiła pracę asystentki prawnika i dobrze jej w niej szło. Prawnicy ciągle jej powtarzali, żeby poszła na prawo – była bystrzejsza niż większość z nich – lecz ona nie chciała o tym słyszeć. Pracowała w tym samym miejscu do siedemdziesiątego drugiego roku życia i odeszła na jedną z tych luksusowych kalifornijskich emerytur, które w końcu miały doprowadzić stan do bankructwa. Prawnicy, którzy już od dawna pracowali dla kogoś innego, zjawili się na przyjęciu z okazji przejścia Teresy na emeryturę, żeby wznieść za nią toast. Zrobili zrzutkę i kupili jej zegarek.

Raz w roku wybierała się do Nowego Jorku, żeby odwiedzić Jeanette, Fodé i dzieci. Kochała ich, ale Nowy Jork ją przytłaczał. Kalifornijczycy są przyzwyczajeni do własnych domów, samochodów i trawników. Brakowało jej chaotycznej miejskiej zabudowy. Odłożyła pieniądze i kupiła bilet do Szwajcarii, żeby odwiedzić Holly w ośrodku medytacji zen. Przez dziesięć dni siedziała na poduszce obok swojego najstarszego żyjącego dziecka i nie robiła nic poza oddychaniem. Teresa do pewnego stopnia polubiła oddychanie, ale cisza ją przytłaczała. Kiedy patrzyła na życie swoich córek, czuła się jak Złotowłosa przybywająca do domku trzech misiów: za gorąco i za zimno, za twardo i za miękko. Zachowywała swoje opinie dla siebie, chcąc przede wszystkim, żeby nie uważano jej za krytykantkę. Albie przyjeżdżał do Torrance dwa albo trzy razy w roku. Robiła listę spraw, którymi należało się zająć, a on je załatwiał, instalując nowy silnik do drzwi garażowych albo płucząc bojler. Po latach imania się dziwnych zajęć Albie siłą rzeczy stał się mężczyzną, który potrafi zrobić absolutnie wszystko. Ostatnio pracował w Walnut Creek dla firmy produkującej rowery. Lubił to. W Boże Narodzenie przysłał matce bilet na samolot, żeby mogła przylecieć i posiedzieć przy choince razem z nim, jego córką i żoną. Popcorn, kominek i niekończące się rozgrywki karciane czasem ją przytłaczały, wtedy musiała ich przeprosić i pójść do łazienki, żeby przez chwilę po prostu postać obok umywalki i popłakać. Potem obmywała twarz, wycierała ją i wracała do salonu jak nowa. To wszystko było spełnieniem jej

nadziei, choć nawet przez moment nie przypuszczała, że te nadzieje się spełnią.

Po odejściu Berta Teresa spotykała się z kilkoma prawnikami i paroma gliniarzami, przy czym żaden nie był żonaty. Taką miała zasadę. Nigdy jej nie złamała, nawet jeśli miała pójść z żonatym mężczyzną wyłącznie na drinka po pracy (każdy z nich zapewniał, że niczego więcej nie oczekuje). Mniej więcej w czasie, gdy Jeanette wyjechała do college'u, Teresa zakochała się w Jimie Chenie, obrońcy z urzędu, który bronił wszystkiego i wszystkich. Przeżyli dziesięć udanych lat, zanim dostał zawału na parkingu przed sądem okręgowym. Wokół było mnóstwo ludzi, widzieli, jak upada, i ktoś zadzwonił po pogotowie. Jakaś sekretarka, która przeszła kurs pierwszej pomocy, gdy jej dzieci były małe, robiła mu sztuczne oddychanie aż do przyjazdu karetki. Czasami wszystkie sprzyjające okoliczności są warte tyle co nic. Życie – Teresa już o tym wiedziała – było pasmem strat. Obejmowało także inne, lepsze momenty, lecz straty były równie stałe i niezawodne jak sama ziemia.

Teraz miała w żołądku coś, co zginało ją w pół, wywołując ból na tyle silny, że aż się trzęsła, dopóki nie odpuścił i nie pozwolił jej swobodnie oddychać. Gdyby miała dość rozumu, żeby pójść do lekarza trzy dni temu, gdy to się zaczęło, mogłaby tam pojechać sama, ale po trzech dniach bez jedzenia była zbyt słaba, żeby gdziekolwiek się wybrać. Mogła zatelefonować do Fodé i spytać, co robić, Fodé był lekarzem, lecz bez najmniejszego trudu potrafiła przeprowadzić tę rozmowę w myślach, nie zaprzatając głowy zięciowi mieszkającemu na drugim końcu kraju: powiedziała by jej, że powinna zadzwonić do któregoś z przyjaciół i pojechać do szpitala albo, w razie braku przyjaciół, wezwać pogotowie. Nie chciała zrobić żadnej z tych rzeczy. Była tak zmęczona, że cieszyła się, iż daje radę dojść do łazienki, do kuchni po szklankę wody, a potem wrócić do łóżka. Miała osiemdziesiąt dwa lata. Wyobrażała sobie, że jej dzieci mogłyby wykorzystać ten ból brzucha, by odpowiedzieć sobie na pytanie, czy ich matka nadal może mieszkać sama, czy też powinna się przenieść do jakiegoś zakładu na północy, gdzieś niedaleko Albiego. Nie mogła pojechać do Jeanette – ludzie przeprowadzali się na Brooklyn, żeby się zakochać, pisać powieści i rodzić dzieci, a nie żeby się zestarzeć – i nie mogła pojechać do Holly, choć przypuszczała, że umieranie w ośrodku medytacji zen mogłoby przynieść pewne korzyści duchowe.

Drugiego dnia uświadomiła sobie, że ten ból, cokolwiek oznaczał, mógł przynieść odpowiedź na pytanie o jej przyszłość w szerszym kontekście: może ból, który doskwierał jej tak, jakby ją zabijał, zabijał ją naprawdę. Wciąż miała wyrostek robaczkowy i choć zapalenie wyrostka kojarzyło jej się z przypadłością, na którą umierają dzieci na biwakach, istniała możliwość, że jej wyrostek zwlekał przez te wszystkie lata, żeby przeprowadzić detonację pod koniec gry. Nie byłoby to najgorsze wyjście, prawda? Zapalenie otrzewnej? Śmierć nie tak szybka jak ta, która spotkała jej ukochanego Jima Chena na parkingu, ale i tak niezła. Gdy na chwilę jej się polepszyło, znalazła kluczyk do skrytki bankowej, dokumenty samochodu, swój testament. Jedynie osoba mocno wypierająca myśl o przyszłości mogłaby całe życie przepracować w otoczeniu prawników i nie spisać porządnego testamentu. Swój majątek podzieliła na trzy części. Dom, już dawno spleacony, stopniowo zyskiwał na wartości, a poza tym odłożyła trochę pieniędzy. Odkąd dzieci pokończyły szkoły, nigdy nie wydawała tyle, ile zarabiała.

Ułożyła wszystko na stole w kuchni i usiadła, żeby napisać liścik. Nie chciała, żeby wyglądał na pożegnanie samobójczyni, bo z całą pewnością nie popełniała samobójstwa, lecz pomyślała, że ktoś, kto w końcu zjawi się w domu, powinien znaleźć coś więcej niż kluczyki do samochodu i jej zwłoki. Spojrzała na notes, w którym dawniej zapisywała listę zakupów. U góry kartki widniały wesołe stokrotki tańczące w doniczkach nad rzędem chaotycznie rozrzuconych różowych literek układających się w napis: „Sprawy do załatwienia”. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym, jaką głupotą było kupno notesu z napisem „Sprawy do załatwienia”, ale nie miała siły, żeby poszukać czystej białej kartki. Ból znowu się nasilał i chciała jak najszybciej wrócić do łóżka.

Kiepsko się czuję.

Tak na wszelki wypadek.

Kocham was,

mama

To powinno było wystarczyć.

Tylko Albie odciągał jej uwagę od planu, który trzeciego dnia z niewiadomych względów uznała za bardzo inteligentny. Zbyt wiele razy dzwonił, żeby spytać, jak się czuje. Wyjaśnienia, jakich mu udzielała, zależały od tego, w którym punkcie cyklu bólu zabrzmiał dzwonek telefonu. Kilka razy zwyczajnie go zignorowała. Myśl o podnoszeniu słuchawki ją przytłaczała. Gdy w końcu odebrała, on kazał jej wstać i otworzyć drzwi. Powiedział, że przyjedzie do niej Franny Keating.

– Franny Keating?

– Jest w mieście, w odwiedzinach u ojca. Poprosiłem, żeby wpadła i sprawdziła, jak się czujesz.

– Znam ludzi, którzy mogą sprawdzić, jak się miewam – powiedziała Teresa, lecz nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to żałośnie. Naprawdę miała przyjaciół, po prostu postanowiła zostać w domu i poeksperymentować z umieraniem.

– Nie wątpię, ale mam dość czekania, aż do nich zadzwonisz. Idź otworzyć drzwi. Ona zaraz tam będzie.

Teresa odłożyła słuchawkę i spojrzała na swój zapinany na suwak szlafrok, który jej pochodząca z Wirginii matka nazywała podomką. Nosila go od trzech dni, był wygnieciony od niespokojnego snu i przepecony. Odkąd to się zaczęło, nie brała kąpieli, nie myła zębów i nie patrzyła w lustro. Wprawdzie wizyta Franny Keating nie była tym samym co wizyta Beverly Keating, lecz chwilowo Teresa z trudem odróżniała jedną od drugiej. Beverly Keating, później Beverly Cousins, a teraz Beverly Jakoś Inaczej – Teresa nie mogła sobie przypomnieć, co jej mówiła Jeanette, poza tym że po rozwodzie z Bertem Beverly ponownie wyszła za mąż. Beverly Jakoś Inaczej była tak obezwładniająco piękna, że mimo upływu pięćdziesięciu lat na myśl o jej urodzie Teresę przeszywał ból. Na zdjęciach, które dzieci przywoziły z wakacji, zawsze pojawiała się Beverly – zupełnie jakby Catherine Deneuve przypadkiem przechodziła obok, akurat gdy bawiły się

w basenie albo huśtały na huśtawkach, i niechcący znalazła się w kadrze, kiedy pstryknęła migawka. Teresa nie chciała umrzeć pogrążona w myślach o urodzie Beverly Keating. W dodatku Beverly była od niej młodsza, niedużo, ale wystarczająco, by to także miało znaczenie. Pewnie jeszcze nawet nie skończyła osiemdziesięciu lat.

W Teresę uderzyła kolejna fala bólu i musiała się chwycić oparcia rozkładanego fotela, żeby nie upaść. Ból sięgał głęboko do jej macicy, od góry do dołu, od biodra do biodra. Rak macicy? Rak kości? Czy to możliwe, żeby tak szybko postępował? Wiedziała, że jeśli nie otworzy drzwi, córka Keatingów zadzwoni po ojca. Albie powiedział, że jest u niego w odwiedzinach. Teraz pewnie też był już stary, ale mógł zadzwonić po jakiegoś przyjaciela gliniarza, żeby wyważył drzwi. Właśnie tak działają gliniarze: najpierw myśl, a zaraz potem taran. Czuła, jak pot oblewa jej głowę. Wiedziała, że jej krótkie siwe włosy za chwilę będą mokre. Puściła fotel i ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Przy każdym kroku przeklinała w myślach, niechtoszlag, niechtoszlag. Używała tego słowa jak mantry, centralnego elementu pozwalającego zapanować nad oddechem, tak jak ją uczyła Holly. Szeroko otworzyła frontowe drzwi i odsunęła siatkę, a potem, pozbawiona szybkości, która mogłaby się jej przydać, powlekła się z powrotem, żeby włożyć czyste ubranie i spryskać twarz odrobiną wody. Miała nadzieję, że zostało jej trochę płynu do płukania ust. Wątpiła, by starczyło jej sił na umycie zębów.

Nim minęło pięć minut, usłyszała głos.

– Pani Cousins?

Głos, który odezwał się pięć sekund później, brzmiał bardziej znajomo.

– Tereso?

Usłyszała, jak otwierają się siatkowe drzwi.

– Chwileczkę.

Wciągnęła spodnie od dresu i wepchnęła stopy w tenisówki, przetarła głowę ręcznikiem. Zabolało. Miała bardzo krótkie włosy, ale niby na kim miałyby robić wrażenie? Jeanette powiedziała, że wygląda jak po chemoterapii. Holly, że jak buddieska mniszka. Albie w ogóle nie wspominał o jej włosach.

– Tu Franny – zabrzmiał głos.

– Wiem, Franny. Powiedział mi. – Teresa zamknęła oczy i czekała. Wdech, niechtoszlag, i wydech, niechtoszlag. Trochę pomogło.

Gdy weszła do salonu, stały tam we dwie, blondynka i brunetka. Blondynka była prowokacyjnie naturalna, w jej kucyku przewijały się nitki siwizny, nie miała makijażu i włożyła bawełnianą koszulkę wiążaną pod szyją na sznurek. Brunetka miała więcej poloru, lecz tak naprawdę nikt nie obejrzałby się za żadną z nich. Żadna nie była tak ładna jak Holly czy Jeanette. Teresa rozciągnęła usta w uśmiechu wyłącznie dzięki sile woli.

– To moja siostra Caroline – powiedziała blondynka. – Mam nadzieję, że nie ma nam pani za złe tej wizyty. Albie się o panią martwi.

– Wyrósł na kogoś, kto lubi się zamartwiać – powiedziała Teresa. Starła się nie sapać. – Jeśli pomyśleć, ilu zmartwień nam przysporzył, to aż dziw bierze, że w końcu wyrósł na kogoś, kto też się zamartwia.

– Chyba czasem tak bywa – skwitowała Caroline.

Teresa długo im się przyglądała. Widziała tyle zdjęć, słyszała tyle opowieści.

Caroline to była ta bojowo nastawiona, Franny ugodowa. Obie zbierały dobre stopnie w katolickiej szkole, ale Caroline była bystrzejsza. Franny miłsza.

– Wiem, że to zabrzmie niedorzecznie, ale czy kiedykolwiek wcześniej was spotkałam? – Jedna skończyła prawo, a druga odpadła ze studiów. Teresa nie miała podstaw twierdzić, że pamięta, która jest która, ale patrząc na nie, bez trudu mogła to zgadnąć.

– Na pogrzebie Cala – odpowiedziała Franny. – Chyba tylko ten jeden raz.

Teresa skinęła głową.

– W takim razie na pewno nie pamiętam.

– Jak się pani czuje? – spytała Caroline. Od razu przeszła do sedna. Miała autorytet. Teresa poczuła, że jeśli skłamię, Caroline podejdzie do niej i dźgnie ją w brzuch.

– Rozchorowałam się – przyznała, kładąc rękę na krześle. – Ale już mi lepiej. Dochodzę do siebie. To trudne, kiedy jest się w moim wieku. Nawet błahe dolegliwości zwalają człowieka z nóg.

– Chciałaby pani pojechać do lekarza? – spytała Franny.

Gdybym chciała pojechać do lekarza, pomyślała Teresa, tobym pojechała. Ale postanowiła nie być złośliwa. Te dziewczyny nie zrobiły nic złego. Albie poprosił, żeby przyjechały. To nie była ich wina.

– Nie – powiedziała.

Ta bystrzejsza lekko zmrużyła oczy.

– Jesteśmy tu. Możemy panią zawieźć do szpitala. Jeśli przyjdzie pani wezwać karetkę o jedenastej wieczorem, będzie o wiele trudniej. Przepraszam, że to mówię, ale kiepsko pani wygląda.

Panna Racjonalny Argument. Pewnie już została współpracowniczką w kancelarii.

– Mam osiemdziesiąt dwa lata – powiedziała Teresa. Czująca pot spływający jej po twarzy. – Od dawna kiepsko wyglądam.

– Więc pani nie jedzie? – upewniła się Caroline. Proszę zaprotokołować, że wbrew radom adwokata oskarżona odrzuciła ofertę przetransportowania do szpitala.

– Przepraszam, że mój syn ściągnął was tutaj z byle powodu. Gdyby najpierw spytał mnie o zdanie, powiedziałabym mu, żeby tego nie robił. – Pomyślała, że za chwilę sobie pójdą i będzie mogła usiąść. Będzie mogła upaść. Nie da rady wrócić do łóżka, ale kanapa w salonie była spełnieniem jej wszystkich marzeń.

– W porządku – powiedziała Franny – ale nasz ojciec jest w samochodzie i chce się z panią przywitać. Niech pani podejdzie i się z nim przywita, a potem zostawimy panią w spokoju.

– Fix jest w samochodzie?

Franny pokiwała głową.

– Ma dziś urodziny. Osiemdziesiąte trzecie. To dlatego przyjechałyśmy. – Franny przez chwilę czekała, lecz Teresa się nie odezwała. Franny postanowiła podbić stawkę. – Tata ma raka przełyku. Jest bardzo chory.

– Przykro mi to słyszeć. – Teresa lubiła Fixa Keatinga. Spotkała się z nim tylko ten jeden raz tamtego okropnego dnia, kiedy wybuchł pożar, ale zapamiętała go jako bardzo miłego człowieka. Albie, promieniejąc niemą wściekłością czternastolatka, poszedł do

swojego pokoju i zatrzasnął drzwi, a ona i Fix usiedli w kuchni i wypili razem drinka. W lodówce był świeży sok pomarańczowy i zrobiła im po screwdriverze. Stukając się z nią szklanką, spojrzał jej prosto w oczy i powiedział: „Za solidarność”. Pomyślała, że to najelegantsza rzecz na świecie.

– Zaproście go do środka – powiedziała Teresa, zastanawiając się, ile to potrwa i czy będzie musiała zaproponować komuś drinka. Nie sprostałaby temu.

Caroline pokręciła głową.

– Całe popołudnie spędziliśmy poza domem. Nie dałybyśmy rady wnieść go po schodach.

Do drzwi prowadziły trzy niskie stopnie otoczone z obu stron ozdobnymi poręczami z kutego żelaza, które Albie założył w ubiegłym roku. Gdyby Teresa zeszła po tych schodach, nie starczyłoby jej sił, żeby wejść z powrotem.

– Przekażcie mu, że go pozdrawiam – powiedziała.

– Tata umiera – oznajmiła Franny.

„Ja też”, miała ochotę powiedzieć Teresa. Spoglądała to na jedną, to na drugą dziewczynę. Nagle zrozumiała, że urabiają ją w duecie: córka dobrego gliniarza, córka złego gliniarza. Nic w ten sposób nie osiągną. Teresa czuła, że pod jej pępkiem wzbiera kolejna fala bólu. Za długo tak stała i była miła. Zamknęła oczy i próbując oddychać przez usta, wbiła palce w oparcie krzesła.

– Pójdę po pani torebkę i klucze – powiedziała Franny. – Czy pani torebka jest w kuchni? Są w niej wszystkie karty ubezpieczeniowe?

Teresa opuściła głowę o pół centymetra w geście potwierdzenia, wtedy druga siostra podeszła i ją objęła. Była delikatna, lecz nie dało się zaprzeczyć, że ją podtrzymywała.

– Jest pani gotowa, żeby iść? – spytała Caroline.

Wchodziła i schodziła po tych stopniach niezliczoną ilość razy, a teraz poczuła się jak Eva Marie Saint patrząca znad krawędzi Mount Rushmore w *Północ, północny zachód*. Córki Keatingów otoczyły ją z obu stron i podniosły. Nigdy nie należała do dużych kobiet, nie była wysoka jak jej dzieci, nawet zanim zaczęła się kurczyć. Nie czuła się przy tych dwóch jak ciężar. Od razu było widać, że są silne. Zachowywały się jak porywaczki, przepłynęły z nią przez trawnik i wylądowały na tylnym siedzeniu samochodu, unosząc jej stopy i jednocześnie obracając ją w niepokojąco profesjonalny sposób, jakby zawodowo zajmowały się uprowadzaniem starych ludzi. Zapięły pasy, żeby ją unieruchomić, a gdy wydała z siebie krótki okrzyk bólu, bo nic nie powinno było dotykać jej brzucha, odpięły je z powrotem.

– Witaj, Tereso Cousins – pozdrowił ją siedzący z przodu Fix. – Znowu się spotykamy.

– Tato – powiedziała Caroline. – Powiedz mi, którą jechać.

Teresa usłyszała nagłą nutę w jej głosie. Nie wystarczyło samo zawiezenie do szpitala, musieli to zrobić natychmiast.

Fix objaśnił, jak dojechać do centrum medycznego Torrance Memorial. Nie musiał nawet zaglądać do mapy Thomas Brothers. Każda jej strona była zapisana w jego mięśniach.

Ból trochę ustąpił i Teresa chłonęła widoki. Westchnęła, bo siedziała na tylnym siedzeniu samochodu i oddalała się od wypełnienia swojego planu. Może umieranie nie było najlepszym z jej pomysłów. Wystarczyło spojrzeć na ten dzień, na kolejny piękny dzień w południowej Kalifornii.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – zwróciła się do Fixa. – Przykro mi z powodu twojego stanu zdrowia.

– To rak – powiedział. – A co u ciebie?

Franny rozmawiała przez komórkę.

– Wsadziłyśmy twoją mamę do samochodu. Właśnie jedziemy do szpitala.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Teresa. – Może zapalenie wyrostka?

Caroline wcisnęła pedał gazu i crown victoria wyrwała do przodu jak koń wyścigowy.

– Rozmawiasz z Albiem? – spytał Fix. – Daj mi go na chwilę.

– Tato – zniecierpliwiła się Franny. Jej ojciec sięgnął w stronę tylnego siedzenia. Teresa wsunęła rękę w dłoń Fixa i bardzo lekko ją ścisnęła.

– Albie, tata chce z tobą rozmawiać.

– Twój tata? – upewnił się.

Franny podała ojcu telefon.

– Synu? – zaczął Fix, jakimś cudem znajdując w sobie resztkę sił, by nadać głosowi mocy. – Jest z nami twoja matka. Zajmiemy się nią, więc się nie martw.

– Dziękuję – powiedział Albie. – Ratuje mnie pan po raz drugi.

– Pobędziemy przy niej, aż ustalą, co jej dolega. Nie myśl sobie, że tylko podrzucimy ją pod drzwi.

– To miło – powiedziała Teresa, patrząc na przemykające za szybą domy sąsiadów.

– Mam przylecieć? – spytał Albie.

Fix spojrzął na Teresę siedzącą na tylnym siedzeniu. Przypominała te nieopierzone ptaszki, które wypadają z gniazda na chodnik i wciąż jeszcze oddychają, choć są zupełnie przezroczyste, całkiem powykręcane.

– Powiedzmy, że zobaczymy się rano, co ty na to? Jeszcze do ciebie zadzwonimy. Jak się to wyłącza? – Ostatnie pytanie skierował do wszystkich współpasażerów, a potem wcisnął czerwony przycisk.

– Mamy dobre dzieci – powiedziała Teresa do Fixa. – Po tych wszystkich kłopotach, które nam sprawiały, wyrosły na porządnym ludzi. – Jego wygląd nią wstrząsnął. Rak naprawdę był pocałunkiem diabła.

Caroline zaparkowała przed wejściem na pogotowie. Franny weszła do środka po wózek dla Teresy, a Caroline wyjęła z bagażnika wózek ojca. Caroline i Franny wspólnymi siłami wydobyły dwoje staruszków z samochodu. Z Teresą poszło łatwiej. Mocno zaciskała powieki i usta, ale nawet nie pisnęła. Była bardzo lekka. Fixa już porządnie bolało, kończyny miał tak zeszywniałe, że trudno go było wydostać. Dzień okazał się dłuższy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, i nie zabrali ze sobą vicodinu. Fix oplatał się rękami, jak wtedy gdy był zmęczony, jakby próbował wziąć się w garść. Franny zastanawiała się, czy będą mogli zdobyć jedną tabletkę na pogotowiu, żeby wytrzymał drogę powrotną do Santa Monica. Prawdopodobnie nie. Caroline i Franny

zawiozły Teresę i Fixa do recepcji, gdzie młoda Latynoska z oczami mocno podkreślonymi eyelinerem i w wydekoltowanej koszulce przenosiła wzrok od jednego wózka do drugiego, a później z powrotem. Koniuszek złotego krucyfiksów zanurzał się w rowku między jej obfitymi piersiami.

– Obydwoje? – spytała.

– Ona – powiedziała Franny.

Caroline poszła zaparkować samochód.

– Zadzwoń do Marjorie i poproszę, żeby włożyła babeczki z kremem do lodówki.

– Twoje urodziny! – zawołała Teresa, przypominając sobie jego żonę. – Popsułam je.

Fix się roześmiał, i to prawdziwym śmiechem, którego żadne z nich od dawna nie słyszało.

– Popsułaś moje osiemdziesiąte trzecie urodziny? To naprawdę niewielka strata.

– Karta ubezpieczeniowa?

Franny trzymała torebkę Teresy i spytała, czy może poszukać portfela. Pogrzebała wśród pogniecionych chusteczek, kluczy do domu, dropsów. W portfelu znalazła kartę Medicare, kartę dodatkowego ubezpieczenia Blue Cross Blue Shield i prawo jazdy. Czy Teresa nadal prowadziła samochód?

– Nazwisko? – zaczęła Latynoska, odczytując pytania z ekranu komputera, bo żadnego nie nauczyła się na pamięć.

– Ciągle tu przyjeżdżałam, kiedy dzieci były małe – powiedziała Teresa, rozglądając się, jakby właśnie obudziła się ze snu. – Szwy, migdałki, zapalenie ucha. Ale odkąd wyjechały, w ogóle tu nie bywam. Nie ma dzieci, nie ma nagłych wypadków. Przyjeżdżałam do szpitala, żeby zrobić mammografię albo odwiedzić chorego przyjaciela, ale chyba ani razu nie byłam na pogotowiu.

– Wszystko jest w dokumentach – powiedziała Franny do recepcjonistki.

– Przywiozłam tu Cala, kiedy użądliła go pszczoła – ciągnęła Teresa.

– Użądliła go w Wirginii – sprostował Fix.

– Powinniśmy pytać pacjenta – powiedziała recepcjonistka. – Dzięki temu łatwiej ocenić ich stan.

Franny spojrzała na nią, a potem wymownie przeniosła wzrok na Teresę. Dziewczyna westchnęła i zaczęła pisać.

– Za pierwszym razem przyjechaliśmy tutaj.

– Chyba nie wiedziałam, że użądliła go dwa razy – powiedziała Franny.

Rano w dniu pogrzebu Cala Bert zebrał wszystkie dzieci w salonie domu w Wirginii. Powiedział im, że Cal nie miał szans na przeżycie użądlenia pszczoły. Powiedział to, żeby ich pocieszyć, żeby nie myśleli, że mogli go jakoś uratować. Choć oczywiście mogły go uratować. Mogły przestać namawiać Cala do oddawania wszystkich tabletek Albiemu, ilekroć chcieli, żeby chłopiec się zamknął, i mogły zachęcić Cala, żeby sam też nie dawał mu tabletek, gdy żadnej z nich nie było w pobliżu, tak żeby w razie potrzeby zostało mu kilka sztuk. Kiedy upadł, mogły do niego podejść, zamiast go ignorować przez pół godziny i myśleć, że się wygłupia.

– Wtedy się dowiedzieliśmy, że jest uczulony – powiedziała Teresa. – Dzięki temu

pierwszemu razowi.

– Ile miał wówczas lat? – spytała Caroline. Stała za nimi. Nie zorientowali się, że już wróciła. Caroline myślała o własnych dzieciach. Czy każde z nich zostało już uządlone przez pszczołę? Próbowała sobie przypomnieć.

Teresa zamknęła oczy. Podliczała swoje dzieci, ustawiała je w pamięci według wzrostu.

– Musiał mieć z siedem. Albie właśnie uczył się chodzić, więc dziewczynki miały trzy i pięć. Tak, chyba tak. Cal i Holly bawili się za domem, a maluchy były ze mną w środku. Czworo dzieci na mojej głowie, to naprawdę było coś. Macie dzieci?

– Troje – powiedziała Caroline. – Syna i dwie córki.

– Dwóch synów – odpowiedziała Franny.

– Ale oni nie są jej – zaznaczył Fix.

– Cała uządlila pszczoła – powiedziała Caroline, próbując zapanować nad kursem tego statku.

– Przyjmuje pani jakieś leki? – spytała Latynoska.

Franny jeszcze raz pogrzebała w torebce Teresy i wyjęła dwie fiołki, które znalazła na umywalce w łazience, lizynopryl i temazepam.

Teresa spojrzała na pomarańczowe plastikowe opakowania na kontuarze, a potem na Franny.

– Pomyślałam, że będą o to pytać – tłumaczyła się Franny, choć zabieranie czyichś tabletek chyba rzeczywiście było przesadą. Nie chciałyby, żeby ktoś grzebał w jej szafce z lekarstwami.

– Zawsze uważałem, że mam skrupulatne córki – powiedział Fix.

– Najbliższy krewny?

Spojrzeli na siebie.

– Chyba Albie – odpowiedziała Franny.

– Mieszka tu? – spytała recepcjonistka, a jej palce zawisły nad klawiaturą.

– Och, w takim razie ja. Frances Mehta. – Podała dziewczynie swój numer telefonu.

– Stopień pokrewieństwa?

– Pasierbica.

– Zaraz – powiedział Fix. Przeprowadzał w głowie symulację siatki połączeń, szukając odpowiedniego słowa na określenie relacji między Teresą i jego córką.

– Zgadza się – potwierdziła Caroline, zwracając się do dziewczyny.

Gdy recepcjonistka skończyła wypełniać formularze, pokazała im, gdzie mają zaczekać.

– Podejdzie do państwa pielęgniarka.

– Oby jak najszybciej – odparła Caroline w ten swój bardzo bezpośredni sposób, który tak doskonale opanowała. – Ona jest bardzo chora.

– Rozumiem, proszę pani – powiedziała dziewczyna. Rzęsy ciążyły jej jak balast. Wyglądała, jakby za chwilę miała zasnąć.

Franny wiozła Teresę, a Caroline ich ojca. Obie kierowały się jak najdalej od telewizora. Na zewnątrz nadal było jasno.

– Powinniście już jechać do domu – powiedziała Teresa, gdy usadowili się w kącie.

– Już jestem w szpitalu, przyjdą po mnie. Nie musicie się martwić, że ucieknę.
– Zawiozę tatę do domu – zaproponowała Caroline. – Potem wrócę po Franny.
– Za duży ruch na drodze – stwierdził Fix. – Lepiej zostańmy razem, zobaczymy, jak to się potoczy. Jeśli się rozchoruję, będą mogli mnie przyjąć od ręki. Lubię Torrance. Kiedyś mieszkało tu mnóstwo gliniarzy.

– Niech pani dokończy tę historię o pszczole – powiedziała Franny do Teresy.
Zamiast tego odezwał się Fix.

– Kiedyś zajmowałem się sprawą wypadku drogowego. Facet zatrzymał się na światłach, miał opuszczone szyby, do środka wleciała pszczoła i go użądliła. To wystarczyło. Stopa zsunęła mu się z hamulca i samochód wjechał na skrzyżowanie, gdzie uderzyło w niego inne auto. Kierowca pierwszego wozu prawdopodobnie już wtedy nie żył. Nikt nie wiedział, co się stało, dopóki nie przeprowadzono sekcji. Parę dni później wróciłem na miejsce zdarzenia. Nie żebym szukał pszczoły, ale chciałem się rozejrzeć. Tuż obok tych świateł rósł kuflik, wokół którego aż roiło się od pszczoł. Naprawdę, połowa tego drzewa to były pszczoły.

Teresa pokiwała głową, jakby wypowiedział się zupełnie na temat.

– Kiedy Cal przyszedł z podwórka, był blady jak trup. Pamiętam jego małą buzię, był przerażony, i właściwie pomyślałam, że chodzi o Holly. Zawsze ganiłi za sobą z grabiami albo miotłami i byłam pewna, że to jej coś się stało. Spytałam: „Cal, gdzie jest Holly?”. A kiedy zaczęłam się od niego odwracać, żeby pójść jej poszukać, wydał z siebie ten okropny piskliwy dźwięk, jakby próbował wciągnąć powietrze przez dziurkę zrobioną szpilką. Wyciągnął rękę, żeby mnie zatrzymać, a potem runął do tyłu. Puchły mu usta, ręce. Podeszłam, by go podnieść, i na koszulce zobaczyłam pszczołę. Siedziała na nim jak ktoś, kto popełnia morderstwo, a potem kręci się na miejscu zbrodni.

– Zdarza się – powiedział Fix.

Caroline sięgnęła po rękę siostry. Nikt nie zwróciłby na to uwagi. Po prostu słuchali okropnej historii. Franny spłotła się palcami z dłonią Caroline.

– Jestem pewna, że gdyby nie ta pszczoła, umarłby w wieku siedmiu lat, ale jakimś cudem od razu zrozumiałam, co się stało. Zerwałam się i wypadłam z domu jak burza. W dwie sekundy wsadziłam go do samochodu. Do szpitala nie jest daleko, sami wiecie, a w tamtych czasach na ulicach nie było nawet w połowie takiego ruchu jak teraz. Cały czas mu powtarzałam, żeby się uspokoił, żeby się uspokoił i skupił na oddychaniu.

– Co pani zrobiła z resztą dzieci? – spytała Caroline.

– Zostawiłam je w domu. Chyba nawet nie zamknęłam drzwi. Bert wściekł się na mnie, kiedy mu powiedziałam, co się stało. Byłam wtedy śmiertelnie przerażona, ale tak naprawdę byłam też z siebie dumna. Uratowałam Calowi życie! A Bert powiedział, że nie wolno zostawiać dzieci bez opieki. Że powinnam była je wsadzić do samochodu. Ale jego przy tym nie było, a zresztą i tak uważał mnie za okropną matkę. Gdybym zaczęła zbierać te wszystkie dzieci i wrzucać je do samochodu, Cal by umarł. Tak mi powiedział lekarz. Wyjaśnił mi, jak poważnym zagrożeniem dla Cala jest użądlenie przez pszczołę, i przestrzegł, że – gdyby doszło do następnego razu – może być jeszcze gorzej. Ale przecież nie sposób trzymać chłopaka w domu do końca życia, w każdym razie nie takiego chłopaka jak Cal. Ciągle mu powtarzałam, żeby nosił przy sobie tabletki,

i trzymałam w domu fiolkę epinefryny i strzykawkę, ale Bert nie zabrał tego leku do domu swoich rodziców, a zresztą wątpię, czy umieliby zrobić zastrzyk. Nikt nigdy nie sprawdził, czy Cal ma tabletki. – Teresa pokręciła głową. – Ale nie winię za to Berta. Kiedyś winiałam, ale już tego nie robię. Tego, co jest naprawdę potrzebne, nigdy nie ma pod ręką. Wiem o tym. To samo mogło się wydarzyć, kiedy był ze mną w domu.

– Nie da się zapewnić drugiemu człowiekowi bezpieczeństwa – powiedział Fix i sięgnął ze swojego wózka, żeby położyć dłoń na dłoni Teresy. – Zapewnianie bezpieczeństwa innym ludziom to bajeczka, którą sami sobie opowiadamy.

– Bert przysięgał, że wytnie drzewa pomarańczowe za domem. Kiedy kwitły, zawsze były pokryte pszczołami. Wściekał się na te drzewa, jakby to one zrobiły krzywdę jego synowi, ale po paru dniach zupełnie o nich zapomniał. Wszyscy zapomnieliśmy.

Zamilkła i rozejrzała się po sali, w której się znajdowali.

– W tamtych czasach pogotowie było na tyłach szpitala. Teraz jest tu o wiele przyjemniej. Wszystko nowe.

Po tomografii komputerowej i badaniu lekarz przyszedł z nimi porozmawiać.

– Pan Cousins? – zwrócił się do Fixa.

– Nie – odparł Fix.

Lekarz najwyraźniej wcale się tym nie przejął. Przyszedł przekazać wieści, więc przekazywał.

– Wygląda na to, że pani Cousins ma ropne zapalenie uchyłków esicy. Postaramy się uspokoić sytuację antybiotykami, podamy coś na złagodzenie objawów. W nocy poobserwujemy liczbę białych krwinek i temperaturę. Będziemy karmić pacjentkę dożylnie, a rano powtórzymy badania, żeby zobaczyć, jak sobie radzi. Od dawna choruje?

Caroline spojrzała na Franny.

– Od jakichś trzech dni – powiedziała Franny.

Lekarz pokiwał głową. Wpisał coś do karty, którą trzymał w ręku, poinformował ich, że panią Cousins przeniesiono na salę, po czym przeprosił i odszedł. Wyobrażali sobie, jak lekarz pomstuje w myślach na ich niedbalstwo. Dlaczego nie przywieźli schorowanej staruszki wcześniej? Nie było sensu się tłumaczyć.

– To nie rak – powiedziała Teresa do Keatingów, gdy przyszli się z nią pożegnać. – Ale i tak wygląda na to, że zatrzymają mnie na noc.

Była już podłączona do kardiomonitora, a do grzbietu jej dłoni spływała kroplówka.

– Masz szczęście – powiedział Fix. Naprawdę się cieszył.

– Och – powiedziała Teresa, dotykając czoła wolną ręką. – Rak. Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić. Podają mi morfinę. Tracę rozum.

Fix lekko machnął ręką, żeby pokazać, że nic nie szkodzi.

– Przyjadę wieczorem i sprawdzę, co u pani słychać – oznajmiła Franny.

Teresa powiedziała, żeby tego nie robiła.

– Rozmawiałam z Albiem. Będzie tu z samego rana. Do tego czasu zamierzam spać. Prawdę mówiąc, jestem bardzo zmęczona. A poza tym przyjechałaś, żeby być z ojcem, a nie ze mną. I tak zabrałam wam pół dnia.

– Szkoda, że nie cały – stwierdziła Caroline. – Druga połowa była zdecydowanie

lepszą od pierwszej.

– Możemy tu poczekać, dopóki nie zaśniesz – zadeklarował rycersko Fix, choć nie czuł się najlepiej. Za długo siedział na wózku. Musiał pojechać do domu i wyciągnąć się na swoim rozkładanym fotelu. Miło było dla odmiany zabrać do szpitala kogoś innego, myśleć o zdrowiu Teresy zamiast o własnym. Wiedział jednak, że nie będzie mógł długo ignorować bólu. Ten wierny towarzysz wrócił do niego z kijem bejsbolowym.

– Już zamykają mi się oczy. Zanim dotrzecie do drzwi, będę spała. – Uśmiechnęła się do Fixa na wózku, a potem zgodnie z zapowiedzią przymknęła powieki. Powinna była wyjść za Fixa Keatinga. Właśnie tak pomyślała, gdy sen brał ją w swoje miękkie ramiona. Fix Keating był dobrym człowiekiem. Ale teraz był chory i ona też była chora. Jak miałyby się nim zaopiekować?

Caroline i Franny zawiozły Fixa do windy. Byli teraz w innej części szpitala, wcześniej przecięli oddział ratunkowy i wyruszyli w podróż na drugą stronę świata, żeby dostać się do sal pacjentów. Gdy wyszli z budynku, znaleźli się w miejscu, którego nigdy wcześniej nie widzieli, i minęło trochę czasu, zanim Caroline odszukała samochód. Załadowały wózek do bagażnika. Kiedy znalazły wyjazd z parkingu, Fix już spał na przednim siedzeniu, dzięki czemu Franny mogła sobie pozwolić na wprowadzenie adresu w Santa Monica do nawigacji w telefonie.

Przez dłuższą chwilę żadna z sióstr się nie odzywała. Może obie zwlekały, chcąc mieć pewność, że ojciec ich nie usłyszy, ale właściwie dlaczego? Co takiego zrobiły? Głowa Fixa opadła na zagłówek. Miał otwarte usta. Gdyby nie to, że cichutko chrapał, mogłyby się zastanawiać, czy wciąż żyje.

– Kiedy powiedziała, że Cal zrobił się błądy, a potem wydał z siebie ten dźwięk...
– zaczęła Caroline.

Franny pokiwała głową. Najstarszy syn Kumara, Ravi, miał astmę. Pewnego lata nad jeziorem w Wisconsin przetrząsała jego plecak, próbując znaleźć inhalator. Wydawał z siebie taki sam dźwięk jak Cal tuż przed śmiercią, taki sam piskliwy świst, który nawet jeśli nie był przeciwieństwem oddechu, to na pewno leżał na jego najdalszym końcu.

– Tak trudno mi sobie przypomnieć, co wtedy myślałam – powiedziała Caroline. – Cal już nie żył, ale nadal czułam, że mogę temu jakoś zaradzić. Mogłam dopilnować, żeby nikt się nie dowiedział, że daliśmy Albiemu benadryl. Mogłam zanieść pistolet z powrotem do samochodu. Dlaczego Cal miał tę przeklętą broń? – spytała Caroline, odwracając się, żeby spojrzeć na siostrę. – Co za człowiek trzyma pistolet w samochodzie i nie wie, że jego nastoletni syn nosi go przywiązanego do nogi? I dlaczego w ogóle się tym przejmowałam? Cal już nie żył, a pistolet nie miał z tym nic wspólnego. To tak, jakby na dom spadło ogromne drzewo, a ja zbierałabym liście, żeby nikt nie zauważył, co się stało.

– Byliśmy dziećmi. Nie mieliśmy pojęcia, co robimy.

– Przeze mnie było jeszcze gorzej – powiedziała Caroline.

Franny pokręciła głową.

– Nie mogło być gorzej. Nie ma nic gorszego. – Oparła czoło o przednie siedzenie.

– Może powinnam była jej powiedzieć.

– O czym?

– Nie wiem. Że Cal nie był sam, że kiedy umierał, wszyscy przy nim byliśmy.

– Holly i Jeanette też przy nim były, a nigdy jej o tym nie powiedziały. Zresztą kto wie, może i powiedziały. Nie mamy pojęcia, ile Teresa wie na temat tego, co się stało w Wirginii.

– Chyba że w weekend pójdzie do kina.

– Twoja wina jest niczym w porównaniu z moją – powiedziała Franny. – Twoja wina ledwie mieści się w definicji wina.

Caroline i Franny straciły osiemdziesiąte trzecie urodziny ojca. Ruch uliczny, który był znośny, gdy jechali do Teresy, zupełnie ustał na trasie z Torrance na plażę, więc do domu dotarli grubo po zmroku. Konsekwencją ich uprzejmości było to, że Fix za długo siedział na wózku i w samochodzie. Ból promieniował mu do stóp, dłoni i kości twarzy, choć był niczym w porównaniu z bólem skupiającym się w rozgrzanym do białości centrum jego ciała.

– Pozwól mi iść spać – poprosił Marjorie, gdy córki przywiozły go do domu. Zostało mu tak mało sił, że musiała się pochylić, by go usłyszeć. – Nie wytrzymam tego – powiedział. Ciągnął za koszulę, próbując ją zdjąć.

Marjorie pomogła mu z guzikami. W czasie choroby Fix wyczerpał swoje rezerwy. Nie miał już żadnego bufora, który mógłby ochronić go przed tym, co niespodziewane. Za długo przebywał poza domem i teraz był wykończony.

– Byliście z Teresą Cousins? – Marjorie zwróciła się do Franny takim tonem, jakim mogłaby spytać: „Zabrałyście go do South Central, żeby zapalić crack?”

– Zaraz po tym, jak wyszliśmy z kina, zadzwonił jej syn. Trzeba ją było zawieźć do szpitala – powiedziała Franny.

Wystarczyło odwieźć ojca najpierw do domu. Właściwie to byli już w domu, kiedy zadzwonił Albie, ale nie przyszło jej do głowy, że to ona powinna podjąć tę decyzję, a nie Fix.

– Nie wiedzieliśmy, że to aż tyle potrwa.

Caroline położyła vicodin na małej łyżeczce soku jabłkowego i podała go ojcu. W ten sposób tabletki łatwiej było połknąć.

– Czy ona nie ma własnej rodziny? – Marjorie zawsze miała dla nich mnóstwo cierpliwości, od samego początku, gdy Fix przywoził córki do domu jej matki, żeby nauczyć je pływać. Ale ciągnięcie ze sobą umierającego ojca w imię uczynku miłosierdzia wobec kogoś, kogo nawet nie znały, było równoznaczne z próbą morderstwa.

– Ma – powiedziała Franny. – Ale żadne z jej dzieci tu nie mieszka. Tata chciał się z nią zobaczyć.

– Nie znał jej. Po co miałby chcieć się z nią zobaczyć? – Marjorie przesunęła rękami po ramionach jego pogniecionego podkoszulka. – Odstawię cię do łóżka – powiedziała do Fixa.

Franny spojrzała na siostrę. Obie nadal stały w salonie, gdy Marjorie wywoziła Fixa na wózek.

– Jeśli mogę dzisiaj coś jeszcze spieszyć, daj mi znać.

– To nie twoja wina – powiedziała Caroline i rozmasowała sobie twarz. Żadna z nich nic nie jadła i żadna nie była głodna. – Skąd mogłaś wiedzieć. A zresztą musieliśmy

tam pojechać, wszyscy troje. Byliśmy jej to winni. Rozumiem, że dla Marjorie to nie ma najmniejszego sensu, ale nawet jeśli popełniliśmy błąd, byliśmy to winni Teresie.

Franny posłała siostrze zmęczony uśmiech.

– Och, kochana – westchnęła. – Ciekawe, co w takich sytuacjach robią jedynacy.

– Nigdy się nie dowiemy – odparła Caroline.

Caroline poszła do pokoju, który ze sobą dzieliły, i zadzwoniła do Whartona, żeby życzyć mu dobrej nocy. Franny wyszła na dwór, by przedzwonić do Kumara.

– Znalazłeś książeczkę czekową? – spytała.

– Znalazłem, ale mogłaś mi odpisać sześć godzin temu, kiedy o nią pytałem.

– Naprawdę nie mogłam. – Ziewnęła. – Gdybyś tu dzisiaj był, przepelniałoby cię teraz współczucie dla mnie. Czy chłopcy bez problemu wrócili do domu z treningu piłkarskiego?

– Nie widziałem ich – powiedział Kumar.

– Nie bądź okrutny. Nie mam na to siły.

– Ravi jest pod prysznicem. Amit udaje, że odrabia lekcje na komputerze, ale kiedy spuszcza go z oka, od razu przełącza się na jakąś okropną grę wideo.

– A teraz masz go na oku? – spytała.

– Tak.

Marjorie zastukała w szybę okna w kuchni i pomachała do Franny, żeby weszła do domu.

– Muszę już iść – powiedziała Franny.

– Ale zamierzasz wrócić?

– O to jedno nie musisz się martwić – zapewniła go i się rozłączyła.

– Twój ojciec chce, żebyś przyszła i powiedziała mu dobranoc – oznajmiła Marjorie. Wyglądała na zmęczoną. – Nie do wiary, że jeszcze nie zasnął.

– Caroline już tam jest?

Marjorie pokręciła głową.

– Powiedział, że chce porozmawiać z tobą.

Franny obiecała, że nie będzie tego przeciągać.

Marjorie połączyła dwa jednoosobowe łóżka i nakryła je dużym kocem oraz narzutą, żeby wciąż wyglądały jak jedno szerokie łóżko, mimo że po stronie Fixa stało teraz szpitalne posłanie. Leżenie w pozycji półsiedzącej łagodziło ból w klatce piersiowej i sprawiało, że łatwiej mu było połykać ślinę, więc właśnie tak układał się do spania. W takiej pozycji zastała go Franny. Miał na sobie błękitną pizamę i wpatrywał się w sufit.

– Zamknij drzwi – powiedział, poklepując miejsce na łóżku obok siebie. – To poufna sprawa.

Podeszła i usiadła obok ojca.

– Przepraszam, że ciągnęłam cię aż do Torrance – zaczęła Franny. – Myślałam o Albiem i o Teresie, a powinnam była myśleć o tobie.

– Nie słuchaj Marjorie – powiedział Fix.

– Ona się o ciebie troszczy. Przede wszystkim właśnie dlatego musieliśmy pojechać do Teresy: bo nie ma kogoś takiego jak Marjorie, kto by się nią opiekował.

– Zapomnij o tym wszystkim na parę minut. Musimy poważnie porozmawiać.

Możesz mnie wysłuchać? – Fix leżący w łóżku wydawał się wyjątkowo mały, zapadnięty w sobie, łupina po jej ojcu. – Podnieś trochę oparcie – poprosił, a gdy Franny to zrobiła, dodał: – Dobrze. O tak. A teraz otwórz szufladę w szafce nocnej.

To była duża szuflada, głęboka i długa, pełna zeszytów z krzyżówkami oraz kopert. Były tam też przewodnik w miękkiej okładce po wspaniałych pieszych szlakach Kalifornii, tomik poezji Kiplinga, dwa gadzety do ćwiczenia mięśni dłoni, wrzucone luzem monety, maść Vicks VapoRub, różaniec. Różaniec ją zaskoczył.

– Czego mam szukać?

– Jest głęboko.

Franny mocniej wysunęła szufladę i zaczęła przesuwając papiery. Znalazła pistolet. Nawet nie musiała pytać. Wyjęła go i położyła sobie na kolanach.

– Okej – powiedziała.

Fix wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, a potem położył swoją na pistolecie i się uśmiechnął.

– Marjorie kazała mi obiecać, że po przejściu na emeryturę wszystko oddam. Powiedziała: „Żadnej broni po przeprowadzce na plażę”, więc jej o nim nie wspomniałem.

– Okej. – Franny położyła dłoń na dłoni ojca. Pod pergaminową skórą wyczuła delikatną strukturę jego szkieletu. Przypuszczała, że podobne wrażenia wywołuje dotykanie skrzydła nietoperza.

– Trzydziestka ósemka Smith & Wesson. Mam ją od bardzo, bardzo dawna.

– Pamiętam – powiedziała.

– Nigdy nie wychodziłem z domu bez pistoletu.

– Chcesz, żebym się nim zajęła? – Franny nie była do końca pewna, jak miałyby to zrobić. Nie mogłaby go przewieźć w bagażu. Nie mogłaby go wnieść na pokład samolotu i nie mogłaby przechowywać go w domu w Chicago, w którym mieszkał Kumar z chłopcami. Nie chciała tego pistoletu, ale była pewna, że zdoła coś wymyślić.

– Nie mogę go już podnieść – powiedział. – Jest za ciężki. Nie mogę go wyciągnąć z szuflady. Człowiek myśli o różnych sprawach, ale o tym nigdy nie pomyślałem.

Gdy Franny i Caroline były młodsze, latem jeździli w trójkę na strzelnicę w akademii policyjnej i strzelali do papierowych tarcz. Była to jedyna dziedzina na świecie, w której Franny radziła sobie lepiej niż Caroline. Umiała strzelać. Przyjaciele Fixa przychodzili i zachwycali się tarczą Franny, gdy ta już do nich podjechała. „Zapisz tę dziewczynę do akademii!” – mówili gliniarze, a Franny, obdarzona bystrym okiem i pewną ręką, promieniała ze szczęścia.

– Nie przejmuj się tym – pocieszała go Franny.

– Myślisz, że mogłabyś mnie zastrzelić?

– Tato, przemawia przez ciebie vicodin. Idź spać. – Odsunęła dłoń ojca od pistoletu, a potem pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Zaczyna przeze mnie przemawiać, więc musisz mnie wysłuchać. Nie będziemy już mieć okazji, żeby porozmawiać tylko we dwoje. Nie jestem w stanie podnieść pistoletu, ale nikt oprócz ciebie o tym nie wie. Nikomu nie przysłoby to do głowy. Mnóstwo gliniarzy się zabija, kiedy koniec jest już bliski. Nie ma w tym nic złego.

Pistolet ciążył jej na kolanach.

– Tato, nie zamierzam cię zastrzelić.

Wtedy otworzył usta i spojrzał na nią, a ponieważ nie miał okularów, zauważyła, że jego oczy zasnuły się mgłą. Czy właśnie w taki sposób Cal spojrzał na Teresę w tamte wakacje, kiedy miał siedem lat, a po jego koszulce gramoliła się pszczoła? Czy tak patrzył na nią Cal, kiedy umierał? Nie pamiętała.

– Potrzebuję twojej pomocy. Twojej, Franny. Marjorie chowa przede mną tabletki. Nie wiem, gdzie są, a nawet gdybym wiedział, nie mógłbym po nie wstać. Nie wiedziałbym, które połknąć. Marjorie napełnia tę rurkę do karmienia, jakby wlewała paliwo do baku. Jeśli się zastrzelę, nikt nie będzie miał mi tego za złe.

– Wierz mi, będzie. Ja bym miała.

– Jutro Marjorie i Caroline pojedą na zakupy, a ty ze mną zostaniesz. Włożysz dwie pary jednorazowych rękawiczek, jedną na drugą. Wsadzisz mi pistolet w ręce i pomożesz mi go utrzymać.

Franny położyła dłonie na dłoniach ojca. Nie mogła zrzucać winy na vicodin ani na ból.

– Tato.

– Skierujesz rękojeść na zewnątrz, nie w stronę gardła, ale w przeciwną. Rozumiesz? Będę tu razem z tobą. Przejdziemy przez to krok po kroku. Przyłożysz lufę do mojej brody, a potem lekko odchyliš, tak ze dwadzieścia stopni. Kiedy już ustawisz pistolet, masz się odsunąć. Żebyś nie zrobiła sobie krzywdy.

Dlaczego nie poprosił Caroline? Właśnie to ją zastanawiało. Caroline była jego ulubienicą. To do niej miał zaufanie. Ale ona by go nie posłuchała.

– Nie mogę – powiedziała.

– Kiedy pistolet wystrzeli, puścisz go. Zostawisz tam, gdzie upadnie. Zdejmiesz rękawiczki i włożysz je sobie do kieszeni. Pójdiesz spojrzeć w lustro, upewnisz się, że nie masz niczego na twarzy, a potem zadzwonisz pod 911. Nic więcej nie musisz robić. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że to byłaś ty. I to nie będziesz ty, tylko ja. Ty mi tylko pomożesz. Nie postawiłbym cię w trudnej sytuacji. – Zamykały mu się powieki, raz po raz opadały i unosiły się z powrotem.

– Właśnie to byłaby trudna sytuacja – odrzekła. Zawsze miała wrażenie, że sprawia ojcu zawód, mieszkając z matką, mieszkając na drugim końcu kraju, mieszkając z Bertem. Jakie to dziwne, że to uczucie towarzyszyło jej nawet teraz, że pomyślała, choć tylko przez chwilę, iż odmawiając zastrzelenia ojca, znowu go zawiedzie.

– Ludzie boją się niewłaściwych rzeczy – powiedział Fix z zamkniętymi oczami. – Gliniarze boją się niewłaściwych rzeczy. Myślimy, że dopadnie nas coś, co czeka za drzwiami: że jest na zewnątrz albo w szafie, ale to nieprawda. To, co spotkało Lomera, to anomalia. W przypadku ogromnej większości ludzi na tej planecie to, co ich zabije, znajduje się w ich wnętrzu. Rozumiesz to, prawda, Franny?

– Rozumiem.

Wyciągnął rękę i znowu ją poklepał, po dłoni i po pistolecie.

– Bardzo na ciebie liczę – powiedział. Otworzył usta, jakby chciał coś dodać, a potem zasnął.

Siedząc na krawędzi łóżka, Franny rozładowała rewolwer. Rozładowywanie, czyszczenie, ponowne ładowanie – to wszystko było w dzieciństwie elementem jej edukacji. W komorze tkwiło sześć nabołów. Włożyła je do przedniej kieszeni dżinsów, a pistolet wsunęła za pasek spodni pod koszulką. Ostatnio spodnie ciasno opinały jej talię i akurat tym razem była z tego zadowolona.

Gdy wróciła do salonu, Caroline i Marjorie oglądały *Człowieka, który przyszedł na obiad*. Caroline wyłączyła dźwięk, kiedy siedzący na wózku inwalidzkim Monty Woolley terroryzował postacie drugoplanowe.

– Jak się czuje wasz ojciec? – spytała Marjorie.

– Zasnął. – Do krzyża Franny przylegał zimny metal. To śmieszne, wejść do pokoju z bronią i o niej nie wspomnieć, ale uznała, że Marjorie nie powinna wiedzieć ani o pistolecie, ani o prośbie Fixa. Rano zamierzała zwierzyć się Caroline, lecz dziś wieczorem nie było już nic więcej do dodania, dalsze rozmowy stały się zbędne. Franny powiedziała, że idzie do łóżka poczytać.

Tej nocy, włożywszy pistolet do walizki, a naboje do skarpetki, Franny śniła o Holly. Minęło wiele lat, odkąd widziały się po raz ostatni, ale oto znowu miała czternaście lat, ciemne proste włosy podzielone na warkoczyki oraz kusą żółtą koszulkę zawiązaną w połowie kościstego torsu. Nadal była dziewczynką, jej piegi jeszcze nie wyblakły, na zębach nosiła aparat. Znów były w Wirginii, w domu rodziców Berta, i szły przez długie pole rozciągające się między domem a stodołą. Holly bez przerwy mówiła, jak to Holly, przytaczając historię o Brytyjskiej Wspólnocie Narodów i Indianach Mattaponi, którzy dawniej mieszkali nad brzegiem rzeki. Powiedziała, że Mattaponi walczyli przeciwko Anglikom w drugiej i trzeciej wojnie z Powatanami.

– Dokładnie tutaj – oznajmiła, rozpościerając ręce. – Już na początku było ich niewielu, a z powodu dwóch wojen i wszystkich chorób, jakie przywieźli ze sobą Anglicy, większość Mattaponi wymarła. Pamiętasz, jak Cal szukał grotów strzał? Nasz dziadek trzymał je na talerzu na biurku, ale żadnej nam nie dał. Powiedział, że chce zachować te groty. Jak myślisz, po co? Na powstanie?

Franny spojrzała na zielone wzgórze porośnięte trawą. W dole obok stodoły była płytka sadzawka, w której konie lubiły brodzić w upalne dni i gdzie sami się kilka razy zapuścili mimo gęstego, wsysającego błota na dnie. Spojrzała na majaczący w oddali rząd drzew okalających pole z lewej strony i na stojącą daleko z prawej szopę na siano, którą dzierżawili Cousinsowie. Starła się wchłonąć piękno tego wszystkiego – trawy, światła i drzew, całej doliny. To tutaj umarł Cal, tutaj Holly, Caroline i Jeanette, gdy zdały sobie sprawę, co się stało, pobiegły przez pole do domu po Ernestine, a Caroline kazała jej zostać z Calem, w razie gdyby potrzebował pomocy. Dlaczego Caroline kazała jej zostać?

– Potem wzięłaś pistolet, pamiętasz? – powiedziała Holly. – Później, wieczorem, zaniósłaś go Caroline.

Cal miał zamknięte oczy, ale otworzył usta, jakby nadal próbował wciągnąć powietrze. Jego usta były spuchnięte, język wyszedł na wierzch. Franny stała nad nim, spoglądając to w stronę domu, to znów na niego. Gdy przypomniała sobie o pistolecie, uniosła nogawkę jego spodni. Był tam, wciśnięty w skarpetkę i przywiązany do łydki czerwoną bandaną. Franny ubzdurała sobie, że Ernestine, Cousinsowie albo ktokolwiek

inny, kto przyjdzie jej na ratunek, nie powinien znaleźć pistoletu. Wszyscy mieliby przez niego kłopoty.

– Nie wiem, dlaczego go zabrałam – powiedziała. Naprawdę nie miała pojęcia.

Holly pokręciła głową.

– Nie mogłaś go tam zostawić. Wszyscy mieliśmy obsesję na punkcie tego pistoletu. Ciągle o nim myśleliśmy.

Franny odwiązała bandanę i ostrożnie, odsuwając lufę od siebie i Cala, rozładowała pistolet tak, jak ją uczył ojciec. Kule włożyła do przedniej kieszeni szortów, uniosła otwarty rewolwer pod światło, obróciła cylinder i spojrzała przez lufę na słońce, upewniając się, że jest pusta. Obwiązała pistolet czerwoną bandaną, ale nie było go gdzie schować. Próbowła wsunąć broń za pasek szortów, lecz oczywiście wystawała. W końcu postanowiła ją ukryć za pobliskim drzewem. Pomyślała, że gdy wszyscy już pójda, wróci po pistolet i zanieśie do domu. Poprosi Jeanette, żeby poszła razem z nią i włożą go do jej torebki. Nikogo to nie zdziwi, bo Jeanette ciągle nosiła torebkę. Pamiętała, że się cieszyła, że znalazła sobie jakiś inny powód do zmartwienia, inny niż Cal.

Spojrzała na stodołę.

– Zawsze myślałam, że postąpiłam źle.

– A co byłoby dobre? – Holly objęła ją w pasie. – Nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje. Nawet nie wiedziałyśmy, że użądliła go pszczoła.

– Nie?

– Nie, dowiedziałyśmy się dopiero później. Tego samego dnia wieczorem, kiedy tata przyjechał ze szpitala, ale wcześniej nie miałyśmy pojęcia.

– Uwielbiałam to miejsce – uświadomiła sobie Franny. Dotąd tego nie wiedziała.

Holly wydawała się zaskoczona.

– Naprawdę? Ja go nie znosiłam.

Franny spojrzała na nią. Holly była taka ładna. Dlaczego nigdy tego nie zauważyła? Teraz traktowała ją jak siostrę.

– No więc dlaczego przyjechałaś?

– Żeby sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku – odpowiedziała Holly. – Zawsze trzymałyśmy się razem. Nie pamiętasz? Byłyśmy małym wojowniczym plemieniem.

– Posłuchaj. – Franny podniosła głowę. – Słyszysz ptaki?

Holly pokręciła głową.

– To twój telefon. Właśnie to przysłałam ci powiedzieć. Nie powinnaś się przejmować.

– Ptakami? – spytała Franny, ale wtedy Holly zniknęła i w pokoju znowu zrobiło się ciemno. Nadal je słyszała.

– Odbierz telefon – powiedziała Caroline z drugiego łóżka.

Jeśli pominąć blask ekranu telefonu, w pokoju było ciemno. Odebrała połączenie, mimo że nikomu nie przychodzi nic dobrego z odbierania telefonów w środku nocy.

– Halo?

– Pani Mehta? – odezwał się jakiś głos. Należał do kobiety.

– Tak?

– Mówi doktor Wilkinson. Dzwonię z centrum medycznego Torrance Memorial. Przykro mi, ale muszę panią poinformować, że pani macocha zmarła.

– Marjorie nie żyje? – Franny gwałtownie usiadła, otrzeźwiona wieściami. Jak to możliwe? Kiedy trafiła do szpitala? Caroline wstała z łóżka i włączyła światło na stoliku między nimi. Tylko jedna znana jej osoba była umierająca i tą osobą był ich ojciec.

– Co? – odezwała się Caroline.

– Pani Cousins – powiedziała lekarka. – Kardiomonitor zaalarmował pielęgniarkę tuż po czwartej rano. Próbowaliśmy ją reanimować, ale się nie udało.

– Pani Cousins?

– Teresa nie żyje? – spytała Caroline.

– Przykro mi – powtórzyła lekarka. – Była bardzo chora.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziała Franny. – Chyba nie rozumiem, co pani mówi. Może pani to powtórzyć mojej siostrze?

Franny podała telefon Caroline. Ona na pewno wiedziała, jakie pytania należy zadać. Cyfrowy zegarek na szafce nocnej wskazywał godzinę 4.47. Franny zastanawiała się, czy Albie już wstał, czy nastawił budzik. Wcześniej rano miał lecieć do Los Angeles na spotkanie z matką.

VIII

Pół roku przed emeryturą Teresa kupiła bilet do Szwajcarii. Planowała odwiedzić Holly w ośrodku medytacji zen. Chciała mieć coś, czego mogłaby wyczekiwać. Nie tyle była pewna, że pora przejść na emeryturę, ile bała się, że stanie się zramolałą staruszką w pracy, którą od dawna kochała. Przez lata patrzyła, jak ludzie przychodzą i odchodzą, jak wspinają się na szczyt i z niego spadają, jak pakują zawartość swoich biurków do kartonów. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała zrobić to samo, a czy nie lepiej było to zrobić, zanim zaczną ją popychać w stronę drzwi? W wieku siedemdziesięciu dwóch lat mogła jeszcze ułożyć sobie życie, tyle że nie do końca wiedziała, co to właściwie znaczy. Pomyślała, że mogłaby pójść na lekcje brydza albo bardziej zadbać o ogród. Pomyślała, że mogłaby polecieć do Szwajcarii.

Dwa tygodnie po swoim przyjęciu pożegnalnym, z ładnym złotym zegarkiem na przegubie ręki i z biletem w torebce, zamówiła taksówkę na lotnisko.

Holly nie przyjeżdżała już do domu. Gdy dwadzieścia pięć lat temu po raz pierwszy leciała do Szwajcarii, planowała tam spędzić miesiąc. Wróciła po sześciu, i to tylko po to, żeby złożyć wniosek o stałą wizę. Oficjalnie rzuciła pracę w banku Sumitomo, gdzie trzymali dla niej miejsce. Holly skończyła ekonomię w Berkeley i choć była młoda, w pracy ją doceniano. Wymówiła umowę najmu mieszkania, które przez cały ten czas stało puste. Sprzedała meble.

– Zakochałaś się? – spytała jej matka. Tak naprawdę wątpiła, by Holly się zakochała, mimo że jej córka przejawiała wszystkie klasyczne symptomy: rozkojarzenie, rozrzewnienie, utratę apetytu. Holly obcięła swoje ciemne włosy tuż przy skórze. Przestała się malować i po raz pierwszy od lat Teresa zauważyła piegi wciąż rozsiane po twarzy córki. Bała się, że jej najstarsza córka została uprowadzona, choć przecież siedziały razem przy stole w kuchni i piły kawę; bała się, że władzę nad jej mózgiem przejęła jakaś sekta, która pozwoliła jej ciału wrócić do domu, by zrobiło porządek ze swoim dobytkiem, wytrącając wszystkich z równowagi. Jednak pytanie Holly, czy została porwana przez sektę, było trudniejszym zadaniem.

– Nie, nie zakochałam się – powiedziała Holly. Wzięła matkę za rękę i ściskając ją, dodała: – Niezupełnie.

Dawniej Holly co jakiś czas przylatywała do domu, najpierw raz w roku, potem co dwa albo trzy lata. Teresa przypuszczała, że bilety kupuje Bert, ale nigdy o to nie pytała. Po jakimś czasie strużka sporadycznych wizyt zupełnie wyschła. Holly powiedziała, że nie chce więcej przylatywać do Stanów. Starła się, by zabrzmiało to tak, jakby opuszczała swój kraj, a nie rodzinę. Powiedziała, że w Szwajcarii jest szczęśliwsza.

Choć Teresa ze wszystkich sił pragnęła, żeby jej dzieci były szczęśliwe, nie rozumiała, dlaczego nie mogą znaleźć szczęścia bliżej Torrance. Można by pomyśleć, że gdy jednego z nich zabrakło, troje pozostałych postanowi rozbić życiowy obóz blisko domu, lecz stało się dokładnie odwrotnie: śmierć Cala zepchnęła ich wszystkich do osobnych narożników, daleko od siebie. Tęskniła za nimi, a najbardziej za Holly. Holly była najmniej tajemniczym z jej dzieci, jedynym, które nocą czasami wdrapywało się do jej łóżka i mówiło, że chce porozmawiać.

„Zawsze możesz mnie odwiedzić” – pisała Holly, ilekroć jej matka się skarżyła, najpierw w listach wysyłanych powolną pocztą lotniczą, a potem, dzięki Bogu, w mejlach, gdy ośrodek medytacji zen noszący nazwę Zen-Dojo Tozan sprawił sobie komputer. Teresa nigdy nie potrafiła zapamiętać tej nazwy, więc kiedy widziała ją na wydruku, było jej łatwiej.

„Co miałabym robić w Szwajcarii?” – odpisała jej matka.

„Siedzieć ze mną” – brzmiała odpowiedź Holly.

Nie była to zbyt wygórowana prośba. Bo przecież siedziała z Jeanette, Fodé i chłopcami na Brooklynie. Siedziała z Albiem w niezliczonych miejscach, w tym we własnym salonie. Przez te wszystkie lata Teresa wyzbyła się podejrzliwości wobec buddyzmu i medytacji. Gdy się widywały, Holly nadal była sobą. I choć w latach poświęconych na pracę zawodową Teresa miała mnóstwo dobrych powodów, żeby nie lecieć do Szwajcarii, to po odejściu z biura prokuratora okręgowego mogła się przed sobą usprawiedliwiać tylko tym, że ona jest za stara, podróż za długa, bilety za drogie, a połączenia zbyt onieśmielające. Żaden z tych powodów nie był wystarczający, żeby zrezygnować ze spotkania z własną córką.

Lot z Los Angeles do Paryża trwał dwanaście godzin. Teresa częstowała się darmowym winem, ilekroć wózek z przekąskami przejeżdżał wąskim przejściem. Niespokojnie spała przy okienku i próbowała czytać *Angielskiego pacjenta*. Zanim samolot wylądował na lotnisku Charles’a de Gaulle’a, postarzała się o dwadzieścia lat. Prokuratorzy powinni nalegać, by rozprawy morderców i bossów narkotykowych odbywały się w klasie ekonomicznej podczas obleganych transatlantyckich lotów, gdzie każdy podejrzany przyznawałby się do wszelkich zbrodni w zamian za obietnicę miękkiego łóżka w ciemnym, spokojnym pomieszczeniu. Po wyjściu z samolotu, zeszywniała i powolna, poczłapała ku rwącemu potokowi życia: walizki na kółkach sunęły niczym posłuszne psy za ludźmi rozmawiającymi przez komórki, a wszyscy maszerowali tak zdecydowanym krokiem, że nie przyszło jej do głowy, by za nimi nie iść. Była zbyt skołowana, żeby samodzielnie myśleć, lecz gdy w końcu zaczęła to robić, gwałtownie wracając do rzeczywistości na widok punktu informacji, usłyszała, że bramka dla odlatujących znajduje się w innym terminalu, do którego można dotrzeć autobusem, i że jej lot do Lucerny jest opóźniony o trzy godziny.

Od zadziwiająco przystojnego Francuza z informacji Teresa dostała mapę lotniska z zaznaczonymi punktami i ruszyła z powrotem tam, skąd przyszła. Podczas lotu spuchły jej stopy i były teraz o cały numer większe od butów, które miała na sobie. Nie, nie oczekiwała, że ktoś się zjawi i odeskortuje ją do właściwej bramki, ale chcąc nie chcąc przypominała sobie, jak wylądowała na tym lotnisku poprzednim razem, pięćdziesiąt lat temu: była inną osobą w zupełnie innych okolicznościach.

Bert zabrał Teresę do Paryża w podróż poślubną. To była niespodzianka. Zarezerwował hotel, zamówił franki w banku, poprosił matkę Teresy, żeby spakowała walizkę córki. Nazajutrz po ślubie jego rodzice zawieźli ich do Dulles na samolot, a ona nadal nie wiedziała, dokąd leć. Studiowała literaturę francuską na Uniwersytecie Wirginii i nigdy nie wyjeżdżała z kraju. Po francusku mówiła tylko na zajęciach.

Przystanęła w małej kawiarni w hali lotniska, opadła na białe plastikowe krzesło

i zamówiła café au lait z croissantem, to było dość łatwe. Czasu miała pod dostatkiem. Wsunęła pięty z butów, choć wiedziała, że to błąd. Wiedziała, że jej stopy rozrosną się jak ciasto chlebowe i nie zdoła ich wcisnąć z powrotem. Po raz pierwszy, odkąd miała dwadzieścia kilka lat, pomyślała o tym, jak przystojnym chłopakiem był Bert Cousins, wysoki blondyn z oczami tak ciemnoniebieskimi, że zdumiewały ją co rano, gdy podnosił powieki. Jego rodzina była bogata jak Krezus, tak lubiła mawiać jego babka. Z okazji ukończenia college'u rodzice podarowali mu małego zielonego fiata.

Gdy się poznali, on był na drugim roku prawa na Uniwersytecie Wirginii, najlepszy w grupie, a ona uczyła się na ostatnim roku college'u. Pewnego śnieżnego styczniowego poranka, pędząc na zajęcia, poślizgnęła się na kawałku lodu i upadła, objając się boleśnie. Książki i kartki rozsypały się wokół niej, a z płuc Teresy gwałtownie uszło lodowate powietrze. Leżała na plecach, przez chwilę zbyt oszołomiona, żeby zrobić cokolwiek poza przyglądaniem się sunącym na nią płatkom śniegu, a Bert Cousins pochylił się nad nią i spytał, czy mógłby jej pomóc. Owszem, mógł. Podniósł ją, zupełnie obcy chłopak, i zaniósł aż do studenckiej przychodni, a potem opuścił następne zajęcia, czekając, aż zabandażują jej kostkę. Rok później, gdy poprosił ją o rękę, powiedział, że po skończeniu prawa chciałby się z nią przeprowadzić do Kalifornii. Zamierzał zdać tam egzamin adwokacki i zacząć z nią zupełnie nowe życie gdzieś, gdzie nikt ich nie znał. Nie planował spędzić reszty życia, przygotowując umowy sprzedaży nieruchomości, chciał się zajmować poważnym prawem. A poza tym chciał mieć dzieci, powiedział, całą gromadkę dzieci. Jako jednak niczego nie pragnął bardziej niż braci i sióstr. Teresa wodziła wzrokiem między Bertem a ładnym pierścionkiem na swoim palcu i myślała, że na pewno cała emanuje światłem, tak bardzo go kochała. Teraz, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, gdy smarowała koniuszek croissanta dżemem truskawkowym, dziwnie było wspominać, jak ogromne to było uczucie. Ledwie mogła utrzymać tę myśl w głowie. Kochała Berta Cousinsa, potem do niego przywykła, potem ją rozczarował, a jeszcze później, gdy ją zostawił z czwórką małych dzieci, nienawidziła go ze wszystkich sił. Jednak na lotnisku Charles'a de Gaulle'a, mając dwadzieścia dwa lata, jej miłość do niego wykluczała wszelką myśl podającą w wątpliwość, że kiedykolwiek mogłaby go nie kochać. Trzymając się za ręce, szli odebrać bagaż, a gdy czekali obok lśniącej, srebrnej taśmy, pocałował ją, mocno i namiętnie, nie przejmując się tym, że ktoś ich widzi, bo przecież byli małżeństwem, byli w Paryżu.

Teresa spoglądała na ludzi mijających jej stolik w lotniskowej kawiarence i zastanawiała się, ile z tych osób właśnie zaczyna podróż poślubną, ile jest zakochanych i ile się później odkocha. W ostatecznym rozrachunku, prawdę mówiąc, Teresa zapomniała o Bercie. Zajęło jej to dużo czasu, ale upłynęły całe lata, odkąd po raz ostatni pytała dzieci, co słychać u ich ojca, ponieważ zwyczajnie o nim nie myślała. Żyła wystarczająco długo, by zapomnieć o Bercie, o tej całej miłości i nienawiści, którą kiedyś w niej budził. Cał nadal z nią był, Jim Chen też, ale Bert, wciąż żywy i zdrowy w Wirginii, już nie.

Pokrzepiona kawą i odpoczynkiem, Teresa wcisnęła obolałe stopy z powrotem w buty i powoli ruszyła do swojej bramki. Może zostanie w Szwajcarii na zawsze, może będzie buddystką. Nie wyobrażała sobie, że miałyby przeżyć taką podróż jeszcze raz.

Holly nie poszła do maleńkiego pokoiku, który kiedyś był schowkiem na szczotki pod kuchennymi schodami, żeby sprawdzić w komputerze status lotu matki z Paryża. Dopiero teraz, na lotnisku, stojąc przed tablicą przylotów, zobaczyła, że samolot jest opóźniony o trzy godziny. To prawda, nieczęsto miała okazję jeździć na lotnisko, ale jaka kretynka zapomina sprawdzić status lotu przed wybraniem się w godzinną podróż? Ponieważ obowiązywała zasada, że ten, kto bierze samochód, musi wziąć także telefon, mogła wysłać Michałowi esemesa i wyjaśnić sytuację. Wiedziała, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Powiedział jej, że nie potrzebuje auta, ale mimo to czuła się tak, jakby narażała wspólnotę na niedogodności, biorąc je na tak długo. Zakładając, że czas podany na tablicy już się nie zmieni, mogły dotrzeć na miejsce dopiero po drugiej. Mówiła matce, żeby z Paryża przyjechała pociągiem. Pociąg pokonywał tę trasę w mgnieniu oka. Jednak jej matka zaczęła lamentować na myśl o tłuczeniu się pociągiem z lotniska na Gare de Lyon, a potem do Lucerny. I może rzeczywiście byłoby to niewykonalne, biorąc pod uwagę bagaż i zmęczenie transatlantyckim lotem. Holly mogła wsiąść do pociągu i wyjechać po nią do Paryża, ale tego nie zaproponowała. Nie chciała się oddalać na tak długo.

Dziś wcześniej skończyła poranną pracę w kuchni: umyła i obrała pięć kilo ziemniaków, pokroiła je na kawałki i zostawiła zalane zimną osoloną wodą, cały czas starając się angażować w tę czynność wszystkie swoje myśli. Poszła do pokoju gościnnego, w którym miała spać jej matka, żeby sprawdzić, czy są tam ręczniki, myjka obok umywalki oraz butelka wody i szklanka przy łóżku. Wcześniej wyszła z porannej medytacji, okrążając poduszki pozostałych najciszej, jak umiała, żeby zdążyć na lotnisko, choć oczywiście teraz już wiedziała, że to wcale nie było konieczne. Mogła zostać. Jej złość na samą siebie była tak nedorzecznie nieproporcjonalna do tego, co się stało, że zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem problem nie polega na tym, że tak naprawdę wcale nie chce, by odwiedzała ją matka. Rozumiała, jak ważne jest dopuszczanie do siebie myśli bez osądzania ich, dostrzeganie ich i umożliwianie im swobodnego przepływu, lecz uznała, że tę jedną chyba najlepiej będzie stłumić.

Holly kupiła w kiosku baton Toblerone, a potem rozejrzała się po poczekalni w poszukiwaniu porzuconych gazet, ponieważ czekolada i wiadomości były dwiema rzeczami, których brakowało w jej życiu. I jeszcze seks. Brakowało jej seksu, lecz miała dość rozumu, żeby nie szukać go na lotnisku. Znalazła francuskojęzyczne „Le Matin” i „Blick” (ale nie za dobrze czytała po niemiecku) oraz, co niesłychane, kompletne wtorkowe wydanie „New York Timesa”. Natychmiast się uspokoiła. Wizja spędzenia trzech godzin na lotnisku z trzema gazetami i toblerone była wręcz cudowna. Zdjęła sreberko i odłamała kawałek czekolady, a następnie umieściła go na języku, żeby się rozpuścił, i dopiero wtedy przeczytała część „Timesa” poświęconą nauce: diabły tasmańskie umierały na raka szczęki, istniały pewne argumenty przemawiające za tym, że lepiej byłoby biegać bez butów, dzieciom żyjącym w ubóstwie w centrach dużych miast groziło takie samo niebezpieczeństwo zachorowania na astmę jak dzieciom w strefach działań wojennych. Zastanawiała się, co powinna zrobić z tymi informacjami. Jak mogłaby uratować diabły, zniechęcić je do gryzienia się nawzajem, co prawdopodobnie było przyczyną rozprzestrzeniania się raka, i dlaczego przejmowała się losem małych,

agresywnych torbaczy z Tasmanii, a astmatyczne dzieci prawie w ogóle jej nie poruszały? Dlaczego przeczytała cały artykuł o bieganiu, skoro nie biegała, ale pominęła tekst na temat energii geotermalnej? Jak bardzo płytka się stała? Złożyła gazetę na kolanach i przez chwilę siedziała, mierząc się z tymi informacjami. Pomyślała, że powinna częściej wychodzić z Zen-Dojo Tozan albo w ogóle stamtąd wyjechać, a potem że w żadnym razie nie powinna opuszczać tego miejsca, tak jak Siobhán, która z tego, co Holly było wiadomo, zapuszczała się najwyżej do skrzynki na listy na końcu podjazdu.

Gdy Holly wspominała swoje życie w Kalifornii, przypominała sobie, że patrzyła na wszystko w kategoriach tego, kto ma mniej, a kto więcej niż ona, kto jest ładniejszy, bystrzejszy, kto jest w lepszym związku (zazwyczaj wszyscy), kto szybciej awansuje (choć w banku bardzo ją chwalono, to chyba byli ludzie, których ceniono wyżej?). Nieustannie się zastanawiała, jak robić różne rzeczy lepiej, jak robić je właściwie, i zastanawiając się nad tym, zaczęła nocą zgrzytać zębami. Wyżuła miękki krater po wewnętrznej stronie lewego policzka i tak długo skubała skórki przy paznokciach kciuków, aż zaczynały krwawić. Umówiła się na wizytę u internisty, opowiedziała mu o swoich problemach, a potem pokazała wnętrze ust. Obejrzał jej język i zęby, przyświecając sobie kieszonkową latarką, obejrzał jej ręce, a potem zalecił medytację. W każdym razie tak jej się wydawało. „Medytacja pani pomoże”.

Gdy tylko usłyszała to słowo, poczuła, jak jej serce zaczyna bić mocniej, jakby czekało właśnie na tę chwilę. „Nareszcie! – mówiło do niej serce. – W końcu!”

– Gdzie mogę się nauczyć medytacji? – spytała.

Już samo powiedzenie tego słowa na głos wywoływało w niej falę radości.

Lekarz spojrział na nią, jakby się zastanawiał, jak bardzo jest stuknięta.

– Me-dy-cy-na – powtórzył, tym razem wolniej i głośniejsz. – Medycyna pomoże pani pozbyć się tych stanów lękowych. Przepiszę pani lorazepam. Postaramy się dobrać odpowiednią dawkę. Będziemy musieli sprawdzić, jaka będzie dla pani właściwa.

Holly wyrzuciła biały świstek zaraz po tym, jak zapłaciła recepcjonistce dwadzieścia dolarów za wizytę. Lekarz zupełnie niechcący powiedział, co ją uzdrowi. Wtedy jeszcze nie wiedziała, czym właściwie jest medytacja, ale była pewna, że się dowie. Przeczytała parę książek, wysłuchała w samochodzie kilku dharm z kaset, a potem znalazła grupę, która spotykała się w środę wieczorem i w sobotę rano. Wstawała wcześniej rano, przed pójściem do banku, żeby zacząć praktykować medytację w pozycji siedzącej. Pół roku później jacyś ludzie ze środowic grupy zaprosili ją na weekendową sesję medytacji. Później przez tydzień medytowała w milczeniu w duchowym ośrodku na północ od Berkeley. To właśnie tam zauważyła na tablicy korkowej informację o Zen-Dojo Tozan. Poczuła, że jej puls przyspiesza, zupełnie jak wtedy, gdy źle zrozumiała lekarza. „Jestem gotowa” – pomyślała, patrząc na zdjęcie domku przycupniętego wśród górskich kwiatów. Wyjęła pinezkę i broszura zsunęła się na jej rękę.

Właśnie takie rzeczy przydarzały się Holly. Czasami miała poczucie, że ktoś nią kieruje, i wtedy przypisywała to Calowi.

Przez lata po śmierci Cala Holly gnębił żal, że nie byli ze sobą bliżej (żałowała też innych rzeczy). Po przyjeździe do Szwajcarii zaczęła wreszcie rozumieć, że jak na piętnastoletniego chłopaka i trzynastoletnią dziewczynę w stresującej sytuacji życiowej

radzili sobie całkiem nieźle. Krzyczeli na siebie nawzajem, ale nie chowali urazy. Popychali się, ale nigdy nie bili się po twarzach ani nie szczypali. Rzucali w siebie poduszkami, ale nie talerzami. Holly bez poczucia wyższości sprawdzała Calowi prace domowe, a pewnego razu, we wspaniałym momencie jej dzieciństwa, Cal odciągnął od niej dwie dziewczyny na szkolnym korytarzu, jedną za kitkę, a drugą za kołnierzyk, gdy próbowały wepchnąć Holly do jej szafki. „Zostawcie moją siostrę, kretynki” – powiedział, gdy kretynki zatoczyły się do tyłu, a potem we łzach uciekły korytarzem. Zrobił im krzywdę, śmiertelnie je wystraszył. Holly, która zawsze starała się wszystkimi opiekować, w tej jednej wspaniałej chwili sama była chroniona. Przez swojego brata.

Jako dwoje najstarszych dzieci swoich rodziców, Holly i Cal współpracowali ze sobą, opiekując się Albiem i Jeanette, trzymając ich z dala od kuchenki i noży, gdy byli mali. Opiekowali się także matką, może nie w tandemie, ale oboje starali się jej trochę ulżyć, w miarę możliwości ją wyręczać. Im wyraźniej Holly odczuwała teraz obecność Cala w swoim życiu, tym mocniej była przekonana, że się o nią troszczy, że jej wybaczył. Im lepiej udawało jej się zachować równowagę w życiu, dostrzegając zwyczajne piękno wokół, tym klarowniej go słyszała. Nie jak wariatka, nie siedzieli obok siebie, rozmawiając o polityce, to było raczej coś na kształt przyjemnego uczucia, łatwego do osiągnięcia w Zen-Dojo Tozan, lecz także tutaj, w poczekalni na lotnisku. Była przekonana, że większość populacji nie korzysta z pełni swojego potencjału psychicznego. Ludzie żyli w stanie mentalnego przeciążenia, bombardowani towarami i usługami, informacjami i dążeniami. Nie byliby w stanie rozpoznać prawdziwego szczęścia, nawet gdyby nadepnęło im na nogę. Usłyszenie brata w Berkeley, w banku Sumitomo czy gdziekolwiek w Los Angeles było prawie niemożliwe, lecz w Szwajcarii, w miejscu, w którym nigdy nie był, no cóż, przychodziło jej to łatwiej.

Holly wróciła do lektury gazet. Przeczytała o sztukach na Broadwayu. Przeczytała recenzję książki i komentarze na temat powodzi w Iowa. Przeczytała o trudnej sytuacji kobiet w Afganistanie. Zjadła pół czekolady, a drugą połowę włożyła do torebki na później. Zorientowała się, która jest godzina, więc wstała i poszła w stronę grupy rodzin i kierowców trzymających kartki z odręcznie napisanymi nazwiskami. Gdy zobaczyła idącą w jej stronę Teresę – taką maleńką! taką postarzałą! ile to już czasu? dziesięć lat? więcej? – zalała ją miłość, olbrzymia fala miłości, zarówno jej, jak i jej brata. Wyciągnęła rękę.

– Och, mamó – powiedziała.

Lista cudów była tak długa, że Teresa nie wiedziała, od czego zacząć. Po pierwsze była oczywiście Holly, która w krótko obciętych czarnych włosach musniętych siwizną, w birkenstockach i wełnianych skarpetach wyglądała promiennie. Ci wszyscy ludzie stłoczeni za punktem kontroli bezpieczeństwa, ci wszyscy ludzie tworzący jedną, nierozróżnialną masę, a potem bam! Holly. Wyglądała zupełnie inaczej niż oni, nikt nie mógłby jej przeoczyć. Gdy Teresa padła jej w ramiona, poczuła się tak, jakby nigdy się nie rozstawały. Wróciło do niej oszałamiające wspomnienie pielęgniarki, która rano w dniu narodzin Holly weszła do sali i włożyła jej w ręce to doskonałe dziecko, dziecko, które teraz było tą piękną kobietą. Teresa pocałowała Holly w szyję, przytuliła policzek do mostka córki.

– Przepraszam, że musiałaś tak długo czekać – powiedziała, nie wiedząc, czy ma na myśli trzygodzinne opóźnienie, czy te wszystkie lata, który musiały upłynąć, zanim się tu zjawiała.

– Miło spędziłam czas – powiedziała Holly, głaszcząc matkę po głowie. Wzięła jej bagaż podręczny i torebkę, zarzuciła je na ramię, jakby nic nie ważyły, jakby z taką samą łatwością mogła zarzucić sobie na ramię Teresę. Poprowadziła ją prosto do toalety, nie pytając matki, czy musi tam iść, a musiała. Właśnie taką osobą zawsze była Holly: obejmowała kontrolę, podejmowała decyzje, pomagała, nie czekając, aż ktoś ją o to poprosi. Gdy Teresa pokazała swoją walizkę na taśmie bagażowej, Holly zdjęła ją stamtąd i się roześmiała.

– Pakujesz się jak Kalifornijka! – powiedziała, zachwycona taką drobnostką. – Ja też.

– A jak się pakują Kalifornijki? – Teresa się śmiała, mimo że nie zrozumiała dowcipu, a jej uśmiech był tak szeroki, że z pewnością pokazywała zęby, których od lat nikt nie widział.

Holly podniosła należącą do matki czarną walizkę na kółkach. Była mała i dyskretna, wyglądała jak przypis do tych wszystkich olbrzymich jaskraworóżowych poliuretanowych waliz wzmocnionych linkami, które przed nimi krążyły.

– Europejczycy pakują się, jakby w ogóle nie zamierzali wracać do domu. To ma chyba coś wspólnego z doświadczeniami z wojny.

Na zewnątrz było jasno i zimno, mimo że był dopiero pierwszy września. Gdy Teresa opuszczała Los Angeles, temperatura sięgała trzydziestu sześciu stopni. Holly pomogła jej włożyć płaszcz. Teresa była z siebie dumna, że w ogóle go zabrała. W salonie w swoim kalifornijskim domu włożyła go, potem zdjęła, zamknęła drzwi, poszła do taksówki, wróciła i włożyła płaszcz jeszcze raz. Teraz z parkingu widziała w oddali Alpy. Widziała je z samolotu, ośnieżone szczyty. Alpy. Ciaśniej opatuliła się płaszczem. Kto by pomyślał, że Teresa Cousins kiedykolwiek zobaczy Alpy na własne oczy?

Citroën z ośrodka Zen-Dojo Tozan, którego prowadziła Holly, bardziej przypominał zupełnie niż samochód. Lichy metal drżał, gdy redukowała bieg na zakrętach, dźwignia zmiany biegów była długim kijem wystającym z podłogi. Na drodze 405 w Kalifornii taki samochód zostałby zmieciony podmuchem przejeżdżającego SUV-a, lecz na tej niebezpiecznej górskiej szosie sprawował się jak wszystkie inne blaszane puszeki. Mogły się o siebie obijać, nie robiąc sobie większej krzywdy, jak ludzie potrącający się na zatłoczonej ulicy. Nikt nie podbijał stawki, żeby się uratować, nie budował czołgu do codziennego użytku, żeby wyeliminować konkurencję. Wszyscy zgodnie tkwili w tym razem. Bariera, która oddzielała je od przyprawiającego o zawrót głowy urwiska, wydawała się równie nieprzygotowana do ratowania życia, lecz czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? I tak czekała ich śmierć, wszystkich co do jednego. Nie dotarli jeszcze nawet do ośrodka zen – jakkolwiek się on nazywał – a Teresa już czuła, że rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Komu były potrzebne poduszki powietrzne? Wzmocnione stalowe konstrukcje tworzące barierę, która odgradza od świata? Teresa opuściła szybę – za pomocą korbki! – i odetchnęła świeżym szwajcarskim powietrzem.

– Jak tu błogo – powiedziała. Wjechały w kamienny tunel przecinający bok góry:

najpierw światło, potem ciemność, na końcu sosny.

– To jeszcze nie wszystko – obiecała jej córka.

– Holly, muszę ci się przyznać, że dotąd tego nie rozumiałam. To znaczy cieszyłam się, że jesteś szczęśliwa, ale po cichu zawsze się zastanawiałam: „A cóż złego jest w Torrance?”. – Minęły kosmate kozice stojące przy drodze. Ich zakrzywione rogi wyglądały jak korony. Bez wątpienia czekały, aż Heidi i jej dziadek zagonią je z powrotem w góry. Teresa spojrzała na Holly. – Po co ktokolwiek miałyby mieszkać w Torrance?

– W Torrance nie ma nic złego – powiedziała Holly zadowolona z uznania matki.

– Ale tutaj jest ciszej. Tu mi lepiej.

– Myślę o Jeanette na Brooklynie z Fodé i chłopcami. Sądzę, że chyba lubi ten cały hałas, tę swoją ciasną małą przestrzeń. To ją chyba pokrzepia. A Albie ciągle się pakuje i przeprowadza, ciągle szuka czegoś nowego. Pewnie to mu służy. Teraz jest w Nowym Orleanie.

– Czasami do mnie mejluje – powiedziała Holly, czując nagłą tęsknotę za bratem i siostrą, pragnąc, żeby wszyscy razem znaleźli się w jednym pokoju z matką.

– To dobrze.

– A ty?

– Co ja? – spytała Teresa, wyciągając szyję, żeby jeszcze raz spojrzeć na znikający w tyle widok.

– Jesteś zadowolona, że zostałam w Torrance? Czy to była słuszna decyzja?

Jechały teraz przez las. Na ziemi rozpościerały się paprocie, a drzewa, porośnięte u dołu mchem, robiły się coraz grubsze i wyższe i zaczynały przysłaniać światło. Były tam też olbrzymie kamienie, właściwie głązy, wyglądające jak coś, co scenografowie celowo umieścili wzdłuż wartkiego strumienia. „Pokażcie mi zaklęty las!” – zażądał zapewne producent.

– Gdy twój ojciec wyjeżdżał z Beverly, chciał, żebym przeniosła się z wami wszystkimi do Wirginii, żebyśmy byli blisko siebie. Prawdę mówiąc, w ogóle nie brałam tego pod uwagę. Może powinnam była. Wam, dzieciom, byłoby wtedy łatwiej. Ale zwyczajnie nie potrafiłam w sobie znaleźć takiej przychylności.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam – powiedziała Holly, nierozważnie odrywając na chwilę wzrok od drogi, żeby spojrzeć na matkę. – Nie wiedziałam, że to proponował.

– Potem umarł Cal. – Teresa wzruszyła ramionami. – No cóż, to pamiętasz. Nikt nie zamierzał się przeprowadzać do Wirginii po śmierci Cala, chociaż nie mogłam się pogodzić z tym, że go tam pochowano. W tamtym okresie trzeba było iść naprzód, krok po kroku, żeby nie zapaść się w sobie. Nie myślałam o zmienianiu mojego życia. Ono już się zmieniło. Musiałam po prostu przetrwać.

– Przetrwałaś. – Holly zredukowała bieg do dwójki. Jechały za ciężarówką, wspinały się i wspinały.

– Chyba na swój sposób wszyscy przetrwaliliśmy. Człowiek myśli, że się nie uda, ale daje radę. Nadal żyje. W końcu to sobie uświadomiłam: wciąż żyłam. Ty, Albie i Jeanette też wciąż żyliście. A przecież nie jesteśmy wieczni, więc musiałam wziąć się

w garść. – Teresa położyła rękę na dłoni Holly, poczuła gwałtowne drżenie drążka zmiany biegów. – Co ja wygaduję? Nigdy tak nie mówię.

– Jesteś w Szwajcarii. Ona tak działa na ludzi – skwitowała Holly i zamilkła, ale po chwili się poprawiła. – Powinnam była powiedzieć, że tak podziałała na mnie. W zasadzie większość osób, które tu poznaję, jest dość milcząca.

Teresa się uśmiechnęła i pokiwała głową.

– To dobrze. Tak lubię.

Ośrodek medytacji Zen-Dojo Tozan nie znajdował się ani w Sarnen, ani w Thun, lecz gdzieś między jedną a drugą miejscowością, nie w wiosce, lecz pośród wybujałej trawy i niebieskich kwiatów. Mieścił się w olbrzymim drewnianym domu zbudowanym wysoko na zboczu góry. Kiedyś był to letni dom pewnego bankiera z Zurychu. Latem bankier wraz z żoną i pięciorgiem dzieci pływał po jeziorze, zimą jeździł na nartach, a w międzyczasie, o czym nie wiedział nikt w Sarnen, Thun ani w Zurychu, cała siódemka siedziała razem na poduszkach zafu i z zamkniętymi oczami oczyszczała umysły równie skutecznie, jak rześkie górskie powietrze oczyszczało jej płuca. Potem bankier zostawił ten dom razem ze środkami na założenie ośrodka Zen-Dojo Tozan, zastrzegając, że jego dzieci, ich dzieci i wszystkie pozostałe dzieci, które się tam zjawią, mają być mile widziane. Katrina, czwarta córka bankiera, teraz już po siedemdziesiątce, mieszkała tam na stałe, w małym pokoiku na tyłach, tym samym, w którym spała jako dziecko. Razem z Katriną w domu przebywało czternastu stałych mieszkańców. Dwa razy w roku organizowali warsztaty, kursowali wówczas wynajętym autobusem do gospody w Thun i z powrotem, ale większość ich dochodu pochodziła z produkcji lasek.

Wszyscy mieszkańcy – choć na różne sposoby – brali udział w rzeźbieniu albo dystrybucji lasek, będących, jak lubili mawiać, albo sztuką, albo biznesem. Laski były poszukiwanym towarem, zwłaszcza wśród medytujących Amerykanów i Australijczyków, którzy wiedzieli, że nigdy nie dotrą do Szwajcarii. Holly, pozbawiona talentu do drewna tudzież noży, zajmowała się księgowością. Odkryła, że właściwie nie istnieje taka cena, jakiej nie można by zażądać za długi kij wycięty z limby, zakończony rzeźbioną rączką w kształcie ryby. Wystarczyło dorzucić do ryby kompas za pięć euro, by podwoić cenę, mimo że nikt już chyba nie znał podstawowych zasad określania swojego położenia w terenie. Drewno kupowali w tartaku w Lozannie, i choć w Niemczech mogliby zdobyć tańsze i bardziej interesujące, postanowili zachować szwajcarskość lasek. Właśnie tak głosiła reklama na ich stronie internetowej: szwajcarskie laski rzeźbione z limby przez osoby medytujące w Szwajcarii. Codziennie po medytacji i wypełnieniu wspólnotowych obowiązków poświęcano kilka godzin laskom: Paul strugał kije z drewna, Lelia z grubsza wycinała ryby nożem do krojenia mięsa, a Hyla przystępowała do delikatnego rzeźbienia łusek. Laski w połączeniu ze skromnymi datkami zapewniały im dach nad głową, starczały na opłacenie podatków oraz gwarantowały ser i chleb na stole. Lista oczekujących na laski była rozpisana na osiem kolejnych miesięcy. Lista oczekujących na miejsce w ośrodku wydłużyła się tak bardzo, że przestała być użyteczna, wylądowała w szufladzie biurka i całkiem o niej zapomniano.

– Mamy szczęście, że pokój gościnny jest wolny – powiedziała Holly, biorąc matkę pod rękę i prowadząc ją po drewnianych schodach. Jej matce, idącej dość pewnym

krokiem, też przydałaby się tutaj laska. Czasami w górach wiał tak silny wiatr, że mógł człowieka przewrócić. – Ludzie przyjeżdżają w gościnę na miesiąc, a potem nie chcą wyjeżdżać. Są trzy pokoje gościnne, a w grafiku ciągle panuje bałagan. Niektórzy siedzą tu bez końca. Myślą, że jedno z nas wyjedzie i zwolni się dla nich miejsce.

Domek otaczała szeroka drewniana weranda wznosząca się nad krystalicznie czystą okolicą. Tu i ówdzie rozstawiono na niej ciężkie drewniane krzesła niedbale wyciosane siekierą, żeby uczeń mógł spocząć i podziwiać widok. Alpy wyglądały jak Alpy z obrazka na papierku od cukierka, jak wyidealizowana wersja mająca wabić obcych. Teresa musiała przystanąć i zaczerpnąć tchu z powodu tego widoku, rzadkiego powietrza oraz dlatego, że naprawdę tu przyjechała.

– Tobie się udało – powiedziała, lekko sapiąc.

Holly stała, patrząc na znane jej otoczenie jeszcze raz, oczami matki.

– Zbieg okoliczności. Kiedy czekałam, aż zwolni się miejsce, ktoś umarł. Wtedy pojechałam do Kalifornii i rzuciłam pracę. To był Francuz, miał na imię Philippe. To on wiele lat temu, kiedy medytującym zaczęło brakować pieniędzy i martwili się, że będą musieli oddać ten dom, wpadł na pomysł z laskami. Był uroczym staruszkiem. Nadal mieszkam w jego pokoju.

– Przyjeżdżają tu matki innych mieszkańców? – spytała Teresa, starając się nie wytwarzać atmosfery rywalizacji, lecz bardzo wyraźnie ją czując. Była z siebie niezwykle dumna.

– Czasami. Rzadziej, niż można by się spodziewać.

Gdy tylko Teresa zobaczyła łóżko w swoim pokoju, ucięła sobie drzemkę. Przed kolacją, dharmą i ostatnią medytacją tego dnia Holly postarała się urządzić matce przyspieszony kurs medytacji. Wdechy i wydechy, podążanie za oddechem, pozwalanie, by myśli pojawiały się i odpływały nieosądzane.

– Po prostu musisz spróbować – powiedziała w końcu, obawiając się, że jej wyjaśnienia przynoszą więcej szkody niż pożytku. – To całkiem proste.

Teresa, ubrana w spodnie od dresu, które wkładała rano przed spacerem z sąsiadką, usiadła na poduszce obok córki i zamknęła oczy.

Początkowo działało się niewiele. Myślała o bólu w lewym kolanie. Potem o tym, że pozostali ludzie wydają się mili. Polubiła Michaiła, Rosjanina, którego nazwała Michaelem. Czy to on prowadził ten ośrodek? Był bardzo gościnny. Wszyscy mieli krótko obcięte włosy, tak jak Holly. Bo i czemu nie? Czy to coś zmienia? Nie było tu komu imponować. Widziała, że Holly jest tutaj szczęśliwa, ale czy to było prawdziwe życie? I co robi jej córka, gdy będzie w wieku Teresy? Czy się nią zaopiekują? Mogła o to spytać starszą kobietę, tę, która wychowała się w tym domu. Pomyśleć, że kiedyś to miejsce było domem, że mieszkała tu jakaś rodzina. Ilu musieli mieć służących, żeby to wszystko utrzymać? Zdrętwiały jej obie stopy.

Wtedy się zreflektowała. Co za bzdury! Zszokowało ją bezcelowe błąkanie się po ścieżkach umysłu, jakby przesiewała śmieci przy autostradzie i zauroczona pochylała się nad każdym papierkiem po gumie do żucia. Skupiła się na czas jednego oddechu, a potem przyłapała się na rozmyślanii o fasolowej sałatce, którą zjedli na kolację, były w niej jakieś różowe ziarna, których nie widziała od czasów dzieciństwa. Nie mogła sobie

przypomnieć, jak się nazywają. Matka ją poprosiła, żeby je przebrała przed namoczeniem, żeby poszukała kamyczków, a ona robiła to bardzo starannie, dopóki nie straciła zainteresowania i nie wysypała nieprzebranych ziaren do tych sprawdzonych, niszcząc wszystko. Czy ktoś w jej rodzinie natrafił kiedyś na kamyk?

Jeden oddech nieobciążony żadną myślą? Nawet tego nie była w stanie zrobić? Może przynajmniej jeden wdech? Spróbowała. No i proszę. W porządku. Bolały ją plecy. Bez ostrzeżenia opadła jej głowa i przez chwilę Teresa głęboko spała. Wydała z siebie cichy, zdumiony dźwięk niczym pies albo świnia, którym coś się śni. Znowu się wyprostowała, lekko otworzyła oczy, żeby zobaczyć, czy nikt tego nie zauważył. Rozejrzała się, patrząc na swoją córkę i spokojne twarze siedzących obok ludzi, jakby mogła ujrzeć jasność w ich niezmaconych umysłach. Wstydziła się za siebie.

Pod koniec sesji Holly pomogła jej wstać. Wszyscy podeszli, żeby uścisnąć rękę Teresy, lekko ją przytulić. Bardzo lubili Holly. Bardzo się cieszyli, że jej matka przyjechała z wizytą.

– Nie przejmuj się medytacją – powiedziała kobieta o imieniu Carol i spojrzeniu spokojnym jak tafla polodowcowego jeziora. – Na początku trudno doszukać się sensu w medytowaniu.

– Zanim tu przyjechałem, przez lata codziennie medytowałem w domu – powiedział Paul, wytwórca lasek. – Ale medytować tutaj po raz pierwszy w życiu? To chyba tak, jakby od razu wystartować na olimpiadzie. – Poklepał ją po ramieniu. – Powinnaś być z siebie bardzo dumna.

Leżąc na wąskim łóżku w pokoju gościnnym, Teresa, zupełnie rozbudzona, wpatrywała się w sufit, w regularne nacięcia na listwie przyściennej przypominające równo rozmieszczone zęby. I po to przebyła pół świata? Żeby siedzieć? Pół życia przesiedziała przy biurku. Siedziała w samochodzie, w samolocie. Co ona sobie wyobrażała? Chciała się zobaczyć z córką. Czy Bert kiedykolwiek tu był? Czy Bert tu siedział? Dlaczego nie przyszło jej do głowy, by o to spytać? Światło ogromnego księżycy zalewało jej pokój, barwiąc ściany i przykrywając jej łóżko. Myślała o wszystkich kobietach i mężczyznach, przeważnie mężczyznach, których na swój własny, skromny sposób pomogła biuru prokuratora okręgowego Los Angeles wsadzić do więzienia. O tych wszystkich sprawach, które przygotowywała, żeby oskarżonym móc postawić zarzuty, i żeby potem spędzali noce w wąskich łóżkach, a dni w milczeniu. Jak to możliwe, że tak naprawdę nigdy się nie zastanawiała, co się z nimi stało? Przez te wszystkie lata przez jej biurko przeszły setki spraw. Tysiące. Czy ci mężczyźni wpatrywali się teraz w sufit celi, w której żyli, próbując oczyścić swój umysł?

Dzień w dzień było tak samo, medytowali trzy razy dziennie. Teresa wchodziła do pokoju razem z innymi, ktoś napełniał niebieski ceramiczny piec węglem, a potem wszyscy siadali razem w kręgu na ciemnozielonych poduszkach i czekali, aż Michał uderzy w mały gong, sygnalizując początek medytacji. Obłąd. Zrezygnowałyby – poszłyby ze swoim egzemplarzem *Angielskiego pacjenta* na balkon na drugim piętrze albo pospacerowała sama w wysokiej trawie, podczas gdy inni szukali wewnętrznego spokoju – gdyby nie to, że Holly była z niej taka dumna. Córka trzymała ją pod rękę, przysuwała swoją poduszkę, żeby być blisko. Pozostali mieszkańcy spoglądali na nie z wielkim

uznaniem – w kuchni, podczas posiłków, gdy medytowali (Teresa czasami oszukiwała i na chwilę otwierała oczy, zmuszając pozostałych do natychmiastowego zamknięcia swoich) – inne matki nie przyjeżdżały z wizytą, a jeśli już przyjeżdżały, to z całą pewnością nie po to, żeby siedzieć.

Teresa siedziała dalej.

Lelia wygłosiła dharmę o wyzbyciu się definicji siebie: nie mogę tego zrobić z powodu czegoś, co mnie spotkało w dzieciństwie, nie mogę zrobić tamtego, bo jestem bardzo nieśmiała, nigdy bym tam nie poszła, bo boję się klaunów, grzybów albo niedźwiedzi polarnych. Członkowie grupy odpowiadali jej cichym, kolektywnym śmiechem, dostrzegając w tych obrazach samych siebie. Teresa uznała jej słowa za pomocne, po tym jak przeprowadziła podczas medytacji długi wewnętrzny dialog z samą sobą na temat tego, że siedemdziesięciokilkulatki z Torrance z gruntu nie nadają się do buddyźmu. Ładna Hyla, której delikatne kości pięknie się uwidaczały dzięki ogoleniu włosów, zabrała ją na spacer i wymieniała nazwy wszystkich roślin, jakie mijają po drodze. W oddali zobaczyły koziorożca alpejskiego. Hyla zrolowała w palcach gałązkę jałowca i dała Teresie powąchać swoje otwarte dłonie, te dłonie, które znajdowały rybę w rączce drewnianej laski. Powiedziała Teresie, że jej matka zmarła pięć lat temu i że jest bardzo samotna. Potem, gdy wracały do domu, wzięła ją za rękę. W porządku, pomyślała Teresa, dzisiaj mogę być twoją matką. Poszły do kuchni i pokroiły jabłka na szarlotkę.

– Chcę, żebyś mi ścięła włosy – powiedziała do Holly przed kolacją.

– Naprawdę? – Holly pochyliła się i dotknęła kosmyków na głowie matki. Były gęste, siwe i obcięte na boba, a po bokach upięte spinkami z braku lepszego pomysłu.

– Przywykłam do tego wizerunku, a poza tym myślę, że dzięki niemu łatwiej będzie mi się dopasować.

Teresa nie zdecydowałaby się na to, gdyby musiała wracać do pracy. W pracy jej włosy stałyby się tematem rozmów, ale po powrocie do domu będą oznaką nowego życia. Zobaczą ją sąsiedzi, kasjerzy w sklepie spożywczym, i dowiedzą się, że się zmieniła.

Holly poszła po elektryczną maszynkę do strzyżenia, którą trzymali w małym plastikowym pokrowcu w łazience na dole. Zaprowadziła matkę na taras i owinęła jej szyję ręcznikiem. Tu wszyscy strzygli się nawzajem. Mogli to robić sami, ale miło było poczuć czyjeś ręce na głowie mniej więcej raz w miesiącu.

– Jesteś pewna? – spytała Holly, zanim włączyła maszynkę.

Teresa potwierdziła skinieniem głowy.

– Kiedy wejdiesz między wrony...

I tak pozbyła się włosów, grube szare kosmyki opadały jej wokół stóp jak rozproszone chmury burzowe. Gdy już było po wszystkim, Holly okrążyła ją, oceniając efekt swojej pracy.

– Jak wyglądam? – spytała Teresa z uśmiechem, przesuwając ręką po aksamitnej skórze.

– Jak ja – powiedziała Holly i rzeczywiście tak było.

Czasami Holly przychodziła w nocy do pokoju gościnnego, tego samego, w którym spała, gdy zjawiała się tu dwadzieścia lat temu. Lubiła to pomieszczenie. Teresa przesuwała się na skraj wąskiego łóżka, żeby zrobić jej miejsce. Leżały razem na boku,

bo tylko na tyle starczało miejsca, i rozmawiały, dwie kobiety, które od lat nie rozmawiały z nikim w łóżku.

– Myślisz, że już tu zostaniesz? – spytała Teresa, naciągając koce na ich ramiona. Noce były mroźne. Holly miała czterdzieści pięć lat i choć to całe tutejsze życie było bardzo piękne, nie myślała jeszcze o tym, czy kiedykolwiek będzie chciała czegoś innego, na przykład męża albo pracę.

– Nie na zawsze – odpowiedziała. – Raczej nie. Ale jeszcze nie wymyśliłam, jak stąd odejdę. Jakbym oczekiwała, że pewnego dnia los otworzy drzwi sali do medytacji i zawoła: „Holly! Już pora!”.

– Zadzwoń do mnie, kiedy tak się stanie – powiedziała jej matka.

– Powinnaś zobaczyć, jak tu ładnie, kiedy leży śnieg.

Przez chwilę milczały, chyba obie już prawie zasypiały, gdy nagle Holly spytała:

– A nie korci cię, żeby tu zostać? Mogłabyś być jedną z tych osób, które powinny wyjechać, ale nie wyjeżdżają.

Teresa uśmiechnęła się w ciemności, bo w tym momencie zdała sobie sprawę, że sama też nie do końca wyobraża sobie swój wyjazd. Objęła Holly w pasie i pomyślała o jej ciele jak o czymś, co stworzyła, o czymś, co teraz było zupełnie od niej odrębne.

– Raczej nie – powiedziała, a potem obie zasnęły.

Ósmego dnia swojej jedenastodniowej wizyty w ośrodku zen Teresa poszła na poranną medytację, usiadła na poduszce obok Holly, zamknęła oczy i zobaczyła swojego najstarszego syna. Widziała go tak wyraźnie, jakby przez cały czas był z nią w tej sali, jakby był z nią w każdym pomieszczeniu, w którym kiedykolwiek była, tylko że dotąd po prostu nie zwracała oczu we właściwym kierunku. To nie był sen ani doświadczenie bycia poza ciałem. Wiedziała, że wciąż jest w drewnianym domu, wciąż siedzi, lecz jednocześnie była z Calem i jego siostrami. I z córkami Keatinga, Caroline i Franny. Widziała, jak cała piątka wychodzi kuchennymi drzwiami z domu rodziców Berta, tymi samymi, przez które sama wychodziła niezliczoną ilość razy, gdy spotykała się z Bertem, planując ślub.

Kucharka Ernestine mówi dzieciom, żeby nie przeszkadzały Nedowi w stodole, żeby robiły, co im każe, a dziewczynki odpowiadają „Tak, proszę pani”. Daje Jeanette pół torebki zwiędłej marchwi z dna lodówki i dwa małe jabłka, a ona odwdzięcza się jej uśmiechem. Nikt nigdy niczego nie dawał Jeanette. Cal już idzie po tarasie. Nic nie mówi do Ernestine. Nie czeka na dziewczyny.

– Cal! – woła Ernestine zza drzwi z siatki. – Gdzie się podział twój brat?

Chłopak nie zatrzymuje się. Nie ogląda. Wzrusza ramionami i podnosi ręce, odwrócony do niej plecami. „Cal – ma ochotę powiedzieć Teresa – odpowiedz jej!” Ale milczy. Patrzy na dzień, który wydarzył się trzydzieści pięć lat temu na drugim końcu świata. Nie może wpłynąć na jego zachowanie. Nie może zmienić zakończenia. Wolno jej jedynie siedzieć i patrzeć, i to jest cudowne.

Pięcioro dzieci idzie po asfaltowym podjeździe za dom, a potem skręca w piaszczystą drogę, która w końcu przestaje być drogą i zmienia się w dwie koleiny oddzielone trawą. Holly i Caroline rozmawiają, a Jeanette i Franny słuchają. Cal idzie przodem, dość szybko, żeby dziewczyny co jakiś czas musiały biec za nim truchcikiem.

Chcą być razem, nie będąc z nim, i cała piątka doskonale wie, jaką odległość należy w tym celu zachować. Cal jest wysoki i ma jasne włosy jak jego ojciec, jego oczy mają ten sam głęboki niebieski kolor, skóra jest brązowa po lecie spędzonym na dworze. Ma minę, jakby gotował się ze złości, zawsze ma taką minę. Nie ma ochoty być w Wirginii, nie ma ochoty być z siostrami, z córkami Keatinga, ze swoją macochą, z dziadkami. Nie ma ochoty szczotkować koni, nie chce, żeby gryzły go muchy i komary, nie chce stać w smrodzie gówna i mdlącym zapachu siana, ale nie ma tu nic lepszego do roboty. Właśnie na tym polega problem z byciem piętnastolatkiem – potrafi myśleć tylko o tym, na co nie ma ochoty. Ma na sobie koszulkę UCLA i lewisy, mimo że jest gorąco. Cal w długich spodniach to znak, że znowu wziął pistolet. Wszystkie dzieci to wiedzą.

Jeanette powiedziała Teresie, że Cal przywiązywał pistolet do nogi za pomocą bandany. Jeanette powiedziała matce wszystko już dawno temu, tamtego roku, gdy mieszkały same w domu w Torrance. Bez Holly i Albiego w pobliżu mogła swobodnie mówić o dniu śmierci Cala, o tym, jak zmarnowali benadryl, żeby uśpić Albiego, o tym, którzy poszli do stodoły, o tym, jak zignorowali umierającego Cala, myśląc, że się z nimi droczy, chcąc je do siebie zwabić, żeby móc je uderzyć. Czekwały bardzo, bardzo długo, siedząc w trawie i plotąc wianuszki ze stokrotek, żeby mu pokazać, że nie dadzą się nabrać. Jeanette powiedziała jej o wszystkim, ale wtedy Teresa nie zobaczyła tej sceny. Wcześniej niczego nie umiała zobaczyć.

Holly, która ma najładniejszy głos ze wszystkich dziewczyn, najładniejszy głos w szkole, zaczyna śpiewać, kołysząc rękami do przodu i do tyłu.

– Idziemy do kościoła i...

– Weźmiemy ślub – dołączają do niej Caroline i Franny.

– Idziemy do kościoła i...

– Weźmiemy ślub – śpiewają Caroline i Franny.

Jeanette początkowo nie śpiewa, ale porusza ustami.

– Tak bardzo cię kocham i...

– Możecie się na chwilę zamknąć? – pyta Cal, odwracając się, ale nie zwalniając kroku. Teraz jest już daleko z przodu, w wysokiej trawie, dość daleko, żeby śpiew nie mógł go aż tak bardzo drażnić, ale drażni. – Kurwa, proszę o aż tak wiele?

Tak brzmią ostatnie słowa jej syna.

– Weźmiemy ślub.

Teraz śpiewają już wszystkie cztery, nawet Jeanette wydziera się na całe gardło, i nagle Cal rusza do ataku. Nie sposób powiedzieć, czy naprawdę jest zły, czy tylko się wygłupia, ale dziewczyny rozbiegają się z krzykiem w różnych kierunkach. Cal mógłby złapać każdą z nich, ale musi podjąć decyzję, więc zwalnia. Coś się stało, czuje ostry ból w szyi, a siostry i nie-siostry biegną wokół niego. Zatrzymuje się i dotyka ręką klatki piersiowej, wysoko, niedaleko gardła. Siedząc na poduszce w Szwajcarii, Teresa czuje, jak jej syn się dusi, jej także jest trudniej oddychać, bo go obserwuje i jest nim. Dziewczyny śpiewają i biegną, a ona chce, żeby przestały. Cal chce, żeby przestały, ale nie może tego powiedzieć. Pszczoła nadal jest na jego karku, gramoli się po nim. Cal ją czuje, ale nie jest w stanie jej strzepnąć. Upada, nie tylko na trawę, ale gdzieś dalej, głosy dziewczyn zmywa przyływ krwi, jego łomoczące serce, kolor odpływa z ich koszulek,

ze słońca, nieba i trawy, odpływa. Język wypełnia mu usta. Cal próbuje włożyć rękę do kieszeni, żeby poszukać ostatniego benadrylu, o ile jakiś mu został, ale nie może znaleźć nawet własnej ręki. Pada prosto do tyłu z pełną siłą grawitacji i ziemia uderza w niego z impetem, rozgniatając siedzącą na nim pszczołę, a wraz z nią zabiera resztkę powietrza, resztkę światła. Cal ma piętnaście lat, dziesięć i pięć. Ma tylko chwilę. Leci z powrotem do niej. Znowu jest jej. Gdy trafia w jej ramiona, Teresa czuje jego ciężar na swojej piersi. Jest jej synem, jej ukochanym dzieckiem, a ona zabiera go z powrotem.

IX

W Boże Narodzenie po śmierci Teresy Cousins Fix wciąż jeszcze żył. Niemożliwe, ale prawdziwe. Miało to być jego ostatnie Boże Narodzenie, ale przecież dwa ostatnie Boże Narodzenia też miały być jego ostatnimi, podobnie jak ostatnie Święto Dziękczynienia jego ostatnim Świętem Dziękczynienia. Franny nie chciała znowu zostawiać Kumara i chłopców samych na święta, ale też nie chciała ciągnąć ich ze sobą do Santa Monica. To było zbyt przygnębiające. Franny i Caroline wzięły też pod uwagę swoją matkę, coraz bardziej zaniedbywaną z każdym rokiem, który upływał ojcu na umieraniu.

– Nie tylko o tatę powinniśmy się martwić – powiedziała Caroline, mając na myśli męża ich matki. Beverly zwierzała się teraz Caroline, chyba nawet częściej niż Franny. Była to zaleta długiego życia: niektóre sprawy rozwiązywały się same. Caroline i matka bardzo się do siebie zbliżyły. – Rzucę monetą – zaproponowała Caroline przez telefon. – Po prostu będziesz musiała mi zaufać.

– Ufam ci – powiedziała Franny. Nikomu nie ufała bardziej niż siostrze.

– Jeśli wypadnie orzeł, ty jedziesz do taty na święta, jeśli reszka, jadę ja.

Właśnie tak to się rozegrało: chwila oczekiwania w milczeniu, a potem brzęk ćwierćdolarówki lądującej na stole w kuchni Caroline w San Jose.

Samolot kołował przez czterdzieści pięć minut, zanim w tę paskudną pogodę – w śniegu i egipskich ciemnościach – dotransportował Franny, Kumara i chłopców do Dulles. Czternastoletni Ravi i dwunastoletni Amit siedzieli na tylnej kanapie samochodu z wypożyczalni, mieli słuchawki głęboko wciśnięte do uszu i każdy kiwał głową w innym rytmie. Chłopcy zupełnie się nie przejęli poślizgiem, w jaki samolot wpadł na oblodzonym pasie, i nie przejmowali się stanem drogi międzystanowej do Arlington, która wyglądała jak lodowa breja okraszona wypadkami. Samochody pełzły z powrotem na przedmieścia jak zbite psy, świąteczni podróżni starali się zdążyć na czas, inni świąteczni podróżni rozpaczliwie chcieli uciec. Franny zadzwoniła do matki i poprosiła, żeby nie czekała na nich z kolacją. Nie sposób było przewidzieć, jak bardzo się spóźnią.

– Spóźnijcie się, ile trzeba – powiedziała jej matka. – W najgorszym razie zjemy dip cebulowy.

Zawsze przygotowywała dip cebulowy dla Raviego, który lubił słone, i ciasto karmelowe dla Amita, który lubił słodkie.

– Jakby moja matka kiedykolwiek jadła dip cebulowy – powiedziała Franny do Kumara, gdy zakończyła połączenie. Prowadziła samochód w ślimaczym tempie, a jej mąż odpisywał na ostatnie służbowe mejle. Pracował w dziale fuzji i zakupów w molochu o nazwie Martin and Fox. Szykował plan obrony klienta przed wrogim przejęciem, nawet kiedy jego żona jechała w osłepiającej śnieżycy. Nie czuła się poszkodowana. Gdyby jechali do jego matki w Bombaju, na pewno by nie prowadziła.

– Nigdy nie widziałem, żeby twoja matka cokolwiek jadła – rzucił Kumar, śmigając kciukami po ekranie telefonu. – Co najlepiej dowodzi, że jest boginią.

Beverly i Jack Dine wzięli ślub, gdy oboje byli już po sześćdziesiątce: ona od niedawna, on dłużej. Kumar znał matkę Franny jako żonę Jacka Dine'a, cesarzową

dilerów samochodowych w Arlington, i dlatego wydawała mu się szczęśliwa i wpływowa, emanowała obwieszonym biżuterią splendorem. Kumar widział w swojej teściowej tylko tę osobę, którą była teraz, wolną od przeszłości, i w zamian za ten dar Beverly kochała go jak syna.

Dom Jacka Dine'a należał kiedyś do czterokadencyjnego senatora z Pensylwanii. Otaczał go mur z bramą, lecz na Boże Narodzenie bramę otwierano, a mur ozdabiano sosnowymi lambrekinami przetykanymi olbrzymimi wieńcami. Na wielkim okrągłym podjeździe stały zaparkowane samochody. W domu paliły się wszystkie światła, na zewnątrz śnieg odbijał blask światełek przyczepionych do wysokich gałęzi drzew, rozjaśniając cały świat. Siedząc w samochodzie, przez długie frontowe okna zobaczyli tłum ludzi upakowanych we wnętrzu posiadłości jak lalki w ogromnym domku dla lalek.

– Wydała przyjęcie na naszą cześć? – spytał Amit z tylnego siedzenia.

W domu ich babci wszystko było możliwe. Na końcu podjazdu zostało tylko kilka wolnych miejsc, więc wyciągnęli torby z bagażnika i ruszyli przez śnieg.

– Wesolych świąt! – powitała ich Beverly, otwierając drzwi. Najpierw uściskała Amita, potem Ravego, a następnie obu razem, obejmując każdego ramieniem. W wieku siedemdziesięciu ośmiu lat mogłaby konkurować z każdą sześćdziesięcioletnią. Nadal była szczupła i jasnowłosa, a do tego na tyle rozsądna, żeby nie popaść w przesadę. Wciąż było wyraźnie widać, że przez całe życie była oszałamiająco piękna. Dom za jej plecami wypełnił się do granic możliwości: światełkami, sosnowymi gałązkami, kieliszkami z szampanem. Choinka w salonie muskała sufit i wyglądała, jakby ozdobiono ją brylantami i różowymi szafirami. Gdzieś na drugim końcu domu ktoś grał na fortepianie. Kobiety się śmiały.

– Nie wspominałaś, że urządzacie przyjęcie – powiedziała Franny.

– Co roku urządzamy przyjęcie wigilijne – odparła Beverly. Miała na sobie elegancką czerwoną sukienkę i trzy sznury pereł. – Moglibyście już wejść do domu, zamiast stać na werandzie jak zgraja świadków Jehowy?

Kumar i Franny wciągnęli swój bagaż, po czym strzepnęli śnieg z ramion i włosów. Kumar przynajmniej miał na sobie garnitur, a i to tylko dlatego, że jechał prosto z biura, przechwycony przez rodzinę w drodze na lotnisko. Franny i chłopcy wyglądali jednak całkiem jak rozmamłani podróżnicy, którymi w istocie byli. Chłopcy zauważyli gości chodzących z talerzami pełnymi jedzenia, więc rzucili torby i ruszyli w stronę jadalni na poszukiwanie szwedzkiego stołu. Amit i Ravi zawsze byli głodni jak wilki.

– Przecież dzisiaj nie ma Wigilii – zauważyła Franny.

– W święta rodzina Matthew będzie jeździła na nartach w Vail, więc zorganizowałam przyjęcie wcześniej. Tak jest dogodniej dla wszystkich. Naprawdę, chyba już zawsze będę wydawała to przyjęcie dwudziestego drugiego.

– Szkoda, że nas nie uprzedziłaś.

Kumar pochylił się i pocałował Beverly w policzek.

– Wyglądasz pięknie – powiedział, zmieniając temat.

– Franny! – Przysadzisty mężczyzna mający wiek średni już za sobą, ubrany w zapinaną na guziki kamizelkę w pepitkę, podszedł do niej i energicznie ją uściskał, potrząsając nią przy tym i pomrukując. – Jak się miewa moja ulubiona siostra?

– Mówisz tak tylko dlatego, że nie ma tu Caroline – powiedziała Beverly. – Żałuj, że nie widziałas, jak wita Caroline.

– Caroline udziela mi darmowych porad prawnych – wytłumaczył Pete.

– Jeśli w czasie świąt ktoś cię pozwie, chętnie pomogę – zaoferował Kumar.

Pete odwrócił się i spojrzał na niego, starając się go skojarzyć. Jego twarz rozjaśniła się z zadowolenia, gdy wreszcie zdołał powiązać ze sobą wszystkie fakty.

– Racja – zwrócił się do Franny. – Zapomniałem, że on też jest prawnikiem.

– Wesołych świąt, Pete – powiedziała Franny. Była pewna, że w którymś momencie wieczoru się rozplacze. Pozostawało tylko pytanie, jak długo zdoła wytrzymać.

– Pete z rodziną lecą do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się z Katie i jej nowym dzieckiem – wyjaśniła Beverly. – Wspominałam ci, że Katie urodziła?

– Boże Narodzenie w Nowym Jorku. – Pete się uśmiechnął, a jego zęby skojarzyły się Franny z kością słoniową, wyglądały jak słoniowe kły spiłowane do wielkości zębów człowieka. Popijał ajerkoniak z małego kryształowego kieliszka. – Wyobrażasz sobie? Jasne, że sobie wyobrażasz. Jesteś dziewczyną z miasta. Nadal mieszkasz w Chicago?

– Pozwól im pójść na górę i trochę ochłonąć – powiedziała Beverly do Pete'a. – Za chwilę wrócą. Niedawno wysiedli z samolotu.

Wtedy jednak zjawił się Jack Dine w kamizelce z wyhaftowanym skaczącym jeleniem wiernie oddanym za pomocą drobnego ściegu. Jack zawsze był dużym mężczyzną, wysokim i barczystym, lecz teraz wydawał się nie większy od swojej żony.

– Kim jest ta ładna dziewczyna? – spytał, wskazując Franny.

Beverly objęła męża ramieniem.

– Jack, to jest Franny, moja Franny. Pamiętasz.

– Wygląda jak ty.

– I Kumar. Pamiętasz go?

– Niech zabierze bagaże – polecił Jack, odsyłając Kumara machnięciem ręki. – No, idź już. Zanieś je na górę.

Kumar się uśmiechnął, choć trudno byłoby stwierdzić, jak mu się to udało. Cechowała go życzliwość, poza tym jego synów na szczęście nie było w pobliżu i nie mogli tego widzieć.

– Jack – powiedziała Franny, kładąc rękę na drżącym przedramieniu ojczyma. – Kumar to mój mąż.

Kumar nie zamierzał przepuścić okazji do oddalenia się. Był gotów wykorzystać każdą szansę.

– Oczywiście, proszę pana. – Skinął głową. Jakimś cudem, dzięki niepojętej równowadze i sile, zdołał zabrać na raz cały bagaż. Torby chłopców przewiesił sobie przez klatkę piersiową.

– Idź przez kuchnię – powiedział Jack, gdy Kumar zrobił krok w stronę szerokich schodów. Kumar o mało nie stracił równowagi, lecz odwrócił się i zaniósł torby do kuchni. Prowadziły stamtąd wąskie tylne schody, z których korzystała służba, w czasach gdy jeszcze była tu jakaś służba.

– Wydaje im się, że mogą paradować na twoim przyjęciu – Jack poskarżył się Franny, odprowadzając Kumara spojrzeniem. – Cały czas trzeba ich mieć na oku.

– To był mój mąż – powtórzyła Franny. Czyżby się dławiła? Czuła w gardle coś przedziwnego.

Jack poklepał ją po ręce.

– Powiedz mi, czego się napije taka ładna pani jak ty.

– Niczego mi nie potrzeba, Jack. – Wcześniej Franny myślała, że podczas rzucania monetą jej się poszczęściło. Gdy usłyszała, jak ćwierćdolarówka ląduje na stole Caroline, gdy siostra powiedziała, że Franny będzie musiała spędzić święta w Wirginii, wydawało jej się, że przypadło jej łatwiejsze zadanie. Teraz poczuła, że tęskni do umierającego ojca, do ojca, który już prawie nie żył.

– Przyniosę ci trochę ajerkoniaku – powiedział Jack Dine, po czym odwrócił się i zniknął w tłumie.

– Pogorszyło mu się. – Pete odprowadził ojca wzrokiem. – W razie gdybyś nie zauważyła. Bardzo mu się pogorszyło. Zaczął już podkładać ogień?

– A co to za pytanie? – zdziwiła się Beverly bezbarwnym głosem. Kochała Jacka Dine’a, czy raczej kochała go, gdy jeszcze był kimś, kogo znała. Za to jego synowie często wymagali więcej uwagi, niż była skłonna im poświęcić.

– Bo prędzej czy później zacznie – powiedział Pete. Wodził wzrokiem po tłumie ludzi, rozglądając się za bardziej interesującymi rozmówcami. – Matthew! – Podniósł rękę i pomachał do brata. – Popatrz! Przyjechała Franny.

Matthew Dine miał na sobie czarną kamizelkę. Przypiął do niej złoty zegarek z dewizką, z którego zwisał mały czerwony bożonarodzeniowy ornament: jedna szklana bombka, dzięki której wyglądał odświętniej niż reszta zebranych. Franny zapomniała, że na przyjęciach bożonarodzeniowych u Jacka Dine’a mężczyźni obowiązują kamizelki. Gdy się rozejrzała, zauważyła pewną prawidłowość: kobiety w czerwieni, mężczyźni w kamizelkach. Matthew ujął obie jej dłonie i pocałował Franny w policzek.

– Odkąd tu weszłaś, nie zrobiłaś nawet trzech kroków – powiedział poważnym tonem.

Franny najbardziej lubiła Matthew. Jak wszyscy.

– Gdzie Rick? – spytała, dochodząc do wniosku, że równie dobrze może odfajkować wszystkich trzech braci, zanim spróbuje stawić czoło drodze ku schodom.

– Rick z jakiegoś powodu się nabzdyczył – powiedziała Beverly. – Mówił, że nie przyjdzie.

– Przyjdzie – powiedział Matthew. – Laura Lee i dziewczynki już tu są.

*As I was going to St. Ives, I met a man with seven wives. Each wife had seven sacks, each sack had seven cats*¹. Franny nie potrafiła ich spamiętać. Znała chłopców Dine – nazywano ich tak nawet po pięćdziesiątce – ale myliły jej się ich żony i drugie żony, ich dzieci, niekiedy dwa komplety, z których część dorosła i założyła własne rodziny, a część była jeszcze mała. *Kits, cats, sacks, and wives*². Niektórzy członkowie rodziny Dine’ów z niewiadomych powodów uważali ją za swoją siostrę, kuzynkę, córkę, ciotkę. Katie Dine w Nowym Jorku urodziła dziecko. Franny nie była w stanie spamiętać wszystkich odgałęzień tego rodu: wszystkich ludzi, z którymi za sprawą ślubu matki łączyła ją teraz tajemnicza więź. Peggy, pierwsza żona Jacka Dine’a, zmarła ponad dwadzieścia lat temu, lecz jej siostry razem ze swoimi mężami, dziećmi, małżonkami dzieci oraz ich dziećmi

nadal były co roku zapraszane na przyjęcie – umiłowani goście! Co roku przychodziły i stały w domu, który kiedyś należał do ich siostry, i inwentaryzowały zmiany, jedząc małe kanapki przygotowane własnoręcznie przez Beverly. Nową sofę, inny kolor farby na ścianach w salonie i obraz nad kominkiem przedstawiający ptaki uważały za bezczeszczenie pamięci Peggy. Przemeblowania były ponad ich siły.

Goście powoli się dowiadywali, że przyjechała córka Beverly, i ci, którzy ją znali, chcieli się jak najszybciej przywitać, a ci, którzy jej nie znali, wiele o niej słyszeli i chcieli ją poznać. Matthew przysunął się do Franny i szepnął jej na ucho:

– Uciekaj.

Franny ucałowała matkę.

– Zaraz wracam – powiedziała.

Przeszła przez kuchnię, gdzie dwaj czarni mężczyźni w czarnych spodniach, białych koszulach, kamizelkach i krawatach układali stopy krakersów z szynką na srebrnych tacach, a trzeci umieszczał gotowane krewetki na masywnym srebrnym półmisku wokół wypełnionej sosem koktajlowym misy z rżniętego szkła. Gdy ich mijala, nawet na nią nie spojrzeli. Jeśli w ogóle ją zobaczyli, nie dali tego po sobie poznać. Weszła tylnymi schodami do pokoju, w którym zawsze spali z Kumarem. Wszyscy chłopcy Dine mieszkali w mieście, każdy we własnym pięknym domu, więc nawet w Boże Narodzenie nie trzeba było się martwić o miejsce. Po przejściu Jacka Dine'a na emeryturę jego samochodowe imperium podzielono na trzy części: Matthew dostał Toyotę, Pete Subaru, a Rick Volkswagena. Rick, nie tylko leniwy, ale również zgorzkniały, często powtarzał, że danie Matthew Toyoty było niesprawiedliwe. Nikt nie mógł konkurować z Toyotą. Najbardziej zazdrościł bratu priusów.

Franny cicho otworzyła drzwi i zastała męża leżącego w ciemności na narzucie. Jego marynarka i krawat wisiały w szafie, buty stały pod łóżkiem. Kumar zawsze był schludny, nawet w czasach studenckich. Franny rzuciła płaszcz i szalik na podłogę, zdjęła śniegowce.

– Byłoby mi siebie bardzo szkoda – powiedział cicho z rękami złożonymi na brzuchu i z zamkniętymi oczami – gdyby nie to, że ciebie szkoda mi bardziej.

– Dziękuję – szepnęła i popęzła na czworakach po olbrzymim materacu, żeby położyć się obok niego.

Objął ją ramieniem, pocałował w głowę.

– Inna para zaczęłaby się teraz kochać.

Franny się roześmiała, wtulając twarz w jego ramię.

– Para, której dzieci nie miałyby zamiaru za chwilę wejść do pokoju.

– Para, której gospodarz nie miałby zamiaru zastrzelić zięcia za krzyżowanie ras.

– Przykro mi.

– Biedna Beverly. Jej też jest mi żal.

Franny westchnęła.

– Wiem.

– Musisz iść na przyjęcie – powiedział. – Brakuje mi odwagi, żeby tam z tobą wrócić, ale ty musisz.

– Wiem.

– Poprosisz chłopców, żeby mi przynieśli coś do jedzenia?

Franny zamknęła oczy i pokiwała głową przy jego klatce piersiowej.

Gdyby Kumar umiał postawić na swoim, co roku lataliby na Fidżi tuż przed Świętem Dziękczynienia i wracali dopiero na Nowy Rok, już po zdjęciu świątecznych dekoracji. Pływaliby z rybami, leżeli na plaży i jedli papaje. Gdyby znudziło im się na Fidżi, lecieliby na Bali, do Sydney albo w jakiegokolwiek słoneczne, piaszczyste miejsce mające w nazwie tyle samo spółgłosek co samogłosek.

– A co ze szkołą? – pytała Franny.

– Czy nie jesteśmy w stanie kształcić synów w domu przez sześć tygodni w roku? To nawet nie byłoby pełne sześć tygodni. Trzeba odjąć weekendy i dni świąteczne.

– A praca?

Wtedy Kumar spoglądał na nią groźnie, marszcząc ciemne brwi.

– Po prostu fantazjuj razem ze mną – mówił.

Sapna, pierwsza żona Kumara, zmarła w rocznicę ataku na Pearl Harbor, w pełni sezonu świątecznego, cztery lata po narodzinach Amita. Łatwo było sobie przypomnieć, jak dawno to było, bo Amit miał już dwanaście lat. Sapna była o dziesięć lat młodsza od Kumara.

– O dziesięć lat milsza – mówił do niej w jej urodziny. – O dziesięć lat bardziej wyrozumiała.

To prawda. Sapna miała w sobie taką radość życia, że mogła się wydawać nieskomplikowana, choć prawdopodobnie w rzeczywistości była równie skomplikowana jak każdy inny człowiek. „W szczęściu nie ma nic z głupoty” – lubiła mawiać. Kochała męża, kochała synów. Cieszyła się, że zdołała uciec z północnego Michigan do Chicago. Ich życie, choć zaganiane i lodowato zimne, było dobrym życiem. Z drugiego porodu wyszła bez szwanku. Wrócili razem do domu. Dwuipółletni Ravi właśnie drzemał. Sapna siedziała na kanapie, trzymając dziecko w ramionach. Spojrzała prosto na Kumara i powiedziała:

– To bardzo dziwne.

A potem zamknęła oczy.

Sekcja zwłok wykazała wrodzoną wadę serca – zespół długiego QT. Zważywszy na powagę tej przypadłości, największym zaskoczeniem było to, że Sapna nie umarła po narodzinach Raviego. Ale czasami ludzie nie umierali. Czasami żyli przez całe życie, nie dowiadując się, jaki los ich ominął. Po badaniach okazało się, że matka Sapny też ma ten gen. I jej siostra.

„W przypadku ogromnej większości ludzi na tej planecie – mówił Fix – to, co ich zabije, znajduje się w ich wnętrzu”.

Niespełna rok po śmierci żony Kumara Franny podeszła do jego stolika w Palmer House i spytała, czego chciałby się napić.

– Jezu – powiedział, wpatrując się w nią z niedowierzaniem. – Powiedz mi, że już tu nie pracujesz.

„Kumar – pomyślała. – Jak mogła zapomnieć o Kumarze?”

– Tylko od czasu do czasu, w weekendy. – Pochyliła się, żeby pocałować go w policzek. – Mam prawdziwą pracę w bibliotece prawniczej na Uniwersytecie

Chicagowskim, ale płaca przeraża. Poza tym podoba mi się tutaj.

Kumar czekał w barze na klienta, którego miał zabrać na kolację.

– Proponuję ci pracę – powiedział. – Od zaraz. Możesz zacząć w poniedziałek. Jedna praca, w której zarobisz więcej niż teraz w dwóch.

Franny się roześmiała. Kumar w ogóle się nie zmienił.

– Na czym miałyby polegać?

– Na należytej staranności. – Zmyślał na poczekaniu. – Musiałabyś zbierać dane finansowe przed planowaną fuzją.

– Nie skończyłam studiów prawniczych.

– Wiem, jak daleko na nich doszłaś. Potrzebujemy kogoś, na kogo można liczyć. To jest twoja rozmowa w sprawie pracy. I właśnie cię zatrudniłem.

Do stolika podszedł wysoki czarny mężczyzna w grafitowym garniturze i Kumar wstał, żeby go powitać.

– To nasza nowa współpracownica – powiedział, wyciągając rękę w stronę Franny.

– Franny Keating. Nadal Keating?

– Franny Keating – potwierdziła i uścisnęła mężczyźnie dłoń.

Później Kumar mówił, że wpadł na to na poczekaniu: miał ożenić się z Franny i rozwiązać w ten sposób wszystkie problemy oprócz tych nie do rozwiązania. Kochał ją, kiedy byli młodzi – jeśli nie w roku, w którym dzielili jego mieszkanie, to przynajmniej po tym, gdy już odeszła z Leo Posenem. Skoro była wolna, nie widział powodu, dla którego nie miałby pokochać jej znowu. Problemem był czas. Rodzice Sapny przylecieli z Michigan, żeby zaopiekować się Ravim po narodzinach Amita i choć minął prawie rok, wciąż mieszkali w jego domu. Między pracą a dziećmi, między swoim życiem a olbrzymim ciężarem smutku, Kumar nie miał w ciągu dnia ani jednej chwili, która nie byłaby przez coś pochłonięta. Jego geniusz polegał na tym, że zamiast umówić się z Franny na randkę, dał jej pracę. Zresztą i tak nie chciał z nią chodzić na randki. Chciał się z nią ożenić. Gdyby przyszła pracować w jego kancelarii, widywaliby się codziennie. Opowiadaliby swoje historie w naturalny sposób, w windzie albo wymieniając się aktami. Zanim powierzyłby jej życie swoich dzieci i własne, mógłby sprawdzić, czy jego pomysł jest tak dobry, jak mu się wydawało.

„Załatwione – pomyślał, gdy dał jej swoją wizytówkę i powiedział dobranoc – wszystko załatwione”.

Po tylu latach w barze wciąż puszczano tę samą kasetę albo kasetę z muzyką uderzająco podobną do tamtej. Franny uśmiechała się na myśl o tym, jak bardzo działało jej to kiedyś na nerwy. Teraz w ogóle nie zwracała na to uwagi. Gdy jednak Kumar i jego klient wyszli z baru i włożyła jego wizytówkę do kieszeni fartuszka, prawie słyszała Ellę Fitzgerald śpiewającą jakby w głębi jej umysłu:

There's someone I'm trying so hard to forget

*Don't you want to forget someone too?*³

Leżąc w ciemności w domu matki, Franny próbowała sobie wyobrazić świat, w którym Sapna żyła. Może Franny i Kumar znowu by się spotkali, któregoś dnia

wpadliby na siebie w księgarni, roześmialiby się, powiedzieli cześć i tak dalej, ale na pewno by za niego nie wyszła, a jego synowie na pewno nie byłiby jej synami. A skoro przyjąc, że Sapna mogłaby żyć, Beverly z pewnością mogłaby pozostać żoną Fixa i nie byłoby żadnego Jacka Dine'a, żadnego przyrodniego rodzeństwa o nazwisku Dine, żadnego bożonarodzeniowego przyjęcia w Wirginii. Oznaczałoby to jednak, że nie byłoby także Marjorie, a to byłaby potworna strata, bo Marjorie obdarzyła Fixa wielką miłością. Ale może wówczas Bert zostałby z Teresą i pięćdziesiąt lat później uratowałby jej życie, nalegając, żeby poszła w porę do lekarza. Cala nie ugryzłaby pszczoła czekająca na niego w wysokiej trawie niedaleko stodoły w domu rodziców Berta. Mógłby żyć jeszcze wiele lat, choć kto wie, może jakaś inna pszczoła odnalazłaby go w innym miejscu? Gdyby Cal żył, Albie nigdy nie zaproszyłby ognia, przez który trafił do Wirginii, choć przecież i tak nie musiałby jechać do Wirginii, bo Bert zostałby w Kalifornii. Przysypiając na narzucie obok męża, Franny nie była w stanie nakreślić wszystkich tras, jakimi pobiegłaby przyszłość, gdyby nie cumy przeszłości. Gdyby nie Bert, Franny nigdy nie poszłaby na studia prawnicze. Zdobyłaby dyplom z anglistyki i nie poznałaby Kumara. Nigdy nie trafiłaby do Chicago i nie pracowała w Palmer House, a zatem nigdy nie poznałaby Leo Posena, który siedział przy barze tyle żyć temu i mówił o jej butach. Właśnie w tym miejscu, gdy się pochylała, żeby przypalić mu papierosa, zaczęło się jej życie. Z jakiegoś powodu spośród wszystkiego, co mogłaby zyskać albo stracić, myśl o tym, że nie poznałaby Leo, była najtrudniejsza do zniesienia.

Oddech Kumara pogłębił się i zwolnił, więc ostrożnie wstała, wymacała w walizce sukienkę i buty i przebrała się po ciemku.

Gdy zeszła po tylnych schodach do kuchni, zastała matkę stojącą samotnie przy stole śniadaniowym i układającą na tacy malutkie wielowarstwowe ciasteczka.

– Przecież wiesz, że są tutaj ludzie, którzy zrobią to za ciebie – powiedziała Franny. Matka podniosła głowę i uśmiechnęła się wyczerpana.

– Chciałam się na chwilę schować.

Franny pokiwała głową i usiadła obok niej.

– W teorii to przyjęcie zawsze wydaje się dobrym pomysłem – powiedziała Beverly. – Ale gdy już trwa, nie mam pojęcia, co mi strzeliło do głowy, żeby je wydawać.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały głosy gości, ajerkoniak i szampan wzmagały wesołość. Pianista grał teraz coś żwawszego, chyba jakąś jazzową wersję *The Twelve Days of Christmas*, ale Franny nie była pewna. Dwanaście dni, pomyślała. Zabiłaby się, zanim w ogóle doczekałaby pięciu złotych obrączek⁴.

Beverly wyjęła z pudełka ostatnie maleńkie kwadratowe ciasteczka, różowo-żółto-białe, wszystkie ozdobione cukrową kokardką.

– Rick jednak przyszedł – powiedziała, obracając kwadraciki, żeby zmienić je w brylanty. – Teraz pije.

– Matthew mówił, że przyjdzie.

– Nie mogę znieść ich wszystkich naraz – poskarżyła się Beverly. – Pojedynczo chłopcy są w porządku, albo przeważnie w porządku, ale kiedy są razem, zawsze realizują jakieś cele. Mają mnóstwo pomysłów na przyszłość: co powinnam zrobić z Jackiem, co powinnam zrobić z domem. Chyba brakuje im wyczucia, jakie rozmowy są stosowne na

bożonarodzeniowym przyjęciu. Nie wiem, co przyniesie przyszłość. Nie wiem, dlaczego ciągle mnie o to pytają. Masz jakieś pomysły na przyszłość?

Franny sięgnęła po blade, żółte ciasteczko koloru świeżo wyklutego kurczątka i zjadła je całe, wystarczył jeden kęs. Nie było zbyt dobre, ale wyglądało tak ładnie, że smak nie miał znaczenia.

– Żadnych – powiedziała. – Zero.

Beverly spojrzała na córkę, jej twarz wyrażała najczystsza miłość.

– Chciałam mieć dwie córki – oświadczyła. – Ciebie i twoją siostrę. Chciałam dokładnie tego, co dostałam. Dzieci innych ludzi to dla mnie zbyt wiele.

Gdyby jej matka nie była taka ładna, ich życie ułożyłoby się zupełnie inaczej, ale trudno mieć do kogoś pretensje o urodę.

– Pójdę tam – powiedziała Franny, wstając.

Jej matka spojrzała na talerz z ciasteczkami.

– Ułożę je według koloru – zdecydowała i zepchnęła wszystkie na stół bokiem dłoni. – Chyba tak bardziej mi się podobają.

Franny znalazła Raviego i Amita w piwnicy, gdzie oglądali *Matrixa* na telewizorze wielkości materaca.

– To film dla widzów od siedemnastego roku życia – powiedziała.

Chłopcy spojrzeli na nią.

– Z powodu przemocy – zauważył Ravi. – Nie z powodu seksu.

– Poza tym jest Boże Narodzenie – dorzucił Amit, posilkując się logiką życzeń.

Franny stanęła za nimi i patrzyła, jak mężczyźni w czarnych płaszczach odchylają się do tyłu, żeby uniknąć rozplątania przez kule, a potem szybko prostują się z powrotem. Jeśli chłopcom miały się po tym śnić koszmary, szkody już się dokonały.

– Mamo, widziałas go? – spytał Amit.

Franny pokręciła głową.

– Dla mnie jest zbyt straszny.

– Jeśli będziesz się bała – powiedział jej młodszy syn – mogę spać z tobą w pokoju.

– Jeśli teraz każesz nam wyłączyć – dodał Ravi – nie dowiemy się, co było dalej.

Franny oglądała jeszcze przez chwilę. Chyba miała rację, chyba rzeczywiście film był dla niej zbyt straszny.

– Wasz ojciec zasnął – powiedziała. – Oczekajcie jeszcze trochę, a potem zanieście mu kolację, dobrze?

Zadowoleni ze swojego małego zwycięstwa, pokiwali głowami.

– I nie mówcie mu o filmie.

Franny poszła z powrotem na górę i zrobiła jedno pełne okrążenie, ale minęła zaskakująco niewiele osób, które pamiętała. Nie mieszkała w Arlington, odkąd wyjechała do college'u. Żony trzech synów Jacka Dine'a chciały z nią porozmawiać, ale były nieszczęśliwie skore rozmawiać ze sobą nawzajem. Żona jej ulubionego przyrodniego brata była żoną, którą lubiła najmniej, a żona tego, którego lubiła najmniej, była żoną, którą wolała od wszystkich pozostałych. Najciekawsze było jednak to – choć właściwie nie było w tym nic ciekawego – że żona tego, którego było jej najtrudniej zapamiętać, była żoną, którą też było jej najtrudniej zapamiętać.

W pewnym momencie wieczoru, zanim ktokolwiek z gości opuścił przyjęcie, Franny znalazła się z powrotem w przedpokoju, gdzie nawet się za nią nie rozglądając, zauważyła swoją torebkę na podłodze, tuż za stojakiem na parasole. Widocznie upuściła ją tam, kiedy weszli i stawiali bagaż. Bez zastanowienia podniosła ją i wyszła.

Sukienka, którą przywiozła na przyjęcie – na przyjęcie mające się odbyć dopiero za dwa dni – nie była czerwona. Uszyto ją z granatowego aksamitu i miała długie rękawy, lecz mimo to nie chroniła przed zimnem, tak samo jak jej buty nie chroniły przed śniegiem. To jej nie powstrzymało. Wyszła z przyjęcia, wyslizgnęła się, gdy już wszyscy zdążyli ją zobaczyć. „Gdzie jest Franny?” – pytaliby i słyszeliby w odpowiedzi: „Chyba w kuchni. Przed chwilą widziałem ją w drugim pokoju”.

Wszystkie samochody były pokryte śniegiem, a jej auto było z wypożyczalni, do tego wypożyczyła je w ciemno. Nie wiedziała, jaki ma kolor, bo w zasadzie nigdy go nie widziała. To był SUV, tyle zapamiętała, ale przed domem stały same SUV-y, jakby one – podobnie jak kamizelki dla mężczyzn – były na tym przyjęciu obowiązkowe. Zeszła z pagórka na końcu podjazdu i gdy znalazła się w odległości, którą uznała za odpowiednią, wcisnęła przycisk w kluczyku. Tuż z lewej odezwał się klakson i rozbłysły światła. Starła nadgarstkiem śnieg z szyb i wsiadła do środka. Gdy tylko włączyła ogrzewanie, zadzwoniła do Berta.

– Pomyślałam, że wpadnę się przywitać, jeśli nie jest za późno. – Musiała się starać, żeby mówić zwyczajnym tonem, bo była mocno poruszona.

Bert zawsze kładł się późno. Kiedyś musiała go prosić, żeby nie dzwonił po dziesiątej wieczorem.

– Cudownie! – ucieszył się, jakby właśnie czekał na telefon od niej. – Tylko uważaj, jadąc po śniegu.

Bert nadal mieszkał w ostatnim domu, w którym mieszkał z Beverly, w tym samym, w którym Franny i Caroline mieszkały w czasach liceum, w tym, do którego Albie przyjechał rok po wyjeździe Caroline. Niedaleko od domu Beverly i Jacka Dine’a, może z osiem kilometrów, ale w Arlington można było mieszkać osiem kilometrów od kogoś i nigdy się na tego kogoś nie natknąć.

Gdy zaparkowała, czekał na nią na werandzie, widoczne za nim drzwi do domu były otwarte. Przed wyjściem włożył płaszcz. Bert był równie stary jak reszta, lecz starość zjawiała się z różną prędkością i w różny sposób. Kiedy nad jego głową paliło się jaskrawe światło werandy, idąca po pogrążonym w ciemności podjeździe Franny pomyślała, że Bert Cousins nadal wygląda jak Bert Cousins.

– Duch minionych świąt Bożego Narodzenia – powiedział, gdy padła mu w ramiona.

– Powinnam była wcześniej zadzwonić – tłumaczyła się Franny. – W zasadzie wpadłam na ten pomysł w ostatniej chwili.

Nie zaprosił jej do środka ani jej nie wpuścił. Stał tam tylko, tuląc Franny do piersi. Na zawsze pozostała dzieckiem, które nosił na imprezie u Fixa Keatinga, najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widział.

– Nie mam nic przeciwko ostatniej chwili.

– Wejdzmy do środka – powiedziała. – Zamarzam.

W środku zdjęła buty.

– Kiedy zadzwoniłaś, rozpałiłem w kominku. Jeszcze się nie nagrzało, ale już zaczyna się robić cieplej.

Franny przypomniała sobie, kiedy zobaczyła ten dom po raz pierwszy. Musiała mieć ze trzynaście lat. Kupili go ze względu na salon, duże kamienne palenisko, kominek zdolny pomieścić kocioł czarownicy, i na okno z widokiem na basen. Wtedy myślała, że to pałac. Bert nie miał żadnego interesu w dalszym mieszkaniu w tym miejscu, budynek był zdecydowanie za duży dla jednej osoby. Tego wieczoru cieszyła się jednak, że go nie sprzedał, bo dzięki temu mogła wrócić do domu.

– Zrobię ci drinka – zaproponował.

– Może tylko herbatę – powiedziała. – Prowadzę.

Podeszła do kominka i na ciepłych kamieniach zaczęła ogrzewać stopy w pończochach. Gdy jeszcze uczyli się z Albiem w liceum i było za zimno, żeby wyjść na zewnątrz, późnymi zimowymi wieczorami schodzili na dół, otwierali przewód kominowy i palili. Pochylali się z papierosami nad kominkiem i wydmuchiwali dym do komina. Wypijali Bertowi dżin, a potem bezkarnie wyrzucali puste butelki do śmietnika w kuchni. Nawet jeśli któreś z rodziców zauważyło kurczenie się zapasów w barku albo przybywanie pustych butelek w śmietniku, żadne nigdy o tym nie wspomniało.

– Napij się, Franny. Są święta.

– Jest dwudziesty drugi grudnia. Dlaczego wszyscy powtarzają, że są święta?

– Dżin i tonik po barmańsku.

Franny spojrzała na niego.

– Po barmańsku – powiedziała stanowczo.

Bert pokazał jej tę sztuczkę, kiedy była mała i na ich przyjęciach wcielała się w rolę barmanki. Jeśli gość był już pijany, miała nalać toniku do szklanki z lodem, a potem skropić wierzch odrobiną dżinu i nie mieszać. Pierwszy łyk jest za mocny, powiedział jej Bert, i właśnie o to chodzi. Po pierwszym łyku pijani nie zwracają już uwagi.

– Jeśli się zagalopujesz, będziesz mogła przenocować w swoim dawnym pokoju.

– Moja matka byłaby zachwycona. – Wymknięcie się do Berta zawsze było ryzykowne. Bo choć Beverly wszystko mu wybaczyła, nie pojmowała, że Franny i Caroline też mogłyby mu wybaczyć.

– Co u twojej matki? – spytał Bert i podał Franny drinka. Pierwszy łyk – czysty dżin – smakował dokładnie tak, jak powinien.

– Moja matka jest sobą w każdym calu – powiedziała Franny.

Bert zacisnął usta i pokiwał głową.

– Nie spodziewałem się niczego innego. Ale słyszałem, że stary Jack Dine coraz bardziej niedomaga, że opiekowanie się nim to niełatwa sprawa. Nie mogę znieść myśli, że ją to spotkało.

– Prędzej czy później wszystkich nas to czeka.

– Może do niej zadzwonię, spytam, jak się miewa.

„Och, Bert – pomyślała Franny. – Daj spokój”.

– A co u ciebie? – spytała. – Jak się czujesz?

Bert zrobił drinka także dla siebie, dżin z kropelką toniku na wierzchu, stosując dla

równowagi odwrotne proporcje niż w drinku Franny, i usiadł na kanapie.

– Jak na staruszka, nie jest źle – powiedział. – Radzę sobie. Gdybyś zadzwoniła jutro, nie zastałabyś mnie w domu.

Franny dźgnęła polana pogrzebaczem, żeby rozniecić płomienie.

– Dokąd się wybierasz?

– Na Brooklyn – powiedział. Franny odwróciła się z pogrzebaczem w rękę i spojrzała na niego, a on szeroko się uśmiechnął. – Jeanette zaprosiła mnie na święta. Dwie przecznice od ich mieszkania jest hotel. Całkiem przyjemny. Zatrzymałem się tam już dwa razy, kiedy byłem u nich w odwiedzinach.

– To naprawdę wspaniale – powiedziała Franny, a potem usiadła obok Berta. – Cieszę się.

– Od paru lat jest między nami lepiej. Z Holly też mejlujemy. Pisze, że mogę przylecieć do Szwajcarii i odwiedzić ją w tym miejscu, w którym mieszka, w tej komunie. Powtarzam jej, że spotkamy się w Paryżu. Myślę, że Paryż to dobry kompromis. Wszyscy lubią Paryż. Zabrałem tam Teresę w podróż poślubną. Kiedy to było? Pięćdziesiąt pięć lat temu? Chyba pora znowu tam polecieć. – Zamilkł na chwilę, coś sobie przypomniał. – Byłaś tam, kiedy umarła Teresa, prawda? Jeanette chyba mi o tym mówiła.

– Zawiozłyśmy ją z Caroline do szpitala. Byłyśmy z tatą.

– No cóż, to miło z waszej strony.

Franny wzruszyła ramionami.

– Nie zamierzałam jej zostawić.

– Co u taty?

Na myśl o ojcu Franny pokręciła głową. „Co u starego Berta?” – pytał zawsze Fix.

– Powiedziałabym ci, że nie dożyje Nowego Roku, ale na pewno bym się pomyliła.

– Twój ojciec to twardy facet.

– Mój ojciec to twardy facet – powtórzyła Franny, myśląc o pistolecie w szafce nocnej i o tym, jak odmówiła mu pomocy, gdy o nią poprosił. Mało tego. Później zaniósła pistolet na posterunek w Santa Monica i oddała go razem z nabojami.

– Doleję ci trochę dżinu – powiedział Bert.

– Odrobinę – zgodziła się Franny, podając mu szklaneczkę. Nie była pijana i dlatego przygnębiała ją świadomość, że cały dżin na wierzchu już wypija.

– Nie wypijaś jeszcze nawet pół miarki. – Bert poszedł do barku pod ścianą.

– Tylko ostrożnie.

– Pamiętam, że spotkałem twojego ojca jeszcze po twoim chrzcie – powiedział Bert. – Zobaczyłem go w sądzie. Nie wiem, może wcześniej też ciągle go widywałem, ale nie zwracałem na to uwagi. W każdym razie w tamten poniedziałek podszedł i uściśnął mi rękę, powiedział, że cieszy się, że byłem na jego imprezie. „Cieszę się, że wpadłeś na imprezę Franny” – tak to ujął. – Bert podał Franny drinka.

– To było dawno temu, Bert.

– Nie szkodzi – powiedział Bert. – Trudno mi teraz o nim myśleć, jest taki chory. Nigdy nie miałem nic przeciwko twojemu ojcu.

– Masz kontakt z Albiem? – spytała, chcąc zmienić temat. Mogła zadać to pytanie Albiemu, lecz z jakiegoś powodu nigdy tego nie zrobiła. Nie rozmawiali o Bercie. Nie

rozmawiali o nim nawet przed laty, gdy razem mieszkali pod tym dachem.

– Niezbyt często. Raz na jakiś czas któryś z nas podejmuje próbę, ale bez większych sukcesów. Wiesz, Albie był bardzo związany z matką. Tak to już jest: córki z ojcami, a synowie z matkami. Chyba nigdy mi nie wybaczył, że od niej odszedłem. – Bert nie potrafił zapomnieć o przeszłości, więc zakładał, że inni także.

– Powinieneś do niego zadzwonić. To dla niego trudny okres, Teresa nie żyje. – Franny pomyślała o własnym ojcu, o tym, jak to będzie za rok o tej porze.

– Zadzwonię do niego w Boże Narodzenie – powiedział. – Od Jeanette.

Franny miała ochotę przypomnieć mu, że w Kalifornii jest o trzy godziny wcześniej i że mógłby zadzwonić do syna już dziś wieczorem, od razu, lecz Bert nie zamierzał dzwonić do Albiego i nie było sensu wywoływać w nim poczucia winy. Przechyliła szklankę i po raz drugi spiła dżin. Potem przebiła się przez gazowaną słodycz toniku i osuszyła szklankę, aż został tylko lód i limonka.

– Szkoda, że nie mogę z tobą zostać – powiedziała i jakaś część jej naprawdę czuła żal. Miała ochotę pójść do swojego pokoju i położyć się na swoim łóżku, tylko czy jej łóżko nadal tam było?

Bert pokiwał głową.

– Wiem. Cieszę się, że w ogóle wpadłaś. Naprawdę to doceniam.

– O której masz samolot?

– Wczesnie. Dzięki temu uniknę korków.

Franny wstała i uściskała ojczyma.

– Wesółych świąt – powiedziała.

– Wesółych świąt – odpowiedział Bert, a gdy się odsunął, żeby na nią spojrzeć, miał wilgotne oczy. – Jedź ostrożnie. Jeśli coś ci się stanie, twoja matka mnie zabije.

Franny dała mu całusa i uśmiechnęła się, myśląc, że Bert nadal patrzy na świat przez pryzmat tego, co Beverly by mu wybaczyła, a czego nie. Włożyła buty stojące obok drzwi i wyszła na śnieg. W domu Bert wyłączał światło, a ona przez chwilę stała na werandzie i patrzyła, jak śnieg opada na rękawy jej aksamitnej sukienki. Przypomniał jej się wieczór, kiedy nie mogła znaleźć Albiego. Bert siedział w swoim gabinecie na dole i pracował, a jej matka była w kuchni i odrabiała zadanie z francuskiego. Pora kolacji już dawno minęła. Śnieg padał tak jak teraz, w domu panowała zupełna cisza. Franny zastanawiała się, gdzie jest Albie. Zwykle o tej porze zaglądał do jej pokoju, żeby odrobić lekcje albo porozmawiać, zamiast odrabiać lekcje. Ona leżała na łóżku, czytając *Miłość z wrzosowiska* na angielski dla zaawansowanych. Nie przychodził do niej codziennie, ale jeśli nie siedział u niej w pokoju, zwykle słyszała, jak ogląda telewizję albo chodzi po domu. Nasłuchiwała, aż w końcu odłożyła książkę i poszła go szukać. Nie było go w sypialni, w łazience, w pokoju telewizyjnym ani w salonie, do którego i tak nigdy nie wchodził. Gdy już zajrzała do wszystkich miejsc, jakie jej przyszły do głowy, ruszyła do kuchni.

– Gdzie jest Albie? – spytała matkę.

Jej matka pokręciła głową i wydała z siebie cichy dźwięk mający oznaczać: „Nie mam pojęcia”. Jej matka nigdy nie nauczyła się francuskiego.

– Dasz mi znać, jak go zobaczysz?

Jej piękna matka, być może trochę zawstydzona, oderwała na chwilę wzrok od książki i pokiwała głową.

– Pewnie – powiedziała.

Franny nie pomyślała, żeby zapukać do Berta i spytać, czy nie widział Albiego, albo sprawdzić, czy Albiego z nim nie ma. Coś takiego nigdy nie przyszłoby jej do głowy.

Zamiast tego wyszła tylnymi drzwiami. Nadal miała na sobie szkolny mundurek: spódnicę w kratkę, podkolanówki, półbuty, bluzę od dresu nałożoną na białą koszulkę. Matka nie kazała jej włożyć płaszcza i nie spytała, dokąd się wybiera, tak jak zrobiłaby, gdyby Franny wychodziła tylnymi drzwiami w śnieżny wieczór kilka lat wcześniej. Jej matka zagubiła się w morzu czasowników nieregularnych.

Franny zajrzała do garażu, ale Albiego tam nie było. Okrążyła dom, a potem ruszyła ulicą, mijając dwa domy w jednym kierunku, trzy w drugim. Spojrzała na śnieg w poszukiwaniu śladów kół roweru, ale zauważyła tylko ślady własnych butów zmierzające w różne strony. Było jej już chłodno i miała coraz bardziej mokre włosy. Trochę się martwiła, ale tylko trochę. Myślała, że zdoła go znaleźć. Postanowiła wrócić do domu po płaszcz. Idąc po podjeździe, zauważyła Albiego, a właściwie zaledwie kilka centymetrów jego głowy wystającej zza bukszpanu obok drzwi wejściowych. Siedział owinięty swoim czerwonym śpiworem i gapił się na śnieg.

– Albie? – powiedziała. – Co ty tu robisz?

– Zamarzam.

– No to przestań. Wejdz do środka. – Przeszła po miękkim śniegu pokrywającym trawnik i stanęła naprzeciw niego.

– Za bardzo się upaliłem – powiedział.

Każdą latarnię, każdą lampę na ganku otaczała delikatna aureola śniegu. Wszystko inne spowijały ciemności.

– Nikt nie zauważy.

– Zauważą. Jestem naprawdę upalony.

– Nie możesz tu tak siedzieć. – Franny zaczynała się trząść. Zastanawiała się, co jej strzeliło do głowy, żeby wyjść z domu bez płaszcza.

– Mogę – powiedział. Głos miał tak lekki i łagodny, jakby sam był częścią śniegu.

Franny stanęła między bukszpanami, pewna, że będzie musiała go podnieść. Albie był już od niej wyższy, ale przy tym chudy, a zresztą by się nie opierał. Jednak gdy tylko się tam znalazła, dostrzegła urok tego miejsca: można było stąd widzieć wszystko, samemu nie będąc widzianym. Okap dachu prawie całkiem ich chronił przed śniegiem. Poczula od Albiego zapach trawy, słodki i mocny. Franny i Albie czasami razem pili i palili papierosy, ale dotąd nie palili razem trawy. Później to się zmieniło.

– Wpuść mnie – poprosiła.

I Albie tak po prostu podniósł rękę, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od śniegu, a ona usiadła obok niego. Śpiwór był wypchany puchem i gdy oboje się nim owinęli, zrobiło się wyjątkowo ciepło. Siedzieli tak, oparci o ceglana ścianę domu, mając przed sobą nieprzystrzyżony żywopłot. Patrzyli, jak śnieg pada, pada i pada, aż w końcu poczuli, jakby sami spadali z nieba.

– Tęsknię za mamą – powiedział Albie. W ciągu roku, podczas którego byli ze sobą

tak blisko, wyznał to tylko raz, i to wyłącznie dlatego, że był bardzo upalony.

– Wiem – powiedziała Franny, bo naprawdę wiedziała. Wiedziała o tym doskonale i mocniej owinęła ich śpiworem, a potem po prostu tam siedzieli, dopóki nie straciła czucia w stopach i nie powiedziała Albiemu, że muszą wejść do domu.

– Ja już dawno straciłem czucie w stopach – odparł.

Objęli się, żeby wstać. Drzwi wejściowe były zamknięte, więc poszli po podjeździe, ciągnąc za sobą śpiwór. Matka Franny wyszła już z kuchni, lecz spod drzwi gabinetu Berta wciąż wydostawało się światło.

– Mówiłam, że nikt by nie zauważył, że jesteś upalony – powiedziała Franny i z jakiegoś powodu bardzo to Albiego rozbawiło. Usiadł na podłodze i śmiejąc się, naciągnął sobie śpiwór na głowę, a Franny wyjęła płatki i mleko.

Franny strzepnęła śnieg z ramion i ruszyła w stronę wypożyczonego SUV-a. Nigdy nie opowiadała Leo tej historii. Chciała to zrobić, ale potem z jakiegoś powodu postanowiła zachować ją dla siebie. Teraz zrozumiała, że w pewnym momencie przyszłości wydarzy się taka noc jak ta, a ona przypomni sobie tę historię i będzie wiedziała, że nie zna jej nikt na świecie oprócz niej i Albiego. Musiała zachować coś dla siebie.

¹ „Jadąc do St. Ives, poznałem człowieka, który miał siedem żon. Każda żona miała siedem worków, w każdym worku było siedem kotów”.

² „Kocięta, koty, worki i żony”.

³ „Jest ktoś, o kim bardzo staram się zapomnieć / Czy też chcesz o kimś zapomnieć?”

⁴ W tej piosence każdemu z dwunastu świątecznych dni jest przyporządkowany jakiś prezent, z piątym dniem wiąże się pięć złotych obrączek.